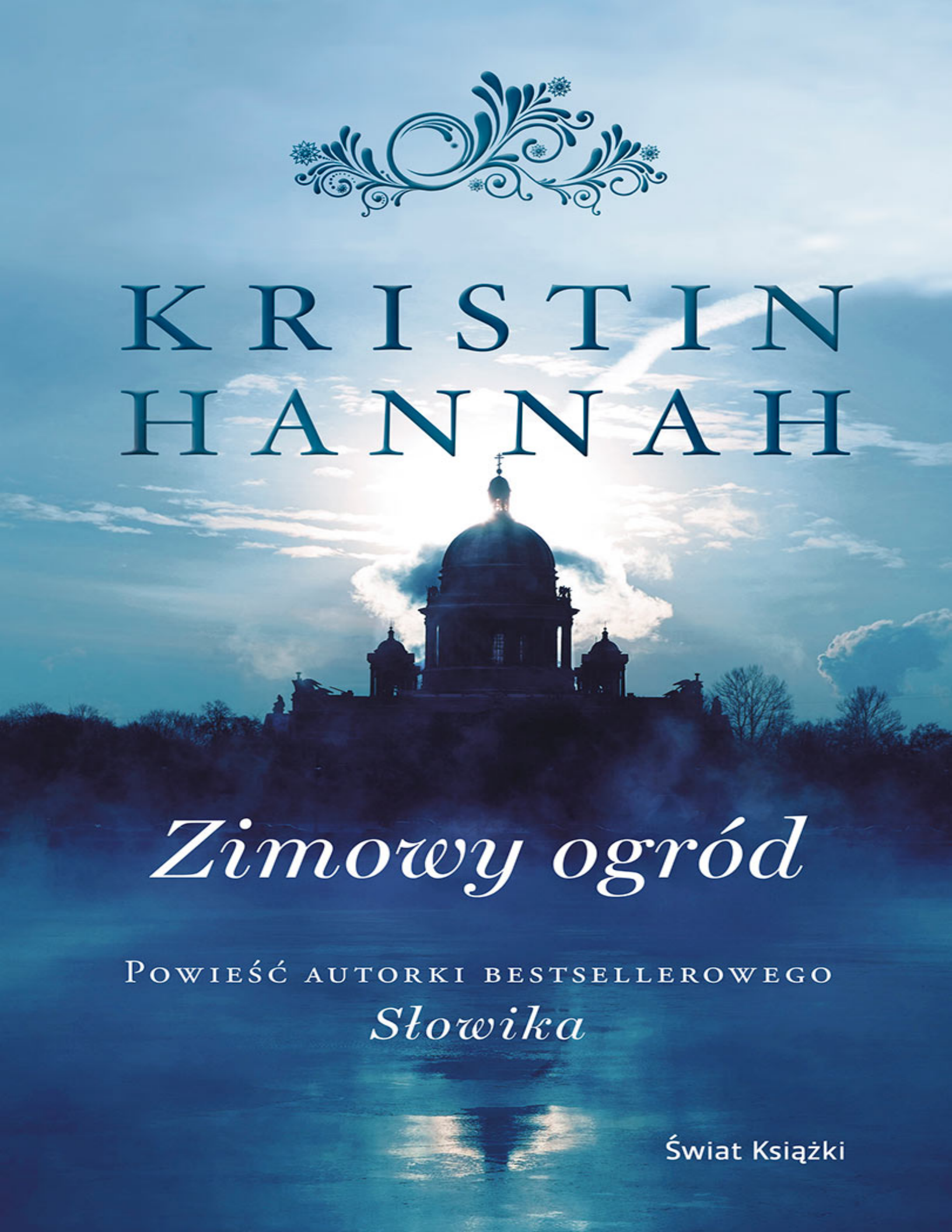
KRISTIN
HANNAH
Zimowy ogród
Powieść autorki bestsellerowego
Słowika
Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Epilog
Podziękowanie

KRISTIN
HANNAH

Zimowy ogród

Z angielskiego przełożyła
Joanna Puchalska

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
WINTER GARDEN

Wydawca
Urszula Ruzik-Kulińska

Redaktor prowadzący
Iwona Denkiewicz

Redakcja
Zofia Skorupińska
Ewa Borowiecka

Korekta
Marianna Filipkowska
Elżbieta Jaroszuk

Copyright © 2010 by Kristin Hannah
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Joanna Puchalska, 2014

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Warszawa 2019

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. + 48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

ISBN 978-83-813-9490-1

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Mojemu mężowi Benjaminowi – jak zawsze;

Mojej Mamie – żałuję, że nie wysłuchałam
więcej Twoich opowieści, kiedy mogłam;

Mojemu Tacie i Debbie – dzięki za podróż życia
i za wspomnienia, które pozostaną;

Mojemu ukochanemu Tuckerowi –
jestem z Ciebie dumna.
Twoja przygoda właśnie się zaczyna.

Nie, to nie jestem ja, to cierpi ktoś inny,
Bo ja bym tak nie mogła, a to, co się stało,
Niechaj okryją szczelnie czarne kiry,
I niech zabiorą światła...
Noc.

Anna Achmatowa, *Requiem*, cz. 3,
tłum. Eugenia Siemaszkiewicz,
w: *Wiersze*, Moskwa–Warszawa 1989

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Prolog

1972

W mroźnej porze roku, kiedy każdy oddech uwidacznia się w powietrzu w postaci obłoku pary, położony niedaleko brzegu szerokiej rzeki Kolumbii sad Biełyje Noczi trwał w ciszy. Śpiące zimowym snem jabłonie ciągnęły się jak okiem sięgnąć, mocno zaparte korzeniami w zamarzniętej żyznej ziemi. W tak niskiej temperaturze ziemia i niebo straciły swój zwykły koloryt i ten wyblakły pejzaż mógł nawet budzić obawę, że człowiek zapadł w jakąś zimową ślepotę na barwy. Dni były podobne jeden do drugiego. Wszystko zamarznięte, wszystko łamliwe i kruche.

Podobnie senny spokój panował w domu Meredith Whitson. W wieku lat dwunastu właśnie odkryła, że można mieć wokół siebie pustkę. Jej zaś marzyła się rodzina rodem z telewizyjnego serialu, w której wszyscy ze sobą się zgadzają, a życie toczy się lekko, łatwo i przyjemnie. Nikt, nawet ukochany ojciec, nie rozumiał, jak bardzo samotna może się czuć nastolatka. I tego, że nazbyt często odnosiła wrażenie, iż nikt jej nie dostrzega.

Ale nazajutrz wszystko się zmieni.

Przyszedł jej do głowy wspaniały pomysł. Napisała sztukę opartą na bajce opowiadanej przez matkę i zamierzały wraz z siostrą odegrać ją przed gośćmi w pierwszy dzień świąt. Jak w serialu *The Partridge Family*.

– Dlaczego ja nie mogę zagrać głównej roli? – dąsała się dziewięcioletnia Nina. Po raz chyba dziesiąty, odkąd powstał scenariusz, zadała to pytanie.

Meredith spojrzała na siostrę, która, skulona na podłodze ich wspólnego pokoju, malowała na starym prześcieradle jaskrawozielony zamek.

Zagryzła wargę z niezadowoleniem. Malunek był mało staranny, nie tak miał wyglądać.

– Ile razy mam ci to tłumaczyć?

– Ja chcę być biedną dziewczyną, która wychodzi za księcia.

– Mówiłam, że księcia gra Jeff, a on ma trzynaście lat. Głupio byś przy nim wyglądała.

Nina wstawiła pędzelek do puszki z wodą i usiadła na piętach. Miała jasną cerę, czarne włosy i jasnozielone oczy. Przypominała chochlika.

– A za rok będę mogła być biedną dziewczyną?

– Oczywiście. – Meredith uśmiechnęła się na myśl, że może właśnie tworzy nową rodzinną tradycję. Ich szkolne koleżanki miały swoje rodzinne tradycje, a u nich w domu zawsze wszystko wyglądało inaczej. Nie odwiedzały ich w święta liczne rodziny, nie było uroczystego indyka na Dziękczynienie ani szynki na Wielkanoc. Nigdy razem się nie modlili. One nawet nie wiedziały, ile mama ma lat.

To dlatego, że mama jest Rosjanką i źle się czuje w obcym kraju. Przynajmniej tak tłumaczył tata. Mama nigdy o sobie nie opowiadała.

Usłyszawszy pukanie do drzwi, Meredith podniosła głowę. Przyszedł ojciec. A z nim Jeff Cooper.

Od razu nabrała wiatru w żagle, właśnie za sprawą Jeffreya Coopera. Przyjaźnili się już od czwartej klasy, lecz ostatnio w jego obecności zaczęła czuć się trochę dziwnie. Ogarniał ją taki przyjemny niepokój. Gdy Jeff na nią patrzył, nagle zasychało jej w gardle.

– W samą porę, robimy próbę.

Jeff się uśmiechnął, a w niej zatrzepotało serce.

– Tylko nic nie mów Joeyowi i chłopakom. Ale by mi dali – poprosił.

– Wiesz, jeśli chodzi o tę próbę… – zaczął ojciec. Był w stroju roboczym, składającym się z brązowych spodni i takiejże koszuli, stebnowanych pomarańczową nitką. Tym razem się nie uśmiechał, oczy też miał poważne. Wyciągnął skrypt.

– To będziecie grali?

Meredith podniosła się z miejsca.

– Myślisz, że mamie się nie spodoba?

Nina też wstała. Trójkątna buzia była niezwykle poważna.

– Nie spodoba się? – powtórzyła pytanie siostry.

Wszyscy troje patrzyli na siebie w milczeniu, ponad rozłożonym na podłodze zielonym zamkiem w stylu Picassa, nad przygotowanymi kostiumami. Anja Whitson była kobietą zimną, która jedynie mężowi okazywała cieplejsze uczucia. Córkom nie dostawało się nic. Kiedy były młodsze, ojciec próbował udawać, że wcale tak nie jest, i niczym iluzjonista odwracał ich uwagę od tego niezbitego faktu. Usiłował sam dawać im matczyne ciepło, ale prawdy i tak nie dało się ukryć.

Wszyscy doskonale wiedzieli, co Meredith ma na myśli.

– Sam nie wiem, Meredoodle. – Ojciec sięgnął do kieszeni po papierosy. – Opowieści waszej mamy…

– Uwielbiam je! – wykrzyknęła Meredith.

– Tylko wtedy mówi do nas, gdy opowiada – dodała Nina.

Tata zapalił papierosa i zasłonił się kłębem szarego dymu. Zmrużył brązowe oczy.

– No, tak. – Wydmuchnął dym. – Tylko że…

Meredith podeszła do niego, starając się po drodze nie nadepnąć na malunek. Rozumiała jego wahanie; nikt nie potrafił przewidzieć, jak mama na co zareaguje. Tym razem jednak dziewczynka była pewna, że wszystko pójdzie dobrze.

Przecież mama bardzo lubi bajkę o biednej lekkomyślnej pannie, która ośmieliła się zakochać w księciu.

– Trwa tylko dziesięć minut, tato. Sprawdziłam. Na pewno wszystkim się spodoba.

– W takim razie zgoda – rzekł w końcu.

Od razu poczuła się lepiej. Przynajmniej tego świątecznego przyjęcia nie spędzi, czytając gdzieś w kącie albo zmywając naczynia. I mama będzie na nią patrzeć. Swoją sztuką udowodni, że warto było im opowiadać, że ani jedno słowo nie zostało uronione. Mama zawsze to robiła przy zgaszonym świetle, tuż przed zaśnięciem córek.

Przez następną godzinę Meredith instruowała aktorów, jak mają grać, choć w zasadzie tylko Jeff tego potrzebował. Ona z Niną słuchały tej bajki od lat i znały ją na pamięć.

Kiedy po skończonej próbie została sama, wzięła się do dalszej pracy. Namalowała plakat: ZNAKOMITA ŚWIĄTECZNA SZTUKA. TYLKO JEDEN SPEKTAKL, a pod spodem podała ich trzy nazwiska. Poprawiła scenografię (niestety, Nina zawsze wyjeżdżała z kolorami za kontur) i ustawiła w salonie. Naszyła cekiny na suknię księżniczki zrobioną z kostiumu baletowego, którą miała włożyć pod koniec przedstawienia. Dochodziła druga, kiedy się wreszcie położyła. Długo nie mogła zasnąć, tak była podekscytowana.

Nazajutrz dzień wlókł się niemiłosiernie. Wreszcie o szóstej zaczęli się schodzić goście. Żaden wielki tłum, tylko ci sami, co zawsze: pracujący w sadzie z rodzinami, sąsiedzi i ciocia Dora, siostra ojca, jedyna żyjąca jego krewna.

Meredith siedziała na szczycie schodów i nie spuszczała oczu z drzwi. Niecierpliwie stukając stopą w schodek, zastanawiała się, kiedy wkroczyć do akcji.

Miała właśnie wstać, gdy z kuchni dobiegł donośny dźwięk.

Och nie! Pognała na dół co sił, ale było za późno.

Nina waliła metalową łyżką w garnek, krzycząc na całe gardło:

– Przedstawienie!

Nikt nie umiał tak skutecznie zwracać na siebie uwagi jak jej młodsza siostra.

Wśród żartów i śmiechów wszyscy przeszli do salonu, gdzie na aluminiowym ekranie stojącym tuż obok wielkiego kominka wisiał namalowany zamek. Na prawo od dekoracji stała duża oświetlona choinka obwieszona zabawkami, co roku robionymi przez dziewczynki. Przed malowidłem znajdowała się „scena": mały drewniany mostek i latarnia z tektury z przyczepioną na górze latarką.

Meredith przyciemniła światło, zapaliła latarkę i udała się „za kulisy". Nina i Jeff już czekali w kostiumach.

Trudno tu raczej było się schować tak, żeby publiczność jej nie widziała, przebierała się więc w trudnych warunkach. W salonie zapadła cisza i wtedy Meredith, wziąwszy najpierw głęboki oddech, zaczęła z ukrycia snuć opowieść, którą z takim staraniem ułożyła.

– Na imię ma Wiera, jest biedną, nieznaną nikomu dziewczyną. Mieszka w zaczarowanej krainie zwanej Królestwem Śniegu. Na jej ukochaną ojczyznę przyszły ciężkie chwile. Do kraju zawitało zło. Czarny Rycerz usiłuje wszystko zniszczyć, jego słudzy jeżdżą ulicami w czarnych karetach.

W tym momencie wyszła na scenę, uważając, żeby się nie potknąć w powłóczystych szatach. Spojrzała na publiczność. Matka stała pod ścianą, nawet pośród ludzi była samotna. Jej piękną twarz przesłaniała chmura papierosowego dymu. Ale przynajmniej tym razem patrzyła prosto na córkę.

– Chodźmy, siostro – powiedziała Meredith, zbliżając się do latarni. – Chłód nas nie powstrzyma.

Zza kurtyny wyszła Nina w starej koszuli nocnej. Na głowie miała zawiązaną chusteczkę. Splotła dłonie i spojrzała na Meredith.

– Myślisz, że to Czarny Rycerz?! – wrzasnęła za głośno, wywołując tym śmiech publiczności. – Czy to za sprawą jego czarów jest tak zimno?

– Najgorsze jest to, że bardzo boję się o ojca. Kiedyż, ach, kiedyż on wróci? – Meredith przyłożyła dłoń do czoła i westchnęła dramatycznie. – Karety Czarnego Rycerza są wszędzie. On sam rośnie w siłę… Na naszych oczach ludzie zmieniają się w dym…

– Spójrz! – wykrzyknęła Nina, pokazując w stronę namalowanego zamku. – To przecież książę… – Ostatnie słowa wymówiła z wielkim namaszczeniem.

Na malutką scenę wszedł Jeff. W przydługiej niebieskiej kurtce i dżinsach, ze złotą koroną na pszenicznych włosach był tak przystojny, że Meredith z wrażenia zapomniała na moment swojej kwestii. Chłopiec miał tremę i wyraźnie się wstydził – o czym świadczyła purpura na policzkach – lecz to, że zgodził się zagrać, świadczyło, iż można na niego liczyć. Uśmiechnął się do niej, jakby była księżniczką.

Podał jej dwie róże z jedwabiu.

– W darze przyniosłem ci dwie róże. – Wymówił te słowa lekko drżącym głosem.

Wyciągnęła rękę, ale nim zdążyła odpowiedzieć, rozległ się trzask tłuczonego szkła.

Meredith spojrzała w stronę publiczności. Matka stała nieruchomo, była bardzo blada, a jej błękitne oczy płonęły. Z dłoni płynęła krew, widocznie zgniotła kieliszek. Nawet stąd widać było kawałek szkła sterczący z rany.

– Dość! – powiedziała ostro. – To się nie nadaje.

Goście nie wiedzieli, jak się zachować. Jedni wstali, inni dalej siedzieli. Zapadła niezręczna cisza.

Tata podszedł i przytulił matkę, a raczej próbował ją przytulić. Nie poddała się nawet jemu.

– Nie wiem, po co ja wam opowiadałam te idiotyczne bajki. – Gdy mama była rozgniewana, mówiła z silnym rosyjskim akcentem. – Kto by pomyślał, że dzieci mogą być takie głupie i sentymentalne.

Co za upokorzenie! Meredith stała jak sparaliżowana.

Ojciec zaprowadził matkę do kuchni, żeby opatrzyć skaleczenie, a goście zaczęli śpiesznie wychodzić, jakby uciekali z Titanica.

Jeff patrzył na Meredith. Dostrzegła w jego oczach współczucie. Cały czas trzymał te nieszczęsne dwie róże.

– Meredith…

Bez słowa wybiegła z salonu. Schowała się w kącie przedpokoju, czując wzbierające pod powiekami łzy. W kuchni ojciec próbował ułagodzić mamę. Trzasnęły drzwi. Jeff wyszedł.

– Coś ty takiego zrobiła? – spytała cichutko Nina, podchodząc do niej.

– Nie mam pojęcia. – Meredith wytarła oczy. – Co za wiedźma!

– Brzydko tak mówić o mamie.

Głos Niny drżał i Meredith domyśliła się, że siostra powstrzymuje płacz. Wzięła ją za rękę.

– Co teraz zrobimy? – spytała Nina. – Przeprosimy ją?

Meredith przypomniała sobie ten ostatni raz, kiedy rozgniewała matkę, po czym ją przeprosiła.

– I tak jej to nie obchodzi. Uwierz mi.

– Więc co dalej?

Meredith bardzo chciała poczuć się dorosła, tak jak rano, ale cała jej dotychczasowa pewność siebie znikła. Wiedziała, co

teraz nastąpi. Tata najpierw uspokoi mamę, a potem przyjdzie do nich i będzie się starał rozładować napięcie. Przytuli córki, zapewni, że mama je bardzo kocha. A Meredith będzie rozpaczliwie chciała mu wierzyć. Po raz kolejny.

– Wiem, co zrobię. – Podeszła do otwartych drzwi kuchni i spojrzała na matkę. Na czarną obcisłą sukienkę z aksamitu, na białe ramię, na bardzo jasne, prawie białe włosy. – Nigdy więcej nie będę słuchać jej głupich bajek.

Rozstać się nam nie udaje –
Krążymy ramię przy ramieniu.
Już ciemność powoli nastaje,
W zadumie ty, ja w milczeniu.

Anna Achmatowa, *Rozstać się nam nie udaje...*
tłum. Zbigniew Dmitroca, w: *Milczenie było moim domem*,
Warszawa 2008

1

2000

Więc tak wygląda czterdziestka? Naprawdę? W ciągu ostatniego roku Meredith weszła w fazę wieku średniego. Tak po prostu, bez żadnego etapu przejściowego. Najgorsze, że skóra zaczęła tracić elastyczność i pojawiły się cienkie kreseczki tam, gdzie dotąd była gładka. Szyja też wydawała się już nie tak smukła jak dawniej. Dobrze chociaż, że włosy jeszcze nie siwiały. Były wciąż gęste, kasztanowe i lśniące, nosiła je przycięte do ramion i z grzywką. Natomiast oczy już zdradzały wiek. Wyzierało z nich zmęczenie. I to nie tylko o szóstej rano.

Odwróciła się od lustra, włożyła czarne spodnie od dresu, skarpetki oraz czarną koszulę z długimi rękawami. Włosy związała w koński ogon. Wróciła do ciemnej sypialni. Ciche chrapanie męża kusiło, żeby wskoczyć z powrotem do łóżka. Kiedyś by tak zrobiła. I wtuliłaby się w niego.

Wychodząc, dokładnie zamknęła drzwi.

Korytarz oświetlały dwie staroświeckie lampki. Po drodze minęła zamknięte drzwi pokoi dzieci. Właściwie to już nie dzieci. Jillian skończyła dziewiętnaście lat, była na drugim roku Uniwersytetu Kalifornia i zamierzała zostać lekarzem. Osiemnastoletnia Maddy – pieszczoszka mamusi – studiowała na pierwszym roku w Vanderbilt. Bez nich ten dom – a z nim całe życie Meredith – stał się pusty i cichy. Blisko dwadzieścia lat starała się być dla nich taką matką, jakiej sama nigdy nie

miała. Udało się. Zaprzyjaźniła się z córkami. Pod ich nieobecność czuła się wyobcowana i niepotrzebna, choć wiedziała, że to głupie. Przecież jest praca, w której naprawdę ma co robić. Ale tęskniła za swoimi pannami i tyle.

Szybko wykonywała kolejne czynności. Nieustanne robienie czegokolwiek było dobrym sposobem, żeby się nie poddawać czarnym myślom.

Przeszła przez salon tylko po to, by włączyć lampki na choince. Psy w sieni powitały ją radośnie, poszczekując i machając ogonami.

– Luke, Leia, nie skakać! – skarciła oba husky, drapiąc je jednocześnie za uszami. Kiedy otworzyła tylne drzwi, do środka wdarło się zimne powietrze. W nocy napadało śniegu i w ciemnościach grudniowego poranka wyraźnie widziała jasną połać pola i zarys drogi. Oddech zmieniał się w obłoki pary.

Psy wyskoczyły za nią. Była szósta dziesięć, niebo przybrało barwy ciemnofioletową i szarą.

Akurat dobra pora.

Z początku biegła wolno, przyzwyczajając ciało do chłodu. I tak odbywało się to codziennie: najpierw żwirową drogą obok domu rodziców do jednopasmówki kończącej się na wzgórzu półtora kilometra dalej. Stąd dróżką na pole golfowe i z powrotem. Razem sześć i pół kilometra. To stała trasa, rzadko ją zmieniała. Meredith uważała, że musi biegać. Wszystko w niej było za duże: wzrost, szerokie ramiona, rozłożyste biodra i duże stopy. Nawet blada owalna twarz była nieproporcjonalna – zbyt wyraziste usta w typie Julii Roberts, za duże brązowe oczy, pełne brwi i grube gęste włosy. A zatem, żeby jako tako wyglądać, konieczne były regularne ćwiczenia, starannie dobrana dieta i kosmetyki do włosów oraz dobra pęseta.

Kiedy wróciła na drogę, wschodzące słońce oświetliło właśnie góry, nadając śnieżnym czapom barwę różu i lawendy.

Po drugiej stronie drogi nagie jabłonie o poskręcanych gałęziach wyzierających spod śnieżnego puchu przypominały nieregularny brązowy ścieg na białej tkaninie. Ten żyzny kawałek ziemi należał do jej rodziny od pięćdziesięciu lat. W samym środku posiadłości wznosił się dumnie dom jej dzieciństwa. Nazywał się tak samo jak sad: Biełyje Noczi. Nawet w półmroku wyglądał dziwacznie i ostentacyjnie.

Pobiegła pod górę, zwiększając tempo, dopóki nie dostała kolki.

Gdy dotarła z powrotem do własnej werandy, dolina zdążyła się już wypełnić jasnozłotym światłem. Nakarmiła psy i poszła na górę. W drzwiach łazienki zderzyła się z wychodzącym Jeffem. Owinięty ręcznikiem, z ociekającymi wodą włosami, odsunął się na bok, robiąc jej przejście. Minęła go bez słowa. Oboje milczeli.

O siódmej dwadzieścia wysuszyła włosy, o siódmej trzydzieści – idealnie na czas – była ubrana do pracy: w czarne dżinsy i dopasowaną zieloną bluzkę. Jeszcze kredka pod oczy, róż, tusz, szminka i gotowe.

Jeff siedział na swoim miejscu przy stole w kuchni i czytał „New York Timesa”. Psy leżały przy nim na podłodze i drzemały.

Meredith nalała sobie filiżankę kawy z dzbanka.

– Chcesz dolewkę? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję. – Nie podniósł wzroku.

Dolała mleka sojowego i mieszając, obserwowała, jak napój zmienia kolor. Pomyślała, że ostatnio rozmawiają jak ludzie obcy albo sobą rozczarowani. Tylko o pracy albo o dzieciach. Zastanawiała się, kiedy ostatni raz się kochali, i nie pamiętała.

Może to normalne? Pewnie tak. Gdy jest się w małżeństwie tak długo jak oni, ma prawo nadejść okres pewnego wyciszenia emocji. A jednak smutno jej się zrobiło na wspomnienie ich dawnej pasji i namiętności. Miała czternaście lat, kiedy poszli na pierwszą randkę (do kina na *Młodego Frankensteina*; nadal był to jeden z ich ulubionych filmów). Od tamtej pory nie spojrzała na żadnego innego faceta. Myśląc o tym teraz, aż się zdziwiła, bo nigdy nie uważała się za romantyczkę, a tymczasem zakochała się właściwie od pierwszego wejrzenia. Odkąd sięgała pamięcią, Jeff był jej światem.

Pobrali się wcześnie – za wcześnie – i pojechała za nim do college'u w Seattle. Pracowała w barze na noce i w weekendy, żeby opłacić czesne. W małym, ciasnym mieszkanku w dzielnicy uniwersyteckiej czuła się naprawdę szczęśliwa. Na ostatnim roku zaszła w ciążę. Z początku bardzo się bała, że okaże się taka sama jak jej matka i że rodzicielstwo nie jest jej powołaniem. Tymczasem szybko się przekonała, że wygląda to zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Może dlatego, że była znacznie młodsza niż matka, kiedy ona się urodziła.

Jeff pokręcił głową. Ledwo dostrzegalnie, ale zauważyła. Zawsze była nastrojona na odbiór jego emocji. Ostatnio odbierała głównie rozczarowanie; było niczym gwizd o nieprzyjemnej częstotliwości.

– Co takiego? – spytała.

– Nic.

– Nie kręciłeś głową tak po prostu. Co jest?

– Właśnie cię o coś spytałem.

– Nie dosłyszałam. Spytaj raz jeszcze.

– Nieważne.

– Dobra. – Wzięła kawę i poszła do jadalni.

Tyle razy dziennie przechodziła pod staroświecką lampą ozdobioną kawałkiem plastikowej, bezużytecznej w ich

przypadku jemioły, ale dopiero teraz w tym właśnie miejscu przyszła jej do głowy niespodziewana myśl.

Zobaczyła siebie z dystansu: czterdziestoletnia kobieta z filiżanką kawy w ręku, patrząca na dwa puste miejsca przy stole i na obecnego przy nim męża. Przez ułamek sekundy zawahała się, czy życie tej kobiety mogłoby wyglądać inaczej, gdyby wiele lat temu nie osiadła tu na stałe, żeby zarządzać sadem i zajmować się dziećmi. Gdyby nie wyszła tak młodo za mąż. Kim by teraz była?

Wizja zniknęła niczym bańka mydlana i Meredith znalazła się z powrotem w swoim zwykłym świecie.

– Wrócisz na kolację?

– Zawsze wracam.

– O siódmej – powiedziała.

– Ma się rozumieć. – Jeff przewrócił stronę. – Jeśli chcesz, możemy zsynchronizować zegarki.

Punktualnie o ósmej zasiadła przy biurku. Tradycyjnie zjawiła się pierwsza i przeszła przez podzielone na boksy piętro magazynu, zapalając kolejne światła. Mijając dawne biuro taty, z sentymentem popatrzyła na tabliczki przy drzwiach. Trzynaście razy wybrano go na Sadownika Roku i wciąż wiele osób, nawet konkurenci, zasięgało jego rady, choć od dziesięciu lat był na emeryturze. Nadal uważano go za duszę i serce firmy Biełyje Noczi; to on na początku lat sześćdziesiątych pierwszy wprowadził odmianę golden delicious, w latach siedemdziesiątych zapoczątkował uprawę granny smith, a w dziewięćdziesiątych wylansował braeburn i fuji. Chłodnie jego projektu zrewolucjonizowały cały ten biznes, gdyż dzięki nim zaczęto eksportować jabłka na rynki światowe.

Ona również miała swój udział w tym sukcesie. Pod jej kierownictwem rozbudowano chłodnie i obecnie firma zajmowała się też przechowywaniem owoców dla innych producentów. Dawny przydrożny stragan z jabłkami przekształciła w firmowy sklep, gdzie sprzedawano lokalne wyroby, głównie produkty spożywcze oraz pamiątki związane z sadem Biełyje Noczi. W okresie świątecznym, kiedy pociągi codziennie zwoziły do Leavenworth tłumy turystów w związku ze słynną uroczystością zapalania bożonarodzeniowych światełek, mieli tam mnóstwo klientów.

Zaczęła od telefonu do młodszej córki. W Tennessee minęła już dziesiąta.

– Halo – wymamrotała Maddy.

– Dzień dobry – rzuciła Meredith wesoło. – Zaspało się?

– Cześć, mamo. Późno poszłam wczoraj spać. Uczyłam się.

– Madison Elizabeth. – W głosie Meredith zabrzmiała nagana.

Maddy westchnęła.

– Niech tam, przyznam się. Była imprezka.

– Wiem, jak to fajnie i przyjemnie, ale za tydzień masz egzaminy. Wtorek rano, prawda?

– Tak.

– Trzeba jakoś godzić naukę z zabawą. Wyskakuj, moja panno, z łóżka i marsz na uczelnię. Nie ma rady. Balować można do woli, byle potem nie zaspać na zajęcia.

– Świat się nie zawali, jeżeli raz opuszczę hiszpański.

– Madison.

Maddy zaśmiała się.

– No, dobra. Już wstaję. Idę, idę. *Hasta la vista*… mamusiu.

Meredith uśmiechnęła się.

– Zatelefonuję w czwartek, to opowiesz, jak ci poszedł referat. I zadzwoń do siostrzyczki. Strasznie się boi testu z chemii organicznej.

– Dobrze, mamo. Kocham cię.

– A ja ciebie, królewno.

Odkładając słuchawkę, czuła się o wiele lepiej. Na następne trzy godziny pochłonęła ją praca. Czytała właśnie ostatni raport o zbiorach, kiedy zabrzęczał interkom.

– Meredith? Twój ojciec na jedynce.

– Dzięki, Daisy. – Odebrała telefon. – Cześć, tato.

– Oboje z mamą zapraszamy cię na lunch.

– Mam strasznie dużo pracy…

– Córeczko, nie daj się prosić…

Meredith nie potrafiła ojcu niczego odmówić.

– Dobrze. Ale o pierwszej muszę być z powrotem.

– Zgoda – odparł, a Meredith wiedziała, że on się uśmiecha.

Odłożyła słuchawkę i wróciła do pracy. Ostatnio przy wzroście produkcji i spadku zamówień koszty zarówno eksportu, jak i transportu poszybowały w górę, więc większość czasu zajmowało jej gaszenie kolejnych pożarów, a dzień dzisiejszy nie był wyjątkiem. W południe u podstawy czaszki zagnieździł się od tego stresu ból, który coraz bardziej się panoszył. Mimo to wychodziła z biura uśmiechnięta i pogodna.

W ciągu dziesięciu minut pojawiła się u rodziców.

Dom przypominał ilustrację do rosyjskiej bajki: miał dwukondygnacyjną werandę z wieżyczkami i dekoracyjne drewniane elementy. Szczególnie pięknie prezentował się o tej porze roku, oświetlony świątecznymi lampkami. Stał w otoczeniu smukłych eleganckich topoli na łagodnym wzniesieniu z widokiem na dolinę. Miedziany dach, który w szary zimowy dzień sprawiał wrażenie zamglonego, w słońcu potrafił lśnić żywym złotem. Dom cieszył się pewną sławą i turyści go chętnie fotografowali.

Tylko matka mogła zbudować coś tak absurdalnie wręcz niepasującego do otoczenia. Rosyjska dacza w stanie

Washington. Nazwa sadu też nie pochodziła stąd. Biełyje Noczi.

Białe Noce. Akurat: Tutaj noce były tak czarne jak świeży asfalt.

Żeby jeszcze mamie cokolwiek zależało na tym, co ma wokół siebie. Po prostu lubiła stawiać na swoim. Czegokolwiek sobie zażyczyła, mąż spełniał. A ona zapragnęła mieć zamek z bajki oraz sad noszący niewymawialną rosyjską nazwę.

Meredith zapukała i weszła do środka. W kuchni ani żywego ducha, tylko w wielkim garze stojącym na ogniu bulgotała zupa.

W salonie światło wlewało się od północy, przez okna biegnące w dwóch kondygnacjach – była to tak zwana wieża. Grubo nawoskowane podłogi lśniły. Kolejne dziwactwo mamy: parkiet śliski jak lód. Niełatwo się po nim chodziło w samych skarpetkach. Punkt centralny stanowił wielki kamienny kominek, wokół którego stały miękkie kanapy i krzesła. Nad nim wisiał obraz olejny przedstawiający rosyjską trojkę – romantycznie rozpędzony zaprzęg z dobranymi maścią końmi na tle śnieżnej połaci. Czysty *Doktor Żywago*. Na lewo od kominka rozmieszczono kilkanaście obrazków przedstawiających cerkwie, a pod nimi ustawiono domowy ołtarzyk matki: stolik z ikonami oraz palącą się stale świecą.

Ojca znalazła na jego ulubionym miejscu, na otomanie stojącej przy choince. Wsparty na ciemnoczerwonych poduszkach leżał i czytał. Miał osiemdziesiąt pięć lat i był prawie łysy – z wyjątkiem kilku kępek siwych włosów. Liczne plamy na skórze świadczyły o długim przebywaniu na słońcu. A w ogóle to przypominał smutnego basseta nawet wtedy, gdy się uśmiechał. Nikogo jednak by nie zwiódł ponurą miną. Wszyscy kochali Evana Whitsona. Jego nie można było nie kochać.

Na widok córki rozpromienił się. Uścisnął jej rękę.

– Mama się ucieszy, jak cię zobaczy – rzekł.

Meredith uśmiechnęła się. Od lat grali w tę grę. Tata udawał, że mama ją kocha, a ona udawała, że mu wierzy.

– Świetnie. Jest na górze?

– Wyszła do ogrodu. Nie dała się przekonać.

Wcale jej to nie zdziwiło.

– Pójdę po nią.

Ojciec został, a ona przeszła do jadalni, skąd przez szklane drzwi widać było ogród pokryty śniegiem, a za nim jabłonie śpiące zimowym snem w rozległym sadzie. Nieco bliżej, pod ustrojonymi w sople gałęziami pięćdziesięcioletniego drzewka magnolii, znajdował się mały prostokątny ogródek, tak zwany zimowy ogród, otoczony płotkiem z kutego żelaza. Ozdobną furtkę oplatała uschnięta o tej porze winorośl. W lecie ogrodzenie będzie obsypane zielonymi liśćmi i białymi kwiatami, teraz lśniło od szronu.

Matka, licząca już ponad osiemdziesiąt lat, siedziała otulona kocem na żeliwnej ławeczce. Prószył lekki śnieg; drobniutkie płatki w powietrzu zmieniały krajobraz w impresjonistyczny obraz, na którym wszystko wydaje się niematerialne i nierealne. Przycięte ozdobnie krzewy i poidło dla ptaków pod pokrywą śniegu przybrały zupełnie fantastyczne kształty. Mama tkwiła pośród tego wszystkiego jak zwykle nieruchomo, z rękami złożonymi na kolanach.

Jako dziecko Meredith strasznie się bała, gdy matka izolowała się w swojej samotności. Kiedy podrosła, z początku ją to żenowało, a potem złościło. Dorosła kobieta nie powinna wysiadywać na mrozie i gapić się przed siebie. Matka twierdziła, że to patrzenie na nic wynika z jej wady wzroku, ale trudno było w to uwierzyć. Co tu ma do rzeczy nieodróżnianie kolorów – widziała jedynie biel, czerń i odcienie szarości.

Meredith wyszła na dwór. W wysokich butach zapadała się po kostki w śnieg powleczony miejscami cienką zmarzniętą

skorupką. Parę razy o mało się nie poślizgnęła.

– Nie powinnaś wychodzić na dwór, mamo – powiedziała łagodnie. – Jeszcze dostaniesz zapalenia płuc.

– Musiałoby być o wiele zimniej, żebym dostała zapalenia płuc. Jest ledwo poniżej zera.

Córka wzniosła oczy do nieba. Ta typowa dla matki odpowiedź zawsze ją strasznie denerwowała.

– Mam tylko godzinę, więc chodźmy jeść. – Słowa te zabrzmiały dość ostro w miękkim, spokojnym świecie łagodnie wirujących płatków. Co takiego matka miała w sobie, że budziła agresję? – Wiedziałaś, że tata zaprosił mnie na lunch? – spytała.

– Oczywiście – odparła mama, a Meredith wiedziała, że kłamie.

Matka z godnością podniosła się z ławki. Zawsze zachowywała się jak bogini przyzwyczajona do hołdów. Twarz miała gładką, bez zmarszczek, cerę piękną, niemal przezroczystą. Swoją figurą budziła zazdrość innych kobiet. Ale najpiękniejsze były jej oczy. Głęboko osadzone, okolone gęstymi rzęsami, błękitne, ze złotymi plamkami. Oczy, jakich się nie zapomina. Co za ironia losu, że same o tak pięknej barwie nie odróżniały kolorów.

Wzięła matkę pod ramię i poszły w stronę domu. Dopiero wtedy zauważyła, że mama jest bez rękawiczek i dłonie ma prawie sine.

– O Boże, odmrozisz sobie ręce! Dlaczego nie włożyłaś rękawiczek w to zimno?...

– Takie tam zimno.

– Nie można tego lekceważyć. – Pomogła jej wejść po oblodzonych schodkach. – Weź może kąpiel, żeby się rozgrzać.

– Nie mam zamiaru się rozgrzewać. Jest czternasty grudnia, musi być chłodno.

– Jak wolisz. – Meredith obserwowała matkę, która, stojąc przy kuchence, mieszała zupę. Koc, którym się owinęła, zsunął się jej z ramion i upadł na podłogę.

Meredith nakryła do stołu i przez krótką chwilę w kuchni rozbrzmiewały odgłosy normalnego życia.

– Moje kochane kobietki – powiedział ojciec, wchodząc. Wyglądał mizernie, ostatnio stracił na wadze. Sprawiał wrażenie, jakby zmalał, skurczył się. Podszedł do nich i położył im ręce na ramionach. – Lubię jeść z wami lunch.

Mama uśmiechnęła się cierpko.

– Ja też – powiedziała z wyraźnym rosyjskim akcentem.

– Ja też – dodała Meredith.

– To dobrze. – Tata spojrzał na nie obie, po czym usiadł przy stole.

Mama przyniosła na tacy ciepłe grzanki z fetą skropione masłem i położyła po jednej na każdym talerzyku, po czym podała nalaną zupę.

– Byłem dziś rano w sadzie – odezwał się ojciec.

Meredith usiadła obok niego.

– Pewnie zauważyłeś, co się dzieje na polu A?

– Tak. To pole zawsze stwarzało problemy przez nierówność terenu i zbocze.

– Ed i Amanda wszystkiego dopilnują. Nie martw się o zbiory.

– Nie martwię się. Ale coś innego przyszło mi do głowy.

Spróbowała zupy; była esencjonalna i bardzo smaczna. Aromatyczny szafranowy rosół z klopsikami jagnięcymi i pysznym jedwabistym makaronem. Trzeba uważać, żeby nie zjeść za dużo, bo po południu znów będzie bieganie.

– Masz, tato, jakiś nowy pomysł?

– Żeby posadzić tam winogrona.

Meredith wolno odłożyła łyżkę.

– Winogrona?

– Golden delicious nie są już naszymi najlepszymi jabłkami. – Nim córka zdążyła coś powiedzieć, podniósł rękę. – Wiem, wiem. Zbudowaliśmy nasze małe imperium na jabłkach, i to na tej odmianie, ale świat idzie do przodu. Psiakrew, zaraz się zacznie rok dwa tysiące pierwszy. Córeczko, w tym widzę naszą przyszłość. Wino lodowe. Z przemarzniętych owoców.

– W tych czasach? Ależ, tato! Azjatyckie rynki są coraz trudniejsze. Za transport płacimy majątek. Rośnie konkurencja. Rany, w zeszłym roku dochód nam spadł o dwanaście procent, teraz nie jest wcale lepiej. Ledwo dajemy radę.

– Powinnaś słuchać ojca – odezwała się mama.

– Och mamo, proszę cię. Nie zaglądałaś do magazynów, odkąd zmodernizowaliśmy system chłodzenia. A kiedy ostatni raz widziałaś roczny bilans?

– Nie kłóćcie się – westchnął ojciec.

Meredith wstała.

– Muszę wracać do pracy.

Zaniosła swój talerz do zlewu i umyła. Pozostałą zupę przelała do plastikowego pojemnika, schowała do przepełnionej lodówki, a garnek wyszorowała. W ciszy, jaka zapadła, stuknięcie garnka o metalowe sitko w zlewie zdawało się niesamowicie głośne.

– Pyszne, mamo. Dzięki. – Pożegnała się i wyszła. W przedpokoju włożyła płaszcz. Stała już na ganku, wdychając ostre, lodowate powietrze, gdy wyszedł do niej ojciec.

– Wiesz, co się z nią zawsze dzieje w grudniu i w styczniu. Zima jest szczególnie trudna.

– Wiem.

Objął ją i przytulił mocno.

– Obie musicie bardziej się starać.

W Meredith słowa te za każdym razem wywoływały odruch buntu. Całe życie je słyszała; żeby choć raz powiedział, że to

mama powinna bardziej się postarać.

– Dobrze – zgodziła się i bajka skończyła się jak zwykle. Będzie się starać. Zawsze się starała. Ale i tak nigdy nie staną się sobie bliskie. Zbyt wiele wydarzyło się w przeszłości. – Kocham cię, tatusiu. – Pocałowała go w policzek.

– Ja ciebie też, Meredoodle. – Uśmiechnął się wesoło. – Pomyśl o winogronach. Przed śmiercią chętnie zostałbym winiarzem.

Nie znosiła takich żartów.

– Ha, ha, bardzo zabawne. – Wsiadła do samochodu, wrzuciła wsteczny i zawróciła. Przez śnieżną koronkę na przedniej szybie zobaczyła okno salonu, a za nim rodziców. Tata obejmował mamę i całował ją. Zaczęli wolno tańczyć, pewnie bez muzyki. Tata jej nie potrzebował; zawsze mówił, że nosi w sercu wiele piosenek o miłości.

Odwróciła wzrok od tej intymnej sceny, ale to wspomnienie towarzyszyło jej do końca dnia. Kiedy analizowała różne aspekty operacji finansowych, szukając sposobów na zmaksymalizowanie dochodów, i gdy siedziała na długich naradach, nie opuszczała jej myśl o tym, jak bardzo rodzice się kochają.

Nie mieściło się jej w głowie, że kobieta może tak gorąco uwielbiać męża, a jednocześnie całkowicie odtrącać dzieci. Nie, to nie tak. Matka ich nie odtrąca. Jej w ogóle nie zależy.

– Meredith?

Poderwała się. Tak była pogrążona we własnym świecie, że zapomniała, gdzie jest. Przy biurku. Czyta raport o szkodnikach.

– Ach, przepraszam, Daisy. Nie słyszałam pukania.

– Pora do domu.

– Już tak późno? – Spojrzała na zegarek. Osiemnasta trzydzieści siedem. – Cholera… O, przepraszam. Zasiedziałam się.

Daisy się zaśmiała.

– Jak co dzień, moja droga.

Meredith zaczęła składać papiery.

– Proszę uważać na drodze, panno Daisy. – To taki ich stały żart. Obie się uśmiechnęły. – I pamiętać, że o dziewiątej na zebraniu będzie Josh z Komisji Sadownictwa. Poprosimy kawę i pączki.

– Ma się rozumieć. Do jutra.

Wyszła dopiero, gdy na biurku zapanował idealny porządek.

Śnieg padał intensywnie, ograniczając w znacznym stopniu widoczność na drodze. Wycieraczki pracowały pełną parą, ale i tak niewiele to pomagało. Co chwila oślepiały ją światła samochodów nadjeżdżających z przeciwka. Jechała bardzo wolno, choć drogę znała na pamięć. Przypomniało jej się, jak raz instruowała Maddy à propos prowadzenia w śnieżycę. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. „To tylko śnieg, mamo. Droga nie jest oblodzona. Nie mam zamiaru się wlec. Już wolę iść piechotą niż jechać tak wolno”.

Cała Maddy. Wiecznie się śpieszyła.

Po powrocie do domu poszła do kuchni. Szybki rzut oka na zegar potwierdził, że jest późno. Znowu.

Położyła torebkę na szafce.

– Jeff?

– Tu jestem.

Stał w salonie za niewielkim barem, który sprawili sobie pod koniec lat osiemdziesiątych, i robił drinka.

– Przepraszam, że tak późno. Ten śnieg…

– Nie szkodzi. – Oboje wiedzieli, że znów się zasiedziała w pracy. – Chcesz drinka?

– No pewnie. Białe wino. – Już sama nie wiedziała, co do niego czuje. Mąż był przystojny, ciemnoblond włosy dopiero teraz zaczęły siwieć na skroniach. Do tego wyraziste rysy

i dobre, wesołe, stalowoszare oczy. Miał siedzącą pracę, jadł za dwóch, a mimo to wciąż zachowywał szczupłą sylwetkę i w ogóle się nie starzał. Ubierał się najczęściej w wytarte dżinsy i jakąś starą koszulkę.

Podał jej kieliszek.

– Jak minął dzień?

– Tata chce uprawiać winogrona. A mama znów siedziała w zimowym ogrodzie. W końcu dorobi się zapalenia płuc.

– Sama jest jak lód.

Uświadomiła sobie, ile razem przeżyli, ile rzeczy ich łączyło. Pierwszy raz wypowiedział się na temat jej matki przeszło dwadzieścia lat temu i przez ten czas nie wydarzyło się nic, co by mogło zmienić jego opinię.

– To prawda. – Oparła się o ścianę. Ogarnęło ją znużenie. Pomyślała o tych wszystkich sprawach, i ważnych, i mniej pilnych, które miała ostatnio na głowie. Przymknęła oczy.

– Napisałem dziś rozdział. Krótki, ale chyba nie najgorszy. Jakieś siedem stron. Wydrukowałem. Może przeczytasz? Meredith? Mere?

Otworzyła oczy. Mąż uważnie jej się przyglądał. Odniosła wrażenie, że przed chwilą powiedział coś ważnego. Usiłowała sobie przypomnieć co.

– Przepraszam. Miałam ciężki dzień.

– Ostatnio masz wyłącznie ciężkie dni.

Nie wiedziała, czy to oskarżenie, czy beznamiętne stwierdzenie faktu.

– Wiesz, jak jest zimą.

– I wiosną. I latem…

A więc jednak ma do niej żal. Jeszcze rok temu natychmiast spytałaby o jego sprawy. Wypłakałaby mu się, że już się gubi w tej codziennej krzątaninie i że bardzo tęskni do córek. Ale ostatnio miała problemy z bliskością w stosunku do własnego

męża. Sama nie wiedziała, jak to się stało i kiedy, lecz ów dystans między nimi zwiększał się niczym rozlewająca się coraz szerzej plama.

– Chyba masz rację.

– Pójdę popracować. – Wstał i wziął marynarkę rzuconą na oparcie krzesła.

– Teraz?

– A co, zła pora?

Czy ma potraktować jego odpowiedź jak zwykłe pytanie? Czy też chciał, żeby go zatrzymała, wymyśliła powód, żeby z nią został? A może naprawdę chciał wyjść? Nie potrafiła tego rozstrzygnąć i szczerze mówiąc, niewiele jej na tym zależało. Najchętniej wzięłaby gorącą kąpiel, napiła się wina i nie myślała, o czym mają mówić przy kolacji. A najlepiej, żeby nie musiała tej kolacji w ogóle robić.

– Każda pora jest dobra.

– Tak właśnie myślałem. – Pocałował ją w policzek.

2

Dwa tygodnie wędrowali przez dżunglę w poszukiwaniu ścierwa, uważając na insekty, wyczuleni na zapach śmierci.

Nina podeszła do przewodnika, który ich prowadził. W pierwszej chwili bardzo silnie odbierała wszystkie bodźce; wyraźnie słyszała brzęczenie much, oswajała szok po widoku zakrwawionej padliny, miejscami białej od robaków. I jeszcze ta groza afrykańskiej dżungli, gdzie w każdej chwili człowiek może być obserwowany przez drapieżniki i padlinożerców.

Oko zawodowego fotografa szybko uporządkowało rzeczywistość. Zrobiła pomiar światłomierzem i wybrała jeden z trzech aparatów, które miała na szyi. Nastawiła ostrość na zmasakrowane ciało goryla górskiego.

Klik.

W skupieniu obeszła dokoła padlinę, robiąc zdjęcia. Kilkakrotnie zmieniała aparaty, ustawiała na nowo obiektywy, sprawdzała światło. Adrenalina wyzwalała potężny impuls do działania. W takich momentach – kiedy robiła zdjęcia – wiedziała, że żyje. Miała znakomite wyczucie, a przy tym potrafiła zachować dystans do tego, co się wokół działo. W pracy fotografika trzeba mieć obie te cechy. Zobaczyć temat chłodnym okiem, a dopiero potem uruchomić emocje.

Przerwała na chwilę, żeby zaaplikować vicks do nosa, i ukucnęła nad dosłownie zmiażdżoną szyją. Z tyłu za nią ktoś wymiotował; pewnie ten młody dziennikarz. Mało ją teraz obchodził.

Klik. Klik.

Kłusownicy zabierali głowę, dłonie i stopy, bo na tym najlepiej można było zarobić. Są na świecie ludzie, bogaci snobi, którzy wiele zapłacą, żeby mieć u siebie w bibliotece popielniczkę z dłoni goryla.

Klik. Klik.

Robiła zdjęcia przez godzinę, zmieniając stosownie do potrzeb aparaty i obiektywy. Gotowe filmy wkładała do pudełeczek, te dokładnie opisywała i chowała do kieszeni kamizelki. Gdy zapadł zmrok, ruszyli z powrotem przez dżunglę w dół po stromej, śliskiej drodze. Powietrze rozbrzmiewało wieloma odgłosami – owadów, ptaków, małp – a niebo miało kolor świeżej krwi. Słońce o barwie mandarynki bawiło się w chowanego z drzewami. Kiedy wcześniej wędrowali pod górę, wszyscy gadali jak najęci, natomiast podczas schodzenia panowało milczenie. Moment zaraz po pracy był zawsze najgorszy. Nie da się od razu zapomnieć tego, co człowiek zobaczył. A w nocy obrazy wracają w postaci sennych koszmarów wybudzających z najgłębszego snu. Nie przyznawała się do tego, ale często budziła się, mając policzki mokre od łez.

Po zejściu z góry udali się do niewielkiej osady, zwanej szumnie w tym odległym zakątku Rwandy miasteczkiem. Stąd jeepem pojechali do siedziby dyrekcji rezerwatu, gdzie zadali więcej pytań, a ona zrobiła kolejne zdjęcia.

– Pani Nina?

Stała przy drzwiach i wycierała szmatką obiektyw, gdy usłyszała, że ktoś ją woła. Okazało się, że szukał jej główny przewodnik. Uśmiechnęła się uprzejmie, choć na dzisiaj miała już serdecznie dość wszystkiego.

– Witam, panie Dimonsu.

– Przepraszam, że przeszkadzam, kiedy pani zajęta. Zapomnieliśmy przekazać ważną wiadomość. Od pani Sylvie. Prosi, żeby pani zadzwoniła.

– Dziękuję.

Wyjęła z torby pękaty telefon satelitarny i wraz z całym potrzebnym ekwipunkiem poszła na polanę w centrum ośrodka. Kompasem zlokalizowała kierunek satelity. Ustawiła antenę pod kątem sześćdziesięciu stopni na północny wschód. Podłączyła telefon do anteny i uruchomiła. Ekran rozjarzył się na pomarańczowo, pojawił się miernik sygnału. Gdy sygnał osiągnął wystarczającą moc, zadzwoniła.

– Cześć, Sylvie. Zrobiłam dzisiaj zdjęcie tego, co zostawili po sobie kłusownicy. Co za bydlaki! Daj mi jeszcze z dziesięć dni i ci wyślę.

– Sześć. Chcemy to na okładkę.

Okładka. Jej ulubione słowo. Kobiety podobno lubią brylanty, ona lubiła okładki. Najlepiej „Time'a" albo „National Geographic". Nie była wybredna. Największe marzenie: okładka i szesnaście stron na fotoreportaż *Kobiety wojownicy świata*. Jej ukochany pomysł. Tak widziała ukoronowanie swojej kariery.

– Dobra, sześć dni. Potem jestem umówiona z Dannym w Namibii.

– Szczęściara. Pofigluj i za mnie. Ale w piątek masz być z powrotem zwarta i gotowa. Nowy konflikt w Sierra Leone. Szlag trafił rokowania pokojowe. Musisz tam dotrzeć przed Bożym Narodzeniem.

– Znasz mnie – odparła Nina. – Pięć minut i jestem.

– Przyrzekam nie dzwonić, chyba że wybuchnie nowa wojna – oświadczyła Sylvie. – A teraz pędź do kochasia. Mnie zostały tylko wspomnienia, jak wygląda taki wypad.

Kilka dni później znajdowała się w Namibii w wypożyczonym land-roverze. Danny kierował.

Była dopiero siódma rano, a jasne grudniowe słońce już mocno prażyło. Do pierwszej temperatura wzrośnie do jakichś czterdziestu pięciu stopni Celsjusza, a może nawet więcej. Droga – jeśli można to tak nazwać – przypominała rzekę grubego czerwonorudego piasku, który przyczepiał się do opon i rozpryskiwał spod kół. Nina trzymała się klamki i starała się siedzieć idealnie prosto, traktując ciało jak resor, poruszający się wraz z ruchem auta.

Drugą ręką przytrzymywała aparat wiszący na szyi, bo inaczej pasek się wrzynał. Obiektyw owinięty był koszulką bawełnianą – niezbyt profesjonalny sposób zabezpieczenia przed kurzem, ale wiele lat spędzonych w Afryce przekonało ją, że to najlepszy kompromis między skuteczną ochroną a praktycznością. Zdarza się, że na zrobienie zdjęcia jest ułamek sekundy i nie ma czasu na zabawy z futerałami i osłonami.

Patrzyła na rozpalony pustynny pejzaż. W miarę upływu godzin coraz bardziej i bardziej oddalali się od cywilizacji, zagłębiając się w prawdziwie dziewicze tereny południowej Afryki. Po drodze, nad wyschniętymi korytami rzek, co rusz spotykali stada głodnych zwierząt czekających na deszcz. Skwar był tak wielki, że te słabsze padały. Ciągle widzieli pobielałe kości.

– Coś się tak uparła na tych Himba? – odezwał się Danny, kiedy jadąc zakosami, omal nie ugrzęźli w piachu. Jego białe zęby i niebieskie oczy wyraźnie odbijały się na tle pokrytej kurzem twarzy. Kurz osiadł też na jego długich prawie do ramion włosach i na koszuli. – Od miesięcy nie mieliśmy dla siebie choćby paru dni.

Tak zwana droga znowu stała się przejezdna. Nina podniosła aparat i spojrzała na swego towarzysza przez obiektyw. Poprawiła ostrość, odrobinę poszerzyła kadr, starając się zobaczyć go, jakby był kimś obcym. W obiektywie miała przystojnego, dobiegającego czterdziestki Irlandczyka o wydatnych kościach policzkowych i wielokrotnie złamanym nosie. Młodość i bójki w pubach, jak tłumaczył zawsze. Teraz, gdy patrzył uważnie na drogę, wyraźnie dostrzegła cieniutkie kreski wokół jego ust. Zawsze bał się, żeby nie popełnić jakiegoś błędu. Był korespondentem wojennym i nieraz już „wpakował się w niezłe szambo". Lubił opowiadać o pobytach w piekle, także jeśli dotyczyły kogoś innego, nie jego. Zrobiła mu zdjęcie.

Rzucił jej uśmiech, znów nacisnęła migawkę.

– Gdy następnym razem koniecznie będziesz musiała sfotografować jakieś kobiety, proponuję kelnerki w hotelu nad basenem.

Zaśmiała się i położyła aparat na kolanach, nakrywszy przedtem obiektyw.

– Masz u mnie drinka.

– Owszem, skarbie. Coś czuję, że zasłużę na więcej niż jednego.

Oparła się na zniszczonym, niewygodnym fotelu, starając się nie zamykać oczu. Była cholernie zmęczona. Miała za sobą dwa tygodnie deptania po piętach kłusownikom w dżungli, a przedtem cztery tygodnie w Angoli, gdzie ciągle musiała patrzeć, jak ludzie się zabijają.

A jednak kochała takie życie. Za nic na świecie by się z nikim nie zamieniła. Znalezienie odpowiedniego ujęcia wyzwalało w niej adrenalinę i dawało frajdę, której nigdy nie miała dosyć, choćby nie wiadomo jakie wyrzeczenia musiała przedtem ponieść. Wiedziała o tym już szesnaście lat temu, gdy, mając dwadzieścia jeden lat, z dyplomem dziennikarstwa w kieszeni

i używanym aparatem w plecaku wyruszyła szukać swego przeznaczenia.

Przez jakiś czas brała każdą pracę polegającą na robieniu zdjęć, aż w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku nastąpił wielki przełom. Na koncercie Live Aid na rzecz pomocy głodującym poznała Sylvie Porter, wówczas początkującą redaktorkę w „Timie", i to ona wprowadziła ją w całkiem inny świat. Nie wiadomo kiedy znalazła się w samolocie lecącym do Etiopii. To, co tam zobaczyła, zmieniło całe jej życie.

Odtąd jej zdjęcia przestały być tylko obrazkami i zaczęły opowiadać historie. Kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku tajfun Gay spustoszył Tajlandię, pozbawiając domów ponad sto tysięcy ludzi, właśnie jej fotografia przedstawiająca samotną kobietę brnącą w brudnej wodzie, z dzieckiem niesionym wysoko nad głową, pojawiło się na okładce „Time'a". Dwa lata zaś temu jej fotoreportaż na temat głodu w Sudanie zdobył Nagrodę Pulitzera.

Nie można powiedzieć, żeby sukcesy przyszły łatwo.

Podobnie jak mieszkający w tym regionie Afryki lud Himba stała się nomadką. Miękkie łóżko, czysta pościel i bieżąca woda stanowiły luksus, bez którego nauczyła się obywać.

– Patrz. Tam – powiedział Danny.

Z początku zobaczyła jedynie pomarańczowoczerwone niebo i powietrze pełne kurzu. Świat był spopielały, pachniało dymem. Pomału ledwo widoczne na tle skalnej grani sylwetki zmaterializowały się, przybierając postać szczupłych, wysokich ludzi. Patrzyli oni w dół na brudnego land-rovera i jeszcze brudniejszych jego pasażerów.

– To oni? – spytał.

– Na pewno.

Danny pokonał ostatni odcinek drogi i stanął na zakręcie wyschniętej rzeki. Wysiedli.

Ludzie z plemienia Himba stali nieruchomo i patrzyli.

Danny poszedł wolno w ich stronę, wiedząc, że zaraz pokaże się wódz. Nina podążała w ślad za nim.

Przystanęli przy chacie wioskowej starszyzny. Płonął przed nią święty ogień, śląc strumień dymu w fioletowe teraz niebo. Oboje pochylili głowy, uważając bardzo, żeby niechcący nie okazać braku szacunku.

Zbliżył się do nich wódz. Nina w łamanym suahili poprosiła go o pozwolenie zrobienia zdjęć, podczas gdy Danny pokazywał ludziom przywieziony dla nich podarek: piętnaście galonów wody. Dla ludu wędrującego kilometrami w poszukiwaniu odrobiny wody był to wspaniały prezent i odtąd przybysze mogli liczyć na to, że będą traktowani jak przyjaciele. Zbiegły się dzieci, chichocząca, ruchliwa gromadka. Zaprowadzono przybyszów do wioski, tam podano tradycyjną papkę z kukurydzy i zsiadłe mleko, a całe plemię towarzyszyło im przy jedzeniu. Później, gdy niebo od księżycowej poświaty stało się granatowe, wskazano im okrągłą glinianą chatę, w której ułożyli się do snu na macie plecionej z trawy i liści. W powietrzu pachniało słodką pieczoną kukurydzą i suchą ziemią. Nina obróciła się w stronę Danny'ego. W mroku rozjaśnionym jedynie niebieskim światłem jego twarz wyglądała niezwykle młodo, choć – podobnie jak ona – miał oczy starego człowieka. To praca odciskała takie piętno. Owe niezliczone okropności, które musieli oglądać. I to też ich łączyło, to mieli wspólne. Dążenie, aby zobaczyć wszystko, choćby było nie wiadomo jak potworne. Pragnienie, by wszystko wiedzieć.

Poznali się w opuszczonej wiejskiej chacie w Kongu podczas pierwszej wojny. Oboje skryli się tam w trakcie walk; ona, żeby zmienić film w aparacie, on, żeby zabandażować zranione ramię.

„Fatalnie wygląda – powiedziała. – Mogę ci pomóc?”.

Spojrzał na nią.

„Moje modlitwy zostały wysłuchane. Bóg zesłał mi osobistego anioła”.

Od tamtej pory przemierzali razem świat. Byli w Sudanie, Zimbabwe, Afganistanie, Kongu, Rwandzie, Nepalu, Bośni. Oboje stali się specjalistami od Afryki, ale można ich było zastać wszędzie, gdzie tylko działo się coś ważnego. Mieli swoje mieszkania w Londynie, które przeważnie stały puste. Jedynie gromadziła się tam poczta, nieodsłuchane wiadomości i kurz. Często zainteresowania prowadziły ich w różne strony – jego do wojen domowych, ją do klęsk humanitarnych. Wtedy całe miesiące potrafili się nie widzieć, co Ninie nie przeszkadzało. Potem seks był jeszcze lepszy.

– Za miesiąc skończę czterdzieści lat – powiedział cicho.

Uwielbiała jego akcent. Najzwyklejsze zdanie brzmiało bardzo sexy.

– Nie przejmuj się. Dwudziestkipiątki i tak mdleją na twój widok. Masz prezencję byłego rockmana.

– To był punkrockowy zespół, kochanie.

Przysunęła się bliżej i pocałowała go w szyję, sunąc jednocześnie dłonią po jego nagiej piersi. Zareagował tak szybko, jak się spodziewała. W ciągu paru sekund rozebrał ją i zrobili to, co zawsze im najlepiej wychodziło.

Potem ją przytulił.

– Jak to jest, że możemy rozmawiać o wszystkim, tylko nie o nas?

– A co? Mówiliśmy o nas?

– Powiedziałem, że mam prawie czterdzieści lat.

– I to było zaproszenie do rozmowy? No, dobrze. Ja mam trzydzieści siedem.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo tęsknię za tobą, kiedy odjeżdżasz?

– Wiesz, Danny, jak ze mną jest. Uprzedzałam na samym początku.

– Na miłość boską, to było ponad cztery lata temu! Wszystko się zmienia na świecie, tylko ty nie.

– No właśnie. – Przekręciła się na drugi bok i wtuliła się w niego plecami. Zawsze czuła się bezpiecznie w jego ramionach, nawet gdy dokoła rozbrzmiewała strzelanina i krzyki. Dziś słyszała jedynie trzask ognia i brzęczenie nocnych owadów.

Chciała się troszkę odsunąć od niego, ale natychmiast ją przytrzymał i mocno objął.

– Nie prosiłem o nic – szepnął jej do ucha.

Owszem, prosiłeś, tylko tego jeszcze nie wiesz – pomyślała, zamykając oczy. Dziwny niepokój zagnieździł się jej w brzuchu.

Niedaleko od wioski biegło koryto rzeki. Nina przykucnęła nad wyschłym brzegiem. Mięśnie ud bolały od wysiłku. Była szósta rano, na niebie pojawiło się niesamowite połączenie jasnego seledynu z pomarańczowym; słońce szybko nabierało mocy.

Przez wioskę szła kobieta z plemienia Himba z ciężkim dzbanem na głowie i z dzieckiem niesionym w kolorowej chuście. Nina podniosła aparat i nastawiła ostrość. Jak wszystkie młode kobiety w tym plemieniu nomadów, dziewczyna miała nagie piersi, jej ubiór stanowiła spódniczka z koźlej skóry. Duży naszyjnik z muszli – cenna własność przekazywana z matki na córkę przez całe pokolenia – mówił światu, że jego właścicielka jest mężatką. Podobne znaczenie miała fryzura. Ciało namaszczone było czerwonym pyłem ochry

i tłuszczem maślanym, chroniącym skórę przed terrorem słońca. Balsam ten nadawał cerze koloryt starej cegły. Kostki u nóg, uważane za intymną część ciała, ukryte były pod mnóstwem cienkich metalowych kółek podzwaniających cicho w rytm kroków.

Kobieta zatrzymała się nad rzeką, nieświadoma tego, że Nina ją obserwuje, i patrzyła tam, gdzie powinna płynąć woda. Na jej twarzy pojawiła się rozpacz, kobieta dotknęła lekko dziecka. Takie spojrzenie Nina widziała na całym świecie, zwłaszcza w czasach wojny i zagłady. Głęboki, obezwładniający lęk matki. Nie ma dokąd pójść, nigdzie nie ma wody.

Nina uchwyciła to w kadrze; pstrykała zdjęcie za zdjęciem, póki kobieta nie wróciła do swojej okrągłej chaty. Usiadła tam w kręgu innych kobiet i razem zaczęły kruszyć na płaskich kamieniach czerwoną ochrę i zbierać ją do misek zrobionych z tykwy.

Nina zakryła obiektyw i wstała. Przeciągnęła się, rozprostowując zdrętwiałe stawy. Tego ranka zrobiła setki zdjęć, ale bez przeglądania wiedziała doskonale, że fotografia kobiety na brzegu rzeki jest właśnie tym, co trzeba.

W myślach już kadrowała, robiła odbitkę i umieszczała ją wśród swoich najlepszych prac. Pewnego dnia pokaże światu, jak silne i niezłomne potrafią być kobiety. A także, jakie ponoszą tego koszty.

Wyjęła film, starannie schowała opisane pudełeczko, założyła nowy i ruszyła w kurs po wiosce. Uśmiechała się, rozdawała ludziom cukierki, wstążki i bransoletki, które zawsze miała przy sobie, Zrobiła jeszcze jedno świetne zdjęcie czterech kobiet wychodzących z dymno-ziołowej sauny, będącej jedynym sposobem na utrzymanie higieny osobistej w tym bezwodnym kraju. Kobiety trzymały się za ręce i śmiały się; udało się tu uchwycić tę uniwersalną więź kobiecego rodu.

W trakcie obchodu wioski dołączył do niej Danny.

– Hej, proszę pani! – zawołał, podchodząc.

Przytuliła się do niego, zadowolona z wyników tego ranka.

– Niesamowite, jakie one są czułe dla swoich dzieci. Sam widok twarzy takiej matki pochylonej nad dzieckiem sprawia, że chce mi się płakać. Dziwne… Tyle widziałam, a jeszcze coś mnie wzrusza.

– A więc polujesz na matki. Myślałem, że na wojowniczki.

Nina zachmurzyła się. Wcale nie o to jej chodziło.

– Matki to też kobiety walczące. Z nieludzkim życiem.

Uśmiechnął się.

– Jednak jesteś romantyczna.

Zaśmiała się.

– To prawda.

– Gotowa do drogi?

– Tak, chyba już mam wszystko.

– Znaczy, przez następny tydzień możemy poleżeć nad basenem?

– O niczym innym nie marzę. – Odłożyła sprzęt i przepakowała torbę. Danny w tym czasie rozmawiał ze starszyzną i dziękował za gościnę. Nina ustawiła telefon satelitarny i dłuższą chwilę szukała sygnału.

Tak jak się spodziewała, w redakcji nie było nikogo, więc zostawiła wiadomość, że zadzwoni z Chobe River Lodge w Zambii. Potem oboje wsiedli do rzęchowatego land-rovera i przejechawszy przez księżycowy krajobraz Kakaoveld, złapali samolot lecący na południe. Przed nocą byli w Chobe River Lodge na tarasie swego apartamentu i podziwiali zachód słońca tuż za stadem słoni pasących się na drugim brzegu rzeki. Oni popijali gin z tonikiem, a sto metrów dalej w wysokiej trawie polowały lwy.

Nina, w nieco już sfatygowanym bikini, wyciągnęła się na luksusowym dwuosobowym leżaku i zamknęła oczy. Noc pachniała stojącą wodą, suchą trawą i błotem spieczonym na kamień przez bezlitosne słońce. Po raz pierwszy od tygodni jej krótko przycięte czarne włosy były czyste, a zza paznokci zniknął czerwonawy brud. Co za luksus!

Posłyszała kroki Danny'ego. Miał trochę nierówny chód; winę za to ponosiła prawa noga i kula, którą w nią dostał w Angoli. Udawał, że to nic takiego, i oficjalnie utrzymywał, że nie boli. Tylko ona wiedziała o pigułkach, które stale łykał, i o tym, że w nocy czasem nie mógł wygodnie się ułożyć. Kiedy go masowała, szczególnie starała się przy tej właśnie nodze, choć on o to nie prosił. Sama nigdy nie poruszała tego tematu.

– Proszę. – Postawił dwie szklanki na tekowym stoliku obok leżaka.

Gdy podniosła głowę, aby podziękować, w jednej sekundzie zauważyła kilka rzeczy: nie przyniósł ginu z tonikiem, tylko ogromną szklanicę tequili. Poza tym zapomniał o soli. Najgorsze jednak było to, że się nie uśmiechał.

Usiadła.

– Co się stało?

– Wypij najpierw.

Kiedy Irlandczyk mówi takie rzeczy, jest to zwiastun niedobrej wiadomości.

Usiadł obok niej, gdy posunęła się, robiąc mu miejsce.

Gwiazdy już pokazały się na niebie i w ich srebrzystej poświacie widziała jego wyraziste rysy, szczupłe policzki, niebieskie oczy i wijące się włosy. Minę miał smutną, a ona uświadomiła sobie w tym momencie, jak często się śmiał i uśmiechał, nawet w dziko palącym słońcu, w kłębach kurzu czy wśród najgorętszej strzelaniny. Zawsze gotów był się uśmiechać.

Tylko teraz nie.

Podał jej małą żółtą kopertę.

– Telegram.

– Czytałeś?

– Nie. Ale to nie może być dobra wiadomość.

Dziennikarze, producenci i fotoreporterzy na całym świecie doskonale wiedzą, co znaczy telegram. W ten sposób nawet teraz, w epoce telefonów satelitarnych i Internetu, rodzina przekazuje złą wiadomość. Drżącą ręką wzięła kopertę. Zobaczyła, że to od Sylvie, i pomyślała natychmiast: Bogu dzięki. Ulga znikła, gdy przeczytała treść.

NINO,
TWÓJ OJCIEC MIAŁ ZAWAŁ.
MEREDITH MÓWI, ŻE WYGLĄDA TO GROŹNIE.
SYLVIE

Spojrzała na Danny'ego.

– Tata… muszę tam jechać…

– Niemożliwe, kochanie – powiedział łagodnie. – Następny lot jest o szóstej. Załatwię dla nas bilety z Johannesburga do Seattle. Stamtąd masz najlepszy dojazd?

– Jak to dla nas?

– Chcę być przy tobie. Czy to bardzo poważna sprawa?

Nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć. Co ma mu powiedzieć? Szukanie pociechy u innych nie leżało w jej naturze. Bała się, bo w ten sposób dawała władzę nad sobą i potem mogła zostać zraniona. Tego się nauczyła w relacji z matką. Zrobiła więc po swojemu, tak jak zawsze w podobnych sytuacjach: sięgnęła do guzika jego spodni.

– Weź mnie do łóżka, Danny. Pomóż przetrwać noc.

„Niekończące się” – słowo to kojarzyło się Meredith z czekaniem, ale jednocześnie przywodziło na myśl „koniec”, czyli śmierć. I w sumie budziło emocje, których wolała nie tykać. Zwykły mechanizm obronny – zajęcie się czymś – nie zadziałał w tym wypadku, choć oczywiście próbowała. Sprawdziła dokładnie formalności ubezpieczeniowe, przeczytała wszystko o zawałach i wychodzeniu z nich, sporządziła wykaz najlepszych kardiologów. Gdy tylko odkładała długopis albo odrywała wzrok od ekranu, ból wracał z taką samą siłą jak poprzednio. Łzy kłuły pod powiekami. Na razie jeszcze udało się je tam zatrzymać. Płacz byłby przyznaniem się do porażki, a ona nie zamierzała się poddawać.

Mocno zacisnęła ramiona na piersi, obserwując barwne rybki w akwarium stojącym w poczekalni. Czasem któraś na moment skupiła na sobie jej uwagę, i wtedy na drobny ułamek sekundy Meredith zapominała, że ojciec być może właśnie umiera.

Jeff podszedł do niej. Na wykładzinie nie było słychać kroków, ale od razu wyczuła jego obecność.

– Mere – powiedział cicho i oparł dłonie na jej ramionach. Wiedziała, że chce ją serdecznie objąć. Ona zaś pragnęła pocieszenia, ale jednocześnie się bała. Oznaczałoby to słabość. Jeśli da się utulić, rozklei się jak amen w pacierzu. I co to pomoże?

– Przytul się – szepnął.

Pokręciła przecząco głową. Dlaczego on nic nie rozumie?

Strasznie bała się o ojca, a lęk ten obezwładniał ją całkowicie. Ból tkwił w niej jak nóż wbity w serce samym tylko czubkiem; jeden niewłaściwy ruch i przeszyje je na wylot.

Jeff westchnął. Zabrał ręce.

– Skontaktowałaś się z Niną?

– Zostawiałam jej wiadomości, gdzie tylko się dało. Znam ją. Przyjedzie tu prosto z lotniska. – Spojrzała znów na zegarek. – Co ten lekarz robi tak długo? Powinni nam już coś powiedzieć. Za dziesięć minut dzwonię do ordynatora.

Jeff zaczął coś mówić (prawie go nie słyszała, tak głośno biło jej serce) i w trakcie tej przemowy w drzwiach stanął doktor Watanabe. W jednej sekundzie wszyscy troje znaleźli się przy nim.

– Jak on się czuje? – spytała matka donośnym głosem. Skąd brała tyle siły? Tylko wyraźniejszy niż zwykle rosyjski akcent świadczył o zdenerwowaniu. Poza tym sprawiała wrażenie spokojnej jak zawsze.

Doktor Watanabe miał poważną minę.

– Nie jest dobrze. Miał drugi zawał, kiedy go wieźliśmy na salę. Reanimacja się udała, ale jest bardzo słaby.

– Co można zrobić w tej sytuacji? – spytała Meredith.

– Obawiam się, że nic. – W oczach lekarza pojawiło się denerwujące współczucie. – Uszkodzenia mięśnia sercowego są zbyt rozległe. Trzeba czekać… Miejmy nadzieję, że przeżyje noc.

Jeff objął żonę.

– Mogą go państwo zobaczyć. Jest na oddziale opieki kardiologicznej. Ale proszę wchodzić pojedynczo, dobrze? – Mówiąc to, doktor Watanabe ujął mamę pod łokieć.

Szczegóły – pomyślała Meredith, patrząc na matkę idącą korytarzem. Trzeba skupić się na szczegółach. Wtedy coś się wymyśli, jak temu zaradzić.

Ale nie była w stanie skupić się na niczym.

Przyszła fala wspomnień, mglistych i niewyraźnych, jakby dopiero zapraszały, żeby w nie głębiej wejść. Zobaczyła tatę na trybunie, kibicującego na szkolnej imprezie sportowej z entuzjazmem, który wręcz budził zażenowanie. Na jej ślubie, gdy rozpłakał się przy ludziach, prowadząc ją do ołtarza. I jak

jeszcze tydzień temu mrugnął do niej łobuzersko: „A może strzelimy sobie po piwku, Meredoodle? Co? Jak za dawnych dobrych czasów?”.

Odmówiła, powiedziała, że kiedy indziej…

Czy aż tak ważne było oddanie rzeczy do pralni?

– Chyba trzeba zawiadomić dziewczyny – powiedział Jeff. – Powinny przylecieć.

W tym momencie w Meredith coś pękło. Choć miała świadomość, że to kompletnie irracjonalne, znienawidziła Jeffa za te słowa. Znaczy, że mąż się poddał.

– Mere? – Objął ją i przytulił. – Kocham cię – szepnął.

Nie opierała się, choć zniosła to z trudem. Po chwili się odsunęła. Bez słowa, w ogóle nie patrząc na niego, ruszyła za matką. Na korytarzu pełnym śpieszących dokądś ludzi czuła się przeraźliwie samotna. Patrzyła na personel szpitalny, ale widziała jedynie ojca.

Leżał na wąskim łóżku wśród plątaniny rurek i kroplówek. Matka stała obok. Nawet teraz, gdy tak niewiele życia zostało jej mężowi, była niesamowicie spokojna, choć w jej postawie dawał się wyczuć bunt. Sztywno wyprostowana, opanowana, a jeśli nawet drżały jej ręce, chyba tylko sejsmograf by to wykrył.

Meredith otarła łzy, dotąd nieświadoma tego, że płakała. Dość długo czekała w progu. Lekarz wyraźnie powiedział, żeby wchodzić pojedynczo, a ona nigdy nie łamała zasad ani nie naciągała regulaminów. Jednak w końcu nie mogła dłużej wytrzymać. Podeszła i stanęła w nogach łóżka. Szum aparatury medycznej wydawał się absurdalnie głośny.

– Jak się czuje?

Matka westchnęła i bez słowa wyszła. Pewnie pójdzie do jakiegoś okna gapić się w noc. Jak zawsze sama.

Zwykle potwornie ją złościło to upodobanie matki do samotności, ale w tym momencie było jej wszystko jedno, tym razem nie osądzała jej tak surowo. Każdy się załamywał na swój własny sposób i po swojemu starał się wziąć w garść.

Dotknęła ręki ojca.

– Hej, tato. – Starała się uśmiechnąć. – To ja, Meredoodle. Jestem tutaj i kocham cię. Powiedz coś.

Jedyną odpowiedzią był łomot wiatru o szybę; śnieg wirował i tańczył w świetle latarni.

3

Nina stała w tym strasznie skomplikowanym labiryncie lotniska w Johannesburgu i patrzyła na Danny'ego. Chciał z nią jechać, ale właściwie po co? Przecież ona nie może mu w tej chwili nic dać. Nikomu nie może nic dać. Musi wracać, musi jak najszybciej być w domu.

– Wolę być sama.

Wiedziała, że go tym zrani.

– Oczywiście, rozumiem – odparł.

– Przepraszam.

Przesunął opaloną dłonią po długich potarganych czarnych włosach i spojrzał na nią tak przenikliwie, że aż ją przeszedł dreszcz. Jego wzrok przeszywał na wskroś, był jak uderzenie. Wolno wyciągnął ręce i przytulił ją, jakby byli sami, dwoje kochanków mających nieskończenie wiele czasu. Przypieczętował swoje prawo do niej pocałunkiem długim i namiętnym, niemal pierwotnym w swojej sile. Czuła wyraźnie, jak serce przyśpiesza, a policzki stają się gorące. Przecież to bez sensu, taka reakcja. Jest dorosłą kobietą, a nie przerażoną dziewicą. W dodatku nie w głowie jej seks.

– Pamiętaj mnie, skarbie. – Cofnął się, nie odrywając od niej wzroku.

Pocałunek prawie ukoił smutek i przez moment poczuła się lżej. Chciała coś powiedzieć, lecz się zawahała, i w końcu, nim zdążyła wymówić pierwsze słowo, on odwrócił się i odszedł.

Stała przez chwilę, po czym sięgnęła po plecak leżący na podłodze i ruszyła w swoją stronę.

Trzydzieści cztery godziny później zatrzymała wypożyczony samochód na ciemnym, zasypanym śniegiem parkingu szpitala. A potem biegiem do środka, modląc się – jak robiła to przez cały długi lot – żeby nie było za późno.

Siostrę znalazła w poczekalni na trzecim piętrze. Siedziała nieruchomo jak wartownik, a obok w idiotycznie wesołym akwarium pływały tropikalne rybki. Nina stanęła, nagle bojąc się cokolwiek powiedzieć. Zawsze inaczej podchodziły do życia. Nawet jako małe dziewczynki. Nina często upadała, ale zaraz dzielnie się podnosiła. Meredith poruszała się ostrożnie i rzadko traciła równowagę. Nina niszczyła rzeczy, Meredith je naprawiała.

Starsza siostra potrzebowała jej teraz, by ją objęła i pocieszyła.

– Mere? – odezwała się cichutko.

Tamta odwróciła się w jej stronę. Nawet z daleka w słabym świetle jarzeniówki widać było wyraźnie jej bladość i wręcz śmiertelne zmęczenie. Kasztanowe włosy, zawsze starannie uczesane, teraz pozostawały w totalnym nieładzie. Nie miała makijażu. Bez niego jej brązowe oczy wydawały się za duże, a wydatne usta zupełnie bezbarwne, jakby krew z nich odpłynęła.

– Jesteś. – Meredith podeszła i objęła siostrę.

Wzruszonej tym powitaniem Ninie nogi natychmiast zrobiły się jak z waty.

– Co z nim?

– Niedobrze. Miał drugi rozległy zawał. Najpierw chcieli operować… ale teraz mówią, że on nie przetrzyma. Uszkodzenia są zbyt poważne. Doktor Watanabe sądzi, że tata może nie przeżyć weekendu. Ale to samo mówili już o pierwszej w nocy.

Nina zamknęła oczy. Bogu dzięki, że zdążyła wrócić. Że go jeszcze zobaczy.

Czy naprawdę go straci? Był jej opoką, jej Gwiazdą Polarną. Jedynym człowiekiem, który zawsze czekał na jej powrót do domu.

Wolno otworzyła oczy.

– Gdzie mama?

Meredith odsunęła się bez słowa.

Piękna siwowłosa kobieta siedziała na szpitalnym krześle. Sprawiała wrażenie osoby doskonale opanowanej i zamkniętej w sobie. Nie wstała na powitanie młodszej córki, nawet nie spojrzała w jej stronę. Patrzyła przed siebie; błękitne oczy lśniły niesamowitym blaskiem na tle bladej cery. Jak zwykle robiła na drutach. Musi już mieć stosy swetrów i koców poskładanych na strychu.

– A jak ona? – spytała Nina.

Siostra wzruszyła ramionami. Obie doskonale wiedziały, co ten ruch oznacza. Czy ktoś coś rozumie, jeśli chodzi o mamę? Zawsze była dla nich obca, nierozszyfrowywalna, choćby nie wiadomo jak się starały. Zwłaszcza Meredith.

Aż do tamtego Bożego Narodzenia przed laty, kiedy wystawiły sztukę, Meredith chodziła za matką jak piesek domagający się uwagi. Po upokorzeniu świątecznego wieczoru dziewczynka się wycofała i odtąd zachowywała dystans. Przez następne lata nic się nie zmieniło; napięcie między nimi nie zmalało. A dystans jeszcze bardziej się zwiększył. Nina podchodziła do tego inaczej. Szybko straciła nadzieję na bliższy kontakt z matką i pogodziła się z jej wyobcowaniem. Pod wieloma względami były do siebie podobne. Nie potrzebowały do szczęścia nikogo oprócz ojca.

Nina podeszła do matki i uklękła. Jedyne, czego pragnęła, to żeby ktoś jej powiedział, że ojciec z tego wyjdzie.

– Cześć, mamo. Przyjechałam, jak tylko mogłam najszybciej.

– Dobrze.

W głosie matki dało się wyczuć lekkie wahanie, i ten brak pewności siebie jakby je do siebie odrobinę przybliżył. Nina odważyła się dotknąć szczupłej, białej dłoni. Pod jasną skórą wyraźnie rysowały się niebieskie żyły i opalone palce Niny ostro odcinały się na ich tle. Może ten jeden jedyny raz mama potrzebuje bliskości i pocieszenia?

– Jest silny. Będzie żyć.

Matka spojrzała na nią tak wolno, jakby była robotem, któremu kończy się bateria. Nina przeraziła się jej wyglądem: matka sprawiała wrażenie starej i zmęczonej. A jednocześnie była silna jak zawsze. Teoretycznie takie połączenie nie powinno być możliwe, ale Anja Whitson była kobietą pełną sprzeczności. Bała się wypuszczać dzieci poza teren ogrodu, a jednocześnie nie dostrzegała ich prawie, kiedy były w domu. Twierdziła, że Boga nie ma, a mimo to trzymała domowy ołtarzyk ze stale palącą się lampką. Sama jadła tyle, co kot napłakał, a dzieci zmuszała do jedzenia więcej, niż chciały i mogły.

– Uważasz, że to o to chodzi?

Ninę zaskoczyła dziwna zawziętość w jej głosie.

– Uważam, że powinniśmy wierzyć, że on wyzdrowieje.

– Jest w sali czterysta trzydzieści cztery. Pytał o ciebie.

Nina westchnęła głęboko i poszła do sali, gdzie leżał ojciec.

Panowała cisza, słychać było jedynie szum pracujących urządzeń. Wolno podeszła do łóżka, wstrzymując łzy.

Ten zawsze słusznych rozmiarów mężczyzna teraz sprawiał wrażenie całkiem małego. Jakby go zmniejszono, żeby się

zmieścił w dziecinnym łóżeczku.

– Nina – odezwał się cicho. Oddychał ciężko i z trudem go rozumiała. Był strasznie blady.

Zmusiła się do uśmiechu, mając nadzieję, że wygląda to szczerze. Ojciec zawsze cenił śmiech i radość. Sprawiłaby mu przykrość, gdyby była smutna.

– Cześć, tatusiu – odezwała się zupełnie jak mała dziewczynka. Od lat tak się do niego nie zwracała.

Zauważył to i uśmiechnął się. Był to uśmiech słaby i wymuszony. Pochyliła się i wytarła mu ślinę z dolnej wargi.

– Kocham cię, tatusiu.

– Chcę… – oddychał teraz ciężko – …do domu.

Musiała się nachylić, żeby dosłyszeć jego słowa.

– Nie możesz iść do domu, tato. Tu masz fachową opiekę.

Ścisnął ją za rękę.

– Chcę umrzeć w domu.

Tym razem nie powstrzymała łez. Spłynęły po twarzy i niczym płatki spadły na biały koc.

– Nie…

Wpatrywał się w nią, oddychając ciężko. To światło gasnące w oczach i coraz bardziej słabnąca wola bolały mocniej niż jego słowa.

– Ciężka sprawa – powiedziała. – Wiesz, jaka jest Meredith. Niełatwo ją przekonać.

Uśmiechnął się tak smutno, że omal jej serce nie pękło.

– Nigdy… nie chodziłaś na łatwiznę.

– To prawda – odparła cicho i nagle przeszyła ją myśl, że gdy go zabraknie, nikt na całym świecie nie będzie jej tak dobrze znał.

Ojciec zamknął oczy, nastąpił powolny wydech. W pierwszej chwili Nina przeraziła się, że go już straciła, że właśnie odszedł

i zapadł w ciemność, ale na szczęście urządzenia mówiły co innego. Jeszcze oddychał.

Usiadła na krześle obok łóżka. Wiedziała, czemu akurat do niej się z tym zwrócił. Oczywiście mogła to zrobić mama: wymusić przewiezienie taty do domu. Jednak wtedy Meredith do reszty znienawidziłaby ją za to. Tata całe życie dążył do tego, by żona i córki pokochały się, ale nigdy mu się to nie udało. Teraz też się nie poddawał i postanowił zaszczepić to pragnienie w młodszej córce z nadzieją, że jej się kiedyś uda wypełnić jego misję. Nina przypomniała sobie, że nazywał ją często swoją ukochaną buntowniczką, swoim najmilszym wywrotowcem. I zawsze był dumny, gdy nie bała się walczyć o swoje.

Naturalnie zrobi wszystko, o co on poprosi. Być może jest to ostatnia rzecz, z jaką się do niej zwróci.

Kiedy już załatwili formalności w związku z przewiezieniem ojca do domu, Nina poszła na parking i długo siedziała w ciemnym samochodzie, dochodząc do siebie po kłótni z Meredith. W końcu postawiła na swoim, ale zwycięstwo nie przyszło łatwo. Westchnęła ze znużeniem i ruszyła. Płatki śniegu układały się na przedniej szybie w wymyślne wzory, które znikały po każdym ruchu wycieraczek. Nawet przy tak ograniczonej widoczności dom o nazwie Biełyje Noczi sprawiał imponujące wrażenie.

Wyglądał niezwykle malowniczo, wręcz bajkowo, w otoczeniu zasypanej śniegiem doliny, wtulony w skrawek ziemi między rzeką a wzgórzami. Przystrojony świątecznymi lampkami, był jeszcze piękniejszy i bardziej magiczny niż zwykle.

Kojarzył się z bajkami, których z siostrą słuchały w dzieciństwie – pełnymi groźnych czarów, przystojnych książąt i okrutnych smoków. Krótko mówiąc, kojarzył się z matką.

Ostukała buty ze śniegu na ganku i otworzyła drzwi. Przy wejściu wisiały palta i stały ciepłe buty. Kuchenne blaty wyglądały jak cmentarzyska filiżanek po kawie i pustych talerzy. W świetle górnej lampy zalśnił miedzią cenny samowar matki.

Meredith stała samotnie w salonie i wpatrywała się w kominek.

Wyglądała mizernie. Fotograficzne oko Niny dostrzegało każdy szczegół: drżenie rąk, zmęczenie w oczach, sztywność pleców.

Podeszła do siostry i objęła ją serdecznie.

– Jak to będzie bez niego? – szepnęła Meredith, tuląc się do niej.

– Pusto. – Słowo to od razu przyszło Ninie do głowy.

Meredith otarła łzy i odsunęła się, jakby nie chciała okazywać słabości.

– Zostanę na noc. Mama może czegoś potrzebować.

– Ja się nią zajmę.

– Ty?

– Tak. Poradzimy sobie. Idź do tego swojego ślubnego przystojniaka i kochaj się z nim.

Meredith zrobiła dziwną minę, dając do zrozumienia, że ta możliwość w ogóle nie wchodzi w grę.

– Na pewno sobie poradzisz?

– Na pewno.

– Dobra. Przyjdę rano przygotować wszystko na przyjazd taty. Pamiętasz, że ma być o pierwszej?

– Pamiętam. – Nina odprowadziła ją do drzwi. Potem wzięła plecak i torbę z aparatami i poszła na górę do siebie. Minąwszy pokój rodziców, weszła do tego, który dzieliła kiedyś z siostrą. Na pierwszy rzut oka wydawał się symetryczny – dwa identyczne łóżka, dwa biurka, dwie białe toaletki. Jednak bystry obserwator zauważyłby, że mieszkały w nim dwie zupełnie różne lokatorki, które obrały całkiem inne drogi życiowe. Nawet gdy były małe, niewiele miały ze sobą wspólnego. Ostatnią rzeczą, jaką robiły razem – jak zapamiętała Nina – było wystawienie sztuki.

Mama bardzo się od tamtego dnia zmieniła, podobnie stało się z Meredith. Siostra dotrzymała słowa i nigdy więcej nie słuchała bajek mamy, co nie było trudne, bo mama z kolei nigdy więcej nie opowiedziała im żadnej bajki. A Ninie tego brakowało. Uwielbiała mamine opowieści. O białym drzewie, o Śnieżnej Pannie, o zaczarowanym wodospadzie, wreszcie o biednej dziewczynie i księciu. W te rzadkie wieczory, gdy mama dała się namówić na bajkę przed snem, Nina jak w transie słuchała jej głosu, a dobrze znane słowa koiły i krzepiły. Wszystkie historie znała na pamięć, za każdym razem brzmiały tak samo, i to bez żadnego czytania. Mama powiedziała kiedyś, że opowiadanie bajek to wielka rosyjska tradycja.

Po nieudanym spektaklu Nina próbowała naprawić rozdźwięk między matką a siostrą. Podobnie jak robił to ojciec. Oczywiście się nie udało i w końcu, gdzieś w wieku jedenastu lat, zrozumiała, że jest bez szans. Jej własne uczucia tyle razy zostały zranione, że też się poddała.

Wyszła ze swego pokoju i zamknęła drzwi.

Przystanęła pod drzwiami sypialni rodziców i zapukała.

– Mamo? Nie jesteś głodna?

Nie usłyszała odpowiedzi.

Zapukała znowu.

– Mamo?

Znów cisza.

Otworzyła drzwi i weszła. Pokój był schludny jak spod igły i urządzony po spartańsku. Ogromne podwójne łoże, antyczna toaletka, stary autentyczny rosyjski kufer i półka na książki zastawiona powieściami z klubu czytelniczego.

Tylko matki nie było.

Zaniepokojona zeszła znów na dół, wołając ją głośno. Już zaczęła wpadać w panikę, kiedy przypadkiem wyjrzała przez okno.

Matka siedziała na ławce w ogrodzie zimowym i wpatrywała się we własne dłonie. W blasku białych lampek wplecionych w kute ogrodzenie najbliższe otoczenie wyglądało absolutnie bajkowo, zwłaszcza że był środek nocy. Śnieg padał miękko i łagodnie, świat wyglądał nierealnie. Nina włożyła stojące w sieni śniegowce, narzuciła płaszcz i wyszła na dwór. Lecące z góry płatki śniegu parzyły policzki i usta. Cóż, zawsze wolała klimat okolic równika.

– Mamo? – odezwała się, podchodząc bliżej. – Nie powinnaś siedzieć na dworze. Jest zimno.

– Nie jest zimno.

W głosie matki dało się słyszeć znużenie i Nina pomyślała, że ona sama też jest bardzo zmęczona i miała okropny dzień, a jeszcze gorsze chwile zbliżają się nieubłaganie. Usiadła na ławce.

Zdawać się mogło, że w tym milczeniu upłynęła im cała wieczność. W końcu to mama przemówiła:

– Ojciec uważa, że nie poradzę sobie po jego śmierci.

– A poradzisz sobie? – spytała Nina wprost.

– Zdziwiłabyś się, ile potrafi wytrzymać ludzkie serce.

To akurat Nina wiedziała doskonale. Jak na ironię o tym właśnie mówiły jej fotografie kobiet wojowniczek.

– Wiem, ile człowiek potrafi znieść. Podczas walk w Kosowie rozmawiałam z…

– Nie mów o pracy. To temat dla ojca. Mnie wojna nie interesuje.

Nina nie poczuła się tym zraniona, a może tak sobie tylko wmawiała. Wiadomo, że szukanie bliskości z matką jest bezcelowe.

– Przepraszam. Po prostu chciałam pogadać.

– To nie gadaj. – Matka dotknęła miedzianej kolumny oplecionej zeschłą winoroślą. Gdzieniegdzie spod śniegu wyglądały czerwone jagody ostrokrzewu, okolone lśniącymi zielonymi listkami. Ale ona i tak nie widziała barw. Wada wzroku uniemożliwiała podziwianie piękna ogrodu. Meredith nie potrafiła zrozumieć, jak to się dzieje, że kobieta, która widzi tylko czerń i biel, tak wielką wagę przywiązuje do kwiatów, ale Nina znała dobrze potęgę czarno-białych obrazów. Czasami prawdę widać dopiero po usunięciu kolorów.

– Chodź, mamo – powiedziała. – Zrobię coś dla nas na kolację.

– Ty nie gotujesz.

– A czyja to wina? – spytała Nina odruchowo. – Matka powinna nauczyć córkę gotować.

– Wiem, wiem. Moja wina. Wszystko. – Mama wstała, wzięła robótkę i poszła.

4

Psy powitały Meredith, jakby nie było jej od miesięcy. Bez specjalnego entuzjazmu podrapała je za uszami i weszła do środka. Idąc do salonu, zapaliła po drodze światło.

– Jeff?! – zawołała.

Odpowiedziała cisza.

Wobec tego zrobiła dokładnie to, na co miała ochotę, czyli przyrządziła sobie rum (dużo rumu) z dietetyczną colą. Wyszła na werandę, usiadła na ławeczce i spojrzała na zalaną księżycowym światłem dolinę. W jego bladej poświacie sad wyglądał niemal złowieszczo, nagie gałęzie wystające z brudnego śniegu przypominały powykręcane reumatyzmem kończyny.

Wzięła stary wełniany koc i otuliła się ciepło. Nie wiedziała, co robić, jak wytrzymać ten ból i jak się pogodzić z tym, co nieuchronnie nadchodziło.

Bała się, że bez ojca stanie się jak jedna z tych uśpionych zimowym snem jabłoni: naga, bezbronna, wystawiona na ciosy. Nie chciała być sama ze swoim smutkiem, ale kto miałby jej w nim towarzyszyć? Nina? Jeff? Dzieci? Mama?

To ostatnie było najmniej prawdopodobne. Mama nigdy w niczym jej nie towarzyszyła. Teraz będą obie samotne, będzie je łączyć jedynie miłość do zmarłego ojca.

Z tyłu skrzypnęły drzwi.

– Mere? Co ty tu robisz na tym chłodzie? Czekałem na ciebie.

– Musiałam pobyć sama. – Zraniła go tymi słowami i chętnie by je cofnęła, ale zbyt dużo wysiłku by ją to kosztowało. – Przepraszam cię, nie chciałam.

– Obawiam się, że chciałaś.

Wstała, koc się osunął i spadł na ławeczkę. Z wymuszonym uśmiechem wyminęła męża i weszła do środka.

W salonie usiadła w fotelu przy kominku, wdzięczna Jeffowi, że rozpalił ogień. Nagle zrobiło się jej zimno. Ścisnęła mocniej szklankę, napiła się trochę. Dopiero gdy mąż przyszedł za nią, pomyślała, że raczej powinna usiąść na kanapie, żeby obok było miejsce dla niego. Jeff nalał sobie drinka i usiadł na podłodze. Był wyraźnie zmęczony. I jakby rozczarowany.

– Myślałem, że zechcesz porozmawiać – odezwał się cicho.

– Boże, nie.

– Jak mogę ci pomóc?

– Jeff, on umiera. O, wyrzuciłam to z siebie. A więc rozmawiamy. Od razu mi lepiej.

– Cholera jasna, Mere!

Doskonale wiedziała, że zachowuje się podle, i w dodatku jest niesprawiedliwa, ale po prostu nie mogła inaczej. Chciała być sama, skryć się w mysiej dziurze i udawać, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Serce pękało jej na kawałki. Czy on naprawdę nie potrafi tego zrozumieć i uważa, że słowa cokolwiek zmienią?

– Jeff, czego ty chcesz? Ja naprawdę nie wiem, co robić.

Podszedł do niej i pomógł jej wstać. Lód zagrzechotał w szklance, bo Meredith tak drżała w środku – czemu dotąd tego nie zauważyła? Wziął od niej drinka i postawił na stoliku obok fotela.

– Rozmawiałem dziś z twoim ojcem.

– Wiem.

– On się boi.

– Pewnie, że się boi. On… – Nie była w stanie powtórzyć tamtego słowa.

– Umiera – dokończył Jeff łagodnie. – Ale nie to jest powodem jego strachu. On boi się o ciebie, o Ninę, o waszą matkę i o mnie. Boi się, że bez niego rodzina się rozpadnie.

– Przesada – odparła, lecz zdradziło ją drżenie głosu.

– Naprawdę tak uważasz?

Kiedy poczuła jego usta na swoich, przypomniała sobie, jak bardzo go kiedyś kochała, i pomyślała, że nadal pragnie go kochać. Objąć go i przytulić się mocno, ale jest kompletnie zimna i sztywna w środku.

Trzymał ją w ramionach czule, jak nie trzymał jej od lat, jakby miał przestać istnieć, gdyby ją puścił. Całując ją w ucho, szepnął:

– Przytul się do mnie.

Prawie pękła, prawie się złamała. Chciała też go objąć… i nie mogła.

Puścił ją i cofnął się. Patrzył długo, tak długo, że aż zaczęła się zastanawiać, co takiego w niej zobaczył.

Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale w końcu odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Bo i cóż można tu było powiedzieć?

Ojciec umiera. Nic nie jest w stanie tego zmienić. Słowa nie znaczą więcej niż drobniaki, które powpadały w szpary w podłodze, i nawet nie warto się po nie schylać.

Nina wiele razy towarzyszyła rannym lub umierającym, aby dać potem świadectwo, ukazać ból w cierpieniu pojedynczego człowieka. Była w tym dobra. Umiała wejść w misterium śmierci, a jednocześnie zachować dystans i dzięki temu dobrze

zarejestrować obraz. Czasem przeżycia te miały charakter naprawdę wstrząsający, na przykład kontakt z ciężko okaleczonymi, niewyobrażalnie cierpiącymi ludźmi w prowizorycznych szpitalach. Wszystko to jednak zbladło w porównaniu z tą chwilą, kiedy cierpienie dotknęło ją samą. Po przyjeździe ojca do domu nie potrafiła się zdystansować, nie umiała zamknąć swego bólu na cztery spusty i się od niego oddzielić.

Stojąc w sypialni rodziców, patrzyła przez wielkie okno na ogród zimowy i ciągnący się za nim sad. Niebo było jaskrawobłękitne, bezchmurne. Ciepły oddech bladego zimowego słońca stopił wierzchnią warstwę śniegu, która zmieniła się w żółtawą skorupkę. Z okapów spadały krople wody, znacząc kropkami śnieg na balustradzie werandy.

Podniosła aparat i nastawiła ostrość na Meredith, która właśnie usiłowała się uśmiechać do taty, żeby mu dodać otuchy. Udało się uchwycić na zdjęciu smutek w oczach siostry. Skierowała potem obiektyw na matkę, która stała obok łóżka, wyniosła jak Lauren Bacall, zimna jak Barbara Stanwyck.

Ojciec bardzo się postarzał w chorobie. Leżał w wielkim małżeńskim łożu, w nakrochmalonej pościeli pośród poduszek i koców, chudy i przeraźliwie blady. Wolno poruszał powiekami; pokryte starczymi plamkami, opadały jak flagi do pół masztu i podnosiły się z powrotem. Dopiero w obiektywie Nina zobaczyła, że wilgotne brązowe oczy patrzą wprost na nią. Wstrząsnęła nią bezpośredniość tego spojrzenia.

– Nie rób zdjęć – poprosił. Głos miał niepewny, zmęczony i jakiś taki jak nie jego. Nie wiedzieć czemu właśnie ten głos był dla niej najtrudniejszy do zniesienia. Zdawała sobie sprawę, że tata wie, dlaczego robienie zdjęć jest dla niej tak ważne.

Opuściła aparat i od razu poczuła się odsłonięta i bezbronna. Gdy nie oddzielała jej od świata cienka soczewka, znajdowała

się tu i teraz. I patrzyła na własnego ojca, który umiera. Podeszła do Meredith. Matka stała z drugiej strony łóżka. Wszystkie trzy skupiły się przy chorym.

– Zaraz wracam – powiedziała mama.

Tata kiwnął głową, a spojrzenie, które w tym momencie wymienili rodzice, było tak intymne, że Nina poczuła się jak intruz.

Po wyjściu mamy tata przeniósł wzrok na Meredith.

– Wiem, że się boicie – szepnął.

– Nie musimy o tym mówić – odparła.

– Chyba że chcesz, tato. – Nina wzięła go za rękę. – Na pewno się boisz… śmierci.

– Na miłość boską! – Meredith cofnęła się gwałtownie.

Nie była to odpowiednia pora, żeby tłumaczyć siostrze, iż jako reporterka Nina przez wiele lat żyła tuż obok śmierci. I że są odejścia spokojne, a są też pełne złości i rozpaczy. Bycie świadkiem śmierci własnego ojca to rzecz niebywale trudna, a ona jedynie pragnie mu dopomóc. Odsunęła siwe włosy z pokrytego brązowymi plamami czoła ojca i przypomniała sobie, jak wyglądał, kiedy był młodszy, a twarz miał równo opaloną po pracy na świeżym powietrzu. Z wyjątkiem czoła, które zawsze pozostawało białe, bo nosił kapelusz.

– Mama – zaczął z wyraźnym wysiłkiem. – Załamie się, gdy odejdę…

– Zaopiekuję się nią, tato. Przyrzekam – powiedziała niepewnie Meredith. – Możesz na mnie polegać.

– I znów może to zrobić… – Zamknął oczy i westchnął ciężko. Oddychał z coraz większym trudem.

– Co zrobić? – spytała Nina.

– A ty co, Barbara Walters jesteś? – warknęła Meredith. – Daj spokój. Widzisz, że zasypia.

– Ale powiedział…

– Powiedział, żeby się zająć mamą. Jakby w ogóle musiał o to prosić.

Meredith poprawiła koce i poduszki, poruszając się sprawnie niczym zawodowa pielęgniarka.

No tak, pomyślała Nina. Tak się boi, że ciągle musi być czymś zajęta. A potem swoim zwyczajem ucieknie.

– Możesz chwilę zostać? – spytała. – Żeby pogadać.

– Nie. Firma nie może przestać funkcjonować. Przyjadę za godzinę.

Po chwili już jej nie było.

Nina odruchowo sięgnęła po aparat i zaczęła robić zdjęcia; tak po prostu dla siebie. Kiedy nastawiała ostrość na bladą twarz ojca widzianą na tle wielkiego łóżka, wstrzymywane dotąd łzy zmieniły obraz w szarobiałą mgłę. Chciała powiedzieć: „Kocham cię, tato", lecz słowa uwięzły jej w gardle.

Cicho wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Na korytarzu minęła się z matką i przez ułamek sekundy ich pełne bólu spojrzenia skrzyżowały się. Nina wyciągnęła rękę.

Mama minęła ją i weszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Jak zawsze. Całe dzieciństwo skupiło się jak w soczewce. Cóż, świetnie znała te jej zagrania. I to było najgorsze.

Wyciąganie ręki do matki nigdy nie miało sensu.

Wieczorem Meredith i Jeff wyjechali po córki na stację. Było to smutne spotkanie. Niepewne spojrzenia, niedopowiedziane zdania. Zupełnie inaczej niż zwykle, gdy przyjeżdżały z uczelni.

– Jak dziadek? – spytała Jillian, kiedy wszyscy wsiedli już do samochodu.

Meredith najchętniej by skłamała, żeby ich nie martwić, lecz nic by to nie dało.

– Niedobrze – odparła cicho. – Ale na pewno bardzo się ucieszy, gdy was zobaczy.

Oczy Maddy napełniły się łzami. Młodsza córka zawsze była bardziej uczuciowa. Nikt nie śmiał się głośniej i nie płakał rzewniej niż ona.

– Pojedziemy do niego dzisiaj?

– Tak, kochanie. Czeka na nas. Ciocia Nina też jest.

Maddy uśmiechnęła się, choć nie był to jej prawdziwy uśmiech, tylko nikły jego cień.

– Świetnie.

W tym wszystkim najbardziej zraniło Meredith to ciche, wytłumione „świetnie”, bo znów uświadomiła sobie, co ich czeka: ból, żałoba, nowe rodzinne konfiguracje. Maddy i Jillian uwielbiały Ninę i zawsze mówiły o niej z wielkim entuzjazmem. Była dla nich wzorem, niemal bohaterką.

Co teraz zostało wyrażone przygaszonym „świetnie”.

– Może powinien go zbadać inny specjalista? – spytała Jillian spokojnie, a matka usłyszała głos lekarza, którym kiedyś zostanie jej córka. Cichy i rzeczowy. Taka właśnie była Jillian.

– Konsultowało go kilku dobrych lekarzy – wyjaśnił Jeff. Zaczekał chwilę, aż te słowa wybrzmią, i dopiero zapalił silnik.

Zazwyczaj podczas jazdy rozmawiali, śmiali się, opowiadali sobie różne rzeczy, a w domu zasiadali w kuchni przy stole i grali w kierki albo w salonie oglądali film.

Dziś jechali w milczeniu. Dziewczynki próbowały nawiązać rozmowę, opowiadać o wykładach i studenckich korporacjach, nawet o pogodzie, ale nic nie zdołało rozładować przygnębiającej atmosfery.

U dziadków od razu wszyscy poszli na piętro. Meredith przyłapała się na tym, iż chce ostrzec córki, że dziadek wygląda

bardzo źle. Tak jak to się robi w wypadku małych dzieci. Powstrzymała się jednak i otworzyła drzwi sypialni.

– Hej, tato! Zobacz, kto do ciebie przyjechał.

Nina siedziała na kamiennej posadzce przed kominkiem, zwrócona plecami do pomarańczowego ognia. Wstała, gdy weszli.

– To nie mogą być moje siostrzenice, za duże – powiedziała starym zwyczajem, ale bez swego radosnego śmiechu.

Uściskała je mocno i przywitała się ze szwagrem.

– Dziadek bardzo na was czekał. – Mama wstała z bujanego fotela stojącego przy oknie. – Ja też.

Ciekawe – pomyślała Meredith – czy tylko ja słyszę ten ciepły ton w głosie matki, kiedy zwraca się do moich dzieci.

Zawsze tak było. Mama, wiecznie zimna dla własnych córek, wnuczkom okazywała wiele serca. Meredith cierpiała z tego powodu, a jednocześnie czuła wdzięczność do matki za to, że dziewczynki są przez nią kochane.

Obie najpierw przywitały się serdecznie z babcią, po czym podeszły do łóżka.

Dziadek leżał nieruchomo, bardzo blady. Uśmiechnął się słabo.

– Moje wnuczki – rzekł cichym głosem.

One były wyraźnie poruszone jego widokiem. Przez całe ich życie był niczym jabłoń z sadu. Krzepki, dający oparcie.

Jillian pochyliła się i ucałowała go.

– Cześć, dziadku.

Maddy zwilgotniały oczy. Chwyciła siostrę za rękę. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wyszły z nich żadne słowa.

Dziadek dotknął jej policzka drżącą ręką.

– Nie płacz, królewno.

Maddy otarła oczy.

Dziadek próbował się unieść, więc Meredith podeszła, żeby mu pomóc. Poprawiła poduszki.

Kaszląc ciężko, powiedział:

– Jesteśmy wszyscy. – Potem spojrzał na mamę. – Proszę cię, Anju.

– Nie – odparła mama twardo.

– Obiecałaś.

Meredith miała wrażenie, jakby nagle w pokoju wytworzył się jakiś dziwny wir, jak trąba powietrzna. Spojrzała na Ninę. Najwyraźniej siostra też to poczuła.

– Teraz – odezwał się dziadek z niezwykłą u niego stanowczością.

I tu nastąpiła niespodzianka: mama posłuchała i westchnąwszy, usiadła w fotelu bujanym.

Meredith nie miała czasu, żeby zastanowić się nad tą niezwykłą uległością, bo ojciec znów zaczął mówić.

– Mama zgodziła się opowiedzieć nam bajkę. Jak za dawnych czasów.

Spojrzał na żonę. Uśmiech miał tak pełen miłości, że Meredith omal nie pękło serce na ten widok.

– O biednej dziewczynie i o księciu. Moja ulubiona.

– Nie – powiedziała Meredith, a może jej się tylko zdawało, może tylko tak pomyślała. Odsunęła się od łóżka.

Nina przeszła przez pokój i usiadła na podłodze obok mamy, tak jak robiła dawniej. Jak obie robiły.

– Chodź, Maddy – zwróciła się do siostrzenicy. – Siadaj tu koło mnie.

Jeff wybrał wielki fotel przy kominku, Jillian wtuliła się obok niego. Tylko Meredith stała jak kołek, a nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Od lat powtarzała sobie, że bajki matki nic dla niej nie znaczą, a teraz musiała przyznać, że to nieprawda. Uwielbiała je, czasem zdarzało się podczas opowiadania, że

naprawdę czuła miłość do matki. I dlatego nie chciała ich więcej słuchać. Za bardzo bolało.

– Usiądź… Meredoodle – poprosił łagodnie tata, a gdy usłyszała to pieszczotliwe zdrobnienie, jej opór zgasł. Z ociąganiem poszła na drugi koniec pokoju i usiadła na dywanie, jak najdalej od matki.

Mama siedziała spokojnie na bujanym fotelu, złożywszy dłonie na kolanach.

– Ma na imię Wiera. Jest ubogą dziewczyną. Nikim. Oczywiście nie zdaje sobie z tego sprawy. Młodzi nie myślą o takich rzeczach. Wiera ma piętnaście lat i mieszka w Królestwie Śniegu, czarodziejskiej krainie, która umiera od środka. Pojawiło się w niej zło, Czarny Rycerz pragnie wszystko zniszczyć.

Meredith przeszedł dreszcz. Przypomniała sobie, jak to kiedyś było: mama przychodziła wieczorem do ich pokoju i opowiadała cudowne historie o kamiennych sercach, o zamarzniętych drzewach, o żurawiach, które połykały światło gwiazd. Zawsze po ciemku. W jej głosie była dziwna magia, podobnie jak teraz. Ta magia złączy ich na jakiś czas, ale rano więź zniknie, a do bajek nie będzie się wracać.

– Rycerz ten zawziął się na wszystko. Nim ludzie dostrzegli, co się święci, jest już za późno. Panują choroby. Śnieg ma złowieszczy fioletowoczarny kolor, kałużom na ulicach wyrastają macki, które wciągają przechodniów w szlam, drzewa kłócą się ze sobą i przestają rodzić owoce. Mieszkańcy Królestwa nie potrafią powstrzymać szerzącego się zła. Kochają swój kraj i są z gruntu dobrzy, ale jedyne, co teraz mogą, to trzymać głowy nisko pochylone, aby ujść z życiem. Wiera nie rozumie. Jest na to za młoda. Wie jedynie, że Królestwo Śniegu to ona, jej serce, jej dusza. Pewnej nocy budzi się nagle i wstaje z łóżka cicho, tak by nie obudzić siostry. Podchodzi do okna, otwiera je szeroko. Stąd ma widok na most. W tę czerwcową, krótką jak muśnięcie skrzydeł motyla noc, kiedy powietrze pachnie kwiatami, zaczyna marzyć o przyszłości.

Jest to okres białych nocy; wtedy nocne niebo ma piękny purpurowy kolor i jest usiane gwiazdami. Na ulicach nigdy nie zapada cisza. Ludzie się spotykają, zakochane pary spacerują po moście. Dworzanie króla do późna przesiadują w kawiarniach, potem wychodzą pijani miodem i niegasnącym światłem.

Wiera oddycha tą letnią nocą i nagle słyszy w sąsiednim pokoju sprzeczkę rodziców. Wie, że to brzydko podsłuchiwać, ale nie może się powstrzymać. Podchodzi na palcach do drzwi i leciutko je uchyla. Matka stoi przy ogniu, załamując ręce. Patrzy na ojca.

– Nie możesz dalej tego robić, Piotrze. To zbyt niebezpieczne. Moc Czarnego Rycerza rośnie. Codziennie dochodzą wieści o tych, którzy zmienili się w dym.

– Nie żądaj tego ode mnie.

– Ja cię proszę. Błagam. Napisz, co Czarny Rycerz każe. To tylko słowa.

– Tylko słowa?

– Pietia… – Matka płacze. Wiera jest przerażona, nigdy nie widziała jej płaczącej. – Boję się. – I dodaje łagodnie – boję się o ciebie.

On bierze ją w ramiona.

– Jestem zawsze bardzo ostrożny.

Przejęta Wiera zamyka drzwi. Nic z tego nie rozumie, lecz wie, że jej silna matka czegoś się boi. Czegoś nowego i nieznanego.

Przecież ojciec nie pozwoli, żeby cokolwiek im się stało…

Postanawia wypytać nazajutrz matkę o tę rozmowę, ale rano świeci słońce, a ona zapomina o wszystkim. Wybiega na dwór.

Jej ukochane Królestwo rozkwita z wiosną, więc ona też. Czy może być źle, kiedy słońce świeci?

Jest szczęśliwa. Nie przeszkadza jej nawet to, że każą jej zabrać młodszą siostrę do parku.

– Wiero, zobacz! Patrz na mnie! – Dwunastoletnia Olga robi kolejno kilka gwiazd.

– Ładnie – chwali ją Wiera, choć tak naprawdę prawie nie patrzy. Siada na ławce, wystawia twarz do słońca i zamyka oczy. Po długiej mroźnej zimie cudownie jest czuć ciepło na twarzy.

– „W darze przyniosłem ci dwie róże”[1].

Wiera wolno podnosi powieki i oto ma przed sobą najprzystojniejszego chłopca, jakiego widziała w życiu.

Książę Aleksander. Każda dziewczyna rozpozna jego twarz.

Ubrany jest w pięknie skrojony strój, naszyty złotymi koralikami. Za nim stoi lśniąca biała karoca zaprzężona w cztery białe konie. A w jego ręku dwie róże.

Wiera odpowiada mu następną linijką wiersza, wdzięczna ojcu, że kazał jej tak dużo czytać.

– Taka młoda jesteś i już znasz poezję? – dziwi się książę. – Ktoś ty?

Ona wyprostowuje się i wypina piersi do przodu, w nadziei, że on je zauważy.

– Wiera. I nie jestem taka młoda.

– Założę się, że twój ojciec nie pozwoliłby ci pójść ze mną na spacer.

– Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia, żeby wyjść z domu, wasza wysokość – kłamie Wiera i od razu czuje, że policzki jej czerwienieją.

On się śmieje, co brzmi jak muzyka.

– W takim razie, Wiero, do zobaczenia wieczorem. O jedenastej. Gdzie się spotkamy?

Jedenasta. Normalnie wtedy leży już w łóżku. Ale za nic się teraz do tego nie przyzna. A wieczorem uda, że źle się czuje, położy się wcześniej, a potem uformuje odpowiednio koce i wymknie się przez okno. Pewnie będą potrzebne czary, aby zdobyć stosowny strój. Przecież książę nie może spacerować z ubogą dziewczyną w zwykłej płóciennej sukience. A może jednak wymknąć się na Moczary, gdzie za jeden palec czarownice sprzedają sposób na miłość? W tym momencie widzi, że siostra zauważyła księcia i idzie w ich stronę.

– Spotkajmy się na Zaczarowanym Moście – proponuje.

– Coś mi się zdaje, że dziś będę tam sam.

Olga podchodzi bliżej i głośno ją woła.

– Obiecuję, że przyjdę. – Spogląda na Olgę, trochę na nią zła. – Nie będziesz sam, książę Aleksandrze. Ale idź już. Do zobaczenia.

– Dla ciebie Sasza.

I tak od pierwszego wejrzenia zakochuje się w uśmiechniętym chłopcu, który jest zupełnie dla niej nieodpowiedni ze względu na różnicę stanu. I może też stać się niebezpieczny dla rodziny. Wiera spogląda na swoje blade, szczupłe dłonie, zniszczone od prania bielizny na szorstkich kamieniach,

i zastanawia się, który palec poświęcić dla miłości… I ile palców może kosztować książęca wzajemność.

Nie zna odpowiedzi na te pytania, co i tak jest bez znaczenia, bo liczy się tylko miłość. Spotka się z pięknym księciem, zakochają się w sobie, wezmą ślub i będą żyli długo i szczęśliwie.

Mama wstała.

– Koniec.

– Anju – odezwał się tata. – Ustaliliśmy…

– Więcej nie. – Mama uśmiechnęła się do wnuczek i wyszła.

Meredith przyjęła to z ulgą, bo bajka wbrew woli ją wciągnęła.

– Chodźmy, dziewczyny. Dziadek powinien teraz odpocząć.

– Nie uciekajcie – poprosił ojciec.

– Wcale nie uciekamy, ale dochodzi dziesiąta. One cały dzień były w drodze. Są zmęczone. Przyjdziemy rano. – Podeszła do ojca i pocałowała w nieogolony policzek. – Spróbuj trochę pospać, dobrze?

Dotknął jej twarzy. Przytrzymał dłoń na policzku, patrząc głęboko w oczy.

– Słuchałaś?

– Oczywiście.

– Masz słuchać. To twoja matka.

Chciała powiedzieć, że nie ma czasu na bajki i słuchanie kogoś, kto rzadko mówi cokolwiek, ale nie mogła mu tego zrobić. Uśmiechnęła się.

– Dobrze, tato. Kocham cię.

Wolno cofnął rękę.

– A ja kocham ciebie, Meredoodle.

Bajki zawsze stanowiły ulubione wspomnienie Niny z dzieciństwa, a choć ostatni raz słyszała je wiele lat temu, pamiętała bardzo dobrze.

Ale czemu ojciec uparł się właśnie teraz? W dodatku akurat ta źle się kończyła.

Po wyjściu mamy i Meredith zostali sami. Nina podeszła do niego. Kominek za jej plecami strzelił iskrą, polano rozpadło się na czarno-pomarańczowe okruchy.

– Kocham dźwięk jej głosu – powiedział.

Nagle zrozumiała. Ojciec użył jedynego możliwego sposobu, żeby zmusić mamę do mówienia.

– Wiesz, o czym się myśli… teraz?

Wzięła go za rękę.

– O czym?

– O błędach.

– Nie masz ich dużo na koncie.

– Próbowała mówić do was. Aż do tej sztuki… Szkoda, że jej pozwoliłem schować się w sobie. Teraz całkiem się załamie, a ja tak bardzo ją kocham.

Nina pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Ta bajka nie ma większego znaczenia, tato. Nie martw się.

Chwycił ją za rękę i spojrzał zamglonymi oczami.

– Ma znaczenie. – Wargi mu drżały, głos miał tak słaby, że ledwo go słyszała. – Ona was potrzebuje… A wy jej. Obiecaj mi.

– Co takiego?

– Że jak odejdę, postaracie się ją poznać i zrozumieć.

– Jak? – Przecież oboje wiedzą, że nie ma sposobu, aby zbliżyć się do matki. – Próbowałam. Nie chce z nami rozmawiać. Wiesz dobrze.

– Namów ją, żeby opowiedziała wam historię o biednej dziewczynie i księciu. – Wymówiwszy te słowa, zamknął oczy, a jego oddech stał się świszczący. – Tym razem do końca.

– Wiem, o czym myślisz. Te opowieści łączyły nas, czuliśmy się sobie bliscy. Przez jakiś czas nawet myślałam… ale myliłam się. Ona nie…

– Tylko spróbuj, dobrze? Nigdy nie słyszałyście całej historii.

– Ale…

– Obiecaj mi.

Dotknęła jego twarzy. Pod palcami czuła kłującą szczecinę i mokre ślady łez. Powoli zasypiał. Cały ten dzień i zapewne też ta rozmowa kosztowały go wiele. Znów zapadł się w siebie. Zawsze pragnął, aby najbliższe mu istoty się kochały. Tak bardzo tego chciał, że aż uwierzył, iż można to sprawić opowiadaniem bajek.

– Dobrze, tato.

– Kocham cię – szepnął niewyraźnie.

Zrozumiała tylko dlatego, że słowa były jej dobrze znane.

– Ja kocham ciebie. – Pochyliła się, pocałowała go jeszcze raz i otuliła kołdrą. Zgasiła nocną lampkę i wyszła, zabierając aparat.

Schodząc na dół, starała się oddychać głęboko i równo. W kuchni matka siekała buraki i cebulę. Na kuchence gotował się wielki gar barszczu.

Oczywiście. Gdy było źle, Meredith zabierała się do prac domowych. Nina robiła zdjęcia, mama gotowała. Jedyne, czego nigdy nie robiły kobiety w tej rodzinie, to rozmowa.

– Hej – powiedziała Nina, opierając się o drzwi.

Matka odwróciła się wolno. Siwe, niemal białe włosy miała zaczesane do tyłu i upięte w kok. W bladej twarzy lodowato błękitne oczy były niesamowicie wyraziste jak na kobietę w jej wieku. Pojawiło się natomiast w niej coś kruchego, czego Nina nie pamiętała z wcześniejszych lat. Ta nowa kruchość matki sprawiła, że córka zebrała się na odwagę.

– Zawsze lubiłam, gdy opowiadałaś – odezwała się.

Mama wytarła ręce w fartuch.

– Bajki są dobre dla dzieci.

– Tata je uwielbia. Kiedyś mi powiedział, że w każdą Wigilię opowiadałaś mu bajkę. Może opowiesz jutro jakąś. Bardzo chciałabym usłyszeć dalszy ciąg historii o ubogiej dziewczynie i księciu.

– On umiera – powiedziała mama. – Trochę późno na bajki.

Nina pomyślała, że jednak nie da rady dotrzymać obietnicy, choćby nie wiadomo jak się starała. Po prostu nie ma sposobu, żeby dotrzeć do matki. Nigdy nie było.

---

1 Fragment wiersza Aleksandra Puszkina *Fontanna Bakczysaraju* w tłumaczeniu Mieczysława Jastruna. „Wodo miłości, wodo żywa! / W darze przyniosłem ci dwie róże. / Kocham twój szum, co wciąż upływa, / I łzy poezji w kropel chmurze”. (Przyp. tłum.).

5

Meredith odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Włożyła szlafrok wiszący na drzwiach łazienki, a potem, myjąc zęby, starała się nie patrzeć w lustro. Dzisiaj odbicie nie byłoby dla niej łaskawe.

Gdy wychodziła z sypialni, usłyszała hałas: na dole psy skakały i szczekały, grał telewizor. Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od miesięcy było tu jak w domu.

W kuchni Jillian nakrywała do stołu. Psy siedziały obok, czekając na kąski.

– Tata kazał dać ci pospać – zawiadomiła ją córka.

– Dzięki – odparła Meredith. – Gdzie Maddy?

– Jeszcze w łóżku.

Jeff podał żonie filiżankę z kawą.

– Dobrze się czujesz? – spytał cicho.

– Miałam ciężką noc. – Podniosła do ust filiżankę i spojrzała na niego. Bajka obudziła dawno zapomniane emocje, a te w połączeniu z lękiem o ojca spowodowały bezsenność. – Obudziłam cię?

– Nie.

Dawniej sypiali spleceni w uścisku. Ostatnio leżeli jak najdalej od siebie i bezsenność jednego zupełnie nie przeszkadzała drugiemu.

– Mamo? – odezwała się Jillian, rozkładając serwetki. – Pójdziemy do dziadka?

Meredith sięgnęła po tosta z masłem. Oderwała mały kawałek.

– Ja pójdę zaraz. A wy przyjdźcie po śniadaniu.

Jeff kiwnął głową.

– Wyprowadzimy tylko psy i zaraz będziemy.

Zabrała kawę na górę, zmieniła szlafrok i piżamę na wygodne dżinsy i golf z grubej dzianiny, pożegnała się z rodziną i wybiegła.

Dzień był piękny, słoneczny, ale chłodny. Przez te kilkaset metrów do domu rodziców każdy oddech zmieniał się w obłok pary. Całą noc śnił się jej ojciec. Może zresztą wcale nie spała, tylko wspomnienia krążyły jej po głowie? A może i jedno, i drugie. Wiedziała jedynie, że koniecznie dziś musi siąść przy nim i poprosić, by jej opowiedział jak najwięcej o swoim życiu, żeby kiedyś ona mogła przekazać tę wiedzę dzieciom. Czemuż dotąd tego nie zrobili – nie opowiadali sobie rodzinnych historii, nie zakładali albumów ze zdjęciami. Ona i Nina prawie nic nie wiedziały o krewnych ojca w Oklahomie poza tym, że zrujnował ich Wielki Kryzys. O ojcu zaś jedynie to, że służył w wojsku i podczas pełnienia służby w Europie poznał mamę. To wszystko. Ich historia zaczynała się od założenia sadu Biełyje Noczi. Gdy była młodsza, podobnie jak większość młodych ludzi, bardziej obchodziły ją własne sprawy niż życie ojca.

Czas naprawić ten błąd. I musi przeprosić za swoją ucieczkę po bajce. Sprawiła mu ból i była za to na siebie wściekła. Ucałuje go serdecznie, powie, że bardzo go kocha i że jest jej przykro. Jeśli to takie ważne dla niego, gotowa jest wysłuchać każdej, nawet najgłupszej bajki, jaką matka ma do opowiedzenia.

Zapukała raz i weszła do środka.

– Mamo? – Zamknęła za sobą drzwi. No tak, od razu wiadomo, że nikt nie zaparzył jeszcze porannej kawy.

– Kochana Nineczka – mruknęła pod nosem.

Wstawiła ekspres i poszła na górę. Tu zapukała do drzwi sypialni rodziców.

– Hej, kochani. Przyszłam. Jesteście tam?

Nie doczekała się odpowiedzi, więc otworzyła drzwi i weszła. Rodzice leżeli przytuleni do siebie.

– Dzień dobry. Kawa się parzy, wstawiłam też samowar. – Podeszła do okna i rozsunęła ciężkie zasłony. – Doktor mówił, że tata powinien spróbować coś zjeść. Co powiecie na jajka w koszulkach i tosty?

Światło słoneczne wpadające przez wielkie wypukłe szyby rozświetliło jasną dębową podłogę i wielkie małżeńskie łoże zajmujące znaczną część wnętrza. Podobnie jak w pozostałych pokojach kolorów było tu niewiele. Biała pościel i ciemne drewno. Nawet fotel i otomana w kącie obite były śnieżnobiałym adamaszkiem. Mama urządzała to wszystko, a ponieważ nie odróżniała kolorów, nie stosowała ich w ogóle. Jedyne dzieła sztuki to były znane fotografie Niny, wszystkie czarno-białe, w ramkach z czarnego orzecha.

Meredith spojrzała uważnie na rodziców. Tata leżał na lewym boku, zwrócony w stronę toaletki, mama, wtulona w jego plecy, obejmowała go ramionami. Coś szeptała i dopiero po chwili Meredith się zorientowała, że po rosyjsku.

– Mamo? – zaniepokoiła się. Mimo manifestowania na każdym kroku swojej rosyjskości, matka prawie nigdy nie mówiła w swoim ojczystym języku.

– Próbuję go ogrzać. Jest taki zimny. – Zaczęła energicznie rozcierać ramiona i boki męża. – Bardzo zimny.

Meredith stała jak rażona gromem. Pomyślała, że dotąd nie wiedziała, czym jest prawdziwy ból. A teraz już wie.

Ojciec leżał nieruchomo, i to było straszne. Włosy miał zmierzwione, oczy zamknięte, kąciki ust mu opadły. Na jego twarzy malował się spokój, jakby po prostu spał, ale sina

obwódka wokół ust mówiła aż nadto wyraźnie. Meredith zrozumiała od razu, patrząc na tę kochaną twarz, że najważniejszego w jej życiu człowieka już tu nie ma. Złowieszczo szary koloryt skóry nie budził żadnych wątpliwości. Więcej jej nie obejmie, nie przytuli mocno i nie szepnie: „Kocham cię, Meredoodle". Kolana pod nią zadrżały. Utrzymała się na nogach jedynie siłą woli.

Podeszła do łóżka i dotknęła bladego policzka.

Był zimny.

Mama westchnęła żałośnie i jeszcze mocniej zaczęła rozcierać jego ramiona.

– Odłożyłam dla ciebie trochę chleba. Obudź się.

Jeszcze nigdy Meredith nie słyszała u niej takiej rozpaczy w głosie. Prawdę mówiąc, nie słyszała takiej rozpaczy u nikogo. Tak zrozpaczony może być tylko ktoś, komu świat się zawalił.

Za późno, żeby powiedzieć ojcu cokolwiek; wspomnienie ubiegłego wieczoru dręczyło Meredith i prześladowało, sącząc jad w serce. Czy w końcu powiedziała mu, że go kocha?

Zapiekły łzy, ale nie zamierzała im się poddawać. Jeśli ulegnie, będzie zgubiona. Najbardziej w tej chwili żałowała, że musi być właśnie tak, jak jest; że nie może jak dziecko szukać pocieszenia w ramionach matki. Podeszła do telefonu i zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście.

– Mój ojciec zmarł – poinformowała, a potem spokojnym głosem podała dokładne dane. Po skończonej rozmowie podeszła do łóżka i dotknęła ramienia matki.

– On odszedł, mamo.

Matka spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Jest strasznie zimny. – Miało się wrażenie, że zaraz rozpłacze się jak dziecko. – Zawsze są zimni, gdy umierają…

– Mamo?

Matka odsunęła się od męża, spojrzała na niego. Wzrok miała nadal dziwny.

– Będą potrzebne sanki.

Meredith pomogła jej wstać.

– Zrobię herbaty i napijemy się. Niedługo przyjadą… po niego.

– Znalazłaś kogoś, kto go zabierze? Ile to może kosztować?

– Tym się nie przejmuj. Chodźmy teraz na dół. – Ujęła matkę pod ramię, uświadamiając sobie, że pierwszy raz w życiu jest z nich dwóch silniejsza.

– On jest tym domem. – Kiwała smutno głową matka. – Jak żyć bez niego?

– My będziemy z tobą. – Meredith otarła oczy. Niewielka to dla mamy pociecha. Miała rację. Tata był domem. Był domem, był bijącym sercem całej rodziny. Jak żyć bez niego?

Nina już przed świtem buszowała w sadzie, próbując zapomnieć, próbując zatracić się bez reszty w robieniu zdjęć. Udało się, ale na krótko. Zafascynowały ją przypominające teraz szkielety owocowe drzewa, przystrojone soplami. Niesamowicie wyglądały na tle pomarańczoworóżowego porannego nieba. Tatę na pewno zachwycą takie portrety ukochanych drzew.

Zrobi to, co już dawno powinna zrobić – powiększy i oprawi w ramki zdjęcia jabłoni. Każda z nich to odrębne świadectwo dzieła jego życia, i teraz na fotografiach zobaczy, jak wiele zdziałał. Pomyślała też, że powinna przejrzeć stare rodzinne zdjęcia (nie było ich wiele), bo może wśród nich znajdą się dawne fotografie sadu.

Zasłoniła obiektyw i odwróciła się, aby popatrzeć na dom nakryty spadzistym dachem, płonącym żywą miedzią w świetle wschodzącego dnia. Za wcześnie jeszcze, żeby tatę budzić, a matka i tak nie zechce dotrzymać jej towarzystwa, więc Nina wrzuciła sprzęt do torby i ruszyła na piechotę do siostry. Marsz zaczynał się na samym końcu sadu i nim doszła do drogi, zdążyła się lekko zasapać.

Aż trudno uwierzyć, że Meredith codziennie pokonuje taki dystans biegiem.

Kiedy doszła na miejsce, nie mogła się nie uśmiechnąć. Dosłownie każdy centymetr powierzchni pokrywały świąteczne dekoracje. Biedny Jeff długo musiał instalować takie mnóstwo lampek.

Cóż, Meredith zawsze uwielbiała święta.

Nina zapukała i od razu otworzyła drzwi.

Natychmiast pojawiły się psy i powitały ją z entuzjazmem.

– Ciocia Nina! – Maddy wybiegła jej na spotkanie i zarzuciła ręce na szyję. Poprzedni wieczór nie był stosowną chwilą do okazywania sobie serdeczności, a im obu na pewno tego brakowało.

– Cześć, Maduś. Ledwo cię poznałam, maleńka. Super z ciebie laska.

– A przedtem co byłam? Brzydactwo? – zaśmiała się siostrzenica.

– Tak. – Nina uśmiechnęła się serdecznie, a Maddy wzięła ją za rękę i zaprowadziła do kuchni, gdzie Jeff przy stole czytał „The New York Timesa", a Jillian smażyła placki.

Nina przystanęła w progu. Wczorajszy wieczór był tak trudny – ciemny pokój, bajka, ten smutek, o którym nikt głośno nie mówił – że nie przyjrzała się nawet siostrzenicom. Zrobiła to teraz. Maddy wyglądała bardzo młodziutko. Chuda i wyrośnięta nastolatka, jeszcze rozbrykana, o długich kasztanowych

włosach, miała wyraziste brwi i duże usta. Jillian natomiast stała się już młodą kobietą, poważną i opanowaną. Nina mogła łatwo wyobrazić ją sobie jako lekarza. Dawna pulchna blondyneczka, zbierająca całe lato robaki do słoików i obserwująca je potem, teraz wysoka i szczupła, krzątała się przy kuchence i rodzinnym śniadaniu. Maddy do złudzenia przypominała swoją matkę w tym wieku, tyle że była od niej bardziej energiczna i promienna.

Patrząc na dorosłe siostrzenice, Nina poczuła nagle swoje własne lata. Po raz pierwszy przyszła jej do głowy myśl, że zbliża się do granicy wieku średniego. Już nie jest taka młoda. Oczywiście dawno powinna to zauważyć, ale gdy się mieszka samej i prowadzi niezależny od nikogo tryb życia, nie dostrzega się tak bardzo upływu czasu.

– Cześć, ciociu Nineczko. – Jillian zdjęła ostatni placek z patelni.

Nina objęła ją i przytuliła serdecznie, po czym przyjąwszy podaną jej filiżankę kawy, podeszła do Jeffa.

– Gdzie Meredith? – spytała, ściskając go lekko za ramię.

Odłożył gazetę na stół.

– U ojca. Wyszła jakieś dwadzieścia minut temu.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Co się z nią dzieje?

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Co masz na myśli?

Nim zdążył odpowiedzieć, podeszła Maddy.

– Zjesz placka, ciociu?

– Nie, dzięki, skarbeczku. Wrócę do dziadków. Twoja mama i tak zruga mnie od ostatnich za niezrobienie kawy przed wyjściem.

Szerokie usta Maddy rozciągnęły się w uśmiechu.

– Masz jak w banku. My przyjdziemy za jakieś pół godzinki.

Nina ucałowała siostrzenice, pożegnała się z Jeffem i szybkim krokiem ruszyła w drogę.

Po powrocie odwiesiła pożyczony płaszcz na wieszak w sieni i poszła od razu do kuchni, skąd dobiegał kuszący zapach świeżo zaparzonej kawy.

Siostra stała nieruchomo przy zlewie i schyliwszy głowę, wpatrywała się w wodę lecącą z kranu.

– Nie ofukniesz mnie za to, że nie zrobiłam kawy?

– Nie.

Coś w jej głosie sprawiło, że Nina drgnęła. Spojrzała w stronę schodów.

– Czy ojciec już się obudził?

Meredith wolno się odwróciła. Wyraz jej oczu mówił wszystko. Świat zakołysał się w posadach.

– Odszedł – powiedziała.

Nina westchnęła. W sercu pojawił się niebywały ból, a w pamięci ożyło wspomnienie. Ma osiem czy dziewięć lat, taka ostrzyżona na chłopaka czarnulka, idzie z tatą przez sad, zła, bo wcale nie ma na to ochoty. Nagle potyka się o coś i przewraca. „Aleś złapała zająca, Nineczko-Słoneczko” – śmieje się tata. Podnosi ją z ziemi, sadza sobie na barana i dalszą część drogi tak odbywają.

Łzy zamazały świat. Podeszła do siostry i padły sobie w ramiona. Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że on tu z nimi jest. „Pamiętasz, jak uczył nas puszczać latawce?”. Banalne, zwykłe wspomnienie, podobnie jak tamto z sadu. Rozpłakała się jeszcze rzewniej. Czy wczoraj powiedziała mu wszystko? Że go kocha? I czy przeprosiła, że ciągle wyjeżdżała?

– Nie pamiętam, czy mu powiedziałam, że go kocham – odezwała się Meredith.

Nina spojrzała na siostrę, zawsze taką silną, a teraz nieszczęśliwą i zapłakaną.

– Powiedziałaś, sama słyszałam. Zresztą on i tak wiedział. Na pewno.

Meredith otarła łzy.

– Zaraz… przyjadą po niego.

Pomału odzyskiwała zwykłe opanowanie. Nina obserwowała ją.

– Co z mamą?

– Jest przy nim. Nie chciała go zostawić ani na chwilę.

Spojrzenia, które wymieniły, mówiły wszystko.

– Spróbuję ją namówić – westchnęła Nina. – Ale co potem?

– Trzeba wszystko zorganizować. I pozawiadamiać ludzi.

Nina z goryczą pomyślała o takim finale życia – organizowaniu formalności i pogrzebu. Cóż robić, nie ma wyjścia. Powiedziała siostrze, że zaraz wróci. Każdy krok na schodach był wysiłkiem, a gdy dotarła na górę, znów się rozpłakała. Łkała cichutko.

Zapukała do drzwi i zaczekała. Odpowiedziała jej cisza, więc nacisnęła klamkę i weszła.

Pokój sprawiał wrażenie dziwnie pustego. Ojciec leżał na łóżku, nakryty białą kołdrą po samą brodę. Wyglądało to tak, jakby napadał na niego świeży śnieg.

Dotknęła jego twarzy, odsunęła siwe pasmo z zamkniętych oczu, pochyliła się i pocałowała go w czoło. Chłód skóry wywołał w niej wstrząs i od razu zakradła się myśl: Nigdy już do mnie się nie uśmiechnie.

Westchnęła ciężko i wyprostowała się. Długo na niego patrzyła, starając się zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół.

– Do widzenia, tatusiu – powiedziała cicho. Na razie tyle. Miała w sobie o wiele więcej słów, ale musiały jeszcze poczekać. Nie teraz. Za jakiś czas, kiedy będzie czuć się smutno i samotnie, z dala od swoich i od domu.

Cofnęła się. Każdy ruch sprawiał jej trudności. Wzięła słuchawkę, żeby zadzwonić do Danny'ego, ale rozłączyła się, zanim odezwał się sygnał. Co mu powie? Czy jakiekolwiek słowa są w stanie jej pomóc? W tym momencie kątem oka zarejestrowała jakiś ruch na dworze; niebieski cień na tle bieli.

Podeszła do okna. Mama brnęła właśnie przez głęboki śnieg w stronę szklarni.

Nina popędziła na dół, znów włożyła czyjś płaszcz i śniegowce i wybiegła. Po drodze przechodziła obok kuchennego okna. Meredith w środku rozmawiała przez telefon; twarz miała kredowobiałą, usta jej drżały. Chyba nie zauważyła siostry za oknem.

Nina wbiegła w głęboki śnieg przy narożniku domu i po kilku krokach dotarła do śladów matki, po których łatwiej mogła się poruszać.

Przy szklarni zatrzymała się na moment, zebrała się na odwagę i dopiero wtedy otworzyła drzwi.

Mama klęczała, była w nocnej koszuli i śniegowcach. Wyciągała z ziemi małe kartofelki i rzucała je na stos.

– Mamo?

Powtórzyła to jeszcze dwa razy, lecz nie doczekała się żadnej reakcji. W końcu odezwała się ostrym tonem:

– Anja!

Podeszła bliżej. Mama przestała wygrzebywać kartofle i podniosła głowę. Długie siwe włosy miała rozpuszczone i potargane, twarz bladą.

– Są kartofle. Pomoże mu, jak trochę zje.

Nina uklękła obok. Bała się o matkę, widząc ją w takim stanie, ale też, co było dziwne, stan ów dawał pewną pociechę. Chociaż raz odczuwały to samo.

– Och, mamo – szepnęła i dotknęła lekko jej ramienia.

Matka długo na nią patrzyła. W przejrzystych błękitnych oczach czaiła się niepewność. Pokiwała smutno głową i zakrztusiła się, wydając odgłos podobny do czkawki. W tym momencie pojawiły się łzy. Widać było, że wróciła do rzeczywistości.

– Kartofle nie pomogą – powiedziała.

– Nie – odparła Nina cicho.

– On nie żyje. Mój Evan nie żyje.

– Chodź. – Nina ujęła ją pod łokieć i pomogła wstać. Wyszły ze szklarni na pokryte śniegiem podwórze.

– Chodźmy do środka – powiedziała Nina.

Mama, nie zwracając na nią uwagi, ruszyła w drugą stronę, prosto w głęboki śnieg. Włosy i koszula nocna powiewały za nią na wietrze. Kierowała się do swojego ogrodu.

No tak.

Nina poszła za nią. Zdjęła z siebie płaszcz i otuliła nim jej szczupłe ramiona.

Drżąc z zimna, usiadła przy niej. Pomyślała, że chyba wie, dlaczego matkę tak tu ciągnie. Ogród był nieduży, porządnie utrzymany. Zaraz dalej zaczynał się ciągnący się na wielkim obszarze sad i ten zaciszny zakątek dawał poczucie bezpieczeństwa. Jedyną plamę barwną, oprócz kwiatów w lecie i liści jesienią, stanowiła miedziana kolumna, prosta w formie, ozdobiona jedynie napisami. Stała na niej biała marmurowa misa, w której wiosną kwitły białe kwiaty.

– Nie chcę pogrzebu – powiedziała matka. – Nie w zamarzającej na kość ziemi. Rozrzucimy popioły.

Głos miała stanowczy, nieznoszący sprzeciwu, w niczym nieprzypominający dziwnego zachowania przed chwilą. A jednak tamta kobieta w szklarni przynajmniej coś czuła. Ta druga, jej matka siedząca w ogrodzie, trzymała wszystko twardą ręką. Nina bardzo by chciała móc przytulić się do niej

i szepnąć: „Będę do niego tęsknić, mamusiu”. Bardzo by chciała choć przez chwilę poczuć się jak mała dziewczynka. Jednak w dzieciństwie tak skutecznie wpojono jej przekonanie, iż tego rodzaju zachowanie jest bezcelowe, że nawet teraz, po latach, trzymała emocje na wodzy.

– Dobrze, mamo – zgodziła się.

Po chwili wstała.

– Zobaczę, czy nie trzeba pomóc Meredith. A ty nie siedź tu za długo.

– Dlaczego? – Matka nie odrywała wzroku od miedzianej kolumny.

– Możesz dostać zapalenia płuc.

– Miałabym umrzeć od zimna? Niestety, nie mam tyle szczęścia.

Nina położyła jej dłoń na ramieniu i w momencie kontaktu poczuła wyraźnie, jak matka się wzdryga. Zraniło ją to boleśnie. Nawet po śmierci taty, która dotknęła je obie, mama woli być sama.

Po powrocie do domu zastała siostrę wciąż przy telefonie. Po chwili Meredith skończyła rozmowę.

Spojrzały sobie w oczy, zastanawiając się, jak będą teraz żyć. Wszystkie trzy, matka i dwie córki. Nietrwały trójkąt, zamiast solidnego, pilnowanego przez tatę kółka. Nina miała wielką chęć uciekać stąd prosto na lotnisko.

– Podaj mi część numerów. Pomogę ci.

W niewielkim kościółku zebrało się ponad czterysta osób, które przyszły pożegnać Evana Whitsona. Kilkudziesięciu gości przyszło potem do domu na poczęstunek, aby jeszcze raz złożyć kondolencje i wypić kieliszeczek. Podczas mycia naczyń

Meredith oceniła, że kieliszeczków poszło całkiem sporo. Naturalnie Nina świetnie się sprawdziła jako gospodyni: piła z gośćmi, słuchała tego, co mówią o ojcu. Mama wędrowała pośród ludzi, dumnie wyprostowana, z rzadka zatrzymując się przy kimś dłużej niż na chwilę. A Meredith była od czarnej roboty. Przyjmowała przynoszone przez ludzi jedzenie i potem je podawała. Dbała, żeby stale znajdowały się pod ręką czyste serwetki, talerze, sztućce i szklanki oraz lód. I w kółko zmywała. Zachowywała się jak zawsze pod wpływem stresu: uciekała do konkretnych zajęć i obowiązków. Nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać ze znajomymi i sąsiadami, słuchać wspomnień o ojcu. Nie była jeszcze gotowa, ból był zbyt świeży, żeby rozmawiać o nim z ludźmi wylewnymi pod wpływem alkoholu.

Około północy, kiedy stała przy zmywaniu, do kuchni wszedł Jeff. Objął ją i przytulił. Nagle poczuła się dobrze i bezpiecznie, a wstrzymywane dotąd łzy popłynęły niepowstrzymanie. On trzymał ją w ramionach, głaskał, jakby była małym dzieckiem, i w kółko powtarzał to wielkie kłamstwo, że czas wszystko leczy. Wypłakawszy się, wysunęła się z jego objęć i drżącym głosem powiedziała:

– Strasznie dusiłam to wszystko w sobie.

– Zawsze tak robisz.

– A co w tym złego? Miałam się rozkleić przy ludziach?

– Może.

Pokręciła głową. Wydawał jej się jakiś obcy, kiedy mówił takie rzeczy. Przecież ona nie jest wazonem, jeśli rozpadnie się na kawałki, to już nie da się skleić.

– Wiem, jak to jest – rzekł. – Bardzo mi pomogłaś, gdy moi rodzice odchodzili. Pozwól teraz pomóc sobie.

– Trzymam się. Naprawdę. Rozkleję się później.

– Meredith…

– Nie… – Nie zamierzała powiedzieć tego tak ostro i zorientowała się, że go zraniła, ale miała już naprawdę dosyć. Nie będzie przejmować się nikim więcej. – Nie martw się o mnie. Sprzątnę, ogarnę tu do końca. Ale dziewczynki są zmęczone, więc może zabierz je już do domu.

– Dobrze – zgodził się, lecz w jego oczach pojawiła się jakaś czujność, którą nie do końca potrafiła zinterpretować.

Gdy długo po wyjściu gości stała w czystej, wysprzątanej kuchni, pożałowała swojego wyboru. Tak trudno było powiedzieć: „Dobrze, Jeff, zabierz mnie do domu i przytul…”.

Rzuciła ścierkę na szafkę i wyszła ze swojej kryjówki.

Nina stała w salonie przed dużym zdjęciem taty umieszczonym na sztalugach i się przyglądała. W pogniecionych spodniach w kolorze khaki i szarym swetrze, czarnowłosa, jak zwykle nieuczesana, wyglądała jak smarkula wyruszająca na swoje pierwsze safari, a nie jak znana na całym świecie fotografka.

W jej zielonych kocich oczach widniał smutek. Wręcz się z niej wylewał, niczym woda z przepełnionej szklanki. Nina też nie umiała swojego smutku wyrazić ani mu się poddać, aby go przeżyć. Obie cierpiały, obie z powodu tej samej straty. Podobnie ich matka leżąca teraz w opustoszałym łóżku. Szkoda, że nie mogą być razem, łączyć się w bólu, rozmawiać o nim. Niestety, w ich wypadku to niemożliwe.

Meredith podeszła do siostry, która zdawałoby się tak niedawno błagała ją, żeby dobrze zapamiętała bajkę i opowiedziała jej, kiedy nie będą mogły zasnąć.

– Na szczęście mamy siebie – powiedziała.

– Tak. – Jednak oczy Niny zdradzały to samo, o czym ona też pomyślała. To za mało.

Później, gdy Meredith wróciła do domu i leżała obok swego męża, uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Tak się swoim

odkryciem przejęła, że nie mogła zasnąć. Nie powinna była zachowywać się na stypie jak obsługa cateringu, tylko jak córka. Nie powinna ukrywać tak głęboko swoich uczuć tylko dlatego, że się ich bała. Teraz okazało się, że czegoś jej bardzo brakuje. Chociażby tych opowieści, których wysłuchała Nina. Tego, co mieli do powiedzenia o ojcu jego przyjaciele i znajomi.

Około trzeciej nad ranem nie mogła dłużej wytrzymać, wstała, poszła na werandę i tam usiadła otulona w koc. Każdy oddech zmieniał się w obłok pary, jednak nie było na tyle zimno, żeby znieczulić ból.

Przez następne trzy dni Nina bardzo się starała być użyteczna jako członek rodziny, ale na ogół kończyło się to fiaskiem. Bez taty zabrakło wspólnego celu, gra toczyła się przypadkowo i bez żadnych reguł. Mama w ogóle nie wstawała z łóżka. Albo patrzyła przed siebie, albo robiła na drutach. Nie chciała zejść na dół, żeby coś zjeść, i tylko Meredith potrafiła ją nakłonić, by wzięła prysznic.

Nina zawsze czuła się niepotrzebna i bezużyteczna przy swojej zaradnej i zorganizowanej siostrze, lecz nigdy aż tak bardzo jak teraz. Meredith niczym Pac-Man stale parła do przodu, odfajkowując z listy kolejne wykonane zadania i spełnione obowiązki. Trudno w to uwierzyć, ale nazajutrz po pogrzebie poszła do pracy. Codziennie zajmowała się sadem i magazynami, potem własnym domem i jeszcze co najmniej trzy razy dziennie pojawiała się u mamy, aby dopilnować jej i Niny.

Wszystko, co zrobiła Nina, było nie tak, i Meredith poprawiała to po niej. Odkurzanie, zmywanie, pranie. Nina chwilami miała ochotę powiedzieć jej coś przykrego, lecz

w końcu machała ręką. Meredith nieustannie się poruszała i ciągle była czymś zajęta. Krył się jednak za tym strach. Strach i ból.

To Nina jeszcze mogła znieść.

Zabijał ją ból utraty.

Co rusz pojawiała się myśl: On nie żyje. I wtedy bolało tak bardzo, że ogarniały ją duszności, nogi stawały się jak z drewna, wszystko leciało z rąk i czasem się tłukło (Meredith miała wtedy szczególną satysfakcję).

Nina nabierała coraz większej ochoty, żeby jak najszybciej stąd uciec. Nie ma co dalej tego ciągnąć. I tak jej obecność nic nie wnosi. Jej samej też nie służy pobyt tutaj.

Kiedy już raz ta myśl przyszła jej do głowy, nie potrafiła się od niej uwolnić. Cały dzień przekonywała samą siebie, że nie powinna uciekać. Zwłaszcza tuż przed świętami. O trzeciej poddała się. Poszła na górę i ze swego pokoju zadzwoniła do Nowego Jorku.

– Cześć, Sylvie – powiedziała, gdy redaktorka podniosła słuchawkę.

– Cześć, Nino. Myślałam o tobie. Co z tatą?

– Umarł. – Wiele ją kosztowało, żeby wymówić to słowo spokojnie. Stojąc w oknie swego panieńskiego pokoiku, patrzyła na padający śnieg. Było dopiero wczesne popołudnie, a już zrobiło się ciemno.

– Ach, Nino. Kochana, bardzo ci współczuję.

– Dziękuję. – Wszyscy jej współczuli. Co jeszcze powiedzieć? – Chcę wrócić do pracy.

Chwila ciszy.

– Tak od razu?

– Tak.

– Jesteś pewna? Pamiętaj, że to bardzo ważny moment w życiu, jedyny taki.

– Wierz mi, że ostatnie, czego bym chciała, to, żeby było ich więcej.

– No, dobrze. Poczekaj, tylko sprawdzę. Wiem, że potrzebujemy kogoś w Sierra Leone.

– Strefa wojenna. W sam raz dla mnie.

– Wiesz, że może być niebezpiecznie?

– Tak. Wiem.

Porozmawiały chwilę i gdy Nina odłożyła słuchawkę, czuła się lepiej, a zarazem gorzej. Zeszła na dół i w kuchni zastała Meredith zmywającą naczynia. Oczywiście.

Sięgnęła po ścierkę.

– Miałam to zrobić.

– Zostały jeszcze z wczoraj, Kiedy zamierzałaś się do nich wziąć?

– Daj spokój. To głupie naczynia, a nie…

– No tak, przecież gdzieś tam ludzie umierają z głodu. Wiem. Rozumiem. Robisz bardzo ważne rzeczy. A ja tylko prowadzę rodzinną firmę, zajmuję się naszymi rodzicami i sprzątam po mojej ważnej siostrze.

– Nie to chciałam powiedzieć.

Meredith spojrzała na nią ironicznie.

– Oczywiście, że nie.

Nina poczuła się, jakby siostra przejrzała ją na wylot i wszystkie, i poważne, i błahe przewinienia nagle wyszły na jaw.

– Przecież tu jestem.

– Do pewnego stopnia. – Meredith wzięła druciany zmywak i zaczęła skrobać biały ceramiczny zlew.

Nina podeszła do niej.

– Przepraszam. – Jedyne, co mogła powiedzieć.

Meredith odwróciła się w jej stronę. Grzbietem dłoni otarła czoło, pozostawiając na nim ślad mydlin.

– Jak długo zostaniesz?

– Niedługo. Właśnie w Sierra Leone…

– Daruj sobie. Po prostu uciekasz. Cholera, zrobiłabym to samo, gdybym mogła.

Nina, jak zawsze, poczuła się winna. Uciekała – od zimnej matki, od pustego domu, od oschłej, świetnie zorganizowanej siostry i od wspomnień. Przede wszystkim chyba od nich. Przykro jej było, że przez jej egoizm Meredith przybędzie pracy, żałowała, że nie wypełni obietnicy danej ojcu, ale to wszystko nie zdołało jej zatrzymać.

– A co z popiołami? – spytała.

– Mama chce je rozrzucić w maju, w dniu urodzin taty. Kiedy ziemia nie jest zamarznięta.

– Przyjadę.

– Aż dwa razy w ciągu roku? – spytała drwiąco Meredith.

Nina spojrzała na nią.

– Taki rok.

Słysząc to, Meredith o mało się nie rozpłakała. Ninę też zakłuło pod powiekami.

Starsza siostra opanowała się pierwsza.

– Pożegnaj się z dziewczynkami. One cię uwielbiają.

– Oczywiście.

Meredith otarła łzy.

– Za godzinę muszę być w pracy. Odkurzę przed wyjściem.

Nina wiedziała, że powinna zaproponować, iż to zrobi, podjąć tę ostatnią próbę, ale teraz, gdy zapadła decyzja o wyjeździe, czuła się jak koń czystej krwi na starcie wyścigu. W pełni gotowa do biegu.

– Pójdę się przygotować.

Późnym wieczorem Nina spakowała swój niewielki dobytek, włożyła plecak do samochodu i poszła pożegnać się z matką.

Zastała ją w salonie przed kominkiem. Owiniętą w koc.

– Więc wyjeżdżasz – powiedziała matka, nie podnosząc głowy.

– Zadzwonili z redakcji. Potrzebują zdjęć. W Sierra Leone dzieją się straszne rzeczy. – Przysiadła przed kominkiem. Zadrżała, kiedy ciało przeszyło przyjemne ciepło. – Trzeba to pokazać światu. Ludzie giną. Prawdziwa tragedia.

– Myślisz, że twoje zdjęcia to pokażą?

Ninę ukłuł złośliwy ton pytania.

– Wojna, mamo, to rzecz straszna. Łatwo krytykować moją pracę, siedząc w ładnym, bezpiecznym domu. Gdybyś widziała to, co ja, inaczej byś to odbierała. Moja praca może coś zmienić. Nie wyobrażasz sobie, jak ludzie na świecie cierpią, i jeśli nikt…

– Rozsypiemy popioły ojca w dniu jego urodzin. Z tobą lub bez ciebie.

– Dobrze – odparła spokojnie Nina. Pomyślała: Tata zrozumie. Ale znów zabolało.

– W takim razie do widzenia. I wesołych świąt.

W takiej tonacji Nina opuściła rodzinny dom o tej samej nazwie co sad – Biełyje Noczi. Na werandzie przystanęła na moment i profesjonalnym okiem spojrzała na dolinę, na padający śnieg. Odnotowała w pamięci każdy szczegół. Za trzydzieści dziewięć godzin znajdzie się w upale, w kurzu i w pyle, i obraz ten zacznie pomału blednąć, jak kości bielejące pod bezlitosnym słońcem. W końcu zniknie z pamięci. Rodzina – zwłaszcza matka, którą Nina potrafiła kochać jedynie na odległość – stanie się dalekim wspomnieniem.

6

Przez następne tygodnie po śmierci ojca Meredith trzymała się jedynie siłą woli. Dzięki wewnętrznej dyscyplinie i dzięki temu, że sztywno przestrzegała stałego rozkładu zajęć, zupełnie jak w obozie dla rekrutów.

Ból niczym cień towarzyszył jej stale. Cały czas czuła jego obecność. Bała się, że jeśli choć raz mu ulegnie, przegra.

Więc nieustannie coś robiła, była w ciągłym ruchu.

Boże Narodzenie i Nowy Rok wszyscy przeszli ciężko, a uporczywe trzymanie się tradycji wcale nie pomagało. Świąteczny obiad z indykiem jeszcze mocniej podkreślił pustkę miejsca przy stole.

Jeff nie rozumiał żony. Uparcie twierdził, że pomogłoby jej, gdyby sobie popłakała. Jakby łzy mogły załatwić sprawę.

Zawracanie głowy. Płacz nic nie pomoże. Płakała przecież we śnie i co z tego? Co noc budziła się z policzkami mokrymi od łez. Czy to coś pomogło? Wręcz przeciwnie. Wyrażanie bólu nic nie dawało. Tylko wtedy, gdy ten ból w sobie zagłuszyła, mogła jakoś funkcjonować.

Postępowała więc konsekwentnie. W pracy z uśmiechem na ustach przechodziła płynnie – tyle że z jakimś desperackim zacięciem – od jednej czynności do drugiej. Dopiero po wyjeździe córek uświadomiła sobie, jak bardzo męczące jest udawanie, że codzienne życie toczy się jak zawsze. Nie pomagał oczywiście fakt, że od pogrzebu ani razu nie przespała całej

nocy, ani to, że oboje z Jeffem mieli trudności ze znalezieniem tematu do rozmowy.

Próbowała mu tłumaczyć, że tylko tak potrafi sobie jakoś radzić, ale on z uporem nie chciał zrozumieć. Uważał, że powinna „wyrzucić to z siebie". Cokolwiek miał na myśli.

Tak naprawdę wcale nie starała się z nim rozmawiać. Czasem w ciągu całego dnia zamieniali najwyżej dwa zdania, mijając się w przelocie. Chyba powinna bardziej się postarać.

Opłukała filiżankę po kawie, postawiła na suszarce i zeszła na dół do gabinetu męża, gdzie pisał. Zapukała cicho i otworzyła drzwi.

Siedział przy biurku, które kupili co najmniej dziesięć lat temu. Miało wielki blat, który pierwszy raz wykorzystali, kochając się na nim.

„Będziesz kiedyś sławny. Jak Raymond Chandler".

Uśmiechnęła się do tego wspomnienia, choć jednocześnie smutno jej się zrobiło, że gdzieś po drodze marzenia się rozwiały, a oni poszli osobnymi ścieżkami.

– Jak książka? – Oparła się o framugę, stając w progu.

– Coś takiego! Dawno mnie o to nie pytałaś.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Zrobiło jej się głupio. Zawsze wspierała literackie ambicje męża. Na początku małżeństwa, kiedy walczył o przetrwanie jako młody dziennikarz, czytała każde napisane przez niego słowo. Jeszcze kilka lat temu, gdy spróbował swoich sił w powieści, była jego pierwszym krytykiem i – jak twierdził – najlepszym. Książki w końcu nie przyjął żaden wydawca, ale ona i tak wierzyła w niego całym sercem. I cieszyła się, że zaczął pisać następną. Czy mu o tym powiedziała?

– Przepraszam, Jeff. Ostatnio jestem strasznie skołowana. Czy mogę przeczytać, co napisałeś?

– Oczywiście.

Jak łatwo wywołać uśmiech na jego twarzy. Myśl ta wzbudziła w niej wyrzuty sumienia. Powinna podejść i go pocałować. Dawniej był to odruch tak oczywisty jak oddychanie, a teraz potrzebowała do tego jakiejś dziwnej odwagi i nie potrafiła się przemóc. W myślach do swojej listy rzeczy do zrobienia dodała pozycję: „Przeczytać książkę Jeffa".

Odchylił się w krześle. Uśmiech, który jej posłał, tylko z pozoru był zuchowaty. Po dwudziestu latach małżeństwa wiedziała, kiedy czuł się niepewnie.

– Chodźmy dziś na kolację i do kina. Dobrze ci zrobi, jak się oderwiesz – zaproponował Jeff.

– Może jutro. Dziś muszę popłacić rachunki mamy – odparła.

– Za dużo bierzesz sobie na głowę.

Meredith irytowała się, gdy tak mówił. Z czego mianowicie miałaby zrezygnować? Z pracy? Z opieki nad matką? Zajmowania się domem?

– Minęło dopiero kilka tygodni. Daj mi złapać trochę oddechu.

– A sama go sobie dajesz?

Nie bardzo rozumiała, co chciał przez to powiedzieć, i w tej chwili nie miała ochoty dociekać.

– Muszę iść. Do zobaczenia później. – Podeszła, pogłaskała go po ramieniu i wyszła. Zamknęła psy w ogrodzonej części podwórka i pojechała do rodziców.

Do matki.

Tej korekcie w myśleniu towarzyszyło ukłucie bólu, od którego natychmiast się odcięła.

Kiedy weszła do domu i zawołała matkę, odpowiedziała jej cisza. W zasadzie to nic nowego.

Zastała ją w rzadko używanej paradnej jadalni. Siedziała przy stole i mruczała coś do siebie po rosyjsku. Przed nią leżała

rozłożona biżuteria, którą dostała od ojca, oraz ozdobna szkatułka ofiarowana wiele lat temu na Gwiazdkę przez córki.

Jej piękna twarz zdradzała wielkie cierpienie; policzki były zapadnięte, kości policzkowe sterczały. Bardzo zbladła i zmizerniała. Tylko oczy – kontrastujące jaskrawym błękitem z bielą karnacji i włosów – pozostały takie jak dawniej.

– Cześć, mamo. Co robisz?

– Mamy jeszcze biżuterię. Gdzieś zapodział się motyl.

– Szykujesz się na jakąś okazję?

– Zobaczysz, że zaraz przestaną wypłacać pieniądze.

Meredith pochyliła się nad świecidełkami. Nie było tu nic większej wartości. Tata dawał prezenty z serca, a nie drogie.

– Rachunkami się nie przejmuj. Już zapłaciłam.

– Ty?

Meredith z powagą przytaknęła i pomogła jej wstać. Zaskoczyła ją bierność matki, która bez oporu pozwoliła zaprowadzić się na górę.

– Czy motyl jest bezpieczny?

– Wszystko jest bezpieczne, mamo – zapewniła, układając ją do snu.

– Bogu dzięki – westchnęła matka. Zamknęła oczy.

Meredith długo patrzyła na nią. Dotknęła lekko jej czoła (na szczęście nie było gorące) i odgarnęła włosy z oczu.

Kiedy matka zasnęła, zeszła na dół i zadzwoniła do biura.

Daisy odebrała po pierwszym sygnale.

– Biuro Meredith Whitson Cooper.

– Cześć, Daisy. Dziś pracuję w domu. Mama zachowuje się dziwnie.

– W żałobie tak bywa.

– Tak. – Pomyślała o własnym płaczu przez sen. Wczoraj ze zmęczenia dolała do kawy soku pomarańczowego zamiast

mleka sojowego. Nim zauważyła, wypiła pół filiżanki. – Owszem, to prawda.

Jeśli Meredith brała sobie za dużo na głowę, to pod koniec stycznia stało się to jeszcze bardziej uciążliwe dla otoczenia. Jeff wyraźnie miał dosyć i dawał to odczuć. Ciągle nalegał, żeby wzięła kogoś do pomocy przy matce albo pozwoliła jemu pomóc, albo – najgorsza propozycja z jej punktu widzenia – żeby znalazła dla nich choć trochę czasu. A jak ona miała to zrobić pośród tylu spraw? Raz nawet spróbowała zaangażować pomoc domową do mamy, lecz nic z tego nie wyszło. Biedna kobieta po tygodniu odeszła, twierdząc, że nie może znieść tego, jak mama cały czas ją obserwuje i wciąż powtarza, żeby nie dotykała różnych rzeczy.

Nina wyjechała nie wiadomo dokąd, mama coraz bardziej dziwaczała i odnosiła się do córki wręcz lodowato. A tu nie ma wyjścia, trzeba jakoś ciągnąć to wszystko. Obiecała ojcu, że się matką zaopiekuje, i nie zamierzała go zawieść. Wiecznie była czymś zajęta, bo wiecznie było coś do roboty. Ale dzięki temu mogła zagłuszyć własny ból.

Codzienny kierat stał się dla niej wybawieniem.

Wstawała wcześnie rano, przebiegała sześć kilometrów, później robiła śniadanie – najpierw mężowi, potem matce – i udawała się do pracy. W południe szła sprawdzić, jak mama się miewa, płaciła jej rachunki lub sprzątała. Wracała do pracy i pozostawała tam aż do szóstej. W drodze powrotnej zakupy spożywcze, znów do mamy do siódmej lub ósmej (jeśli nie zachowywała się dziwnie, bo wtedy dłużej), o wpół do dziewiątej powrót do domu i szybka kolacja z Jeffem. Regularnie zasypiała na kanapie i budziła się o trzeciej rano.

Ten wariacki rozkład dnia miał jedną zaletę: ze względu na różnicę czasu wygodniej było dzwonić do Maddy. Czasem już samo to, że usłyszała głos córek, pozwalało jej przetrwać dzień.

Teraz zbliżało się południe, a ona już miała serdecznie dość. Wcisnęła guzik interkomu.

– Daisy, idę do domu na lunch. Wrócę za godzinę. Czy możesz przekazać raporty Hectorowi, a Edowi przypomnieć, że obiecał dostarczyć mi informacje o winogronach?

Drzwi się otworzyły.

– Martwię się o ciebie – oznajmiła Daisy.

Zraniło to jej dumę.

– Dziękuję, Daisy, że się o mnie troszczysz, ale jakoś sobie radzę.

– Za ciężko pracujesz. To by mu się nie podobało.

– Wiem. Dzięki.

Po wyjściu Daisy sięgnęła po torebkę i klucze.

Na dworze znów padał śnieg. Parking był śliski i zabłocony, podobnie jak droga.

Podjechała wolno do domu matki, zaparkowała i weszła. Powiesiwszy płaszcz w sieni, zawołała:

– Mamo, to ja!

Brak odpowiedzi.

Wyjęła z lodówki pierogi rozmrożone poprzedniego dnia i zupę z soczewicy w plastikowym pojemniku. Pierogi wstawiła do kuchenki mikrofalowej. Już miała iść na górę, kiedy przez okno zobaczyła ciemny kształt w ogrodzie zimowym.

To już stawało się nudne…

Włożyła płaszcz i pobrnęła przez śnieg.

– Mamo! – wykrzyknęła z wyrzutem. Nie zdołała zapanować nad rozpaczą we własnym głosie. – Naprawdę czas już z tym skończyć. Chodź do środka. Przygotuję ci pierogi i zupę.

– Na pasku?

Co to, cholera, miało znaczyć?

– Chodź.

Pomogła jej wstać i wtedy okazało się, że matka znowu wyszła boso i ma stopy sine z zimna. Zaprowadziła ją do kuchni, otuliła kocem i posadziła przy stole.

– Dobrze się czujesz?

– To nie mną się masz zajmować, Olgo – powiedziała mama. – Zobacz, co z lwem.

– To ja, Meredith.

– Meredith – powtórzyła mama niepewnie, jakby takie słowo w ogóle nie miało sensu.

Meredith zmarszczyła brwi naprawdę zaniepokojona. Jej matka sprawiała wrażenie osoby zagubionej i coraz bardziej zapadającej się w siebie. Żałoba? Raczej nie. Z nią wyraźnie działo się coś niedobrego,

– Wiesz co? Chyba powinnyśmy pójść do doktora Burnsa.

– A mamy jeszcze coś do sprzedania?

Meredith znów westchnęła i wyjęła pierogi z mikrofalówki. Przełożyła na chłodniejszy talerz złotawe kieszonki ciasta z farszem jagnięcym i postawiła przed matką.

– Są gorące, więc uważaj. Ja pójdę po twoje ubranie i zadzwonię do lekarza. Zostań tutaj, dobrze?

Poszła na górę i stamtąd zadzwoniła do Daisy. Poprosiła ją, żeby zamówiła pilną wizytę u doktora Burnsa. Potem zeszła na dół i pomogła matce wstać.

– Tak szybko zjadłaś? – zdziwiła się. – Dobrze. – Nałożyła jej sweter, potem pomogła włożyć rajstopy i wysokie buty. – Wkładaj palto. Ja pójdę rozgrzać samochód.

Kiedy wróciła do domu, matka stała w sieni w krzywo zapiętym płaszczu.

– Zaczekaj. – Rozpięła płaszcz i zapięła prawidłowo. W trakcie zapinania ze zdziwieniem stwierdziła, że kieszenie są gorące.

Znalazła w nich pierogi zawinięte w papierowe ręczniki, teraz przesiąknięte tłuszczem. Co się dzieje?

– To dla Anji – wyjaśniła mama.

– Oczywiście, że dla ciebie. – Panika rosła. – Zostawimy je na razie tutaj, dobrze? – Przełożyła pierogi do porcelanowej miski stojącej na stoliku w przedpokoju. – A teraz chodźmy.

Pomogła matce wsiąść do samochodu.

– Oprzyj się wygodnie, prześpij się trochę. Musisz być zmęczona. – Pojechały od razu pod przychodnię.

Recepcjonistka Georgia Edwards wyglądała równie zabójczo jak w czasach, gdy była cheerleaderką w szkole średniej.

– Cześć, Mere – powitała je z uśmiechem.

– Cześć, Georgio. Daisy miała zamówić wizytę dla mamy. Udało się?

– Znasz Jima. Zrobi dla was wszystko. Gabinet A.

Pod drzwiami gabinetu mama nagle odzyskała poczucie rzeczywistości.

– To śmieszne – powiedziała, wyrywając się prowadzącej ją córce.

– Trudno, wiem, że nie masz ochoty. Ale musimy pójść do lekarza.

Matka wyprostowała się dumnie i całkiem sprawnie wkroczyła do gabinetu. Od razu usiadła na jedynym krześle.

Meredith weszła za nią i zamknęła drzwi.

Chwilę później w gabinecie pojawił się doktor James Burns z nieodłącznym uśmiechem na ustach. Łysy jak kolano, miał sympatyczne szare oczy, teraz patrzące ze współczuciem. Meredith od razu pomyślała o ojcu. Wiele lat grali razem w golfa; ojciec Jima należał do najbliższych przyjaciół taty. Doktor serdecznie objął ją i przytulił. Był w tym cichy komunikat: „Mnie też go brakuje”.

– No tak – westchnął. – Jak dziś się czujesz, Anju?

– Całkiem dobrze. Dzięki. Meredith przesadza.

– Czy mogę cię zbadać? – spytał.

– Naturalnie – odparła mama. – Ale to niepotrzebne.

Jim przeprowadził standardowe badanie jak przy grypie. Kiedy skończył, zanotował coś w karcie i zapytał:

– Jaki dziś dzień?

– Trzydziesty pierwszy stycznia dwa tysiące pierwszego roku – odparła, patrząc mu prosto w oczy, a spojrzenie miała jasne, niczym niezmącone. – Środa. Mamy nowego prezydenta. George Bush Junior. Stolicą stanu jest Olympia.

Jim chwilę milczał.

– A jak się czujesz? Tak szczerze?

– Serce bije. Oddycham. Zasypiam i budzę się.

– Może powinnaś się z kimś skonsultować?

– Z kim?

– Z lekarzem, z którym będziesz mogła porozmawiać o żałobie.

– O śmierci się nie rozmawia. Wy, Amerykanie, wierzycie, że słowa mogą coś zmienić. Nic z tego.

Pokiwał głową.

– To raczej moja córka potrzebuje pomocy.

– Dobrze. – Zanotował coś jeszcze w karcie. – Możesz zaczekać chwilę w poczekalni, a ja z nią porozmawiam?

Mama natychmiast wyszła.

– Z nią dzieje się coś niedobrego – powiedziała Meredith, kiedy zostali sami. – Traci kontakt z rzeczywistością. Prawie nie śpi. Dzisiaj włożyła gorący lunch do kieszeni płaszcza i mówiła o sobie w trzeciej osobie. Przejmuje się jakimś lwem i nazywa mnie Olgą. Chyba jej się mylą bajki z rzeczywistością. Wczoraj wieczorem słyszałam, jak opowiadała sama sobie… jakby tata słuchał. Wiesz, że ona zawsze ma depresję w zimie, lecz tym razem to coś więcej. Coś tu nie gra. Może to alzheimer?

– Umysłowo wydaje się w pełni sprawna.

– Ale…

– Przeżywa żałobę. Daj jej trochę czasu.

– Ale…

– Na żałobę nie ma recepty jednakowej dla wszystkich. Każdy przechodzi ją inaczej. Byli razem pięćdziesiąt lat, a teraz została sama. Jeśli możesz, wysłuchaj jej. Jak najwięcej rozmawiajcie. I jak najmniej niech będzie sama.

– Uwierz mi, Jim, ona jest sama niezależnie od tego, czy ja jestem w pobliżu, czy nie.

– Więc lepiej niech będzie sama z tobą.

– Dobrze – westchnęła. – Dzięki, że nas przyjąłeś. Muszę ją teraz odwieźć do domu i wracać do pracy. Mam zebranie o drugiej piętnaście.

– Powinnaś trochę zwolnić tempo. Przepisać ci coś na sen?

Pomyślała, że chciałaby dostać dziesięć dolarów za każdym razem, gdy ktoś – zwłaszcza jej mąż – udziela jej takiej rady. Długo leżałaby na plaży w Meksyku za te pieniądze.

– Dzięki, Jim, ale nie. Spróbuję bardziej zająć się życiem.

Panował potworny upał, właśnie minął miesiąc od wyjazdu z domu. Stała w tłumie zdesperowanych, głodujących uchodźców. Jak okiem sięgnąć, ludzie kulili się przed brudnymi, obwisłymi namiotami. Sytuacja była krytyczna; wiele osób przybyło okaleczonych, często z ranami postrzałowymi, czy zgwałconych, ale niemal wszyscy zachowywali niezwykły wręcz stoicyzm. Upał i kurz ostro dawały się we znaki; szli wiele kilometrów, żeby zdobyć trochę wody, godzinami czekali na niewielką porcyjkę ryżu z Czerwonego Krzyża. W tym kurzu

i pyle bawiły się dzieci. Od czasu do czasu wśród płaczu i jęków rozlegał się ich śmiech.

Nina była tak samo brudna, głodna i zmęczona jak wszyscy tutaj. Już ponad dwa tygodnie mieszkała w obozie, a przyjechała prosto z Sierra Leone, gdzie bez przerwy musiała kryć się w jakichś zakamarkach przed kulami albo gwałcicielami.

Przykucnęła na piaszczystej czerwonej ziemi. Nad obozowiskiem unosił się jednostajny szum, na który składało się brzęczenie owadów, ludzkie głosy oraz pracująca maszyneria. Postrzępiona flaga po lewej stronie sygnalizowała, że tam jest punkt medyczny. Setki rannych i okaleczonych ludzi stały cierpliwie w kolejce, czekając na pomoc.

Niedaleko przed namiotem leżał stary, wychudzony mężczyzna, od wielu godzin trzymany w objęciach przez równie chudą żonę. Stracił nogę i z owiniętego kocem kikuta sączyła się czerwona strużka. Kobieta podtrzymywała go w pozycji półsiedzącej, choć musiał być to dla niej straszny wysiłek. Od czasu do czas podawała mu do ust cenne krople życiodajnej wody.

Nina zakryła obiektyw i wstała. Patrząc na ten obóz, czuła się wyczerpana jak nigdy dotąd. Pierwszy raz w życiu zawodowym tragedia, z którą miała do czynienia, przerastała ją. A przecież nie było tu wcale gorzej niż tam, gdzie bywała przedtem. Nie chodziło zatem o samą sytuację, to w niej coś się zmieniło. Ból po śmierci ojca towarzyszył jej wszędzie i stanowił obciążenie, które nie pozwalało zdystansować się tak jak dawniej.

Wszyscy zawsze uważali, że jej praca polega na byciu tam, gdzie inni strzelają lub umierają z głodu, ale tak naprawdę zdjęcia zależą od tego, co ona ma w sobie, co myśli i co czuje. Aby uchwycić w obiektywie ten jeden jedyny, najwięcej mówiący moment cierpienia, trzeba się naprawdę mocno

skupić. Ty tam jesteś, cała oddana tej chwili, ale chwila należy do nich, bohaterów reportażu.

Wyjęła z torby telefon satelitarny i przeszła parę kroków w kierunku wschodnim. Nastawiła urządzenie, zlokalizowała satelitę i zadzwoniła do Danny'ego.

Sam dźwięk jego głosu zmniejszył dławiący ją ciężar.

– Danny! – wrzasnęła, bo w słuchawce pełno było trzasków.

– Nino, kochanie. Już się bałem, żeś o mnie zapomniała. Gdzie jesteś?

Drgnęła lekko.

– Gwinea. A ty?

– Zambia.

– Jestem wykończona. – Tym wyznaniem zaskoczyła samą siebie. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek głośno przyznała się do czegoś takiego. Nie w pracy.

– Mogę być na wyspie Mnemba w środę.

Niebieska woda. Biały piasek. Lód. Seks.

– Wchodzę w to.

Rozłączyła się i schowała telefon. Zarzuciła torbę na ramię i wróciła do obozu. Przybył nowy konwój ciężarówek Czerwonego Krzyża i właśnie rozpętało się pandemonium przy rozdawaniu żywności. Odsunęła się na bok, ustępując drogi kobietom niosącym skrzynkę z jedzeniem. Gdy doszła do namiotu, przed którym dopiero co robiła zdjęcia, zobaczyła, że mężczyzna w zakrwawionych bandażach umarł. Kobieta cały czas kołysała go w ramionach i coś mu śpiewała.

Przystanęła, sfotografowała tę scenę, lecz tym razem obiektyw nie spełnił funkcji ochronnej tarczy. Kiedy odjęła aparat od oka, rozpłakała się.

Siedząc z tyłu wygodnego klimatyzowanego samochodu, Nina obserwowała przez okno obrazki z Zanzibaru. Wąskie, kręte uliczki roiły się od ludzi: kobiety spowite w tradycyjne wschodnie szaty i zasłony, uczniowie w niebiesko-białych mundurkach, grupki mężczyzn. Stojący na poboczu kramarze handlowali czym się dało: warzywami, owocami, butami do tenisa, mało używanymi bawełnianymi koszulkami. Na skraju dżungli kobiety – przeważnie z dziećmi w chuście na plecach lub z przodu – zbierały goździki. Przy drodze suszyły się przyprawy, stanowiące w lokalnym kolorycie plamy koloru cynamonu.

Gdy taksówka zjechała z głównej trasy w piaszczystą boczną drogę prowadzącą na plażę, Nina musiała mocno trzymać się klamki przy drzwiach. Jechali po bardzo nierównej nawierzchni – wyspa to w zasadzie rafa koralowa – i w każdej chwili mogła strzelić opona. Kierowca zwalniał, przejeżdżając przez wioski leżące pośrodku pustki. Widać tam było bydło zamknięte w prymitywnych zagrodach, kobiety w jaskrawych strojach i zasłonach zbierające drewno, dzieci noszące wodę ze studni, domy małe i ciemne, wzniesione z każdego dostępnego materiału – z patyków, błota, kawałków rafy. Wszystko pokrywał czerwony pył. Na końcu drogi, przy plaży, panował większy ruch. Na płytkiej wodzie kołysały się łodzie z drewna, mężczyźni reperowali sieci rozciągnięte na piasku. Tu i ówdzie kręcili się biednie ubrani mali chłopcy, proponujący pozowanie do zdjęć w zamian za parę dolarów.

Kiedy wsiadała na białą wąską motorówkę, ciągle jeszcze czuła się spięta. Dopiero po chwili ucisk w gardle zelżał. Morze było spokojne, łódź nabierała prędkości, wiatr przyjemnie chłodził twarz, burząc przy tym splątane włosy. Wciągając głęboko w płuca słone powietrze, Nina pomyślała, że naprawdę ma w życiu wiele szczęścia, nawet będąc w żałobie. Może

w każdej chwili zostawić ludzkie dramaty, wsiąść do samolotu i uciec daleko.

Prywatna wyspa Mnemba była niewielkim atolem w archipelagu Zanzibaru. Gdy łódź przybiła do brzegu, powitał ją zarządca Zoltan, czekający z kieliszkiem białego zimnego wina w ręku. Na widok Niny jego ciemna, przystojna twarz rozjaśniła się w uśmiechu:

– Cieszę się, że cię widzę.

Wyskoczyła z łodzi prosto w ciepłą wodę, uważając, żeby przy tym nie zamoczyć torby ze sprzętem.

– Dzięki, Zoltan. Ja też się cieszę, że tu jestem. – Wzięła od niego wino. – Czy Danny już przyjechał?

– Domek numer siedem.

Zarzuciła na ramię torbę z aparatami i ruszyła wzdłuż plaży. Piasek był tak biały jak rafa koralowa, z której powstał, a woda miała niezwykły odcień błękitu. Niemal taki sam jak kolor oczu jej matki.

Na wyspie stało dziewięć domków z wielkimi oknami, krytych strzechą, schowanych przed ludzkim wzrokiem wśród bujnej roślinności. Goście widzieli innych na niej przebywających oraz obsługę jedynie w porach posiłków: w jadalni albo o zachodzie słońca, kiedy na stolikach przy domkach podawano koktajle.

Nina z daleka dostrzegła leżaki z dyskretnie namalowaną siódemką i skierowała się w tamtą stronę. Dwie małe antylopy, nie większe od królików, z rogami ostrymi jak sople, przemknęły przez ścieżkę i zniknęły.

Ujrzała Danny’ego, zanim on ją zobaczył. Siedział w wyplatanym bambusowym fotelu, bose stopy trzymał oparte na niskim stoliku, popijał piwo i czytał. Oparła się o drewnianą barierkę.

– Piwo może nie jest największą atrakcją tutaj, aleby się przydało.

Danny rzucił książkę i wstał. Nawet w spranych szortach koloru khaki, z włosami domagającymi się fryzjera oraz z trzydniowym zarostem wyglądał rewelacyjnie. Porwał ją w ramiona i całował, dopóki nie odepchnęła go ze śmiechem.

– Jestem brudna.

– Nie szkodzi. I tak mi się podobasz. – Ucałował jej umorusaną dłoń.

– Muszę wziąć prysznic. – Zaczęła rozpinać bluzkę.

Ujął jej rękę i poprowadził przez sypialnię, potem korytarzykiem do prysznica na zewnątrz. Stojąc pod strumieniem gorącej wody, ściągnęła stanik, szorty i majtki, kopnęła mokre ubranie na bok. Danny zaczął ją myć. Była to zwykła gra wstępna i kiedy mydlił jej śliskie ciało, wystarczyło lekko go dotknąć, by porwał ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Później, gdy już mogli normalnie oddychać, leżeli przytuleni do siebie na osłoniętym moskitierą łóżku.

– Ojejku, jejku. – Wtuliła głowę w zagłębienie w jego ramieniu. – Zapomniałam już, jacy dobrzy w tym jesteśmy.

– Jesteśmy dobrzy w wielu rzeczach.

– Wiem. Ale w tym jesteśmy naprawdę dobrzy.

Zapadło milczenie, a ona wiedziała, że zaraz usłyszy to, czego wcale nie chciała słuchać.

– Dopiero od Sylvie się dowiedziałem, że twój tata zmarł.

– Co miałam robić? Zadzwonić i wypłakiwać się w słuchawkę? Jęczeć ci, że umiera?

Przesunął się na swoją stronę łóżka, pociągnął ją przy tym za sobą, i teraz leżeli twarzą w twarz. Pogłaskał delikatnie jej krągłe biodro.

– Przecież wiesz, że jestem chłopak z Dublina i dobrze znam to uczucie, gdy się kogoś straci. Siedzi w środku w człowieku

i go zżera. I wiem też, w jaki sposób ludzie od tego uciekają. Nie jesteś jedyna w Afryce z tego powodu.

– Czego ty chcesz od mnie, Danny? O co ci chodzi?

– Opowiedz mi o swoim tacie.

Poczuła się jak w pułapce. Chętnie spełniłaby jego prośbę, ale zwyczajnie nie mogła. Tak intensywnie przeżywała emocje wiążące się z utratą, że bała się tego, co może nastąpić, jeśli je uwolni. Przerażała ją myśl, że wtedy całkiem się pogubi i nigdy nie znajdzie drogi powrotnej.

– Nie umiem. Był dla mnie… wszystkim. Tak sądzę.

– Za to cię kocham – rzekł cicho.

Szkoda, że jej to w żaden sposób nie pocieszyło. Wiedziała, że miłość potrafi być asymetryczna, gdy jedna strona kocha bardziej niż druga. Tyle razy dostrzegała to psie przywiązanie w oczach ojca, kiedy patrzył na mamę. No właśnie. Jak raz się zobaczy coś takiego, trudno zapomnieć. Gdyby Danny kiedykolwiek spojrzał na nią w ten sposób, pękłoby jej serce. I on tak zrobi. Wcześniej czy później. A ona wprawdzie kochała ojca, ale z czasem okaże się, że jest taka jak matka.

– Czy nie możemy po prostu…

– Dobrze, na razie odpuśćmy sobie – westchnął, lecz wiedziała, że na tym się nie skończy.

Myśl, że mogłaby go stracić, dziwnie ją wzburzyła, więc zrobiła to, co zawsze, kiedy emocje stawały się dla niej zbyt intensywne – przesunęła pieszczotliwie ręką po jego nagiej piersi aż do linii włosów biegnącej od pępka, a potem dalej w dół i gdy go dotknęła i poczuła, jaki jest twardy, wiedziała, że należy wyłącznie do niej.

Na razie.

Szary ołów nieba napęczniały jest od chmur. Samotna mewa kołuje w górze, walcząc z wiatrem, i głośno krzyczy. Mała dziewczynka z długimi

mysimi ogonkami z całej siły przebiera chudymi nóżkami, biegnąc za ojcem. Latawiec ślizga się na piasku, okręca się i ucieka, nim go zdąży pochwycić.

– Tato! – krzyczy, wiedząc, że tata jest za daleko i jej nie słyszy. – Jestem tutaj…

Meredith obudziła się spanikowana. Usiadła na łóżku i rozejrzała się nieprzytomnie, mając jednak przy tym pełną świadomość, że go tu nie będzie. Znowu sen. Zmęczona i obolała od przewracania się przez całą noc z boku na bok, wstała ostrożnie, starając się nie obudzić Jeffa. Podeszła do okna i spojrzała w ciemność. Jeszcze nic nie zapowiadało świtu. Skrzyżowała ręce na piersi ciasno, jakby chciała samą siebie zatrzymać czy też powstrzymać. Ostatnio ciągle miała wrażenie, że jej dusza rozpada się, jakby pod wpływem jakiegoś odrażającego duchowego trądu.

– Wracaj do łóżka, Mere.

Nie obejrzała się.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

– Może dzisiaj pośpisz dłużej?

Brzmiało to zachęcająco. Schować się w jego ramionach, opatulić kołdrą i spać, spać. A życie niech się toczy.

– Chętnie, ale nic z tego. – Myślami była już przy tym, co powinna zrobić tego ranka. Skoro i tak nie śpi, może zajrzeć do kwartalnych podatków. W przyszłym tygodniu ma spotkanie z księgowym i musi się do tego przygotować.

Jeff wstał i podszedł do niej. W ciemnej szybie zamajaczyło srebrnoszare odbicie ich twarzy.

– Zajmujesz się wszystkim i wszystkimi, Mere. A kto zajmie się tobą?

Odwróciła się i pozwoliła mu się objąć.

– Ty.

– Ja? – Zabrzmiało to ostro. – Ja jestem tylko pozycją na twojej liście rzeczy do zrobienia.

W innych czasach – może jeszcze w zeszłym roku – powiedziałaby mu, że to nieprawda, przekonywałaby go, ale teraz tak serdecznie miała wszystkiego dosyć, że nie znalazła w sobie siły, aby się tym przejmować.

– Nie teraz, Jeff. – Tylko taka odpowiedź przyszła jej do głowy. – Na razie trudno mi o tym mówić.

– Widzę, jak cierpisz…

– To chyba normalne. Ojciec mi umarł.

– Nie tylko to. Za dużo pracujesz – ciągnął cicho. – I cały czas usiłujesz zwrócić na siebie jej uwagę.

– A co? Mam ją ignorować? A może powinnam rzucić pracę?

– Zatrudnij kogoś. Ona ma w nosie, czy jesteś tam ty, czy ktoś inny. Wiem, że to boli, kochanie, ale nigdy jej to nie obchodziło.

– Nie mogę. Ona mi nie pozwoli. Poza tym obiecałam tacie.

– Chcesz kompletnie dać się zajeździć? Myślisz, że o to tacie chodziło? Czy ona chociaż raz spojrzała na ciebie?

Niestety, miał rację. W takich chwilach żałowała, że są ze sobą tak długo i że on tak wiele wie o niej i tyle widział. Przecież był z nią podczas tamtego przedstawienia, jak też w inne, podobne wieczory. Rozumiał, ile zaznała bólu i goryczy.

– Tu nie chodzi o nią. Dobrze wiesz. Chodzi o mnie. Kim jestem. Nie mogę jej… tak zostawić.

– Pamiętasz, jak tata się martwił? Bał się, że bez niego rodzina się rozpadnie. I słusznie. Rozpadamy się. Ty się rozpadasz i nie pozwalasz sobie pomóc.

– Doktor Burns twierdzi, że za jakiś czas stan mamy się poprawi. Gdy stanie się bardziej samodzielna, obiecuję, że zatrudnię kogoś. Dobrze?

– Naprawdę obiecujesz?

Pocałowała go lekko w usta. Uff, po rozmowie. Na razie.

– Wrócę na śniadanie. Zrobię omlet z owocami. Zjemy spokojnie we dwoje.

Wysunęła się z jego objęć i poszła do łazienki. Coś jeszcze mówił, lecz dotarło do niej tylko: „Martwię się". Zamknęła drzwi.

Przebrała się w strój do biegania i zeszła na dół. Nastawiła kawę, wzięła psy i wyszła z domu prosto w zimną lutową ciemność.

Dziś dała sobie o wiele większy wycisk niż zwykle. Wysiłek był jej bardzo potrzebny. Fizyczne zmęczenie łatwiej znieść niż ból w sercu. Psy poszczekiwały i bawiły się ze sobą; od czasu do czasu wbiegały w zaspy obok drogi, ale szybko wracały. Nim zrobiła trasę do pola golfowego i z powrotem, dolinę ozłocił świt. Już od prawie dwóch tygodni nie padało i wierzchnia warstwa śniegu zdążyła stwardnieć; lśniła teraz w słabym słońcu.

Dobiegła do domu rodziców i tam nakarmiła psy. Była to pierwsza z wielu zmian w zwykłym rozkładzie dnia. Zdjęła buty do biegania, nastawiła w kuchni samowar i poszła na górę. Miała rumieńce na twarzy i lekką zadyszkę po biegu, kiedy otwierała drzwi sypialni.

Łóżko zastała puste.

– Cholera!

Zimowy ogród. Matka siedziała na ławce, ubrana w koronkową koszulę nocną, którą dostała od ojca na Gwiazdkę w zeszłym roku, i otulona niebieskim moherowym kocem. Dolna warga lekko krwawiła, jak od zagryzania. Na nogach miała tylko pończochy, przemoczone i brudne.

Meredith usiadła obok i nieśmiało dotknęła jej dłoni, bojąc się cokolwiek powiedzieć. Ręka była zimna, bardzo zimna.

– Chodź, mamo, musisz coś zjeść.

– Jadłam wczoraj.

– Wiem. Chodź. – Wzięła ją za rękę i pomogła wstać. Musiała tu siedzieć długo, bo zesztywniałe ciało prostowało się z oporami.

Po chwili matka odzyskała zwykłą sprawność, a wtedy po prostu zostawiła córkę i poszła w stronę domu.

Meredith spokojnie ruszyła za nią.

Z kuchni zadzwoniła do męża, że nie przyjdzie na śniadanie.

– Mama znowu siedziała w ogrodzie – wyjaśniła. – Lepiej zrobię, jak dziś popracuję tutaj.

– Proszę, co za niespodzianka!

– Daj spokój Jeff. Bądź wyrozumiały…

Odłożył słuchawkę.

Dotknięta tym, od razu zadzwoniła do Jillian. Pogadały o szkole, o Los Angeles i o pogodzie. Meredith słuchała z rosnącym niedowierzaniem. Jak to się stało, że ostatnio coraz częściej słyszy w słuchawce głos dorosłej kobiety, mówiącej o chemii, biologii i zajęciach w laboratorium? Jak to jest z tym dorastaniem i zmianami w życiu? Gdzie się podziała ta niedawna Jillian, pulchna dziewczyneczka z kolejarskimi zębami, która potrafiła bez końca gapić się na pączki jabłoni i czekać, aż się rozwiną? „Już, już, mamusiu. Zaraz będzie kwiatek. Czy możesz zawołać dziadka?”.

Nauka prowadzenia samochodu w wypadku Jillian trwała około dziesięciu minut. „Przeczytałam instrukcję, mamo. Nie męcz się. Możesz mi zaufać”.

– Kocham cię, Jillie – powiedziała Meredith, uświadamiając sobie sekundę za późno, że przerwała córce fascynującą ją opowieść o enzymach. Czy też o eboli. Zaśmiała się. Przyłapano ją na tym, że nie słucha. – I jestem naprawdę dumna z ciebie.

– Pewnie wprawiłam cię w stan śpiączki, co?

– Tylko w głęboki sen.

Jillian roześmiała się.

– Dobra, mamo. Muszę pędzić. Kocham cię.

– A ja kocham ciebie, słonko.

Odłożyła słuchawkę. Czuła się o wiele lepiej. Znowu była cała, a nie w kawałkach. Rozmowa z córkami zawsze stanowiła najlepszą receptę na smutek. Oczywiście nie wtedy, gdy to właśnie treść rozmowy stawała się przyczyną smutku…

Tego dnia pracowała w kuchni przy stole. Wyliczyła podatki, przeczytała sprawozdania i sprawdziła koszty ponoszone na magazynowanie, a poza tym namawiała mamę do jedzenia, dzwoniła w jej sprawach, zrobiła pranie.

O ósmej, kiedy już pozmywała i posprzątała po kolacji, poszła do salonu.

Matka siedziała w ulubionym fotelu ojca i robiła na drutach. Na robótkę padało światło stojącej obok lampy, a w jego blasku twarz wydawała się dziwnie miękka i łagodna, na co córka od dawna już się nie nabierała. Świeca na domowym ołtarzyku syknęła i posłała w górę spiralę dymu.

Mama miała oczy wpółprzymknięte, ale palce trzymające druty cały czas się poruszały. Długie rzęsy rzucały cień na blade policzki, nadając twarzy smutny i trochę niesamowity wygląd.

– Czas do łóżka, mamo. – Meredith starała się, aby w jej słowach nie było ani zniecierpliwienia, ani zmęczenia. Zapaliła górne światło, niwecząc tym przytulność pokoju.

– Sama dobrze wiem, co mam robić – obruszyła się matka.

I znów się zaczęło namawianie bez końca, żeby poszła na górę. Potem spierały się o wszystko: o mycie zębów, przebranie się w koszulę nocną, zdjęcie pończoch.

Dopiero po dziewiątej zapakowała matkę do łóżka. Otuliła ją kołdrą, tak jak kiedyś robiła to z Jillian i z Maddy.

– Śpij dobrze. I niech ci się tata przyśni – rzekła serdecznie.

– Sny bolą.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Więc niech ci się przyśni twój ogród. Niedługo zakwitną krokusy.

– Czy można je jeść?

To właśnie zdarzało się ostatnio; w jednej chwili matka była i patrzyła przytomnie niebieskimi oczami, a potem nagle znikała i pojawiała się ta dziwna, obca osoba.

Meredith chciała wierzyć, że za chwilowym zagubieniem kryje się przeżywanie żałoby. I że z czasem te objawy miną.

Jednak powtarzało się to niemal co dzień i za każdym razem mama sprawiała wrażenie kompletnie oderwanej od rzeczywistości. Meredith w końcu straciła wiarę w diagnozę doktora Burnsa. Bała się, że to alzheimer, a nie żałoba. Jak inaczej wytłumaczyć nagłą obsesję na punkcie skórzanych butów i kostek masła (znajdowała je teraz pochowane po całym domu) oraz lwa z bajki, o którym matka co rusz mówiła coś przedziwnego.

Zaczęła uspokajać tę dziwną istotę leżącą w tej chwili w łóżku zamiast matki.

– Ależ, mamo. Przecież na dole mamy mnóstwo jedzenia.

– Zdrzemnę się chwilę, a potem pójdę na dach.

– Bardzo cię proszę, żadnego wchodzenia na dach – poprosiła ze znużeniem.

Mama westchnęła i zamknęła oczy. Po chwili usnęła.

Meredith pozbierała porozrzucane na podłodze koce i inne rzeczy.

Na dole przygotowała pranie na następny dzień i naszykowała do wysłania paczki z jedzeniem dla Jillian i Maddy.

Kiedy skończyła, była dziesiąta.

Po powrocie zastała Jeffa w gabinecie pracującego nad książką.

– Hej! – powiedziała.

Nie odwrócił się.

– Hej.

– Jak idzie?

– Świetnie.

– Ciągle jeszcze nie przeczytałam.

– Wiem. – Teraz się odwrócił.

Posłał jej częste ostatnio spojrzenie, wyrażające rozczarowanie. Nagle zobaczyła ich oboje jakby z boku, z zupełnie innej perspektywy.

– Czy my mamy problemy, Jeff?

Pytanie najwyraźniej przyniosło mu ulgę, jakby na nie czekał.

– Tak.

– Aha. – Znów go rozczaruje, bo skoro poruszyła temat, pewnie będzie chciał rozmawiać. A ona kompletnie nie wiedziała, co powiedzieć. I zupełnie nie miała w tej chwili na rozmowę ochoty. Mama popada w obłęd, a jej mąż uważa, że to oni mają problemy.

Wiedziała, że źle robi, ale nie umiała inaczej. Wyszła z gabinetu – odprowadzana znów tym pełnym smutku i zawodu spojrzeniem – i udała się na górę do małżeńskiej sypialni. Rozebrała się, włożyła wysłużoną bawełnianą koszulkę i wlazła do łóżka. Dwa proszki nasenne powinny wystarczyć, lecz nie wystarczyły, i kiedy mąż później przyszedł się położyć, doskonale wiedziała, iż on wie, że ona nie śpi.

Przysunęła się bliżej, przywarła do jego pleców i szepnęła:

– Dobranoc.

To za mało, tyle co nic. Oboje o tym wiedzieli. Rozmowa, której tak potrzebowali, wisiała nad nimi jak gradowa chmura nabierająca coraz większej masy.

7

W połowie lutego w pejzażu zagościła pierwsza nieśmiała zieleń, sygnał buntu przyrody przeciwko zimie. W ciągu jednej nocy rozkwitły białe krokusy i przebiśniegi, a ich grube aksamitne łodyżki dzielnie się przebijały przez lśniącą śniegową kołderkę.

Codziennie Meredith przyrzekała sobie, że pomówi z Jeffem, lecz za każdym razem działo się coś, co kierowało jej uwagę na całkiem inne tory. Prawda zaś była taka, że nadal nie paliła się do tej rozmowy. Wystarczająco dużo zwaliło jej się na głowę, a w dodatku matka coraz bardziej zapadała się w siebie i zachowywała coraz dziwniej. Małżonkowie o krótszym stażu pewnie by nie rozumieli, jak można w ten sposób ignorować oczywiste problemy w związku i nie wyjaśnić ich przyczyny, ale każda kobieta zamężna od ponad dwudziestu lat wie, że jeśli nie mówi się o kłopotach, to one jakby znikają.

Przeżyć kolejny dzień – oto jej sposób na przetrwanie. Jak alkoholik, który powstrzymuje się od sięgnięcia po pierwszego drinka, mąż i żona mogą po prostu unikać wypowiedzenia pierwszego zdania rozpoczynającego rozmowę.

Ale rozmowa wciąż wisiała nad nimi i zatruwała atmosferę. Dziś Meredith postanowiła ostatecznie załatwić sprawę.

Z biura wyszła wcześnie, już o piątej, i odpuściła sobie wszystko, co zaplanowała zrobić po drodze do domu. Pranie z pralni chemicznej może odebrać później, a z zakupów

zrezygnować, w końcu nic się nie stanie. Pojechała prosto do matki i zaparkowała pod domem.

Jak się spodziewała, zastała mamę w zimowym ogrodzie. Miała na sobie dwie koszule nocne i na to narzucony koc.

Gdy podeszła bliżej, usłyszała, że matka cichym, melodyjnym głosem mówi coś o bardzo głodnym lwie.

Znowu bajka. W samotności opowiadała bajki ukochanemu mężczyźnie.

– Cześć, mamo. – Odważyła się położyć dłoń na jej ramieniu. Ostatnio się przekonała, że w takich chwilach może sobie na to pozwolić, i czasem to nawet pomaga przywrócić ją do rzeczywistości. – Na dworze jest zimno. I niedługo się ściemni.

– Nie każ Anji iść samej. Ona się boi.

Westchnęła. Już miała coś powiedzieć, ale zauważyła nową miedzianą kolumnę stojąca obok zaśniedziałej starej.

– O, kiedy ją sprowadziłaś, mamo?

– Szkoda, że nie mam dla niego cukierka. On uwielbia cukierki.

Cierpliwie pomogła matce wstać i zaprowadziła ją do jasnej, ciepłej kuchni. Zrobiła filiżankę gorącej herbaty, podgrzała zupę.

Matka drżała z zimna i kuliła się na krześle. Dopiero gdy Meredith podała jej kromkę chleba z masłem i z miodem, podniosła głowę.

– Twój ojciec uwielbia chleb z miodem.

Meredith zrobiło się w tym momencie bardzo smutno. Ojciec miał alergię na miód i fakt, że mama zapomniała coś tak podstawowego, był chyba jeszcze gorszy niż użycie czasu teraźniejszego.

– Szkoda, że nie mogę o nim z tobą porozmawiać – powiedziała raczej do siebie niż do matki. Zwłaszcza teraz bardzo jej go brakowało. Tylko jemu mogłaby się zwierzyć ze

swoich małżeńskich problemów. Wziąłby ją za rękę, poszliby do sadu i rzekłby coś, co powinna usłyszeć. – On by mi doradził, co robić.

– To proste – odparła matka, odrywając kawałek chleba i chowając do kieszeni. – Powiedz im, że ich kochasz. Tylko to się liczy. I daj im motyla.

Nigdy jeszcze Meredith nie czuła się równie samotna jak w tym momencie.

– Racja, mamo. Dziękuję.

Póki mama jadła, doprowadziła kuchnię do ładu. Potem poszły na górę i pomogła jej umyć zęby, tak jak myła córkom, kiedy były małe. Podobnie jak one, matka pokornie się temu poddawała. Jednak gdy chciała ją przebrać na noc, zaczęła się zwykła wojna.

– Mamo, musisz zdjąć te koszule. Są brudne. Włożysz czystą.

– Nie.

Tym razem przekraczało to jej siły, zbyt ciężki dzień miała za sobą, żeby się wykłócać. Ustąpiła i pozwoliła matce położyć się w brudnej koszuli.

Zaczekała, dopóki nie zaśnie i nie zacznie cichutko pochrapywać, po czym zeszła na dół i zamknęła dom na noc.

Dopiero w samochodzie, jadąc do domu, przypomniała sobie, co matka jej powiedziała.

„To proste. Powiedz im, że ich kochasz. Tylko to się liczy”.

Rada może i została wypowiedziana w chwili obłędu, lecz mimo to była dobra.

Kiedy Meredith ostatni raz mówiła coś takiego Jeffowi? Dawniej to wydawało się im normalne, ale nie ostatnio.

Jeżeli chce podjąć tę rozmowę i naprawić to, co się między nimi popsuło, musi zacząć od tych dwóch słów.

Zaraz od progu zawołała Jeffa, lecz nie było odpowiedzi.

Nie ma go jeszcze. Jest więc czas, żeby się przygotować.

Uśmiechając się do własnych myśli, poszła na górę, wzięła prysznic i dopiero gdy sięgnęła po golarkę, uświadomiła sobie, że dawno już nie goliła nóg. Jak mogła się tak zaniedbać?

Wysuszyła i zakręciła włosy, umalowała się, włożyła jedwabną piżamę, od dawna nieużywaną. Bosa, pachnąca balsamem do ciała o zapachu gardenii, otworzyła szampana. Nalała sobie kieliszek i poszła do salonu. Tu zapaliła ogień w kominku i usiadła na kanapie, czekając na męża.

Oparta wygodnie o miękkie poduszki, wyciągnęła stopy na niskim stoliku. Zamknęła oczy. Myślała o tym, co mu jeszcze powie, jakich słów dobierze.

Obudziło ją szczekanie psów, które jeden przez drugiego popędziły do drzwi.

Kiedy wszedł, opadły go, witając radośnie. Bardzo starały się nie skakać, i tylko ogony waliły twardo w podłogę.

– Cześć – odezwała się.

Nie odrywał wzroku od Lei, którą właśnie drapał za uszami.

– Cześć, Mere.

– Masz ochotę na drinka? – spytała. – Moglibyśmy, no wiesz… porozmawiać.

– Boli mnie dziś głowa. Chyba wezmę prysznic i się położę.

Powinna ponowić propozycję, może by zmienił zdanie. Usiedliby i na spokojnie załatwili wreszcie to, co budziło w niej taki opór.

Pewnie by go przekonała, jednak w końcu przeważyła niechęć do tej rozmowy. Zresztą co za różnica dziś czy jutro? A Jeff był naprawdę zmęczony, któż to lepiej zrozumie niż ona? Kiedy indziej mu okaże, że go jeszcze kocha.

– W porządku – odparła. – Właściwie to ja też jestem wykończona.

Położyli się razem, wtuliła się w niego. Pierwszy raz od miesięcy zapadła w głęboki, pozbawiony marzeń sen.

O piątej czterdzieści pięć obudził ją telefon. Pierwszą myślą było: Coś się stało! Serce zabiło mocniej.

Chwyciła słuchawkę.

– Halo?

– Meredith? Tu Ed. Przepraszam, że tak wcześnie.

Zapaliła nocną lampkę.

– To z pracy – szepnęła do Jeffa i oparła się o zagłówek.

– Co się stało, Ed?

– Chodzi o twoją matkę. Jest w sadzie. Na polu A. Ona… ciągnie te wasze stare sanki.

– Cholera! Zajmij się nią, proszę. Zaraz tam będę. – Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Zaczęła biegać po pokoju, nerwowo szukając ubrań.

– Co jest? – Jeff podniósł się na łokciu.

– Moja osiemdziesięcioletnia mamusia wybrała się na sanki. Ale ja się mylę. Ona nie ma alzheimera. To tylko żałoba.

– No, tak.

– A mówiłam Jimowi. – Wkładała właśnie spodnie od dresu znalezione na podłodze w garderobie. – Trzy razy ją badał w ciągu tego miesiąca, ale wtedy zawsze była przytomna i gadała do sensu. Żałoba, akurat. Tylko dlaczego zawsze przy mnie dostaje obłędu?

– Potrzebuje profesjonalnej opieki.

Porwała z krzesła torebkę i wybiegła bez słowa.

Tej wiosny Meredith i Jeff przeważnie milczeli. Oboje wiedzieli, że mają problem – widać to było w ich spojrzeniach, w unikaniu kontaktu fizycznego, w wymuszonych uśmiechach – ale żadne nie poruszało tego tematu. Całe dnie pracowali, potem buzi na dobranoc, o świcie znów każde ruszało w swoją

stronę. Mamie natomiast to dziwne zapadanie się w siebie zdarzało się teraz rzadziej. Do tego stopnia, że Meredith zaczęła mieć cichą nadzieję, iż jednak doktor Burns ma rację, i w końcu jej się polepszy.

Schowała ołówki i długopisy do szuflady i wcisnęła interkom.

– Daisy, idę na lunch. Powinnam wrócić za godzinę.

– Oczywiście.

Włożyła kurtkę z kapturem i zeszła do samochodu.

Był koniec marca i piękny dzień, co znacznie polepszało nastrój. Ciepły front, który w zeszłym tygodniu przeszedł przez dolinę, ostatecznie rozprawił się ze starą brzydką zimą. Słońce zostawiło w krajobrazie trwałe ślady: po obu stronach drogi płynęły błękitne strumyki topniejącego śniegu, a z budzących się do życia jabłoni kapały lśniące kropelki, tworzące misterne wzory na ostatnich płachtach mokrego śniegu.

Podjechała pod dom, wysiadła i podeszła do ogrodzenia. Pomachała do pracownika w kombinezonie sprawdzającego w sadzie piecyki olejowe do podgrzewania drzew. Napływały stamtąd obłoki gęstego czarnego dymu, aż trzeba było zasłaniać nos i usta.

W progu zawołała:

– Mamo, to ja! – Zdjęła płaszcz.

W kuchni stanęła jak wryta.

Matka stała na szafce, trzymając w ręku kawałek gazety i taśmę klejącą.

– Mamo! Co ty wyprawiasz! Zejdź zaraz. – Podbiegła, żeby jej pomóc. – Podaj mi rękę.

Matka była bardzo blada i potargana. Na sobie miała co najmniej cztery warstwy kompletnie przypadkowych ubrań, za to stopy bose. Na gazie coś intensywnie bulgotało w garnku.

– Muszę iść do banku – oznajmiła. – Trzeba podjąć pieniądze, póki czas. Nie mamy już nic do sprzedania.

– Ty… masz pokaleczone ręce. Coś ty robiła?

Spojrzenie mamy poszybowało w stronę jadalni.

Meredith poszła tam, mijając po drodze zimny samowar i pusty koszyk na owoce. Duży olejny obraz przedstawiający zachód słońca nad Newą został zdjęty ze swego miejsca i stał oparty o stół. Ze ścian zwisały pooddzierane pasy tapety. Miejscami widać było ciemne plamy. Zaschnięta krew? Czyżby matka tak gorączkowo zdrapywała tapetę, że zdarła sobie skórę na palcach? Oddarte paski, włożone do misy stojącej na stole, przypominały dziwaczną dekorację ze zwiędłych kwiatów.

Na kuchence coś się cały czas intensywnie gotowało. Meredith podeszła i zgasiła palnik. W gorącej wodzie pływały skrawki tapety.

– Co jest…?

– Będziemy głodni – zapowiedziała mama.

Meredith obejrzała jej zakrwawione ręce.

– Chodźmy. Umyjesz się. Dobrze?

Matka jakby nie słyszała. Coś mruczała pod nosem o banku i o pieniądzach, że koniecznie musi je mieć, ale w końcu dała się zaprowadzić na górę do łazienki, gdzie znajdowała się apteczka. Meredith posadziła ją na zamkniętym sedesie i uklęknąwszy przed nią, przemyła pokaleczone dłonie. Czubki palców wyglądały jak ponacinane nożem. Takie zranienia nie mogły powstać podczas zdzierania tapety. To były wyraźne nacięcia.

– Mamo, co się stało?

Matka patrzyła nieprzytomnie.

– Pełno tu dymu. I słyszałam strzał.

– To piecyki olejowe w sadzie. Przecież wiesz. Pewnie Melvinowi strzeliła rura wydechowa w ciężarówce. Właśnie przyjechał i je sprawdza.

– Piecyki? – zdziwiła się matka.

Meredith opatrzyła zranienia i zaprowadziła matkę do łóżka. Na szafce obok leżał zakrwawiony nóż modelarski. A więc jednak zrobiła to umyślnie.

O Boże!

Zaczekała, aż matka zaśnie. Zeszła na dół i obejrzała dokładnie wszystkie szkody – rozgotowana tapeta, zniszczone ściany, przedziwna dekoracja stołu. Wystraszyła się nie na żarty. Wybiegła na werandę. Melvin właśnie odjeżdżał. Musiała z całej siły nad sobą zapanować, żeby nie zacząć głośno krzyczeć.

Z komórki zadzwoniła do Jeffa do pracy.

– Cześć, Mere. O co chodzi? Właśnie miałem…

– Potrzebuję cię, Jeff – powiedziała cicho, przerażona, że zaraz całkiem się rozklei. Tak się starała, żeby wszystko było jak należy. Usiłowała spełnić obietnicę daną ojcu, a jednak zawiodła na całej linii. I nie jest już w stanie dalej radzić sobie sama.

– Co się stało?

– Mama tym razem pojechała po bandzie. Czy możesz przyjechać?

– Będę za dziesięć minut.

– Dzięki.

Zadzwoniła do doktora Burnsa i poprosiła, żeby natychmiast przyjeżdżał. Nie zawahała się użyć słowa „wypadek”. Sytuacja zdecydowanie kwalifikowała się do tej kategorii.

Gdy tylko lekarz obiecał, że zaraz się zjawi, zadzwoniła do Niny. Nie miała pojęcia, która godzina może być teraz w Botswanie albo w Zimbabwe, czy gdzie tam siostra była. Jedno wiedziała. Zaraz jej powie wprost: „Nie radzę sobie sama”.

Ale Nina nie odebrała. Tylko dźwięczny głosik oznajmił:

– Cześć, dzięki za telefon. Bóg raczy wiedzieć, gdzie teraz jestem, zostaw, proszę, wiadomość, a oddzwonię, kiedy tylko będę mogła.

Piiip.

Rozłączyła się, nie zostawiając wiadomości.

Jaki byłby w tym sens?

Chwilę stała z telefonem w ręku, patrząc na wolno rozpraszający się dym. Nieważne, że szczypał w oczy. I tak płakała. Nie umiałaby nawet powiedzieć, w którym momencie popłynęły łzy. Co to ma za znaczenie zresztą.

Zgodnie z obietnicą, Jeff zjawił się w ciągu niecałych dziesięciu minut. Wysiadł z samochodu i podszedł do niej, otwierając szeroko ramiona. Pozwoliła się objąć i przytulić.

– Co zrobiła? – spytał.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo z domu dobiegł huk.

Natychmiast tam pobiegli.

Matka leżała na podłodze w jadalni, w jednej ręce ściskała kurczowo pas tapety, drugą trzymała się za kostkę. Obok leżało przewrócone krzesło. Musiała spaść.

Meredith nachyliła się i obejrzała kostkę, która już zaczynała puchnąć.

– Przenieśmy ją do salonu i połóżmy na otomanie.

Jeff pochylił się nad teściową.

– Cześć, Anju – rzekł łagodnie, a Meredith od razu przypomniała sobie, jakim był cudownym ojcem i jak łatwo sprawiał, że z buzi córeczek znikały łzy, a pojawiał się uśmiech. To naprawdę dobry człowiek; w końcu mama od lat dawała mu niezłą szkołę, traktując go milcząco i wyniośle, a jednak okazywał jej serce. – Zaniosę cię do salonu, dobrze?

– Kim jesteś? – spytała mama, wpatrując się jak w transie w jego szare oczy.

– Jestem twoim księciem, pamiętasz?

Od razu się uspokoiła.

– A co masz dla mnie?

Jeff uśmiechnął się.

– Dwie róże. – Wziął ją na ręce i zaniósł do salonu.

– Przyniosłam lód – powiedziała Meredith. – Zrobię zimny okład, dobrze? Oprzyj nogę na poduszce.

– Dzięki, Olgo.

Meredith dała znak mężowi i wyszli do kuchni.

– Spadła z krzesła? – spytał, patrząc na zdewastowany pokój.

– Na to wygląda.

– Hm.

– No, właśnie. – Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

W tym momencie podjechał samochód. Meredith z ulgą wyszła na spotkanie lekarza.

Widać było, że bardzo się śpieszył, bo w ręku trzymał niedojedzoną kanapkę.

– Dzień dobry. Co się stało?

– Mama zrywała tapetę ze ściany i spadła z krzesła. Ma mocno spuchniętą kostkę – wyjaśniła Meredith.

Doktor położył kanapkę na stoliku.

– Obejrzyjmy.

Kiedy weszli do salonu, matka siedziała i robiła na drutach, jakby nigdy nic, jakby przed chwilą nie gotowała tapety i nie pocięła się naumyślnie nożem.

– Dzień dobry, Anju – przywitał ją lekarz. – Co się tutaj stało?

Mama posłała mu ten swój zniewalający uśmiech. Błękitne oczy były całkowicie przytomne.

– Robiłam mały remoncik w jadalni i upadłam. Bez sensu.

– Remoncik? Dlaczego akurat teraz?

Wzruszyła ramionami.

– Kobiecy kaprys.

– Mogę obejrzeć kostkę?

– Naturalnie.

Delikatnie zbadał kostkę i zabandażował ją.

– Prawie nie boli – oświadczyła.

– A ręce? – Uważnie obejrzał czubki palców. – Przecięłaś je czymś?

– Bzdura. To przy remoncie. Mówiłam przecież.

Dłuższą chwilę jej się przyglądał, po czym uśmiechnął się dobrodusznie.

– Zaniesiemy cię z Jeffem do pokoju.

– Dobrze.

– Meredith, ty zostań tutaj.

– Chętnie – odparła.

Niespokojnie patrzyła, jak wnoszą matkę po schodach, a potem zaczęła przemierzać pokój w tę i z powrotem. Gryzła bezmyślnie paznokieć, aż pojawiła się krew.

Panowie zeszli na dół.

– No i? – spytała.

– Kostka jest skręcona. Wydobrzeje, jeśli nie będzie jej nadwerężać.

– Nie o to pytam – odparła. – Widziałeś jej palce? Przy łóżku leżał nóż modelarski. Boję się, że zrobiła to umyślnie. To musi być alzheimer. Albo jakiś inny rodzaj demencji. Co robić?

Lekarz wolno kiwał głową, zbierając myśli.

– Jest taki zakład w Wenatchee. Mogliby ją tam wziąć na miesiąc czy sześć tygodni. Jako oficjalny powód podalibyśmy rehabilitację po skręceniu kostki, żeby ubezpieczenie pokryło. W tym wieku takie rzeczy wolno się goją. Nie jest to długofalowe rozwiązanie, ale da jej… a przede wszystkim tobie… trochę czasu, żeby się pozbierać. Możliwe, że dobrze jej zrobi wyjazd z domu, z którym łączy ją tyle wspomnień.

– Czy to jest dom opieki? – spytała Meredith.

– Wiem, że nikt nie lubi domów opieki – odparł lekarz. – Ale czasem jest to najlepsze rozwiązanie. Z tym że na krótko. Pamiętaj.

– Czy możesz jej powiedzieć, że pojedzie tam ze względu na rehabilitację? – spytał Jeff, a Meredith miała ochotę go uściskać. Za to, że rozumiał, jak trudna jest to dla niej decyzja.

– Oczywiście.

Meredith westchnęła. Wiedziała, że nieraz wróci myślami do tej chwili i wtedy będzie się na siebie wściekać. Ojciec nigdy by na coś takiego nie pozwolił i nie pochwalałby jej decyzji. Z drugiej jednak strony bardzo by jej to pomogło.

„Śpi na dworze… zdziera tapety… spada z krzesła… co będzie dalej?”.

– Boże, zmiłuj się – szepnęła, czując się bardzo samotnie, mimo że Jeff stał tuż obok. Kto by pomyślał, że jedna decyzja może tak bardzo oddalić od innych ludzi. – Zgoda.

Tej nocy nie mogła spać. Leżała, nasłuchując klikania cyfrowych minut na zegarze.

To nie była dobra decyzja. Egoistyczna. W dodatku to ona ponosiła za nią pełną odpowiedzialność.

Wprost marzyła, żeby zapaść w sen, żeby choć trochę się odprężyć. Ale nic z tego. O drugiej przestała udawać, że śpi, i wstała.

Zeszła na dół i przeszła się po ciemnym, cichym domu, szukając czegoś, co by pomogło zasnąć lub przynajmniej zająć czymś myśli. Telewizja, książka, filiżanka herbaty…

Jej wzrok padł na telefon. Właśnie tego potrzebowała tak naprawdę. Poparcia Niny. Jeśli Nina się zgodzi, połowa odpowiedzialności przypadnie na nią.

Wybrała numer komórki siostry i usiadła na kanapie.

– Halo? – odezwał się głos z wyraźnym akcentem.

Irlandczyk – pomyślała. – Albo Szkot.

– Halo? Chciałam mówić z Niną Whitson. Czy to dobry numer?

– Tak. To jej telefon. A z kim mam przyjemność?

– Meredith Cooper. Jestem jej siostrą.

– Miło mi. Daniel Flynn. Pewnie słyszałaś o mnie.

– Nie.

– Dziwne. Jestem… dobrym znajomym twojej siostry.

– Od kiedy, Danielu Flynn?

Śmiech miał niski i dudniący. Seksowny jak cholera.

– Daniel to był mój ojciec, straszne skąpiradło. Ja jestem Danny.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Danny.

– Od czterech i pół roku. Jak w pysk strzelił.

– I nigdy nie wspomniała o tobie ani nie przywiozła cię do domu?

– Szkoda, co? Nic, fajnie się gada, ale twoja siostra łypie na mnie złym okiem, więc już oddaję słuchawkę.

Pożegnała się i po chwili usłyszała jakieś szmery, jakby ktoś komuś wyrywał telefon.

Kiedy Nina odezwała się wreszcie, była trochę zadyszana i roześmiana.

– Cześć, Mere. Co się dzieje? Jak mama?

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. Nie jest z nią dobrze. Ostatnio zachowuje się dziwnie. Nazywa mnie Olgą i sama sobie opowiada bajki, jakby to było dla niej coś bardzo ważnego.

– A co na to lekarz?

– Uważa, że to żałoba, ale…

– Bogu dzięki. Nie chciałabym, żeby skończyła jak biedna ciocia Dora w jakimś beznadziejnym domu opieki. Pamiętasz? Tylko jadła żelki i w kółko oglądała teleturnieje.

Meredith drgnęła.

– Upadła i skręciła sobie kostkę. Na szczęście akurat byłam, lecz nie zawsze mogę być.

– Jesteś święta, Mere. Naprawdę.

– Nie, nie jestem.

– To samo powiedziała mi Matka Teresa.

– Ja nie jestem Matką Teresą.

– Owszem, jesteś. To jak się zajmujesz mamą i zarządzasz sadem… Tata byłby dumny.

– Nie mów tak – odparła szeptem, bo głos odmawiał jej posłuszeństwa. Pożałowała, że zadzwoniła.

– Wiesz co, Mere? Nie mogę długo gadać, bo zaraz wychodzimy. Masz jeszcze coś ważnego?

To był odpowiedni moment: mogła albo wyrzucić z siebie prawdę i usłyszeć wyrok (święta Mere pakująca matkę do domu opieki), albo nie mówić nic. A jeśli Nina się nie zgodzi? Dotąd nie brała pod uwagę takiej możliwości. Jeśli nie otrzyma wsparcia od siostry, będzie jeszcze gorzej. Nie zniosłaby, gdyby Nina zarzuciła jej egoizm.

– Nie, nic ważnego. Poradzę sobie.

– Dobra. Pamiętaj, że przyjeżdżam na urodziny taty.

– Świetnie – odparła Meredith, choć zrobiło jej się słabo. – Do zobaczenia.

Nina odpowiedziała: „Do widzenia”, i na tym skończyła się rozmowa.

Meredith odłożyła słuchawkę. Z westchnieniem zgasiła światło, poszła na górę i położyła się obok męża.

„…w jakimś beznadziejnym domu opieki…”.

„Święta Mere”.

Długo patrzyła przed siebie w ciemność, starając się nie myśleć o odwiedzinach u cioci Dory.

Była przekonana, że w ogóle nie udało się jej zasnąć, ale to budzik zerwał ją na równe nogi. Dopiero o siódmej.

Jeff stał przy łóżku z filiżanką kawy w ręku.

– Dobrze się czujesz?

Chciała powiedzieć: nie. I się wykrzyczeć. Może nawet się rozpłakać. Ale co by to dało? Najgorsze, że Jeff wiedział. Znowu posłał jej to swoje smutne spojrzenie, mówiące: czekam, że będziesz mnie potrzebować. Gdyby wyznała mu prawdę, wziąłby ją za rękę, pocałował i zaczął przekonywać, że postępuje słusznie. A wtedy by przegrała.

– Tak, jak najbardziej.

– Wiedziałem, że tak powiesz. – Cofnął się nieco. – Musimy zdążyć tam za godzinę. Mam spotkanie o dziewiątej.

Kiwnęła głową i odgarnęła włosy z twarzy.

– Dobrze.

Robiła wszystko jak zwykle, jakby to był normalny dzień, lecz kiedy wreszcie usiadła za kierownicą, nagle straciła całą zdolność udawania. Przed oczami stanęła jej prawda o tej decyzji.

Jeff wziął furgonetkę i w dwa samochody zajechali pod dom mamy.

Gdy weszli, stała w salonie przed swoim ołtarzykiem. W prostej sukience z czarnej wełny i białym jedwabnym szalu na ramionach wyglądała naprawdę elegancko. Sprawiała przy tym wrażenie osoby całkowicie zdrowej. Wyprostowana, z wysoko upiętymi, białymi jak śnieg włosami. Kiedy się do nich odwróciła, w lodowato błękitnych oczach nie było cienia obłędu.

Meredith straciła pewność siebie, znów ogarnęły ją wątpliwości.

– Proszę też przewieźć ołtarzyk – poleciła mama. – Świeca musi się palić. – Wzięła kule, które zostawił doktor, i pokuśtykała w stronę przedpokoju.

– Naprawdę potrzebujesz pomocy – powiedziała Meredith, gdy mama ich mijała. – A ja nie mogę tu być cały czas.

Słowa te nie zrobiły na matce najmniejszego wrażenia, a jeśli nawet, to nie dała nic po sobie poznać. Szła dalej, w stronę drzwi frontowych.

– Moja torba jest w kuchni – rzuciła przez ramię.

Meredith powinna znać ją na tyle, by nie spodziewać się rozgrzeszenia. Przecież i tak nigdy nie dostanie tego, czego normalnie się od matki oczekuje. Nie ma takiej możliwości. Westchnęła i poszła po torbę.

To nie była ta właściwa, wieczorem spakowała inną. Zdziwiona otworzyła ją.

Było w niej głównie masło i kilka skórzanych pasków.

8

Ninę obudziły strzały.

Tuż pod jej oknem wybuchł pocisk. Brudne, łuszczące się ściany pokoju hotelowego zadrżały. Posypały się okruchy tynku i trzciny. Gdzieś trzasnęło okno, krzyknęła jakaś kobieta. Nina wstała z łóżka i podpełzła do okna.

Zasypaną gruzem ulicą toczyły się czołgi. Obok nich szli mężczyźni w mundurach – właściwie jeszcze chłopcy – i strzelali z broni maszynowej do ludzi usiłujących się gdzieś schować.

Oparła się o szorstką ścianę, a potem osunęła się i usiadła na zakurzonej podłodze. W rogu pokoju przebiegł szczur i schował się w jakiejś dziurze.

Boże, ależ była zmęczona. Zbliżał się koniec kwietnia. Zaledwie miesiąc temu była z Dannym w Sudanie, a zdawało się, że to w zupełnie innym życiu.

Zadzwoniła komórka.

Podpełzła do łóżka. Nie wstając z podłogi, wymacała telefon na nocnym stoliku.

– Halo?

– Nina? To ty? Ledwo cię słyszę.

– Bo strzelają. Cześć, Sylvie. Co słychać?

– Nie weźmiemy twoich zdjęć. Nie chcę ci ściemniać. Nie nadają się.

Nie wierzyła własnym uszom.

– Cholera! To chyba jakiś żart. Nawet gdy mam zły dzień, to i tak jestem lepsza niż połowa tych palantów, których zatrudniasz.

– Tych ostatnich zdjęć nie tłumaczy zły dzień, kochanie. Co się z tobą dzieje?

Nina odgarnęła włosy na bok. Nie obcinała ich od kilku tygodni, a zrobiły się dosłownie sztywne od brudu, jakby powlekała je gruba warstwa lakieru, bo od kilku dni w hotelu – w całej dzielnicy – nie było wody. Walki wciąż się nasilały.

– Nie wiem – przyznała w końcu.

– Niedobrze, że tak szybko wróciłaś do pracy. Wiem, że bardzo kochałaś ojca. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Poczuję się lepiej, kiedy dostanę okładkę.

Sylvie milczała wymownie.

– Strefa działań wojennych to nie jest dobre miejsce na odbywanie żałoby – powiedziała po chwili. – Może straciłaś pazur, bo nie powinnaś być tam, tylko zupełnie gdzie indziej?

– No, tak. Cóż…

– Trzymaj się, Nino. Naprawdę.

– Dzięki. – Rozłączyła się.

Spojrzała na ciemny, obskurny pokój. Miała wrażenie, że te strzały rezonują w jej kręgosłupie. Czuła się już naprawdę zmęczona tym wszystkim. Wręcz wykończona. Nic dziwnego, że ostatnie zdjęcia są do bani. Nie potrafi należycie się skupić, a w nocy, gdy w końcu uda się zasnąć, budzą ją sny o ojcu.

Prześladowały ją jego ostatnie słowa, obietnica, którą na niej wymógł. Może w tym tkwił problem. I dlatego nie mogła się skoncentrować.

Nie dotrzymała słowa.

Nic dziwnego, że straciła dawną parę.

Jej wewnętrzna siła pozostała w domu zwanym Biełyje Noczi. U kobiety, co do której złożyła obietnicę, że ją pozna.

W pierwszym tygodniu maja, kilka dni wcześniej, niż pierwotnie planowała, Nina jechała do Wenatchee Valley. Był ranek, tuż po siódmej, skaliste pasmo Cascade Mountain Range pokrywał jeszcze śnieg, ale reszta świata nosiła już wiosenną szatę.

Sad Biełyje Noczi był w pełnym rozkwicie. Ciągnące się na obszarze wielu akrów jabłonie dumnie prezentowały jasne kwiecie. Ilekroć dawniej jechała do domu, wyobrażała sobie ojca i siebie, małą czarnowłosą dziewczynkę zamęczającą go wiecznie pytaniami, gdy razem chodzili po sadzie: „Czy już są jabłka, tatusiu? Jestem głodna".

„Będą, kiedy przyjdzie czas, Nineczko-Słoneczko. Trzeba cierpliwie czekać".

Wśród tych drzew wyrosła, przekonując się przy tym, że cierpliwość nie należy do jej zalet, sadownictwo nigdy nie stanie się jej powołaniem i nie nadaje się do kontynuowania dzieła życia swego ojca.

Zatrzymała się przed garażem i zgasiła silnik.

Sad żył. Między drzewami chodzili pracownicy w kombinezonach, sprawdzający, czy nie ma szkodników, czy nie ma uszkodzeń, czy wszystko w porządku.

Zarzuciła na ramię torbę z aparatem i poszła do domu. Otoczenie już się zazieleniło, i to zielenią tak jaskrawą, że niemal kłuła w oczy. Wzdłuż ogrodzenia i po obu stronach ścieżki rozkwitały kępki białych kwiatów.

Weszła bez pukania.

– Mamo! – zawołała. Zapaliła światło i zdjęła buty.

Nikt nie odpowiedział.

Weszła do kuchni.

Pachniało tu pleśnią i wiało pustką. Na górze podobnie – pusto i cicho jak na dole.

Z początku niczego nie podejrzewała. W końcu zrobiła im niespodziankę, więc musi się liczyć z tym, że nikt na nią nie czeka.

Wróciła do samochodu i podjechała do siostry. Po drodze zobaczyła zbliżającą się z przeciwnej strony furgonetkę.

Zatrzymała się i zaczekała.

Furgonetka zwolniła i stanęła obok. Za kierownicą siedział Jeff.

– Cześć, Nino. Co za niespodzianka.

– Znasz mnie, Jeff. Dzisiaj tu, jutro tam. Gdzie mama?

Spojrzał w lusterko, jakby ktoś siedział mu na ogonie.

– Jeff? Co jest?

– Meredith ci nie powiedziała?

– Co mi miała powiedzieć?

Nie było wyjścia, musiał spojrzeć jej prosto w oczy.

– Nie mogła inaczej.

– O czym ty mówisz? – spytała ostro. – Gdzie moja matka?

– W Parkview.

– W domu opieki? Żarty sobie stroisz?

– Zaczekaj, nie denerwuj się. Meredith uznała…

Nina włączyła silnik, zawróciła i odjechała z piskiem opon. Dwadzieścia minut później zahamowała przed domem opieki. Wzięła z przedniego siedzenia ciężką płócienną torbę z aparatem i pobiegła przez parking do budynku.

Hol był nieprzyzwoicie wesoły i sympatycznie jasny. Jarzeniowe żaróweczki na beżowym suficie przypominały robaczki świętojańskie. W poczekalni po lewej stronie stały kolorowe krzesła i stary telewizor. Recepcję stanowiło duże biurko, za którym siedziała kobieta z trwałą na głowie. Z zapałem tłumaczyła coś komuś przez telefon, stukając przy

tym malowanymi w kropki paznokciami w blat ze sztucznego drewna.

– Mówię ci, Margene, naprawdę przytyła…

– Przepraszam bardzo – przerwała Nina bez pardonu. – Gdzie jest pokój Anji Whitson? Jestem jej córką.

Recepcjonistka oderwała się od słuchawki.

– Numer sto czterdzieści sześć. Po lewej stronie. – Wróciła do rozmowy.

Nina ruszyła we wskazanym kierunku. Po obu stronach szerokiego korytarza znajdowały się drzwi, przeważnie zamknięte, ale niektóre były otwarte, i miała okazję zobaczyć małe jak w szpitalu pokoiki z pojedynczymi łóżkami. Przypomniała sobie ciocię Dorę. Odwiedzali ją co weekend. Szczególnie boleśnie tata przeżywał te wizyty. „Śmierć na raty” – powtarzał zwykle.

Jak Meredith mogła zrobić coś takiego?! I jak śmiała jej o tym nie zawiadomić?

Gdy doszła do pokoju sto czterdzieści sześć, rozsadzała ją furia. I dobrze jej z tym było. Pierwszy raz od śmierci taty czuła, że żyje. Zapukała energicznie.

– Proszę – usłyszała i weszła.

Matka siedziała w brzydkim plecionym fotelu i robiła na drutach. Włosy miała w nieładzie, ubrania źle dobrane. Ale błękitne oczy patrzyły przenikliwie jak zawsze.

– Co ty tu, do cholery, robisz?! – wybuchła Nina.

– Nie wyrażaj się.

– Powinnaś być w domu.

– Tak uważasz? Bez ojca?

Łagodne przypomnienie podziałało. Nina zamilkła. Teraz dopiero zauważyła ołtarzyk przeniesiony z domu i ustawiony na starej dębowej toaletce.

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Meredith. Przyniosła torbę, z której wystawały plastikowe pojemniki z jedzeniem.

– Nina! – wykrzyknęła. Nieskazitelna jak zawsze, z równo przyciętymi kasztanowymi włosami z klasyczną grzywką. Na sobie miała proste czarne spodnie i różową bluzkę wpuszczoną do środka. Była blada, ale makijaż niezmiennie prezentował się bez zarzutu. Mimo to siostra wyglądała na zmęczoną. I za bardzo schudła.

Nina od razu ją zaatakowała.

– Jak mogłaś? Tak łatwiej, co? Upchnąć ją tutaj?!

– Kostka…

– A co kostka ma do rzeczy? Ciekawe, co by ojciec powiedział.

– Jak śmiesz?! – Policzki Meredith poczerwieniały z gniewu. – To ja…

– Uspokójcie się! – syknęła mama. – Co się z wami dzieje?

– To idiotka – odpowiedziała Meredith. Ignorując siostrę, postawiła torbę na stole. – Przyniosłam ci pierogi z kapustą i okroszkę. Tabitha przysyła wełnę. Jest na dnie torby razem z wzorem, który może ci się spodoba. Przyjdę po pracy. Jak zwykle.

Mama kiwnęła głową.

Meredith bez słowa wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Nina wahała się przez moment, po czym ruszyła za nią. Siostra oddalała się w wielkim pośpiechu, stukając obcasami na linoleum.

– Meredith!

Tamta machnęła tylko ręką i poszła dalej.

Nina wróciła do ciasnego pokoiku z wąskim łóżkiem, brzydkim fotelem i zniszczoną drewnianą toaletką. Tylko ikony i świeca mówiły coś więcej o tym, kto mieszka w tym pokoju.

O kobiecie, którą tata uważał za bardzo nieszczęśliwą i którą kochał.

– Mamo, idziemy stąd. Zabieram cię do domu.

– Ty?

– Tak – potwierdziła stanowczo Nina. – Ja.

– Co za wredna małpa! Jak mogła mi tak powiedzieć? I to jeszcze przy mamie. – Meredith stała w małym, ciasnym pokoiku, z którego jej mąż zarządzał lokalną gazetą. W niedużym mieście niewiele się działo i praca w redakcji nie stanowiła poważnego obciążenia. Plik kartek przy komputerze świadczył, że Jeff tutaj też zajmował się swoją powieścią. Na przeczytanie której nadal nie znalazła czasu.

Chodziła nerwowo, gryząc kciuk aż do bólu.

– Powinnaś jej powiedzieć. Mówiłem ci.

– To nie jest dobry moment na wymówki typu „mówiłem ci”.

– Przecież rozmawiałaś z nią, odkąd umieściłaś mamę w Parkview, i to dwa czy trzy razy. Nic dziwnego, że Nina jest wkurzona. Ty też byś była. – Oparł się na krześle. – Teraz niech pobędzie trochę z matką. Szybko zrozumie twoją decyzję. Mama wytnie kilka numerów i Nina ostygnie w przesadnym zapale obrońcy.

Meredith przestała chodzić.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem. Przecież nie umieściłaś jej tam dlatego, że tobie było trudno się nią zajmować, chociaż było. Zrobiłaś to dla jej bezpieczeństwa. Pamiętasz?

– Tak – odparła z wahaniem, żałując, że nie do końca pozbyła się wątpliwości. – I jej się tam poprawiło. Jim też to przyznał.

Nie chodzi boso po śniegu, nie zdziera tapet ani nie tnie sobie palców. Dotychczas to dla mnie zostawiała największe atrakcje.

– Może w takim razie powinna już wrócić do domu – stwierdził, a ona w tym momencie zauważyła, że mąż nie jest już tak zaangażowany w rozmowę jak na początku. Albo myślał o czymś innym, albo temat poruszany był zbyt wiele razy. Pewnie to drugie. Przez ostatni miesiąc ona mówiła głównie o matce, a on tego wysłuchiwał. Właściwie o tym jednym ostatnio rozmawiali.

– Muszę zaraz wyjść – powiedział. – Za dwadzieścia minut mam wywiad.

– Dobrze, już sobie idę.

Odprowadził ją do samochodu. Bez słowa wsiadła i szybko odjechała.

Dopiero gdy siedziała przy swoim biurku, przeglądając raporty na temat przycinania gałęzi, uświadomiła sobie, że jej nie pocałował na pożegnanie.

Po drodze Nina często spoglądała na matkę, która siedziała obok niej i spokojnie robiła na drutach.

Obie znalazły się teraz w nowej dla siebie sytuacji. Przebywanie razem w ciasnej zamkniętej przestrzeni zmusza do zawarcia jakiegokolwiek porozumienia, tymczasem dotąd nigdy nie zaistniał między nimi żaden związek. Nina nie bardzo wierzyła, że sama fizyczna bliskość może stworzyć nową relację.

– Powinnam była zostać i zająć się tobą.

– Wcale tego od ciebie nie oczekiwałam.

Nina zastanawiała się, czy to zwykłe stwierdzenie faktu, czy raczej zarzut.

– Mimo to… – Zawahała się, nie wiedząc, co powiedzieć. Znowu została zepchnięta do roli małej dziewczynki kręcącej się wokół matki i czekającej na cokolwiek: spojrzenie, gest, podziękowanie albo pretensję. Obojętne co, byle nie stukanie drutów.

Pod domem matka wysiadła i zabrawszy robótkę oraz torbę z ikonami, dumnie niczym królowa weszła do środka i zamknęła drzwi.

– Dziękuję, córeczko, że mnie przywiozłaś – mruknęła Nina do siebie, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Zanim wniosła rzeczy do domu, ołtarzyk stał już zainstalowany na zwykłym miejscu, świeca się paliła, a matka zniknęła.

Nina wtargała jej walizkę na górę. Przy otwartych drzwiach sypialni przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Ze środka dobiegało postukiwanie drutów i cichy śpiewny głos; mama albo mówiła do siebie, albo rozmawiała przez telefon.

Obojętne co, najwyraźniej znalazła sobie milsze zajęcie niż rozmowa z córką. Nina postawiła walizkę. Plecak i sprzęt fotograficzny zaniosła do siebie i ponownie zeszła na dół. Wyciągnęła się na ulubionej otomanie ojca, podłożyła sobie poduszki pod głowę i włączyła telewizję.

Zasnęła dosłownie w ciągu kilku sekund. Po raz pierwszy od dawna spała jak zabita i nic jej się nie śniło. Kiedy się obudziła, czuła się świeżo i rześko i znów gotowa była podbijać świat.

Poszła na górę i zapukała do drzwi sypialni.

– Mamo?

– Wejdź.

Otworzyła drzwi. Matka siedziała na bujanym fotelu przy oknie i robiła na drutach.

– Cześć, mamo. Nie jesteś głodna?

– Byłam wczoraj wieczorem, a potem znów dziś rano. Teraz zrobiłam kanapki, bo Meredith prosiła, żebym nie używała kuchenki.

– Czyżbym spała cały dzień? O cholera! Obiecaj, że nie powiesz Meredith.

Matka spojrzała na nią surowo.

– Niczego nie obiecuję dzieciom. – Wróciła do swoich drutów.

Nina poszła do łazienki i wzięła prysznic tak długi i gorący, jak to możliwe tylko w Ameryce. Nareszcie poczuła się jak człowiek i z przyjemnością wskoczyła w swoje ukochane spodnie w kolorze khaki.

Zeszła na dół i zaczęła buszować po kuchni, zastanawiając się, co by tu zrobić do jedzenia.

W zamrażarce znalazła kilkadziesiąt pojemników, każdy opisany i opatrzony datą. Matka zawsze gotowała jak dla pułku wojska, a nie dla zwykłej rodziny, a że nic ze stołu Whitsonów nie można było wyrzucić, więc to, co zostało, było pakowane, opatrzone datą i zamrażane do późniejszego użytku. Gdyby nastąpił Armagedon, nikt w tym domu nie chodziłby głodny.

Wybór Niny padł od razu na strogonowa i makaron własnej roboty.

Dobre domowe jedzenie. Tego im potrzeba. Wstawiła wodę na makaron i włożyła sos do mikrofalówki, żeby go rozmrozić. Miała właśnie nakrywać do stołu, kiedy kątem oka pochwyciła błysk słonecznego światła za oknem. Spojrzała tam i zobaczyła sad w pełnym rozkwicie.

Natychmiast porwała aparat i wybiegła na dwór, a tu pochłonęło ją niebywałe bogactwo obrazów i motywów. Pstrykała zdjęcia wszystkiego: drzew, kwiatów, piecyków, a przy każdym kliknięciu migawki myślała o tacie i o tym, jak bardzo kochał tę porę roku. Gdy skończyła, zasłoniła obiektyw

i wolno poszła w stronę domu. Lecz po drodze miała jeszcze zimowy ogród.

Dzień był przepiękny i w blasku słońca miejsce to urzekało feerią bieli kwiatów i zieleni trawy i liści. Kwitło właśnie coś słodko pachnącego i ten zapach mieszał się z żyznym aromatem urodzajnej ziemi. Usiadła na żeliwnej ławce. Ogród zimowy zawsze był królestwem matki, ale teraz, kiedy dokoła kwitły jabłonie, czuło się w nim obecność ojca, tak jakby siedział tuż obok.

Znowu sięgnęła po aparat: dwie mrówki na zielonym liściu, perłowy kwiat magnolii, a następnie centralny punkt ogrodu, czyli miedziana kolumna pokryta niebieskozieloną patyną…

Opuściła aparat.

Teraz stały tu dwie kolumny. Ta nowa lśniła czystą miedzią, zdobił ją wyryty ozdobny kartusz.

Nina podniosła aparat i nastawiła ostrość na nową kolumnę i dekorację w górnej partii. Kartusz, liście, bluszcz, kwiaty…

Litera „E”.

Spojrzała na pierwszą kolumnę. Odsunęła na bok winorośl i kwiaty, żeby odsłonić kartusz.

Wiele razy go widziała, ale dopiero teraz przyjrzała mu się z bliska. Wyryte w nim były rosyjskie litery. „A”, coś co wyglądało jak „P”, kółko, które mogło być „O” – i coś, co przypominało pająka. Innych nie potrafiła zidentyfikować.

Wyciągnęła rękę, chcąc dotknąć kolumny, i wtedy przypomniała sobie o wodzie na makaron.

– Cholera! – Złapała aparat i popędziła do domu.

9

Meredith powzięła kilka postanowień. Dwa popołudnia i wieczór z mamą powinny wystarczyć, żeby Nina zrozumiała jej decyzję. Owszem, mamie ostatnio się polepszyło, lecz nie na tyle, by samodzielnie sobie poradziła.

Najważniejsze, żeby siostra dobrze zrozumiała jej intencje. Meredith nie chciała dłużej ponosić wyłącznej odpowiedzialności za swą decyzję. Mama przebywała w domu opieki od prawie sześciu tygodni, kostka całkowicie wydobrzała. Wkrótce trzeba będzie się zdecydować na jakieś stałe rozwiązanie, a Meredith nie miała ochoty robić tego sama.

O wpół do piątej wyszła z biura i pojechała do domu opieki. Pomachała tylko do Sue Ellen, recepcjonistki, i od razu poszła do mamy. Przy jej pokoju przystanęła i powiedziała sobie z naciskiem, że głowa wcale jej nie boli. Otworzyła drzwi.

Dwóch mężczyzn w niebieskich kombinezonach robiło porządki; jeden wycierał mopem podłogę, drugi mył okno. Rzeczy mamy zniknęły, łącznie z nową pościelą, którą jej sama kupiła. Na łóżku leżał goły niebieski materac.

– A gdzie pani Whitson?

– Wyprowadziła się – wyjaśnił jeden z mężczyzn, nie odrywając się od pracy. – Bez uprzedzenia.

Meredith zamrugała z niedowierzaniem.

– Co proszę?

– Przecież mówię. Wyprowadziła się.

Meredith obróciła się na pięcie i pomknęła do recepcji.

– Sue Ellen… – Przycisnęła palce do obolałych skroni. – Gdzie jest moja mama?

– Nina ją zabrała. Jakoś tak nagle. Bez uprzedzenia.

– To pomyłka. Ona tu wróci…

– W tej chwili nie ma już miejsc. Pani McGutcheon zajmie ten pokój. Oczywiście nigdy nie wiadomo, ale do lipca raczej bez szans.

Meredith zbyt się wściekła, żeby się bawić w uprzejmości. Bez słowa wyszła i wsiadła do samochodu. Pierwszy raz w życiu miała gdzieś, czy przekracza prędkość, i dojechała do domu w ciągu dwunastu minut.

W środku śmierdziało dymem. W kuchni zastała brudne talerze w zlewie, a na szafce otwarte pudełko po pizzy. Z ponad połową pizzy w środku.

Ale nie to było najgorsze.

Na przednim palniku stał zdeformowany garnek. Od razu się zorientowała, że się po prostu stopił.

Już miała iść na górę, lecz przypadkiem spojrzała w okno. Siedziały razem na żeliwnej ławce.

Otworzyła szklane drzwi z takim impetem, że walnęły o ścianę.

Dochodząc do ogrodu zimowego, usłyszała znajomy głos: matka opowiadała bajkę. A więc ataki owego pomieszania zmysłów wcale nie ustąpiły.

– …opłakuje uwięzienie ojca w Czerwonej Wieży za sprawą Czarnego Rycerza, ale życie toczy się dalej. Taką bolesną stratę przejść musi niejedna dziewczyna. Tymczasem po zamkowej sadzawce nadal pływają łabędzie, a w lecie są białe noce, kiedy ludzie do rana spacerują nad rzeką. Ona jeszcze nie wie, jak straszliwa potrafi być zima, jak róże mogą zamarznąć, a ich płatki opaść na ziemię dosłownie w ciągu sekundy. Jak

dziewczęta z trudem rozpalają piec, osłaniając płomień białymi dłońmi…

– Dosyć tych bajek – przerwała Meredith, starając się zapanować nad narastającą wściekłością. – Chodźmy do domu.

– Nie przerywaj – poprosiła Nina.

– Kretynka! – warknęła siostra i pomogła mamie podnieść się z ławki. Zaprowadziła ją do sypialni i posadziła z robótką na bujanym fotelu.

Zeszła na dół i spotkały się z Niną w kuchni.

– Co ci strzeliło do głowy?!

– Słyszałaś tę historię?

– Którą?

– Bajkę. O ubogiej dziewczynie i księciu. Pamiętasz…

Meredith mocno chwyciła siostrę za rękę i zaciągnęła do jadalni. Zapaliła światło.

Pokój wyglądał dokładnie tak jak w dniu, kiedy mama spadła z krzesła. Puste miejsca po wydartych pasach tapety były niczym rany. Tu i ówdzie widniały ciemne plamy zaschłej krwi.

W tym momencie gdzieś na dworze strzeliła rura wydechowa.

Meredith już miała coś powiedzieć, ale nim zdążyła, usłyszały tupot nóg na schodach.

Do kuchni wbiegła mama, trzymając w ręku palto.

– Słyszałyście strzały? Na dół! Natychmiast!

Meredith podeszła do matki i zaczęła ją uspokajać.

– To tylko rura wydechowa. Wszystko w porządku.

– A lew ciągle płacze. – Oczy matka miała szkliste, nieprzytomne. – Jest głodny.

– Tu nie ma żadnego głodnego lwa – przekonywała ją Meredith łagodnie. – Może zjesz trochę zupy? – spytała cicho.

Matka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Mamy zupę?

– Tak, i to dużo. A do tego chleb, masło i kaszę. Nikt nie jest głodny.

Delikatnie zabrała z jej rąk palto. W kieszeni znalazła cztery tubki kleju.

Obłęd ustąpił tak samo nagle, jak się zaczął. Matka wyprostowała się, spojrzała na córki i wyszła z kuchni.

Nina odwróciła się do siostry.

– Co jest, do cholery?!

– Sama widzisz. Ona czasem… zaczyna gadać od rzeczy i dziwnie się zachowuje. Dlatego musi być w bezpiecznym miejscu.

– Mylisz się. – Nina patrzyła w stronę przedpokoju w ślad za matką.

– Skoro jesteś taka mądra, to powiedz mi, w czym mianowicie się mylę.

– Ona nie zwariowała.

– Tak? To co tu jest grane?

Nina spojrzała jej prosto w oczy.

– Ona się boi.

Nina nie zdziwiła się specjalnie, kiedy siostra z miną męczennicy od razu zaczęła sprzątać kuchnię. Widać było, że jest mocno wkurzona. Nina powinna bardziej się tym przejąć, lecz jakoś się nie przejęła.

Myślała o obietnicy złożonej ojcu.

„Namów ją, żeby opowiedziała wam historię o biednej dziewczynie i księciu”.

Co wtedy wydawało się nie tylko bezsensowne, ale też niewykonalne. Umierający człowiek podjął ostatnią rozpaczliwą próbę zbliżenia trzech kobiet do siebie.

Rację miał, że mama bez niego będzie zupełnie rozbita. To fakt. I uważał, że bajka pomoże jej przetrwać.

Meredith stuknęła garnkiem o jeden z trzech ocalałych palników i zaklęła.

– Nie można używać kuchenki, póki nie odskrobiemy tego, co przypaliłaś.

– Trzeba na razie korzystać z mikrofali – odparła Nina z roztargnieniem.

Meredith obróciła się na pięcie.

– No, tak. Jasne. Korzystać z mikrofali. Tyle tylko masz do powiedzenia?

– Obiecałam tacie…

Meredith wytarła ręce i rzuciła ścierkę na blat.

– Na miłość boską! I co z tego, że będzie nam bajki opowiadać? Przede wszystkim trzeba jej zapewnić bezpieczne warunki życia.

– Co, znowu chcesz ją zamknąć? Ciekawe, dlaczego tak ci na tym zależy. Pewnie chcesz się zająć swoimi sprawami.

– Jak śmiesz tak mówić! Właśnie ty! – Meredith podeszła bliżej i ściszyła głos. – Wiecznie przeglądał czasopisma, szukając zdjęć córeczki. Wiedziałaś o tym? Codziennie sprawdzał pocztę i sekretarkę, czy są od ciebie wiadomości. A były rzadko. Więc nie nazywaj mnie egoistką.

– Dość tego!

W progu stała mama w nocnej koszuli. Włosy miała rozpuszczone, na szyi na złotym łańcuszku zawieszony mały równoramienny krzyżyk. Chude obojczyki wyraźnie rysowały się pod skórą. Była bardzo blada, prawie przezroczysta, co uwydatniały jeszcze białe jak śnieg włosy i biała koszula. Przedziwnie błękitne oczy płonęły gniewem pośród tej bieli.

– Tak go wspominacie, kłócąc się?

– Nie kłócimy się – westchnęła Meredith. – Martwimy się o ciebie.

– Pewnie myślicie, że zwariowałam.

– Ja tak nie uważam – odezwała się Nina. – Widziałam nową kolumnę w zimowym ogrodzie. I litery.

– Jakie litery? – spytała Meredith.

– To nic takiego – odparła mama.

– Owszem, coś – zaoponowała Nina.

Matka jakby nie słyszała. Nie westchnęła, nie drgnęła nawet, nie odwróciła wzroku. Po prostu podeszła do kuchennego stołu i usiadła.

– My właściwie nic o tobie nie wiemy – zaczęła Nina.

– Przeszłość nie ma znaczenia.

– Zawsze tak mówiłaś, a my nie protestowałyśmy. Może zresztą wtedy nie chciałyśmy wiedzieć. A teraz chcemy.

Matka wolno podniosła głowę i tym razem w jej oczach nie było ani obłędu, ani smutku.

– I co? Będziesz mnie teraz zadręczać pytaniami? Jasne, że będziesz. Meredith próbuje cię powstrzymać, bo ona się boi, ale ciebie powstrzymać się nie da.

– Obiecałam tacie. Chciał, żebyśmy wysłuchały bajki do końca. Nie mogę go zawieść.

– Nie należy składać obietnic umierającym. Kolejna życiowa nauka. – Wstała, ramiona miała lekko opuszczone. – Ojcu pękłoby serce, gdyby słyszał te wasze kłótnie. Cieszcie się, że macie siebie nawzajem. I zachowujcie się jak należy. – Wyszła.

Po chwili usłyszały trzaśnięcie drzwi sypialni.

– Posłuchaj – odezwała się Meredith po długiej chwili milczenia. – Ja nie chcę żadnych bajek. Dbam o nią, bo obiecałam tacie i ponieważ to mój obowiązek. Lecz to, o czym mówisz… żeby ją lepiej poznać… Misja w sam raz dla kamikadze. Zbyt boleśnie się sparzyłam. Nie ze mną te numery.

– Myślisz, że ja nic nie wiem? Przecież jestem twoją siostrą i widzę, jak bardzo się starasz.

Meredith odwróciła się gwałtownie w stronę kuchenki i zaatakowała stopiony garnek, jakby pod nim znajdował się skarb.

Nina wstała i podeszła do niej.

– Rozumiem, dlaczego umieściłaś ją w tym okropnym domu.

Meredith odwróciła się.

– Rozumiesz?

– Oczywiście. Myślałaś, że jej się króliczki w głowie lęgną.

– Bo się lęgną.

Nina nie wiedziała, jak dobrać słowa, żeby dobrze wyrazić to, co czuła. Miała wrażenie, że ostatnio utraciła coś bardzo cennego. Być może spełnienie obietnicy pomoże jej to coś odzyskać.

– Mam zamiar ją nakłonić, żeby mi opowiedziała tę bajkę. Całą. Nie odpuszczę.

– Rób, co chcesz – westchnęła starsza siostra. – Zawsze tak robisz.

Tego dnia w pracy Meredith usiłowała się skupić wyłącznie na procedurach zarządzania sadem, ale i tak nic jej nie wychodziło. W piersi czuła nieznośny ucisk, który nasilał się coraz bardziej. A z nim rosło ciśnienie w środku, w każdej chwili grożąc wybuchem. Kiedy po raz trzeci nakrzyczała na pracownika, poddała się i postanowiła wyjść, zanim narobi więcej szkód. Rzuciła stos papierów na biurko Daisy.

– Uporządkuj to, proszę.

Wyszła, nim Daisy zdążyła zadać jakiekolwiek pytanie.

Wsiadła do samochodu i pojechała prosto przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd zmierza. W trakcie jazdy okazało się, że przypadkiem znalazła się na starej, zapomnianej drodze. W pewnym sensie była to podróż w przeszłość, do lat młodości.

Zaparkowała przed sklepem z pamiątkami. Nieduży, ładny budynek stał nieco cofnięty od głównej drogi w otoczeniu starych, właśnie rozkwitających jabłoni.

Dawniej był tu przydrożny stragan z owocami, gdzie jako nastolatka dorabiała sobie w czasie wakacji, sprzedając turystom piękne, dojrzałe jabłka. Bardzo miło wspominała tamte czasy.

Z sentymentem patrzyła teraz na biały szalowany budyneczek o szczytach ozdobionych białymi lampkami. W lecie będzie tu pełno kwiatów – w skrzynkach przy drzwiach, w koszykach na ganku, kwitnące pnącza obrosną płot.

To ona wpadła na pomysł, żeby stragan przekształcić w sklep. Doskonale pamiętała ten dzień, w którym przedstawiła tacie swój plan. Była już wtedy młodą mamą z dwiema latoroślami.

„Zobaczysz, tato, nie opędzimy się od turystów".

„Świetny pomysł, Meredoodle, ty moja gwiazdo…".

Włożyła w ten sklep serce i duszę, sama starannie dobierała towar. A sukces okazał się tak wielki, że nawet gdy się rozbudowali, zwiększając dwukrotnie powierzchnię handlową, nadal brakowało miejsca na wyeksponowanie wszystkich pięknych rzemieślniczych wyrobów.

Później zaczęła pracować w magazynach, bo ojcu na tym zależało.

Kiedy teraz myślała o tym wszystkim, doszła do wniosku, że tylko wtedy żyła naprawdę. Potem jej życie zostało całkowicie podporządkowane innym…

Wrzuciła wsteczny, trochę żałując, że tu przyjechała. Przez następną godzinę jeździła po okolicy, przyglądając się

wiosennym zmianom w krajobrazie. Gdy wreszcie dotarła do domu, zapadał zmierzch i świat dokoła pogrążał się w mroku.

Nakarmiła psy, zrobiła kolację, potem długo leżała w wannie. Dopóki woda całkiem nie wystygła.

Wciąż czuła się wytrącona z równowagi dzisiejszymi wydarzeniami. Nie bardzo wiedziała, ani co ma robić, ani właściwie czego powinna chcieć. Co do jednego nie miała wątpliwości: Nina mocno skomplikowała jej życie. I pewnie skończy się to potężną katastrofą, której skutki ona będzie musiała usuwać.

Miała serdecznie dość. Dlaczego to ona zawsze musi za wszystko odpowiadać?

Wytarła się, włożyła dres i wyszła z łazienki. Gdy wycierała włosy, wzrok jej padł na małżeńskie łoże.

Wróciło wspomnienie tego dnia, kiedy je kupili. Kosztowało majątek, a oni płacili kartą kredytową. Śmiali się jednak z tego. A gdy już je dostarczono, specjalnie wrócili wcześniej z pracy, żeby je wypróbować. Była to inauguracja pełna namiętnego żaru.

Tego właśnie jej potrzeba: żaru namiętności.

Zrzucić ubranie, paść na małżeńskie łoże i zapomnieć o Ninie, o mamie, o domu opieki i o bajkach.

Właściwie dlaczego nie? Pierwszy raz od kilku miesięcy poczuła podniecenie. Zmieniła dres na seksowną koszulkę i zeszła na dół. Rozpaliła w kominku w salonie, nalała sobie kieliszek wina i postanowiła zaczekać na powrót Jeffa.

O jedenastej jeszcze go nie było. Podniecenie z wolna przeradzało się w złość.

Gdzie on się, cholera jasna, podziewa?

Kiedy wreszcie przyszedł, ona była po trzech kieliszkach wina, a kolacja dawno wystygła.

– Co tak długo?

Zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Zrobiłam romantyczną kolację. Teraz jest do niczego.

– Wściekasz się na mnie za to, że późno wracam do domu? To ma być żart?

– Gdzie byłeś?

– Zbierałem materiały do książki.

– W środku nocy?

– W jakim środku nocy? Nie zauważyłaś, że robię to od stycznia? Ciebie już w ogóle nic nie obchodzi. – Odwrócił się i poszedł do gabinetu. Głośno zamknął za sobą drzwi.

Poszła za nim.

– Chciałam cię dzisiaj – wypaliła prosto z mostu.

– Daruj, że nie stanąłem na wysokości zadania. Od miesięcy traktujesz mnie jak powietrze. Teraz ni stąd, ni zowąd jesteś napalona, a ja mam być na gwizdek, tak? To nie działa w ten sposób.

– Jak chcesz. Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie spać.

– Na pewno o wiele cieplej niż z tobą w łóżku.

Wyszła, trzasnąwszy drzwiami, a wtedy złość wyparowała. Bez niej poczuła się zagubiona i samotna.

Powinna wrócić, przeprosić, wytłumaczyć, że miała fatalny dzień…

Już, już miała to zrobić, ale zobaczyła pod drzwiami niebieskawą poświatę. Włączył komputer.

Poszła na górę i się położyła. Przez dwadzieścia lat ich małżeństwa po raz pierwszy spali osobno. Jak zasnąć bez niego?

O piątej zrezygnowała z dalszych prób zaśnięcia i zeszła na dół przeprosić.

Jeffa nie było.

Rano Meredith biegała (tym razem zrobiła aż osiem kilometrów, tak była spięta i zestresowana), potem zadzwoniła do córek i jeszcze zdążyła do pracy przed dziewiątą. Tu pierwsza rzecz – zadzwoniła do Parkview, żeby porozmawiać z dyrektorką, która nie sprawiała wrażenia zachwyconej niespodziewanym wyjazdem mamy. Potwierdziła, że w najbliższym czasie nie ma co liczyć na wolne miejsce. Oczywiście wszystko może się zmienić (czyli ktoś może umrzeć, czyjaś rodzina może przeżywać rozpacz), ale, niestety, rezerwacje na wypadek takiej ewentualności nie wchodzą w grę.

Nina nie zostanie na tyle długo, by miało to w ogóle jakieś znaczenie. Meredith nie przypominała sobie, by w ciągu ostatnich piętnastu lat siostra spędziła u rodziców okres dłuższy niż tydzień, góra dziesięć dni. Owszem, niewątpliwie jest sławna i znana w swojej dziedzinie, ale raczej trudno na niej polegać. Miała być druhną na jej ślubie i zrezygnowała w ostatniej chwili, kiedy już nie dało się poprosić kogoś innego. Powód? Zamach na polityka gdzieś w Ameryce Środkowej. Zdaje się – w Meksyku. Nieważne zresztą gdzie. Grunt, że w jednej chwili siostra przymierzała sukienkę druhny, a za moment jej nie było.

Rozległo się pukanie i weszła Daisy z brązową kopertą.

– Raporty z pola i z sadu.

– Świetnie. Połóż na biurku.

Daisy zawahała się, a Meredith od razu pomyślała: No, tak. Zaraz się zacznie. Znały się od wielu lat i współpracownica mogła sobie pozwolić na większą poufałość niż inni.

– Słyszałam, że Nina uprowadziła mamę.

Meredith uśmiechnęła się kwaśno.

– Zupełnie jak na filmie. Cóż, jakoś sobie poradzę.

– Jasne. Ale czy naprawdę musisz wszystko robić osobiście? – Daisy położyła kopertę na biurku. – W razie czego pamiętaj, że mogę cię tu zastąpić – dodała cicho. – Twój tata mnie dobrze wyszkolił. Zgódź się tylko.

Meredith zamyśliła się. To racja. Dotąd nie przyszło jej to do głowy, a przecież Daisy od podszewki znała sad i wszystkie sprawy z nim związane. Prawie tak dobrze jak ona sama. Pracowała tu dwadzieścia dziewięć lat.

– Dzięki za propozycję.

– Bylebyś tylko pozwoliła sobie pomóc.

Meredith omal nie westchnęła. To samo w kółko powtarzał Jeff. Czy to jakaś straszna wada, że się samemu wykonuje swoje obowiązki?

– Możesz mnie połączyć z doktorem Burnsem?

– Już się robi.

Chwilę później lekarz odebrał telefon.

– Cześć, Jim. Mówi Meredith.

– Spodziewałem się, że zadzwonisz. Otrzymałem dziś wieści z Parkview. – Zamilkł na chwilę. – Nina?

– A któż by? Naoglądała się filmów typu *Wielka ucieczka*. A teraz nie ma wolnych miejsc i nie wiadomo, kiedy będą. Nie stać nas na prywatną opiekunkę. Czy masz może na oku jakiś inny dom opieki?

Jim milczał chwilę.

– Rozmawiałem z jej lekarzem w Parkview i z rehabilitantem, który się nią zajmował. Odwiedzałem ją raz w tygodniu.

Meredith czekała w napięciu.

– I?

– Nikt z nas nie był świadkiem poważniejszego splątania czy demencji. Raz tylko dziwnie się zachowywała, jakiś miesiąc temu, podczas burzy. Pewnie piorun ją przestraszył, mówiła

potem wszystkim, że musi iść na dach. Ale wielu mieszkańców zaniepokoił hałas, mogło jej się udzielić. – Westchnął głęboko. – Twój tata wspominał, że ona zawsze w zimie cierpi na depresję. Coś jest widocznie takiego w zimnie i w śniegu, co ją rozstraja. Teraz dochodzi jeszcze żałoba… Reasumując, nie sądzę, by cierpiała na alzheimera albo na poważną demencję. Nie mogę zdiagnozować czegoś, czego nie stwierdzam.

Poczuła się tak, jakby nagle ktoś włożył jej na ramiona ogromny ciężar.

– I co teraz? Jak mam się nią zajmować? Jak zapewnić jej bezpieczeństwo? Nie dam rady prowadzić jej domu, swojego domu i być cały czas na każde jej skinienie. A jeśli znowu się potnie?

– Rozumiem cię doskonale – odparł łagodnie. – Wykonałem kilka telefonów. Jest całkiem przyjemny kompleks dla osób starszych w Wenatchee. Nazywa się Riverton. Miałaby niewielkie mieszkanie z ogródkiem. Można albo samemu gotować, albo chodzić na posiłki. Od połowy czerwca zwolni się taki apartament z sypialnią. Poprosiłem kierowniczkę, żeby zarezerwowała go dla ciebie, ale już trzeba wpłacić kaucję. Kierowniczka nazywa się Junie.

Meredith zapisała sobie to wszystko.

– Dzięki, Jim. Bardzo jestem ci wdzięczna za pomoc.

– Nie ma sprawy. – Zamilkł. – A jak ty się czujesz? Nie wyglądałaś dobrze, kiedy się widzieliśmy ostatnio.

– Dzięki, doktorze, da się jakoś wytrzymać. – Zaśmiała się nieszczerze. – Jestem zmęczona, ale w tym chyba nie ma nic dziwnego.

– Za dużo pracujesz.

– Takie już moje życie. Dziękuję raz jeszcze. – Rozłączyła się, nim zdążył powiedzieć coś więcej. Wzięła torebkę i wyszła z biura.

Po przyjeździe do mamy zastała Ninę w kuchni odgrzewającą w garnku gulasz.

Siostra powitała ją z uśmiechem.

– Widzisz? Uważam. Jeszcze nie ma pożaru.

– Muszę porozmawiać z tobą i z mamą. Gdzie ona jest?

Nina kiwnęła głową w stronę jadalni.

– Zgadnij.

– W ogrodzie zimowym?

– A gdzież by indziej.

– Cholera jasna. – Przeszła przez zdemolowaną jadalnię i wyszła do ogrodu.

Mama siedziała na ławce, przynajmniej tym razem ubrana odpowiednio na chłodną pogodę.

– Mamo? Muszę z tobą porozmawiać. Czy możemy pójść do domu?

Matka natychmiast się usztywniła, a Meredith pomyślała, że jeszcze przed chwilą wyglądała tak wątło i bezbronnie.

W milczeniu wróciły do środka. Meredith posadziła ją w fotelu w salonie i rozpaliła w kominku. Po chwili przyszła Nina. Rozsiadła się na kanapie, opierając stopy na niskim stoliku.

– Co jest, Mere? – Zaczęła przerzucać stary numer „National Geographic". – O, proszę. Tu jest moje zdjęcie. To, które zdobyło Pulitzera. – Z uśmiechem pokazała rozkładówkę.

– Rozmawiałam dzisiaj z doktorem Burnsem – powiedziała Meredith.

Nina odłożyła pismo.

– On… zgadza się ze mną, że dom opieki nie jest odpowiednim miejscem dla mamy.

– Aha! – ucieszyła się Nina.

Meredith nie podjęła zaczepki. Patrzyła na mamę.

– Ale oboje uważamy, że ten dom też się dla mamy nie nadaje. Jim znalazł przyjemne miejsce w Wenatchee. Osiedle dla osób starszych. Są tam ładne mieszkanka z własną kuchnią. A gdy nie będziesz miała ochoty gotować, jest stołówka. Wszystko w centrum. Mogłabyś chodzić po sklepach i sama kupować wełnę.

– A co z moim zimowym ogrodem?

– Z tyłu jest mały ogródek, można go urządzić. Przenieść ławkę, ogrodzenie, kolumny.

– Mama nie musi się nigdzie wyprowadzać – zaprotestowała Nina. – Tu jest jej dom. Ja jej pomogę.

Meredith nie wytrzymała.

– Tak? A jak długo tym razem możemy liczyć na twoją łaskawą obecność? Czy będzie jak przed moim ślubem?

– Wtedy był zamach – broniła się Nina. Widać jednakże było, że czuje się niezręcznie.

– A siedemdziesiąte urodziny taty? Co było wtedy? Powódź? Trzęsienie ziemi?

– Nie mam zamiaru nikogo przepraszać za moją pracę.

– Wcale cię o to nie proszę. Chodzi mi o to, że możesz mieć najlepsze na świecie intencje, ale wystarczy, że coś się stanie w Indiach, a będziemy mogli ci najwyżej pomachać. Ja nie dam rady być z mamą cały czas, a ona nie powinna zostawać sama.

– Byłoby ci wtedy łatwiej? – zapytała niespodziewanie mama.

Meredith nie była pewna, czy to sarkazm, krytyka, czy też znowu obłęd. Spojrzała na mamę i stwierdziła raczej pogodzenie się z sytuacją. Na pewno nie potępienie.

– Tak – odparła, znowu czując, że zawiodła ojca.

– Mogę się przeprowadzić. Jest mi obojętne, gdzie mieszkam.

– Spakuję, co potrzeba – obiecała Meredith. – Mieszkanie jest do wzięcia od przyszłego miesiąca. Załatwię formalności.

Mama wstała. Spojrzała na starszą córkę, błękitne oczy były nieodgadnione. Spojrzenie trwało tyle, co jedno uderzenie serca. Poszła na górę. Rozległ się trzask zamykanych drzwi sypialni.

– Ona się nie nadaje do żadnego cudownego osiedla dla starców – powiedziała Nina.

Meredith autentycznie się wściekła.

– W takim razie ty coś zrób.

– To znaczy?

– Ufunduj stałą opiekunkę, która będzie tu mieszkać, robić zakupy, sprzątać, płacić rachunki. Albo sama się sprowadź na kilka lat. Tyle że ja już nie uwierzę w żadne twoje obietnice.

Nina wolno wstała.

– Nie tylko ja łamię obietnice. Zdaje się, że obiecałaś, iż się nią zaopiekujesz.

– Właśnie to robię.

– Tak? Naprawdę? Ciekawe, czyby cię pochwalił za to, że przenosisz ogród, pakujesz graty i organizujesz zsyłkę do miasta. „Świetnie, córeczko. Dziękuję, że dotrzymałaś słowa”. Nie sądzę.

– On by zrozumiał. – Szkoda, że nie zabrzmiało to bardziej stanowczo.

– Nie. Wcale by nie zrozumiał, i ty dobrze o tym wiesz.

– Niech cię szlag trafi! A co ty wiesz o tym, ile pracy włożyłam… jak chciałam… – Głos jej się załamał. – Niech cię szlag – powtórzyła, tym razem szeptem. Wyszła, dostrzegając jeszcze kątem oka po drodze, że gulasz się przypala.

Wsiadła do samochodu i oparła ręce na kierownicy.

– Łatwo jej się mądrzyć, kiedy bez przerwy wyjeżdża – mruknęła, zapalając silnik.

W ciągu dwóch minut była w domu.

Psy powitały ją wylewnie, uklękła, żeby je pogłaskać i przytulić. Ich radość działała jak balsam na skołatane nerwy.

– Jeff?! – zawołała. Cisza. Zdjęła płaszcz i nalała sobie kieliszek wina. Włączyła kominek w salonie i usiadła na podłodze, grzejąc plecy ciepłem gazowego płomienia.

Przez całe lata usiłowała pokochać matkę tak samo bezwarunkowo, jak kochała ojca. Pragnienie miłości – i bycia kochaną – stanowiło największy problem jej dzieciństwa i młodości, a także stało się pierwszą znaczącą porażką.

Nic, co zrobiła, nie było dobre w oczach matki. U córki, rozpaczliwie pragnącej ją zadowolić, pozostawiło to głębokie blizny. Najgorsza rzecz – nie licząc świątecznego przedstawienia – zdarzyła się w pewien wiosenny słoneczny dzień.

Nie pamiętała dokładnie, ile wtedy miała lat, ale Nina właśnie zaczęła lekcje pływania, więc może dziesięć. Tego dnia tata zabrał młodszą córkę na basen, a ona została sama z matką w wielkim domu. Po lunchu wymknęła się do ogrodu z narzędziami i z torebką nasion. Tam, w ogrodzie zimowym, nucąc z przejęcia, najpierw wyrwała cały bluszcz, którym porośnięte było wszystko, a potem odciągnęła na bok starą, brzydką, zaśniedziałą miedzianą kolumnę. Dziobiąc łopatką błotnistą czarną ziemię, wysiewała w równych rządkach kwiatowe nasiona. Już sobie wyobrażała owe przyszłe kwiaty, dzięki którym w ogrodzie zimowym zrobi się kolorowo i wesoło.

Zadowolona z pomysłu i dumna z wykonania, kopiąc ziemię i układając nasiona w rowkach, wyobrażała sobie reakcję matki, gdy zobaczy ten prezent od córki. Może nareszcie obejmie ją i przytuli.

Pogrążona w słodkich marzeniach, nie słyszała trzasku drzwi ani kroków na kamiennej ścieżce. Przeżyła zatem szok, kiedy

matka mocno i ze złością szarpnęła ją za ramię.

„Coś ty zrobiła z moim ogrodem?”.

„Chciałam, żeby był ładniejszy… to dla ciebie…”.

Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy matki, gdy ta ciągnęła ją z powrotem do domu. Przez całą drogę płakała, przepraszała, pytała, co takiego zrobiła. Niczego nie wyjaśniając, matka wepchnęła ją do środka i zatrzasnęła drzwi.

Długo stała zapłakana w oknie jadalni, patrząc, jak matka przesiewa ziemię i wyrzuca nasiona, jakby zawierały jakąś truciznę. Pracowała jak szalona, w gorączkowym pośpiechu. Z powrotem posadziła bluszcz, a robiła to z troską i staraniem, jakich nigdy nie okazywała córkom. Kolumnę przyciągnęła na dawne miejsce. Kiedy ogród zimowy wrócił do dawnego stanu, uklękła przed kolumną z głową pochyloną jak w modlitwie. Klęczała tak całe popołudnie, aż zapadł wieczór i zaczęło padać.

Dopiero wtedy przyszła do domu. Ręce miała ubrudzone ziemią, palce pokrwawione, a na policzkach strugi błota i deszczu. Nie spojrzała nawet na córkę, tylko poszła prosto do sypialni i zatrzasnęła drzwi.

Nigdy o tym nie mówiły. Kiedy wrócił ojciec, Meredith rzuciła mu się w ramiona i strasznie płakała, a on pytał w kółko: „Co się stało, Meredoodle?”.

Może gdyby mu wyznała prawdę, coś by się zmieniło, ona sama by się zmieniła, ale nie umiała tego zrobić. „Kocham cię, tatusiu” – odpowiadała jedynie. W końcu jakoś ją udobruchał i uspokoił.

„A ja ciebie kocham” – powiedział i ją uściskał. Tak bardzo chciała, żeby jej to w życiu wystarczyło. Modliła się nawet o to. Ale i tak czuła się niechciana i nieudana. Jedynym wyjściem było odciąć się od matki i przestać ją kochać.

Zamknęła oczy. Nina się myli, tata by zrozumiał…

Usłyszawszy głuche stuknięcie, podniosła głowę, pewna, że to pies wali ogonem w podłogę i w ten sposób stara się zwrócić na siebie uwagę.

W drzwiach stał Jeff, ubrany w te same co poprzedniego dnia zniszczone dżinsy i niebieski sweter.

– O, jesteś.

– Wychodzę – rzekł cicho.

Nie wiedziała, czy ma być zadowolona, czy rozczarowana, że nie spędzą wieczoru razem.

– Zostawić ci kolację?

Westchnął głęboko i powiedział:

– Odchodzę.

– Słyszałam. Ja nie… – Nagle dotarły do niej jego słowa. – Jak to odchodzisz? Zostawisz mnie? Z powodu wczorajszego wieczoru? Przepraszam cię. Naprawdę nie powinnam…

– Potrzebujemy trochę czasu osobno, Mere.

– Nie rób mi tego – szepnęła. – Nie w tej chwili.

– Nigdy nie ma dobrej chwili. Usiłowałem przeczekać… ze względu na twojego ojca, potem ze względu na twoją matkę. Mówiłem sobie, że nadal mnie kochasz, że jesteś przepracowana i przemęczona, ale… już w to nie wierzę. Wzniosłaś wokół siebie mur, a ja mam dosyć jego forsowania.

– To się zmieni, zobaczysz. W czerwcu…

– Czekanie stało się męczące. Do powrotu dziewczynek zostało kilka tygodni. Spróbujmy przez ten czas ustalić, czego tak naprawdę oboje chcemy.

Świat zawalił się jej w tym momencie, ale za nic by się do tego nie przyznała. Od tak dawna tłumiła emocje, że teraz bała się je okazać. Jeśli pozwoli sobie na płacz, to jeszcze zacznie wyć jak jakiś upiór, a potem – niczym postać w bajce matki – skamienieje z żalu. Opanowała się zatem i powiedziała najspokojniej jak mogła:

– Zgoda.

W tym momencie dojrzała w jego oczach rozczarowanie. Jakby mówił: „No jasne, cóż innego mógłbym od ciebie usłyszeć”. Bolało, że pozwala mu odejść, lecz jak miała go zatrzymać? Co powiedzieć? Wstała i wyszła do kuchni. Po drodze zobaczyła stojącą przy drzwiach walizkę (ten głuchy stuk, który słyszała wcześniej).

Oparta o zlew bezmyślnie patrzyła przed siebie. Serce biło chaotycznie, zrobiło jej się duszno. W życiu nie przyszłoby jej do głowy, że Jeff może ją zostawić. Nawet zeszłej nocy, kiedy spali osobno. Fakt, że nie był szczęśliwy – ona zresztą też nie – lecz wydawało się to niegroźne, po prostu gorszy okres.

A jednak…

Przyszedł za nią.

– Czy ty mnie jeszcze kochasz, Mere? – spytał cicho i odwrócił ją tak, że stali teraz naprzeciwko siebie.

Szkoda, że nie zadał tego pytania godzinę wcześniej albo wczoraj, albo tydzień temu. Byle nie teraz, kiedy świat wali się w gruzy. Zawsze myślała, że jego miłość jest zaporą odgradzającą od wszelkich burz, ale podobnie jak wszystko inne w jej życiu, jego miłość też okazała się uwarunkowana. Znów poczuła się jak tamta dziesięcioletnia dziewczynka, ciągnięta przez matkę z ogrodu do domu i nierozumiejąca, co złego zrobiła.

Puścił ją i poszedł.

Pragnęła zawołać: „Oczywiście, że cię kocham! A czy ty mnie kochasz?”. Ale usta nie chciały się otworzyć. Powinna wyrwać mu walizkę, a jego objąć, zamknąć w ramionach. Cokolwiek. Tymczasem stała jak kołek, zdezorientowana, i patrzyła kompletnie suchymi oczami.

Jeszcze raz się odwrócił.

– Jesteś jak ona, wiesz o tym, prawda?

– Nie mów tak.

Zwlekał, wiedziała, że to ostatnia szansa, lecz nie była w stanie z niej skorzystać. Nie mogła się ruszyć, nie mogła wyciągnąć ręki, nie mogła się nawet rozpłakać.

– Do widzenia, Mere – rzekł w końcu.

Długo po jego odjeździe stała przy zlewie, gapiąc się w ciemną nicość za oknem.

„Jesteś jak ona”.

Przecież wiedział, jak bardzo musiało ją to zaboleć.

– Wróci – powiedziała na głos. – Ludzie czasem się rozstają. Będzie dobrze. – Coś jeszcze się wymyśli, żeby to naprawić. A na razie wyjęła ze schowka odkurzacz i zaczęła sprzątać salon. Głośny szum zagłuszył głosy w głowie i nierówne bicie serca.

10

Nina wzięła prysznic i rozpakowała się, a potem zeszła na dół. Matka siedziała przy stole w kuchni, przed nią stała kryształowa karafka.

– Pomyślałam, że się napijemy wódki – odezwała się.

Kompletnie zaskoczona, Nina nie wiedziała, co powiedzieć. Tego się zupełnie nie spodziewała. Jakby nagle w dobrze znanym otoczeniu zauważyła zaskakujący, nieznany dotąd element. Miała trzydzieści siedem lat i nigdy jeszcze matka nie zaproponowała jej drinka. Zawahała się.

– Skoro nie chcesz…

– Nie. To znaczy tak. Poproszę.

Matka nalała dwa pełne kieliszki.

Nina próbowała wyczytać coś z jej pięknej twarzy, przyłapać na zmarszczeniu brwi, na uśmiechu, na czymkolwiek. Ale błękitne oczy niczego nie ujawniały.

– Śmierdzi tu dymem – rzekła mama.

– To ten nasz pierwszy obiad, który spaliłam. Szkoda, że nie nauczyłaś mnie gotować.

– To nie gotowanie, tylko odgrzewanie.

– Czy twoja matka uczyła cię gotować?

– Woda wrze. Wrzuć makaron.

Nina podeszła do kuchenki i wsypała makaron do garnka. Obok bulgotał strogonow.

– O, ja gotuję – ucieszyła się, mieszając w garnku drewnianą łyżką. – Danny pękłby ze śmiechu na ten widok. Już słyszę, jak

mówi: uważaj, skarbie, ktoś będzie to jeść.

Czekała, że matka spyta, kto to Danny, ale panowała cisza. Po chwili rozległo się powolne pukanie.

Obejrzała się. To matka pukała widelcem w stół.

Wróciła do stołu i siadła naprzeciwko.

– Zdrówko. – Podniosła mały masywny kieliszek.

Mama wzięła swój, stuknęła nim o szkło Niny i wychyliła zawartość jednym haustem.

Nina zrobiła to samo. Kolejne chwile mijały w milczeniu.

– Co teraz?

– Makaron – brzmiała odpowiedź mamy.

Nina śpiesznie wróciła do kuchenki.

– Wypłynął – zawiadomiła.

– Gotowy.

– Kolejna lekcja gotowania. Niesamowite. – Nina wlała zawartość garnka do durszlaka w zlewie. Wyjęła talerze, przyniosła sałatkę i butelkę wina.

– Dziękuję. – Mama, przymknąwszy oczy, chwilę się modliła. Wzięła widelec.

– Zawsze tak robiłaś? – spytała Nina. – Modliłaś się przed posiłkiem?

– Przestań mnie wypytywać.

– Rodzice na ogół przekazują takie rzeczy swoim dzieciom. Nie pamiętam, żebyśmy się modlili przed jedzeniem. Chyba że w święta.

Mama zaczęła jeść.

Nina chciała ją jeszcze o coś spytać, lecz apetyczny zapach strogonowa – pokrojona w kostkę soczysta wołowina, dokładnie zrumieniona i duszona przez kilka godzin w sherry z dodatkiem świeżego tymianku, śmietany i pieczarek – sprawił, że żołądek zaburczał w radosnym oczekiwaniu. Niemal rzuciła

się na to danie, które tak bardzo kojarzyło się jej z dzieciństwem.

– Bogu dzięki, że masz w zamrażarce tyle żarcia, że można by wykarmić głodujący naród. – Nalała wina. Kiedy odpowiedziała jej cisza, dodała. – Miło, Nino, że to doceniasz.

Starała się skupić na jedzeniu, ta cisza działała jej na nerwy. Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Dziwne, mogła czekać godzinami na idealne ujęcie, ale gdy znalazła się bez aparatu, ciągle musiało się coś dziać. W końcu nie wytrzymała.

– Mam tego dosyć! – powiedziała ostro, a mama podniosła głowę znad talerza. – Nie jestem Meredith.

– Mam tę świadomość.

– Traktowałaś nas surowo, kiedy byłyśmy małe. Mere, cóż, ona tu została i niewiele się zmieniła. Ja wyjechałam. I wiesz co? Nie boję się ciebie i więcej mnie nie zranisz. Jestem tu po to, żeby się tobą zająć. Jeśli Mere postawi na swoim, zostanę tylko do twojej przeprowadzki na to osiedle seniorów. Ale niech mnie szlag trafi, jeśli będę jadła w ciszy.

– O co ci chodzi?

– Przecież rozmawialiśmy przy stole, kiedy byłam mała. Pamiętam rozmowy, nawet żarty.

– Tylko wasza trójka.

– Dlaczego nigdy nie chciałaś na nas patrzeć?

– Wymyślasz sobie coś. – Mama napiła się wina. – Jedz.

– Dobrze, będę jadła. Ale mamy rozmawiać i już. Ponieważ rozmowa nie jest twoją mocną stroną, ja zaczynam. Mój ulubiony film to *Pożegnanie z Afryką*. Uwielbiam patrzeć na żyrafy w Serengeti, poruszające się na tle zachodzącego słońca. Ze zdziwieniem muszę przyznać, że czasami brakuje mi śniegu.

Mama znów napiła się wina.

– Mogłabym cię też spytać o bajki – ciągnęła Nina. – Skąd znasz je tak dobrze? I czemu opowiadałaś je tylko przy

zgaszonym świetle? Dlaczego tata…

– Uwielbiam poezje Puszkina. Chociaż Anna Achmatowa też mi odpowiada. Brakuje mi… białych nocy, a moim ulubionym filmem jest *Doktor Żywago.* – Głos mamy złagodniał, gdy wymawiała rosyjskie słowa. W jej ustach brzmiały jak muzyka.

– Więc jednak mamy ze sobą coś wspólnego – zauważyła Nina. Wzięła kieliszek, przyglądając się przy tym matce.

– Co?

– Uwielbiamy wzruszające historie miłosne z nieszczęśliwym zakończeniem.

Matka wstała od stołu.

– Dziękuję za kolację. Jestem zmęczona. Dobranoc.

– Wiesz dobrze, że zapytam znowu! – zawołała za nią Nina. – I będę cię męczyć o bajkę.

Mama przez moment się zawahała, po czym kontynuowała wędrówkę na górę. Kiedy drzwi sypialni się zamknęły, Nina spojrzała w sufit.

– Boisz się, prawda? – powiedziała na głos. – Ciekawe czego.

Meredith siedziała na werandzie w bujanym wiklinowym fotelu, owinięta w stary frotowy szlafrok. Psy leżały obok, przytulone do siebie. Niby spały, lecz od czasu do czasu któryś popiskiwał i spoglądał na panią. Czuły, że coś złego się stało. Pan zniknął.

Nie mogła uwierzyć, że zrobił jej to teraz, tuż po śmierci ojca i w najtrudniejszym momencie problemów z matką. Chciała pielęgnować w sobie ten gniew, ale nie bardzo jej to wychodziło. W kółko wyobrażała sobie jedną i tę samą scenę.

Siedzą przy stole podczas kolacji, ona, Jeff i dziewczynki.

Jillian jak zwykle z nosem w książce, Maddy stuka stopą, nie mogąc się doczekać, kiedy wstaną od stołu. Stukanie zamiera, gdy Jeff oznajmia: „Rozstajemy się z mamą”.

Może jakoś inaczej by to ujął albo by stchórzył i na nią zwalił wypowiedzenie toksycznej kwestii. Taki właśnie wzorzec stworzyli jako rodzice. Jeff był ten zabawny i kochany, Meredith ustanawiała prawo.

Maddy pewnie od razu by się rozpłakała.

Jillian szlochałaby cichutko, jeszcze bardziej raniąc serce.

Meredith westchnęła i zadrżała. Teraz już rozumiała, dlaczego kobiety trwają w nieszczęśliwych związkach. Boją się scen takich jak ta, którą sobie właśnie wyobraziła, i towarzyszącego im bólu.

W dali pojawił się pierwszy błysk świtu w kolorze miedzi. Przesiedziała na werandzie całą noc. Otuliła się szczelniej szlafrokiem i wróciła do środka. Zaczęła chodzić po pokojach, brała różne rzeczy do ręki i odkładała je z powrotem. Kryształowa kula, którą Jeff zdobył rok temu za dziennikarstwo śledcze… Okulary do czytania, których ostatnio zaczął używać… Ich zdjęcie nad jeziorem Chelan zeszłego lata. Przedtem, gdy patrzyła na nie, widziała jedynie, że się starzeje; teraz zobaczyła, z jaką czułością mąż na nią patrzy i jak serdecznie się uśmiecha.

Odłożyła zdjęcie na miejsce i poszła na górę. Łóżko, na którym odcisnął się kształt jego ciała i pozostał jego zapach, mocno kusiło, ale nawet się do niego nie zbliżyła. Włożyła strój do biegania i biegała tak długo, aż zaczęło ją kłuć w płucach.

Po powrocie do domu poszła prosto pod prysznic i długo stała pod strumieniem wody.

Ubrała się i umalowała. Spojrzenie w lustro upewniło ją, że nikt by się nie domyślił, iż właśnie rzucił ją mąż.

Dopiero w kuchni, gdy stała z kluczykami od samochodu w ręku, uświadomiła sobie, że jest sobota.

W biurze będzie zimno i ciemno. Wszystko pozamykane. A może jednak pojechać do pracy, rzucić się w sprawozdania o szkodnikach i przycinaniu, szacunki tegorocznych zbiorów i zestawienia przychodów ze sprzedaży. Ale będzie tam zupełnie sama, tylko z własnymi myślami.

Nie ma mowy.

Wsiadła do samochodu i zamiast do miasta pojechała do matki.

W salonie paliło się światło, z komina unosił się pióropusz dymu. Nina pewnie wstała. Żyła jeszcze według czasu afrykańskiego.

Meredith zrobiło się strasznie żal samej siebie. Jaka szkoda, że nie może porozmawiać z siostrą, zwierzyć się ze swoich kłopotów, wysłuchać rad, słów pociechy lub nadziei.

Nina nie była właściwą osobą. Znajomym zresztą Meredith też by się nie przyznała. Zbyt upokarzające i bolesne by to było, a do tego stałaby się tematem plotek. Poza tym nie należała do kobiet, które rozmawiają o swoich problemach; czyż między innymi nie dlatego jest teraz sama?

Wysiadła z samochodu.

W środku nadal śmierdziało spalenizną. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, na szafce stała otwarta karafka wódki.

Wściekła się, i to porządnie. Aż za bardzo. Ale nadspodziewanie dobrze poczuła się z tą złością, która przynajmniej trzymała ją w pionie. Z pasją zaatakowała naczynia, i tylko garnki podzwaniały, kiedy kolejno wrzucała je do wody z płynem.

– Ua. – Do kuchni weszła Nina. Miała na sobie męskie bokserki i starą koszulkę bawełnianą. Włosy sterczały jej jak u maskotki trolla, na twarzy malował się pogodny uśmiech.

Wyglądała jak Demi Moore w *Uwierz w ducha*. Naprawdę była piękna. – Nie wiedziałam, że twój ulubiony sport to ciskanie garami.

– Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko wiecznie po tobie sprzątać?

– Z samego rana takie dramatyczne kwestie.

– No, tak. Najlepiej wyszydzić. Jak zawsze.

– Meredith, co się stało? Czy wszystko w porządku?

Meredith omal nie skapitulowała. Autentyczna serdeczność siostry, niespodziewane pytanie… Już prawie była gotowa wyznać: Jeff mnie porzucił.

I co potem?

Westchnęła i nim powiesiła ścierkę na uchwycie piekarnika, złożyła ją starannie.

– Tak. W porządku.

– Dziwnie się zachowujesz.

– Szczerze? Nie znasz mnie na tyle, by móc to powiedzieć. A jak mama? Zjadła coś wczoraj?

– Napiłyśmy się razem wódki. I wina. Możesz w to uwierzyć?

Meredith poczuła się dziwnie tym dotknięta; chwilę trwało, nim sobie uświadomiła, że to zazdrość.

– Wódki?

– Owszem. Mnie też zaskoczyła. I dowiedziałam się, że jej ulubiony film to *Doktor Żywago*.

– Nie sądzę, żeby alkohol był wskazany. Przecież ona nie zawsze wie, na jakim świecie żyje.

– Ale za to doskonale wie, kim jest. A ja bardzo bym chciała się tego dowiedzieć. Gdybym tylko mogła namówić ją do opowiedzenia nam bajki…

– Daj wreszcie spokój z tymi bajkami. – Zabrzmiało to ostrzej, niż chciała. Właściwie wykrzyczała te słowa, co się spotkało ze

zdziwionym spojrzeniem Niny. – Zamierzam zacząć ją pakować. Myślę, że powinna mieć tam jak najwięcej swoich rzeczy.

– Żadne rzeczy nic nie pomogą. – Nina była wyraźnie zła. – Choćbyś nawet spakowała wszystko. Ty po prostu pozbywasz się jej.

– A może masz zamiar zostać? Na przykład na zawsze? Jeśli tak, odwołam rezerwację.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

– No, oczywiście. Krytykować umiesz, gorzej, gdy trzeba konkretnie rozwiązać problem.

– Na razie jestem.

Meredith spojrzała na zlew wypełniony wodą z płynem i na czyste naczynia na suszarce.

– I cholernie mi pomagasz. A na razie wybacz, ale idę po kartony do garażu. Zacznę od kuchni. Wszelka pomoc mile widziana.

– Ja na pewno nie będę upychać jej życia w kartony. Chcę ją otworzyć, a nie zamykać. Rozumiesz? Nie, ciebie to nie obchodzi.

– Nie. – Meredith minęła ją i poszła do garażu. Gdy stała i czekała, aż automatyczne drzwi się otworzą, zaczęło ją coś dusić. Pojawił się rosnący ucisk, a potem kłucie w klatce piersiowej i mrowienie w rękach. Mam zawał – pomyślała.

Pochyliła nisko głowę i głęboko wciągnęła powietrze. Wdech, wydech, wdech, wydech. Trochę lepiej. Całe szczęście, że się opanowała i nie rozkleiła przy Ninie. Weszła do ciemnego garażu i zapaliła światło. Stał tu cadillac taty, kabriolet z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, jego wielka radość i duma.

„Nazwałem go Frankie, na cześć Sinatry. Pierwszy raz w życiu całowałem się na jego przednim siedzeniu”.

Wiele razy robili nim rodzinne wypady. Na północ do Kolumbii Brytyjskiej, na wschód do Idaho, na południe do Oregonu, zawsze gotowi na spotkanie przygody. Podczas długich jazd po zakurzonych drogach tata i Nina śpiewali razem z Johnem Denverem, a Meredith czuła się wtedy niepotrzebna, bo nikt nie zwracał na nią uwagi. Ona nie lubiła nieznanych dróg, przejmowała się, kiedy skręcili nie tam, gdzie trzeba, albo jak niespodziewanie skończyła się benzyna. A zawsze coś takiego im się przytrafiało. Ojciec i Nina natomiast uwielbiali te eskapady.

„Kto by tam pytał o drogę" – mawiał lekceważąco tata.

„Nie my" – odpowiadała natychmiast Nina.

Meredith w zasadzie mogła się do nich przyłączyć, mogła udawać, że jej też się podoba, ale nie. Siedziała na tylnym siedzeniu i czytała, a gdy odpadł kołpak czy silnik się przegrzał, próbowała się nie denerwować. Jeśli nocowali gdzieś na biwaku, tata zawsze wieczorem przychodził do niej i pociągając z fajki, mówił: „Czy moja ukochana córeczka pójdzie ze mną na spacer?".

Dziesięciominutowe spacery z nim warte były tysięcy kilometrów mordęgi.

Dotknęła lśniącej, wiśniowej maski, przyjemnie gładkiej pod palcami. Od lat nikt nim nie jeździł. – Twoja ukochana córeczka chętnie poszłaby na spacer… – szepnęła.

Jemu jednemu mogłaby opowiedzieć o tym, co zaszło wczorajszego wieczoru.

Westchnęła głośno i wzięła z warsztatu trzy kartonowe pudła. Zaniosła je do kuchni i otworzyła pierwszą z brzegu szafkę. Jeszcze za wcześnie było na pakowanie, ale wszystko lepsze niż siedzenie samej w pustym domu.

– Słyszałam, jak kłóciłaś się z Niną.

Meredith wolno zamknęła szafkę i odwróciła się.

W progu stała mama w białej nocnej koszuli, otulona czarnym wełnianym kocem jak peleryną. Światło z przedpokoju przeświecało przez materiał i widać było jej szczupłe nogi.

– Przepraszam – bąknęła Meredith.

– Nie jesteście sobie bliskie.

Było to stwierdzenie, a nie pytanie, w dodatku z wyraźną nutką krytyki. Choć raz matka nie patrzyła przez nią ani obok; spoglądała prosto na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy.

– Nie, mamo. Nie jesteśmy sobie bliskie. Poza tym rzadko się widujemy.

– Kiedyś będziecie tego żałować.

„Wielkie dzięki za przestrogę”.

– Nie jest tak źle. Zrobić ci może herbaty?

– Po mojej śmierci zostaniecie tylko we dwie.

Meredith podeszła do samowara. Śmierć matki to ostatnia rzecz, o jakiej by chciała dziś myśleć.

– Za chwilkę będzie gorący – powiedziała, nie odwracając się.

Usłyszała, że matka odchodzi. Znowu została sama.

Nina wymyśliła, że matkę zmęczy. Meredith wczuwała się coraz lepiej w rolę męczennicy, a czas uciekał. Każdy stuk wkładanego do kartonu owiniętego gazetą naczynia oznaczał zapakowanie do przeprowadzki kolejnego fragmentu życia matki. Jeśli Meredith dopnie swego, wkrótce nic tu nie zostanie.

Nie tego chciał tata, a Ninie teraz zachciało się tego samego. Usłyszeć całą historię dziewczyny i księcia. Niczego dotąd nie pragnęła w życiu tak bardzo.

Weszła do kuchni i ominąwszy szerokim łukiem lodowato wyniosłą siostrę, nalała do szklanki słodkiej herbaty i zrobiła grzankę. Zaniosła to na górę. Mama leżała w łóżku. Dłonie

złożyła równiutko na kocu, białe włosy miała w nieładzie, co świadczyło o niespokojnej nocy. Przez otwarte drzwi dobiegały z kuchni odgłosy pakowania.

– Może byś pomogła siostrze.

– Może. Gdybym uważała, że powinnaś się przenosić. A wcale tak nie uważam. – Podała matce herbatę i grzankę. – Wiesz, co sobie uświadomiłam, kiedy robiłam ci śniadanie?

Mama napiła się herbaty ze szklanki umieszczonej w delikatnym srebrnym koszyczku.

– Pewnie zaraz mi powiesz.

– Że nie wiem, czy lubisz grzankę z miodem, z dżemem czy z cynamonem.

– Wszystko może być.

– Ale ja tego nie wiedziałam.

– Ach, o to chodzi. – Mama westchnęła.

– I znowu na mnie nie patrzysz.

Mama nie odezwała się, znów napiła się herbaty.

– Chcę usłyszeć bajkę. O dziewczynie i o księciu. Całą. Proszę.

Mama odstawiła herbatę na nocną szafkę i wstała. Obojętnie minęła córkę, weszła do łazienki i zamknęła się.

Przy lunchu Nina znów podjęła próbę. Tym razem mama z kanapkami wybrała się do zimowego ogrodu.

Nina dogoniła ją i usiadła obok.

– Ja naprawdę tego chcę, mamo.

– Tak. Wiem. Proszę, zostaw mnie.

Posiedziała jeszcze dziesięć minut, żeby pokazać, iż łatwo nie ustąpi, po czym wróciła do domu.

W kuchni Meredith pakowała garnki i naczynia.

– Ona ci nie opowie – powitała siostrę.

– Dzięki za dobre słowo. – Nina wzięła aparat. – Pakuj dalej jej życie. Lubisz mieć wszystko uporządkowane i poszufladkowane. Jesteś śmieszna. Ciekawe, jak twoje dzieci i Jeff to wytrzymują.

Nina wróciła tuż po szóstej. W miedzianym blasku wieczornego światła jabłka lśniły opalizująco, a cała dolina wyglądała wręcz nieziemsko.

W kuchni nie było nikogo, tylko wciśnięte w kąt między spiżarnią a lodówką piętrzyły się równo ułożone i opisane kartony.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że samochód siostry stoi. Pewnie pakuje teraz coś innego.

Zajrzała do zamrażarki, przerzuciła rozliczne pojemniki. Klopsiki w rosole, kurczak z kluskami, pierogi, musaka z warzyw i jagnięciny, wieprzowina duszona w jabłkowym winie, placki kartoflane, paprykarz, kotlety de volaille, strogonow, strudle, rolady z szynką i serem, domowy makaron, chlebki czosnkowe i ziołowe. Druga zamrażarka, ta w garażu, też była dobrze zaopatrzona, a piwnicę wypełniały po brzegi przetwory z owoców i warzyw.

Nina wybrała swój ulubiony przysmak: duszoną wołowinę nadziewaną bekonem i chrzanem. Rozmroziła mięso zamrożone razem z warzywami i esencjonalnym wołowym sosem i w naczyniu do zapiekania wsunęła do pieca. Nastawiła piekarnik na sto osiemdziesiąt stopni, zakładając, że to bezpieczna temperatura. Wstawiła wodę na makaron. Niewiele było rzeczy lepszych na świecie od makaronu roboty mamy.

Kiedy kolacja dochodziła, nakryła stół na dwie osoby i nalała sobie kieliszek wina. Liczyła na to, że zapachy skuszą matkę do

zejścia na dół.

Miała rację, za piętnaście siódma zeszła z góry.

– Zrobiłaś kolację?

– Podgrzałam. – Nina ruszyła w stronę jadalni.

Mama spojrzała na strzępy tapet i poczerniałe plamy krwi.

– Zjedzmy przy kuchennym stole – zaproponowała.

Ninie nie przyszło to wcześniej do głowy.

– No, jasne. – Przeniosła talerze na mały stolik w kącie. – Proszę bardzo.

W tym momencie weszła Meredith. Zauważyła dwa nakrycia i na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji. Albo ulgi. Z nią nigdy nie było wiadomo.

– Chcesz z nami zjeść? – spytała Nina. – Myślałam, że musisz wracać do domu. Mamy mnóstwo żarcia. Wiesz, jak to z mamą. Zawsze gotowała na pułk wojska.

Meredith spojrzała przez okno w stronę swego domu.

– Dobrze – zgodziła się. – Jeffa i tak nie będzie… do późna.

– Dobra. – Nina przyjrzała się jej uważnie. Dziwne, że zgodziła się zostać. Zazwyczaj wieczorem bardzo się śpieszyła. – Świetnie. Siadaj tutaj. – Dodała trzeci talerz i postawiła karafkę. – Zaczniemy od lufki.

– Co? – zdziwiła się Meredith.

Mama nalała wódki do trzech kieliszków.

– Nie ma co się z nią wykłócać.

Nina usiadła i podniosła kieliszek. Mama stuknęła o niego swoim. Choć niechętnie, Meredith zrobiła tak samo. Wypiły.

– Jesteśmy Rosjankami – stwierdziła nagle Nina, patrząc na siostrę. – Jakim cudem nigdy dotąd o tym nie pomyślałam?

Meredith wzruszyła ramionami, mało tym zainteresowana.

– Podam jedzenie. – Wstała i po chwili wróciła z talerzami.

Mama zamknęła oczy i pomodliła się.

– Czy pamiętasz, żeby mama kiedykolwiek się modliła? – spytała Nina.

Meredith tylko wzniosła oczy do góry i wzięła do ręki widelec.

– No, tak. – przerwała Nina niezręczną ciszę, jaka zapadła przy stole. – Meredith, ponieważ jesteś z nami, dołączysz do naszej tradycji. Rzecz całkiem nowa. Nazywa się „rozmowa przy kolacji".

– Czyli co, będziemy rozmawiać? O czym?

– Ja zacznę, żebyś się zorientowała, o co chodzi. Moja ulubiona piosenka to *Born to Be Wild*, moje najmilsze wspomnienie z dzieciństwa to wyjazd do Yellowstone, wtedy tata nauczył mnie łowić ryby. – Spojrzała na siostrę. – A najbardziej żałuję tego, że komplikuję życie mojej siostrze.

Mama odłożyła widelec.

– Moja ulubiona piosenka to *Somewhere Over the Rainbow*, moje najmilsze wspomnienie, to kiedy patrzyłam na dzieci robiące orły na śniegu, a najbardziej żałuję tego, że wy dwie nie jesteście przyjaciółkami.

– Jesteśmy – powiedziała Nina.

– Głupie – żachnęła się Meredith.

– Nie – zaprzeczyła z naciskiem Nina. – Głupie jest gapienie się na siebie albo w talerz w milczeniu. Twoja kolej.

Meredith wydała z siebie westchnienie męczennicy.

– No, dobrze. Moja ulubiona piosenka to *Candle in the Wind*, wersja dla księżnej Di, nie oryginał. Moje ulubione wspomnienie z dzieciństwa – to kiedy tata zabrał mnie na łyżwy na Miller's Pond… I żałuję, że powiedziałam, iż nie jesteśmy sobie bliskie, Nino. Ale nie jesteśmy. Więc tego też chyba żałuję. – Kiwała przy tym głową, jakby odfajkowywała kolejne pozycje na liście rzeczy do zrobienia. – A teraz jedzmy. Umieram z głodu.

11

Nina jeszcze nie skończyła, gdy Meredith wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. W tej samej sekundzie mama też się podniosła.

– Widzę, że już po kolacji. – Nina zdążyła sięgnąć po masło i dżem, zanim siostra je schowała.

– Dziękuję za kolację – powiedziała mama i wyszła dość szybkim krokiem jak na jej wiek. Prawie biegła.

Nina nie miała pretensji do siostry. Kiedy wyczerpał się kwestionariusz deklaracji – w ramach tak zwanej nowej tradycji – przy stole zapanowało znajome milczenie. Tylko ona jeszcze usiłowała poddać jakiś temat do rozmowy, ale anegdoty z pobytu w Afryce spotkały się ze średnim entuzjazmem Meredith i brakiem jakiejkolwiek reakcji ze strony matki.

Wstała i po chwili wróciła ze sprzątniętą przez siostrę karafką.

– Upijmy się – zaproponowała, stawiając wódkę na stole.

Meredith zajęta była oczywiście zmywaniem.

– Dobrze – zgodziła się niespodziewanie.

Nina miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Czy naprawdę powiedziałaś…

– Nie rób z tego zaraz wielkiej sprawy. – Meredith wzięła jej talerz i sztućce i wróciła do zlewu.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Nina. – Nie upiłyśmy się razem od… Czy my w ogóle kiedykolwiek upiłyśmy się razem?

Meredith wytarła ręce w różowy ręcznik, który wisiał na drzwiczkach piekarnika.

– Ty się upiłaś przy mnie, czy to się liczy?

Nina uśmiechnęła się łobuzersko.

– Guzik się liczy. Dawaj krzesło.

– Ale ja nie piję wódki.

– Jest jeszcze tequila. – Nim siostra zdążyła zaprotestować, Nina przyniosła z barku w salonie butelkę tequili, po drodze zaopatrując się w sól, limonkę i nóż.

– Nie zmieszasz tego z czymś?

– Nie gniewaj się, Mere, ale za dobrze cię znam. Jeśli zmieszam, będziesz pomalutku sączyć słabego drinka cały wieczór i podczas gdy ja się skuję, ty jak zwykle pozostaniesz grzeczna i porządna. – Nalała dwa kieliszki i pokroiła limonkę.

Meredith zmarszczyła nos.

– To nie jest heroina, Mere. Tylko lufka tequili. No co? Odrobina szaleństwa?

Meredith zdecydowała się na tak. Wychyliła stopkę jednym haustem.

Zatkało ją z lekka, Nina natychmiast podsunęła limonkę.

– Zagryź.

Meredith wciągnęła raptownie powietrze i pokręciła głową.

– Uff. Jeszcze jeden.

Nina szybko opróżniła swój kieliszek, po czym nalała następną kolejkę. Wypiły.

Meredith oparła się wygodnie na krześle i przesunęła dłonią po idealnie gładkich włosach.

– Nic nie czuję.

– Nie martw się, poczujesz. A w ogóle to jak ty robisz, że wciąż wyglądasz tak… porządnie? Cały dzień pakowałaś kartony, a mogłabyś, tak jak jesteś, iść na lunch do eleganckiej knajpy. Jak to się robi?

– Tylko ty potrafisz tak to powiedzieć, że dbanie o wygląd brzmi jak zarzut.

– To nie był zarzut. Słowo. Zastanawiałam się tylko, jak ty… zresztą nieważne. Zapomnij.

– Wokół mnie jest mur. – Meredith sięgnęła po tequilę i sobie nalała.

– Jest. Niczym pole siłowe. Nic nie jest w stanie zburzyć ci fryzury. – Nina zaśmiała się z własnego dowcipu. Śmiała się, kiedy Meredith wychylała trzeci kieliszek, lecz gdy siostra spojrzała jakoś tak dziwnie, jakby ze smutkiem, śmiech Niny zamarł. Nie wiedziała co, ale coś było nie tak.

– Co się dzieje? – spytała.

Meredith zamrugała wolno.

– Poza tym, że na Boże Narodzenie umarł mi ojciec, moja mama popada w obłęd, siostrze się wydaje, że mi pomaga… a męża wieczorem nie ma w domu?

Nina wiedziała, że to nie jest zabawne, lecz nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Tak. Poza tym. Przecież wiesz dobrze, że życie to nie bajka. Jesteś jedną z tych superkobiet, co świetnie radzą sobie ze wszystkim. Dlatego tata tak na ciebie liczył.

– Rzeczywiście, chyba masz rację.

– To najszczersza prawda – westchnęła Nina. Znów pomyślała o tacie i o tym, że go zawiodła. Ciekawe, czy ten nagły przypływ bólu potrwa długo. Czy kiedykolwiek skutecznie go stłumi i zapomni?

– Możesz robić wszystko dobrze – powiedziała cicho Meredith. – A w końcu okazuje się, że i tak jest do bani. I zostajesz sama.

– Powinnam była częściej dzwonić do taty – przyznała Nina. – Wiedziałam, ile dla niego znaczą nasze rozmowy. Ale zawsze wydawało się, że mamy jeszcze tyle czasu…

– Drzwi się zamykają z hukiem. I jesteś odtąd sama.

– Możemy jeszcze coś dla niego zrobić.

Meredith spojrzała na nią zaskoczona.

– Dla kogo?

– Dla taty – zniecierpliwiła się Nina. – Przecież o nim rozmawiamy.

– O! Tak?

– Chciał, żebyśmy lepiej poznały mamę. Mówił, że ona…

– Tylko nie bajki, bardzo cię proszę. Teraz wiem, czemu odnosisz sukcesy. Jesteś obsesyjna.

– A ty nie? – Zaśmiała się Nina. – Daj spokój. Namówmy ją na dalsze opowiadanie. Słyszałaś, co dziś powiedziała? Że nie ma sensu się ze mną kłócić? Czyli liczy się z tym, że ulegnie.

Meredith wstała. Trochę się chwiała na nogach, więc przytrzymała się oparcia krzesła.

– Powinnam była wiedzieć, że nie ma sensu z tobą rozmawiać.

Nina zmarszczyła brwi.

– Taka jesteś pewna swego?

– Ile razy mam powtarzać? Nie zamierzam słuchać żadnych bajek. Nie obchodzi mnie Czarny Rycerz. Ani ludzie zmieniający się w dym, ani piękny książę. To ty obiecałaś tacie, nie ja. Ja obiecałam, że się nią zaopiekuję. I właśnie mam zamiar się tym zająć. Jakby co, to jestem w łazience i pakuję jej rzeczy.

Wyszła z kuchni. Nina nie zdziwiła się nawet zbytnio, w końcu siostra zachowywała się konsekwentnie. Ale się rozczarowała. Tata na pewno chciał, żeby wspólnie to zrobiły. Przecież o to mu chodziło. Żeby były razem. A w przeszłości działo się tak tylko za sprawą bajek.

– Próbowałam, tato – powiedziała głośno. – Nawet upicie jej nic nie dało.

Wstała, czując się całkiem pewnie na nogach. Wzięła karafkę i kieliszki i poszła na górę. Przy uchylonych drzwiach łazienki przystanęła, nasłuchując odgłosów działalności Meredith.

– Zostawię drzwi otwarte! – zawołała. – Na wypadek gdybyś jednak miała ochotę posłuchać.

Z łazienki nie nadeszła żadna odpowiedź, jedynie stuk przedmiotów.

Poszła do matki. Zapukała i weszła, nie czekając na zaproszenie.

Mama siedziała w łóżku oparta o stos białych poduszek, do pasa przykryta białą kołdrą. Biel – włosy, koszula nocna, pościel, cera – kontrastowała ostro z czarną ramą i zagłówkiem łóżka. W tym otoczeniu matka wyglądała eterycznie i nieziemsko, niczym starzejąca się Galadriela o intensywnie błękitnych oczach.

– Nie zapraszałam cię tutaj – powiedziała.

– Nie. A ja jestem. To magia.

– I sądziłaś, że będę chciała napić się wódki?

– Na pewno.

– A to czemu?

Nina podeszła bliżej.

– Obiecałam mojemu umierającemu ojcu… – Słowa te zrobiły wrażenie. Mama drgnęła, jakby ją ktoś uderzył. – Kochałaś go. Wiem. A on chciał, żebym wysłuchała twojej bajki o ubogiej dziewczynie i o księciu. Całej, do końca. Na łożu śmierci mnie o to prosił. Ciebie też prosił.

Matka odwróciła wzrok. Patrzyła teraz na swoje pokryte niebieskimi żyłkami ręce złożone na kocu.

– Nie dasz mi spokoju.

– Nie.

– Bajki są dla dzieci. Czemu tobie tak zależy?

– A czemu jemu zależało?

Cisza.

Nina czekała.

W końcu mama poddała się.

– Nalej.

Nina spokojnie nalała i podała jej kieliszek.

Mama wypiła.

– Zrobię to, ale pod pewnymi warunkami. – Odstawiła na bok pusty kieliszek. – Jeśli mi będziesz przerywać, przestanę. Będę opowiadać po kawałku i tylko w nocy. Za dnia nie będziemy do tego wracać. Rozumiesz?

– Tak.

– I przy zgaszonym świetle.

– Dlaczego zawsze…

Mama spojrzała ostro, Nina urwała.

– Przepraszam. – Podeszła do lampy i ją zgasiła.

Noc była bezksiężycowa i żadna srebrzystoniebieska poświata nie sączyła się przez okno. Jedyne światło padało z korytarza przez uchylone drzwi.

Nina usiadła na podłodze w oczekiwaniu.

W pokoju rozległ się szelest. To mama mościła się wygodniej w łóżku.

– Gdzie mam zacząć?

– Skończyłaś, kiedy Wiera zamierzała się wymknąć na spotkanie z księciem.

Westchnienie.

I znów popłynął słodki, melodyjny głos, taki sam, jakim matka opowiadała im kiedyś.

– Wiera wraca z parku do domu. Resztę dnia spędza w kuchni z matką, lecz myśli ma cały czas zajęte swoimi planami. Wie, że mama się czegoś domyśla, że obserwuje ją uważnie, ale jak dziewczyna ma się skupić… na przelewaniu gęsiego smalcu do słoików, gdy jej serce płonie?

– Wiero, uważaj – mówi mama.

Wiera właśnie rozlała wielką plamę tłuszczu na stole. Zbiera ręką rozlany smalec i wrzuca do zlewu. Nie znosi gęsiego smalcu. Masło jest o wiele lepsze.

– Wyrzucasz smalec? Co się z tobą dzieje?

Siostra chichocze.

– Pewnie myśli o chłopcach. Albo o chłopcu.

– Normalne, że myśli o chłopcach. – Mama ociera pot z czoła i znów miesza gotujące się na kuchni borówki. – Ma piętnaście lat.

– Prawie szesnaście.

Mama przestaje mieszać i odwraca się.

Są ostatnie dni lata, wszystkie trzy przygotowują w kuchni zapasy na zimę. Na stole czekają jagody, z których zrobią dżem. Są ziemniaki, grzyby, cebula i czosnek, które trzeba znieść do piwnicy i poukładać. A potem jeszcze zakisić ogórki, zrobić fasolę w słonej zalewie. Mama obiecała, że później nauczy je smażyć bliny z wiśniami.

– Masz prawie szesnaście lat – mówi mama, jakby dokonała odkrycia. – Jesteś dwa lata młodsza niż ja, kiedy poznałam waszego tatę.

Wiera odstawia śliski garnek z gęsim smalcem.

– Co czułaś, gdy go pierwszy raz zobaczyłaś?

Mama uśmiecha się.

– Wiele razy wam o tym opowiadałam.

– Mówiłaś, że cię zachwycił. Ale czym?

Mama znowu ociera czoło i przysuwa sobie krzesło. Siada.

Wiera mało nie pisnęła z wrażenia. Matka nie należy do kobiet, które przerywają pracę dla pogaduszek. Wiera i Olga wiele razy słyszały od niej o odpowiedzialności i obowiązku. Są poddanymi króla, który został uwięziony, i aby przetrwać, muszą być posłuszne. Kornie chylić głowę i pracować, pracować, pracować. Cień Czarnego Rycerza spada szybko i niespodziewanie jak jastrząb. Niedobrze jest zwracać na siebie uwagę.

Mimo to matka teraz siada.

– Był nauczycielem. Aż dech w piersi zapierało, taki był przystojny. Kiedy zwierzyłam się z tego waszej babci, syknęła gniewnie i powiedziała: „Zoju, uważaj. Oddech potrzebny jest do życia”.

– Czyli miłość od pierwszego wejrzenia?

– Gdy tylko na mnie spojrzał, wiedziałam, że pójdę za nim na koniec świata. To nieprawda, że podziałał tak na mnie miód, który piliśmy. Piotr był mi przeznaczony. Mój Pietia. Zachwycił mnie swoim pragnieniem wiedzy i radością życia. Ani się obejrzałam, jak zostałam mężatką. Rodzice sprzeciwiali się temu małżeństwu. Akurat w Królestwie panował wielki zamęt, król przebywał na wygnaniu, ludzie żyli w strachu. A ambicje waszego ojca nie były dla niego bezpieczne. Zwykły, prosty nauczyciel, który marzył, że pewnego dnia zostanie wielkim poetą.

Wiera aż wzdycha, takie to romantyczne. Wieczorem koniecznie musi się wymknąć i spotkać z księciem. Matka by ją przecież zrozumiała.

– No, dobrze – mówi matka ze znużeniem. – Wracamy do pracy, a ty, Wiero, uważaj bardziej z tym smalcem. Jest cenny.

Godziny płyną, a myśli Wiery co chwila uciekają daleko. Przygotowując fasolę i ogórki do kiszenia, wymyśla długą i piękną miłosną historię. Ona i Sasza idą brzegiem czarodziejskiej rzeki, gdzie w błękitnej wodzie można czasem zobaczyć obrazy przyszłości. Przystają w blasku latarni, jak robią to zakochani. Nie szkodzi, że on jest księciem, a ona córką biednego nauczyciela.

– Wiero…

Głos brzmi niecierpliwie. Po chwili dociera do niej, że jest wołana już po raz któryś. Ojciec stoi w kuchni i przygląda się jej.

– Tak, papo.

Widać, że jest zmęczony i zdenerwowany. Czarne włosy, zwykle gładko zaczesane, dziś sterczą na wszystkie strony, jakby od ciągłego wichrzenia. Skórzany serdak ma krzywo zapięty. Poplamione niebieskim atramentem palce lekko drżą.

– Gdzie mama? – Rozgląda się po kuchni.

– Poszły z Olgą po ocet.

– Same? – pyta z roztargnieniem, zagryzając usta. – Papo? Czy coś się stało?

– Nie, nic. – Przytula ją i przyciska tak mocno, że Wiera nie może oddychać.

W następnych latach nieraz będzie wracała w myślach do tej sceny. W tle majaczyć będą kolorowe słoiki z przetworami, przypominające w blasku świecy drogocenne klejnoty. Powróci zapach skóry ojcowskiego serdaka i drapanie jego szorstkiej brody. I będzie sobie wmawiać, że powiedziała: „Kocham cię, papo”.

Ale prawda jest taka, że myśli tylko o swojej miłości i o tym, jak by się wymknąć z domu. Nic nie mówi do ojca, tylko szybko wraca do zajęć.

W nocy Wiera nie może uleżeć spokojnie.

Wszystko w jej ciele drży w radosnym oczekiwaniu. Przez otwarte okno płyną różne dźwięki: jakieś rozmowy, daleki stukot końskich kopyt na ulicznym bruku, muzyka dobiegająca z parku. W tę ciepłą, jasną noc ktoś gra na skrzypcach, pewnie dla swojej ukochanej. Piętro wyżej podłoga skrzypi, słychać kroki. Może sąsiedzi tańczą?

– Boisz się? – pyta Olga chyba już po raz piąty.

Leżą na wąskim łóżku. Wiera przekręca się w jej stronę i teraz zwrócone są do siebie twarzami.

– Kiedy będziesz starsza, Olgo, zobaczysz, jak to jest, gdy spotykasz chłopca, w którym się zakochujesz. To uczucie, jakbyś tonęła, a potem wypływała na powierzchnię i wypełniała płuca życiodajnym powietrzem.

Wiera przytula siostrę i całuje ją w pyzaty policzek. Odrzuca kołdrę i wstaje. Próbuje zobaczyć swoje odbicie w małym lusterku, lecz widzi się jedynie po kawałku: długie czarne włosy przewiązane paseczkiem skóry, świetliste policzki, różowe usta. Ubrana jest w jasnoniebieską sukienkę z koronkowym kołnierzykiem – właściwie strój małej dziewczynki, ale nie ma nic lepszego. Ach, gdyby jeszcze zdobyć beret albo szpilkę do włosów, albo – ach, ach, marzenie – perfumy!

– No, dobrze. – Odwraca się do siostry. – Jak wyglądam?

– Przepięknie.

Wiera uśmiecha się radośnie. Wie, że to prawda. Jest ładna, niektórzy twierdzą, że wręcz piękna.

Zbliża się do drzwi i nasłuchuje. Cisza, żadnego dźwięku.

– Już śpią – mówi. Poruszając się bardzo ostrożnie, podchodzi na palcach do okna, które w lecie zawsze jest otwarte. Posyła siostrze całusa i cały czas uważając, schodzi na dół po żelaznej kracie. Co chwila ogląda się ze strachem, czy nikt na nią nie patrzy, czy nie pokazują jej palcami, nie wołają: „O, tam, niedobra dziewczyna ucieka do chłopaka”.

Ludzie na ulicy są pijani jasną nocą i miodem i w ogóle nie zauważają, że ktoś wychodzi przez okno na pierwszym piętrze. Wiera skacze na mały

trawnik. Jest szczęśliwa. Przykłada dłoń do ust, aby stłumić radosny śmiech, i biegnie, biegnie przed siebie.

On już jest. Stoi przy latarni na końcu mostu na Fontance. Z daleka wygląda jak złoty posąg. Ma złote włosy, serdak, cerę…

– Myślałem, że nie przyjdziesz.

Ona z wrażenia nic nie mówi, słowa wraz z oddechem uwięzły gdzieś w gardle. Nie może oderwać wzroku od jego pięknych ust. Błąd. Na ułamek sekundy zamyka oczy, a mimo wszystko pocałunek jest dla niej zaskoczeniem. Brak jej tchu, czuje, że zaraz wybuchnie płaczem, i tak się staje. Łzy zmieniają się w małe gwiazdeczki, a ona się wstydzi, że nie umie ich powstrzymać.

Teraz on już wie, że jest głupiutką gąską, która się zakochała od pierwszego wejrzenia i płacze przy pierwszym w życiu pocałunku.

Wiera chce się wytłumaczyć, lecz nie jest pewna, co powinna powiedzieć. Nagle Sasza gwałtownie przykuca i pociąga ją w dół.

– Cicho – mówi tak ostro, że czuje się tym dotknięta. – Patrz.

Ulicą wolno jedzie lśniąca czarna kareta zaprzężona w sześć czarnych smoków. Wokół panuje głucha cisza. Ludzie chowają się w cieniu i zastygają w bezruchu. Czarny Rycerz…

Kareta posuwa się jak polujący drapieżnik, smoki dyszą ogniem. Zatrzymuje się, a Wierę przenika lodowaty chłód.

– Ja tam mieszkam – mówi.

Z karety wysiadają trzy pokraczne zielone trolle w czarnych pelerynach, idą razem, chwilę się naradzają, po czym podchodzą do frontowych drzwi.

– Co one robią? – pyta Wiera szeptem, kiedy weszły do środka. – Czego chcą?

Minuty płyną nieznośnie wolno, wreszcie drzwi znów się otwierają.

Wiera ogląda tę scenę jak na zwolnionym filmie. Trolle prowadzą ojca. On nie walczy, nie sprzeciwia się, nie mówi ani słowa.

Za nimi zbiega mama, potyka się na schodach. Płacze, błaga. Wszystkie okna w ich domu zatrzaskują się głośno.

– Papo! – krzyczy Wiera.

Ojciec idący po drugiej stronie ulicy podnosi głowę i patrzy na nią. Jakby tylko on usłyszał jej wołanie.

Potrząsa głową i daje ręką znak: „Zostań tam, nie podchodź”. Wsadzają go do karety i po chwili nie ma po nim śladu.

Wiera cały czas się wyrywa, teraz Sasza ją puszcza, a ona nie oglądając się za siebie, przebiega ulicę.

– Mamo, dokąd go zabrali?

Matka wolno podnosi głowę. Przez chwilę sprawia wrażenie, jakby nie poznawała własnej córki.

– Powinnaś być w łóżku, Wiero.

– Dokąd trolle zabierają papę?

Matka nie odpowiada, ale w tym momencie z tyłu dobiega cichy głos Saszy:

– Czarny Rycerz, Wiero. Robi z nami, co chce.

– Nie rozumiem! – krzyczy Wiera. – Jesteś księciem…

– Moja rodzina nie ma już żadnej władzy. Czarny Rycerz uwięził ojca i stryjów. Lepiej, żebyś o tym wiedziała. Dziś w Królestwie Śniegu niebezpiecznie jest należeć do rodziny królewskiej. Nikt ci nie pomoże. Wzdycha. – Tak mi przykro.

Wiera płacze i tym razem łzy nie zmieniają się w gwiazdki; stają się małymi czarnymi kamykami, i to bardzo boli.

– Wiero – odzywa się matka. – Musimy wracać. – Bierze córkę za rękę i odciąga od Saszy, który patrzy bezradnie. – Ona ma piętnaście lat – mówi mama do niego. Mocno obejmuje córkę i razem wchodzą po schodach.

Wiera ogląda się raz jeszcze, lecz księcia już nie ma.

Od tej pory w domu Wiery wiele się zmieniło. Nikt się nie uśmiecha, nikt się nie śmieje. Wszystkie trzy próbują udawać, że jeszcze wszystko będzie dobrze, choć żadna w to nie wierzy.

Królestwo nadal jest piękne. W białym mieście otoczonym białymi murami płyną czarodziejskie rzeki, przez które przerzucone są malownicze mosty, a obok stoją wysokie wieże, ale teraz Wiera inaczej to postrzega. Tam, gdzie przedtem było światło, czai się cień, a gdzie była miłość, zapanował strach. Kiedyś, gdy w ciepłe białe noce słyszała śmiech studentów, chciało się jej płakać z żalu, że nie jest z nimi. Teraz na własnej skórze się przekonała, czym naprawdę jest płacz.

Dni przechodzą w tygodnie i Wiera zaczyna tracić nadzieję na powrót ojca. Szesnaste urodziny mijają bez żadnego świętowania.

– Na zamku podobno szukają ludzi do pracy – mówi matka pewnego dnia przy kolacji. – Do biblioteki i do piekarni.

– Tak. – Wiera kiwa głową z roztargnieniem.

– Wiem, że chciałaś pójść na studia.

Ach, dawne marzenia. Ojciec tego dla niej pragnął. Miała zostać poetką jak on. Teraz, gdy wreszcie jest dorosła, o czym tak długo marzyła, nie ma już wyboru. Studia nie są dla takich jak ona. Szybko to zrozumiała.

Wraz z aresztowaniem ojca przyszłość zmieniła się nieodwracalnie. Nie będzie studiów, koledzy nie będą nosić za nią ciężkich książek, nie będzie się z nikim całować ukradkiem po drodze do domu. Nie będzie Saszy.

– Nie chcę, żeby ubranie wiecznie pachniało mi chlebem.

Nie patrząc, wie, że matka kiwa głową na znak zgody. Wszystkie trzy są teraz tak ze sobą emocjonalnie związane, że kiedy jedna wykonuje jakiś ruch, druga natychmiast to wyczuwa. To jest jak kręgi rozchodzące się na wodzie.

– Pójdę jutro do królewskiej biblioteki – obiecuje Wiera.

Ma zaledwie szesnaście lat. Skąd może wiedzieć, że właśnie popełniła wielki błąd? Kto zresztą mógłby wtedy przewidzieć, że przez tę decyzję śmierć zabierze jej najbliższych?

12

– Jak to śmierć? I co to za błąd? – spytała Nina, kiedy matka skończyła. – Nigdy nie słyszałyśmy tej części opowieści.

– Owszem, słyszałyście. Chociaż czasem ją opuszczałam, bo Meredith bardzo się wtedy bała.

Nina podeszła do łóżka, po drodze zapalając lampę. W łagodnym świetle matka wyglądała jak duch, gdy tak leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami.

– Jestem zmęczona. Zostaw mnie teraz.

Niezbyt to Ninę ucieszyło. Mogłaby tak godzinami siedzieć po ciemku i słuchać. Ojciec miał rację. Za sprawą bajki nawiązywała się między nimi jakaś więź. Matka też musiała to czuć. I widać było, że tym razem głębiej wchodzi w tę historię niż przedtem. Ciekawe, czy jej też zależy, żeby kontynuować opowiadanie. I czy tata ją też o to prosił?

– Coś ci podać? – spytała Nina.

– Moją robótkę.

Nina wzięła pękatą torbę leżącą obok fotela bujanego i przyniosła matce. Po chwili dłonie mamy poruszały się sprawnie nad plątaniną niebieskozielonej moherowej przędzy. Nina wyszła i zamknęła drzwi, mając w uszach klik-klik-klik drutów.

Po drodze zajrzała do łazienki. Była pusta. Zeszła na dół i dołożyła polano do dogasającego ognia. Nalała sobie kieliszek wina i usiadła przed kominkiem.

– Coś podobnego! – powiedziała głośno. – Niesamowite.

Co za historia, naprawdę warto posłuchać, choćby po to, by usłyszeć tę wielką pasję i moc w głosie matki. Bajkę opowiadała zupełnie inna kobieta niż zimna i daleka Anja Whitson z czasów ich dzieciństwa.

Czy ojciec chciał, żeby właśnie ten sekret matki poznała? Żeby się przekonała, iż pod skorupą milczenia kryje się zupełnie inna osoba? Czy to miał być prezent od niego? Prawdziwy obraz – nareszcie – kobiety, w której zakochał się przed laty?

A może jest jeszcze coś więcej? Historia stawała się bardziej zawiła i bogatsza w szczegóły niż wersje, które zapamiętała. Chyba że wtedy nie wszystko do niej dotarło. W dzieciństwie bajki przyjmuje się jak coś naturalnego, jak zdjęcie, które się widzi tak często, że w ogóle się nie zastanawia, kto je zrobił i po co. Albo kogo widać na drugim planie. Ale gdy już raz się w nim zauważy coś niezwykłego, zaczynają się pytania.

Meredith nie miała zamiaru słuchać, lecz kiedy w zagraconej łazience przeglądała szuflady pełne przeróżnych leków – niektóre sprzed dwudziestu co najmniej lat – nagle usłyszała Głos.

Jako mała dziewczynka tak zawsze myślała o głosie mamy.

To nie była świadoma decyzja. Po prostu skończyła pakować karton, napisała na nim ŁAZIENKA i wytaszczyła na korytarz. A tu przez otwarte drzwi wyraźnie dobiegały słowa znane z dzieciństwa.

„Może ona myśli o chłopcach. Albo o chłopcu”.

Przeszedł ją dreszcz. Wróciła dawna tęsknota do bliskości z matką. Pragnienie towarzyszące jej przez całe życie.

Wiedziała, że powinna stąd co prędzej uciekać, ale nie mogła. Już zadziałał czar słodkiego i melodyjnego głosu mamy, głosu czarownicy z bajki. Nim sobie uświadomiła, co robi, podeszła bliżej drzwi i zaczęła słuchać uważnie.

Czar prysł, gdy rozległo się niecierpliwe pytanie Niny: „Jak to śmierć?". Wtedy uciekła. Za nic nie chciała zostać przyłapana na podsłuchiwaniu. Nina znowu by się do niej przyczepiła.

Zbiegła na dół i za parę minut była u siebie. Psy powitały ją z entuzjazmem. Jak miło, że ktoś za nią tęskni. Wpuściła je do środka i siedząc na podłodze, pozwalała zwierzakom lizać się po twarzy i szturchać nosem. Skoro nie może liczyć na powitanie stęsknionego męża...

– Dobre pieski – mruczała, drapiąc je za uszami. W końcu wstała i wyjęła ze schowka torbę psiej karmy.

Zwykle zajmował się tym Jeff.

Wsypała jedzenie do misek. Sprawdziła, czy zwierzęta mają wodę, i poszła do kuchni.

Było cicho, pusto, żadnych zapachów. Nie zapalając światła, stała i z niechęcią myślała o nadchodzącej nocy. Pewnie dlatego została tam tak długo i słuchała bajki. Wszystko lepsze niż puste łóżko.

Zadzwoniła do córek, zostawiła wiadomość, że je kocha, i zrobiła sobie herbaty. Otuliła się grubym kocem i poszła na werandę.

Przynajmniej tutaj cisza wydawała się czymś naturalnym.

Można się było zatracić w nieskończoności rozgwieżdżonego nieba, rozkoszować się słodkim zapachem młodej roślinnej wegetacji. Przyjemny to czas – ten okres przejściowy między wiosną a latem, kiedy na drzewach pojawiają się pierwsze małe jabłuszka. Ani się człowiek obejrzy, a sady pełne będą owoców, robotników, zbieraczy...

Ulubiona pora roku ojca, moment, gdy wszystko jeszcze jest możliwe, łącznie z tym, że te zbiory okażą się najlepsze od lat. Próbowała pokochać Biełyje Noczi tak jak ojciec. Kochała go, więc chciała kochać to samo co on, a w sumie nieudolnie naśladowała jego życie, nieudolnie, bo nie miała w sobie jego pasji.

Zamknęła oczy i oparła się o ramę huśtawki. Wiklinowe oparcie uwierało trochę w szyję, ale trudno. Zardzewiałe łańcuchy jęknęły na znak protestu, kiedy odepchnęła się stopą.

„Jesteś jak ona".

Tak jej powiedział!

Otuliła się szczelniej kocem i dopiła herbatę, a potem poszła na górę. Pozwoliła psom wejść do sypialni. Wzięła środek na sen, położyła się i przykryła aż pod brodę. Skuliła się jak embrion, nasłuchując w ciszy sapania psów.

Dopiero koło północy zapadła w niespokojny, urywany sen. Obudził ją budzik o piątej czterdzieści siedem.

Wyłączyła go, próbowała jeszcze zasnąć, lecz się nie udało, więc wstała, włożyła strój do biegania i zrobiła osiem kilometrów. Po powrocie do domu była tak skonana, że spokojnie mogłaby znów się położyć, ale się nie odważyła.

Najważniejsze to praca. Trzeba się czymś zająć.

Myślała nawet o tym, żeby pójść do biura. Jednak ktoś mógłby zauważyć samochód, a gdyby doszło do Daisy, że przyszła do pracy w niedzielę, zaczęłoby się śledztwo.

Postanowiła pojechać do mamy i sprawdzić, czy Nina dobrze się nią opiekuje. Poza tym zostało jeszcze sporo do spakowania.

Godzinę później zjawiła się tam, ubrana w stare dżinsy i granatową bluzę.

– Halo! – powiedziała, wchodząc do kuchni.

Nina siedziała przy stole, w tych samych ciuchach co wczoraj, a czarne włosy sterczały jej we wszystkie strony. Przed nią

leżały pootwierane książki i porozrzucane kartki, w większości pokryte jej zamaszystym pismem.

– Wyglądasz jak Unabomber – odezwała się Meredith.

– A, dzień dobry, dzień dobry.

– Spałaś w ogóle?

– Trochę.

– Coś nie tak?

– Wiem, że ciebie to nie obchodzi, ale mnie mocno poruszyła wczorajsza bajka. Nie mogę przestać o niej myśleć. – Nina podniosła głowę. – Wczoraj wieczorem mama wspomniała coś o moście na Fontance. Przedtem zawsze był to Zaczarowany Most, pamiętasz? Czy to nie wydaje ci się dziwne?

– Przecież to tylko bajka.

– Posłuchaj. „Fontanka – dopływ Newy, głównej rzeki Leningradu".

Meredith nalała sobie kawy.

– Jest Rosjanką. Rzecz dzieje się w Rosji. Daj sobie spokój.

– Szkoda, że nie słuchałaś, Mere. To było niesamowite. Wczoraj opowiadała same nowe rzeczy.

„Wcale nie same nowe".

– Za mała byłaś, żeby zapamiętać. I tak się nie dam w to wciągnąć.

– Jak może cię to nie interesować? Nigdy nie słyszałyśmy końca tej opowieści.

Meredith odwróciła się wolno.

– Jestem wykończona, siostrzyczko. Nie wiem, czy znasz to uczucie. Dla ciebie zawsze najważniejsze jest to, co robisz. Ale ja tu żyję od lat i znam ją dobrze. Zobaczysz: nie usłyszysz żadnego zakończenia. Będzie cię zwodzić, a ty jak głupia będziesz czekać na coś więcej… I łudzić się, że jej smutek albo słaby uśmiech cokolwiek znaczą. Bo ty chcesz, żeby znaczyły. A wszystko to jedna wielka iluzja. Ona nas nie kocha i tyle.

Zresztą mam teraz swoje własne problemy, więc uprzejmie dziękuję za bajki.

– Jakie problemy?

Meredith spojrzała na swoją kawę. Przez moment zapomniała, z kim rozmawia. Siostra z jej dziennikarskim wścibstwem nie miała żadnych oporów, jeśli chodzi o stawianie pytań.

– Nic takiego. Tak mi się po prostu powiedziało.

– Kłamiesz.

Meredith uśmiechnęła się ze znużeniem, podeszła do stołu i usiadła naprzeciwko.

– Nie chcę się z tobą kłócić.

– Więc porozmawiaj ze mną.

– Byłabyś ostatnią osobą na świecie, która by zrozumiała. To żadna złośliwość. Taka jest prawda.

– Czemu tak mówisz?

– Danny Flynn. Jesteś z nim od przeszło czterech lat, a nikt z nas nigdy o nim nie słyszał. Wiem, w jakich krajach byłaś, znam twoje zdjęcia, wiem nawet, które plaże lubisz najbardziej, ale nie wiem nic o mężczyźnie, którego kochasz.

– A kto powiedział, że go kocham?

– No właśnie. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek byłaś zakochana. Dla ciebie liczą się tylko cudze historie. Jak te bajki. Dałaś się wciągnąć. – Zatoczyła ręką koło, pokazując książki rozłożone na stole. – Tylko się nie spodziewaj, że to cokolwiek znaczy. Bo nie znaczy. Ona na nic nie pozwoli. I proszę cię, nie mieszaj mnie w to wszystko. Nic z tego nie będzie. Nie z nią. Dobra?

Wprost nie do zniesienia była ta litość w oczach Niny.

– Dobra.

Meredith kiwnęła głową i wstała.

– Dobrze. Teraz pojadę po zakupy, a potem wrócę i jeszcze popakuję.

– Musisz ciągle coś robić – stwierdziła Nina.

Meredith zignorowała autorytatywny ton siostry.

– Wygląda na to, że nie ja jedna. Do zobaczenia za kilka godzin. Dopilnuj, żeby mama zjadła coś sensownego.

Uśmiechnęła się kwaśno i poszła do samochodu.

Nina spędziła resztę dnia, na przemian robiąc zdjęcia w sadzie i surfując po Internecie. Niestety, połączenie telefoniczne było niemiłosiernie wolne, więc wieki trwało sprawdzenie czegokolwiek. Dowiedziała się jednak, że Rosja ma bogatą tradycję opowiadania bajek, a te zdecydowanie różnią się od bajek braci Grimm, znanych w Ameryce. Opowieści o ubogiej dziewczynie i księciu było mnóstwo i przeważnie kończyły się nieszczęśliwie – ku nauce i przestrodze.

Nic z tego nie wyjaśniało specyfiki bajki mamy.

Kiedy zapadł zmrok, do gabinetu zajrzała Meredith.

– Kolacja gotowa – oznajmiła.

Nina omal nie jęknęła. Miała szczery zamiar pomóc przy kolacji, ale jak zwykle, gdy zaczęła czegoś szukać, świat przestał dla niej istnieć.

– Dzięki. – Wstała i wyłączyła komputer. W kuchni mama siedziała już przy stole. Nakryte zostało na trzy osoby.

Nina spojrzała na siostrę.

– Dziś też zostajesz na kolacji? A może zadzwonimy do Jeffa i go zaprosimy?

– Pracuje do późna – odparła Meredith. Właśnie wyjmowała z pieca zapiekankę.

– Znowu?

– Gazeta. Wiecznie coś się dzieje.

Nina postawiła na stole karafkę i trzy kieliszki. Usiadła obok mamy, nalała.

Meredith przyniosła gorące naczynie z zapiekanką.

– Czenaki – ucieszyła się Nina, wdychając aromat potrawy z jagnięciny i warzyw. Pochodziła z zamrażarki mamy, więc będzie cudowna, nawet odgrzewana. Warzywa powinny być idealnie miękkie. Smaki pomidorów, papryki, fasolki szparagowej i cebuli cukrówki łączą się w jedwabistą kompozycję, a wszystko wraz ze sporymi kawałkami soczystego mięsa zalane jest esencjonalnym jagnięcym rosołem, przyprawionym czosnkiem i cytryną. To jedno z jej najulubieńszych dań.

– Świetny wybór, Meredith.

Siostra przysunęła sobie krzesło.

Nina wręczyła jej kieliszek.

– Znowu. – Skrzywiła się Meredith. – Mało ci było wczoraj?

– Nowa tradycja.

– Pachnie jak sosnowe igły. – Meredith powąchała i zmarszczyła nos.

– Ale smakuje zupełnie inaczej – powiedziała mama.

Nina zaśmiała się, myśląc, że to taki żart, i podniosła kieliszek. Posłusznie stuknęły się i wypiły. Nina sięgnęła po chochlę.

– Ja nałożę. Meredith, ty dzisiaj zaczynasz.

– Znowu trzy rzeczy?

– Ile chcesz. My za tobą.

Mama nie odezwała się, tylko pokręciła głową.

– Dobrze – zgodziła się Meredith. Nina właśnie nakładała jej porcję zapiekanki na głęboki talerz. – Moją ulubioną porą dnia jest świt. Uwielbiam siedzieć w lecie u nas na werandzie, a Jeff… uważa, że za dużo biegam.

Nina zastanawiała się, co powiedzieć, tymczasem zaskoczyła je mama.

– Moją ulubioną porą dnia jest noc. Białe noce. Uwielbiam gotować. A wasz ojciec uważa, że powinnam się uczyć gry na fortepianie.

Usłyszawszy słowo „uważa”, Nina podniosła głowę. Przez moment wszystkie trzy patrzyły na siebie.

Mama pierwsza spuściła wzrok.

– Uważał – poprawiła się. – Nie musisz mnie gonić do doktora, Meredith. Wiem, że go tu nie ma.

Meredith milczała.

Nina przerwała niezręczną ciszę.

– Moją ulubioną porą dnia jest zachód słońca. Najlepiej w Botswanie. W porze suchej. Uwielbiam dostawać odpowiedzi na pytania. I myślę, że jest jakiś powód, dla którego mama prawie na nas nie patrzy.

– Koniecznie chcesz wszystko wiedzieć – powiedziała matka. – Rozczarowałabyś się. A teraz jedz. Nie znoszę tej potrawy, kiedy wystygnie.

Po tonie jej głosu Nina zorientowała się, że to tyle, jeśli chodzi o ich nową tradycję. Od tej chwili jadły w milczeniu, słychać było jedynie stuk sztućców o talerze i odgłos odstawianych kieliszków. Po kolacji Meredith podeszła do zlewu, a mama oddaliła się z godnością.

– Dziś znów mam zamiar posłuchać – oświadczyła Nina siostrze, która właśnie wycierała srebrne sztućce.

Ale ta nie podjęła tematu.

– Mogłabyś chociaż…

– Muszę przejrzeć rzeczy w gabinecie ojca – przerwała jej Meredith. – Potrzebne mi są pewne dokumenty.

– Naprawdę?

– Tak. Dawno już miałam to zrobić.

W każdym domu są miejsca będące królestwem jednej tylko osoby, i choćby wszyscy członkowie rodziny też korzystali z tej samej przestrzeni, i tak będą prawdziwie należeć tylko do jednego z nich. U Meredith do niej należała weranda. Jeff i córki korzystali z niej od czasu do czasu, głównie z okazji letnich przyjęć. Meredith kochała swoją werandę i cały rok niezależnie od pogody przesiadywała na wiklinowej huśtawce.

Dom o nazwie Biełyje Noczi niemal w całości stanowił królestwo mamy. Wskutek upośledzenia jej wzroku wszędzie dominował czarno-biały wystrój pomieszczeń. Białe ściany w kuchni, blaty szafek z białych kafelków, ciemny antyczny stół i ciemne krzesła. Innych kolorów było tu niewiele: lalki na parapecie, złocone ikony w domowym ołtarzyku, obraz przedstawiający trojkę.

Natomiast prawdziwym królestwem ojca był jego gabinet.

Meredith niemal widziała, jak tata siedzi przy biurku i uśmiechnięty rozmawia poważnie z małymi dziewczynkami bawiącymi się na podłodze.

Miała wrażenie, że gdzieś tu zostało echo jego głosu, chwilami zdawało się jej, że czuje słodki zapach fajki.

„Nie mówcie mamie, że palę. Nie lubi tego”.

Uklękła na środku pokoju, na grubym zielonym dywanie. Przed mahoniowym biurkiem taty stały dwa miękkie fotele zwrócone lekko do siebie. Ściany w kolorze kobaltowego błękitu miały czarne lamówki. Wszędzie rodzinne zdjęcia, wisiało i stało tu ich mnóstwo, oprawionych w zielone skórzane ramki.

Przysiadła na piętach. Niełatwo jej przyszło zabrać się do tej pracy. Chyba tylko porządkowanie jego ubrań byłoby trudniejsze.

Ale to konieczne i musi się z tym uporać. Potrzebne są różne polisy ubezpieczeniowe, rachunki, kwity podatkowe, wyciągi bankowe. Trzeba je teraz spokojnie przejrzeć.

Z westchnieniem otworzyła pierwszą szufladę. Długo czytała i segregowała urzędowe świadectwa życia rodziców. Dzieliła je na trzy kupki: „zachować", „zastanowić się" i „spalić".

Całe szczęście, że zdołała się skupić. Tylko z rzadka myśli wędrowały gdzie indziej, głównie do Jeffa i jego odejścia.

Tak właśnie stało się teraz, kiedy w dokumentach podatkowych znalazła zaplątane przypadkiem zdjęcie, na którym tata, Nina, Jeff, Jillian i Maddy grali w piłkę przed domem. Dziewczynki jeszcze takie małe – niewiele wyższe od skrzynki pocztowej – i ubrane w identyczne różowe kombinezony. Wszyscy szczęśliwi, roześmiani, a wokół bożonarodzeniowe dekoracje.

Dlaczego jej tam nie było? Pewnie nakrywała do stołu z pasją godną Marthy Stewart albo pakowała prezenty, albo coś świątecznie przystrajała.

A powinna być z nimi. Razem z mężem i z dziećmi tworzyć rodzinne wspomnienia. Zdawało się, że jeszcze zdąży, a miłość wszystko wybaczy. Odłożyła zdjęcie i otworzyła drugą szufladę. W tym momencie usłyszała trzask drzwi wejściowych, a potem głos Niny w salonie.

Oczywiście. Noc zmusiła ją do powrotu. Obsesję fotografowania zastąpi druga obsesja – słuchania bajki.

Wyjęła pierwszą teczkę, na której naklejka została częściowo zerwana. Pozostało jedno słowo. ВераПетровна. Litery były rosyjskie.

W środku znalazła list wysłany dwadzieścia lat temu z Anchorage na Alasce, adresowany do pani Evanowej Whitson.

Szanowna Pani!

Dziękuję za odpowiedź na moje pytanie. Jestem głęboko przekonany, że mogłaby Pani dostarczyć bezcennych informacji, istotnych dla moich badań naukowych dotyczących Leningradu, ale oczywiście szanuję Pani decyzję. Jeśli jednak kiedykolwiek zmieni Pani zdanie, bardzo proszę o kontakt. To ważne.

Z poważaniem
Wasilij Adamowicz
profesor Wydziału Filologii Rosyjskiej
Uniwersytet Stanu Alaska

Przez uchylone drzwi usłyszała, że Nina mówi coś do mamy, po czym zapadła przeciągająca się dłuższą chwilę cisza. W końcu matka się odezwała, Nina jej odpowiedziała i matka podjęła przerwaną opowieść.

Bajka. Tylko wtedy jej głos nabierał tego niezwykłego brzmienia.

Meredith zawahała się. Przekonywała samą siebie, żeby tu zostać, że to nie ma dla niej żadnego znaczenia. I tak nic z tego nie będzie, mama nie pozwoli odkryć swoich sekretów. W tym momencie padło imię: Wiera. Włożyła tajemniczy list do koperty i zakwalifikowała do kategorii „zachować”.

Wstała.

13

Nina położyła aparat na stole i podeszła do matki, która siedziała w ulubionym fotelu ojca i robiła na drutach. Nawet w ciepły majowy wieczór w salonie panował chłód, więc zapaliła w kominku.

– Gotowa? – spytała.

Matka podniosła głowę. Była bardzo blada, policzki miała lekko zapadnięte, ale oczy bystre i przytomne.

– Na czym skończyłyśmy?

– Oj, mamo. Przecież pamiętasz.

Starsza pani przyglądała jej się chwilę.

– Zgaś światło – poleciła.

Nina pogasiła wszystkie lampy w salonie i w przedpokoju. Został tylko ogień na kominku, jak płonące serce ciemności. Usiadła na podłodze, opierając się plecami o kanapę. Przez chwilę panowała jakaś niesamowita cisza, jakby cały dom też zastygł w wyczekiwaniu. Po chwili strzeliła iskra, zatrzeszczała gdzieś podłogowa deska; dom też się mościł wygodnie przed dalszym ciągiem opowieści.

Matka zaczęła wolno.

– Po aresztowaniu ojca i osadzeniu go w Czerwonej Wieży Wiera została zauważona, a w tamtych czasach w Królestwie Śniegu było to bardzo niebezpieczne. Nie jest już zwykłą biedną dziewczyną, córką ubogiego nauczyciela. Jej ojciec to zakazany poeta, wróg Królestwa. Odtąd Wiera musi bardzo uważać. Zawsze.

Te pierwsze tygodnie bez ojca są bardzo trudne. Sąsiedzi jej unikają. Kiedy wieczorem idzie po schodach do swego mieszkania, kolejne drzwi po drodze zatrzaskują się. Przypomina to karty gwałtownie rzucane na stół.

Czarne karety są wszędzie, ludzie szepczą sobie na ucho historie o aresztowaniach, o więźniach zamienianych w dym i znikających na zawsze. Gdy Wiera kończy siedemnaście lat, na pierwszy rzut oka potrafi odróżnić rodziny wrogów Królestwa. Bliscy skazanych są cisi i pokorni, kulą się, wzrok mają wbity w ziemię. Starają się wyglądać niepozornie, nie wyróżniać się. Jak najmniej rzucać się w oczy.

Wiera też tak się zachowuje. Nie przesiaduje już przed lustrem, nie stroi się dla chłopców.

Stara się przeżyć. Co dzień rano po wstaniu z łóżka wkłada czarną, za szeroką na nią sukienkę. Stroje nie mają już dla niej takiego znaczenia jak dawniej. Nieważne, że buty są toporne, a pończochy opadają. Na śniadanie gotuje kaszę dla siostry, która bardzo schudła i zmizerniała, i dla matki, która rzadko się odzywa, a niemal każdej nocy słychać jej płacz. Od kilku miesięcy Wiera usiłuje ją pocieszyć, ale bezskutecznie. Matki nie da się pocieszyć. Żadnej z nich nie można pocieszyć.

Żyją z dnia na dzień, starając się jakoś przetrwać. Wiera pracuje – wiele godzin spędza w zakurzonych salach zamkowej biblioteki. Tak jakby oddawała w końcu przetrzymaną za długo książkę, oddala ostatecznie od siebie marzenie ojca, że zostanie pisarką. Lecz nie wyrzeka się radości, jaką dają słowa napisane przez innych. W każdej wolnej chwili zaszywa się w kącie i czyta opowiadania lub wiersze. Nie może tego robić otwarcie. Wiadomo, że jest pod stałą obserwacją. Teraz dzieci też się aresztuje, jeśli w ten sposób można zmusić rodziców do przyznania się do winy. Wiera strasznie się boi, że pewnego dnia czarna kareta z trzema trollami znów zajedzie pod ich dom. I że przyjdą po nią albo, nie daj Boże, po Olgę czy po mamę. Tylko w nocy, kiedy leży obok pochrapującej cichutko siostry, ma odwagę wspominać dawne czasy, dawną Wierę i jej marzenia.

W ciszy i w ciemności, gdy nawet od zamkniętego okna napływa chłód, myśli o Saszy, o pocałunku i o tym, jak się rozpłakała.

Próbuje zapomnieć, ale nie potrafi, choć kolejne miesiące mijają bez żadnej wieści od niego.

– Wiero? – szepcze siostra w ciemności.

– Nie śpię – odpowiada.

Olga przysuwa się do niej.

– Zimno mi.

Wiera obejmuje ją i tuli. Chciałaby coś powiedzieć, jakoś ją pocieszyć. Starsza siostra powinna podnosić młodszą na duchu i Wiera traktuje ten obowiązek poważnie, choć jest taka zmęczona, że niewiele potrafi z siebie wykrzesać.

Wstaje z łóżka i szybko się ubiera. Długie włosy chowa pod chustką, idzie do zimnej kuchni, gdzie na kuchence stoi garnek z wodnistą kaszą.

Mama już wyszła. Wcześniej niż zwykle. Codziennie rano przed świtem idzie do pracy w królewskim składzie zbożowym; wieczorem po powrocie do domu jest wykończona. Tylko całuje córki na dobranoc i zwala się spać.

Wiera podgrzewa kaszę, słodzi sporą łyżką miodu i zanosi siostrze. Siedzą razem na łóżku i jedzą w milczeniu.

– Dziś też? – pyta Olga, wyskrobując z dna ostatnie ziarenka.

– Tak – potwierdza Wiera. Odkąd zabrano ojca, w każdy piątek powtarza siostrze to samo. Bez zbędnych słów. Olga doskonale wie. Nadzieja rzecz krucha, łatwo ją zniszczyć, jeśli się jej zbyt często dotyka. W milczeniu ubierają się i razem wychodzą z domu.

Na dworze zima szczerzy kły.

Wiera podnosi kołnierz, idzie szybkim krokiem, pochylona mocno do przodu, aby stawić opór wiatrowi. Płatki śniegu parzą w policzki. Na zamarzniętej rzece kilkunastu rybaków kuli się nad przeręblami. Na rogu rozstaje się z Olgą, każda idzie w swoją stronę.

Chwilę później Wiera słyszy ryk smoka i widzi czarną karetę, wyraźnie rysującą się na tle bieli śniegu i białych domów. Chowa się za zaspą pod zaśnieżonym drzewem.

Kogoś aresztowano, czyjaś rodzina cierpi, a Wiera myśli: Bogu dzięki, że to nie my, że tym razem nas ominęło. Czeka, aż kareta odjedzie, dopiero wtedy wstaje. Śnieg zacina. Dalszą drogę odbywa trolejbusem i w końcu dociera do miejsca, które już dobrze zdążyła poznać.

Pałac Sprawiedliwości. Przed wejściem przystaje na moment i prostuje ramiona. Otwiera wielkie kamienne wrota, wchodzi i od razu widzi kolejkę zakutanych w chusty kobiet, które tupią nogami w filcowych butach i zacierają

ręce w watowanych rękawicach, żeby się ogrzać. Wolno posuwają się do przodu. Cierpliwie czekają.

Dwie godziny mijają jak w szarym półśnie, i wreszcie Wiera jest u celu. Ze strachem podchodzi do lśniącego biurka, za którym na wysokim krześle siedzi goblin. Twarz ma bladą i bezkształtną jak stopiony wosk, a złote oczy otwierają się i zamykają, jak u węża.

– Nazwisko – mówi.

Wiera podaje nazwisko, starając się mówić głosem spokojnym i opanowanym.

– Wasz mąż?

– Ojciec.

– Pokażcie dokumenty.

Kładzie papiery na lśniącym blacie, włochata łapa wyciąga się po nie. Dużo trzeba odwagi, żeby stać spokojnie i patrzeć, jak goblin czyta dokumenty. A jeśli na swojej liście ma jej nazwisko? Może już na nią czekają? Matka mówi, że niebezpiecznie tu przychodzić. Ale Wiera musi. To jedyna nadzieja, jaka jej została.

Goblin oddaje papiery.

– Sprawa jest rozpatrywana – mówi. – Następny! – ryczy.

Wiera szybko odchodzi, krok ma jednak niepewny. Słyszy jeszcze, jak starsza kobieta, która stała za nią, pyta o męża.

Dobra wiadomość, bo znaczy, że ojciec żyje. Nie został skazany, nie zesłano go na Pustkowie… lub gorzej. Wkrótce Czarny Rycerz zrozumie, że to pomyłka i że ojciec nie jest zdrajcą.

Wiera podnosi kołnierz i wychodzi. Jest bardzo zimno. Jeśli się pośpieszy, zdąży do pracy przed dwunastą.

Co piątek Wiera chodzi do goblina. Za każdym razem pada taka sama odpowiedź: „Sprawa jest rozpatrywana. Następny”.

Niespodziewanie matka oznajmia, że muszą się wyprowadzić.

– Nic na to nie poradzę. – Siada ciężko na krześle przy kuchennym stole. Ostatni rok wycisnął na niej swoje piętno, postarzała się, przybyło jej zmarszczek. Pali taniego papierosa, nie zważając, że popiół spada na podłogę. – Obcięli mi zarobki w składzie zboża. Nie stać nas już na czynsz.

Wiera ma ochotę się sprzeciwić, ale brakuje pieniędzy nawet na opał, a tak strasznie marznie się teraz w nocy.

– Dokąd pójdziemy? – Słyszy, że Olga pochlipuje.

– Do mojej matki.

Wiera jest zaskoczona. Nawet Olga przestaje pociągać nosem.

– Przecież jej nawet nie znamy – dziwi się Wiera.

Matka ostatni raz zaciąga się głęboko i wydmuchuje cienką strużkę niebieskiego dymu.

– Rodzice byli przeciwni mojemu małżeństwu z waszym ojcem. Ale teraz, gdy go już nie ma…

– On jest! – przerywa Wiera i postanawia, że nigdy nie polubi tej nieznanej babki, nie mówiąc o pokochaniu.

Matka milczy, jednak łatwo odczytać spojrzenie jej ciemnych oczu: jego już nie ma.

Olga szuka ręki Wiery, która nie jest pewna, czy siostra chce ją pocieszyć, czy sama oczekuje pociechy.

– Kiedy przeprowadzka?

– Wieczorem. Nim gospodarz przyjdzie po następny czynsz.

Dawna Wiera by protestowała, dzisiejsza tylko cicho wzdycha i idzie się pakować. Niewiele ma rzeczy. Trochę ubrań, koce, szczotka do włosów i stare filcowe buty, które są już za ciasne.

Niebawem opatulone w wiele warstw odzieży brną przez śnieg do nowego domu.

W końcu docierają na miejsce. Dom jest nieduży, dawno nieremontowany, z sypiącą się elewacją. W kilku oknach wiszą zasłony z taniego materiału.

Wiera z matką i siostrą idą po schodach, a potem do ostatniego mieszkania na piętrze.

Otwiera im tęga kobieta o smutnej twarzy, w fartuchu w kwiaty pamiętającym lepsze czasy. Siwe włosy nakryte są jasnozieloną chustką. Pali papierosa, palce ma pożółkłe od nikotyny.

– O, Zoja – mówi. – I moje wnuczki, Wiera i Olga. Która jest która?

– Ja jestem Wiera – przedstawia się starsza, wyprostowując się pod bacznym spojrzeniem babki.

Ta kiwa głową.

– Nie będzie problemów? Nie potrzeba mi kłopotów. Wiecie dobrze, o co chodzi.

– Nie będzie żadnych kłopotów – odpowiada mama cicho, a babka zaprasza je do środka.

Wiera staje w progu jak wryta, Olga wpada na nią i chichocze z tego powodu. Po chwili jej śmiech cichnie.

Całe mieszkanie to jeden pokój z kuchenką na drewno. Umeblowanie składa się ze stołu, czterech krzeseł, z których każde jest inne, i wąskiego łóżka stojącego pod ścianą. Nawet nie ma firanki w jedynym oknie, wychodzącym zresztą na ceglaną ścianę po drugiej stronie uliczki. W rogu znajduje się jeszcze mały, pusty schowek, o którym informują uchylone teraz drzwiczki. Łazienki nie ma; pewnie jest jedna wspólna na cały budynek.

Tu teraz będą mieszkać, stłoczone jak szczury w pudełku po butach.

– Wejdźcie. – Babka gasi papierosa na spodku pełnym niedopałków. – Pokażę wam, gdzie możecie złożyć rzeczy.

Parę godzin później leżą we trzy na posłaniu zrobionym z koców na podłodze. Tak wygląda pierwsza noc w nowym domu. Ciasnota i smród gotowanej kapusty.

– Kolega z pracy przywiezie jutro nasze meble – mówi mama zmęczonym głosem. Olga popłakuje. Wiadomo, że meble niczego nie zmienią.

Wiera bierze siostrę za rękę. Na ulicy wóz konny wpada na coś, woźnica klnie na czym świat stoi, a Wierze przychodzi do głowy, że właśnie słucha, jak umierają jej marzenia.

Po tym wszystkim Wiera cały czas jest rozdrażniona, a choć stara się ukrywać złość, nie zawsze jej się udaje. Łatwo popada w irytację, nic jej się nie podoba. We trzy śpią na jednym łóżku, tak wąskim, że na drugi bok przekręcać się mogą tylko jednocześnie.

Pracuje od świtu do nocy, a po powrocie do domu nie ma mowy o odpoczynku. Gotuje kolację z matką i babką, potem przynosi opał na noc i zmywa naczynia. Nic tylko ciągła harówka. Jedynie piątki są inne.

– Nie powinnaś tam więcej chodzić – ostrzega matka, kiedy wychodzą rano z domu. Jest piąta, na ulicy ciemno choć oko wykol.

Mijają kawiarnię w momencie, gdy wysypuje się z niej grupka pijanych młodych ludzi, roześmianych i poklepujących się po plecach. Wierę aż ściska

w dołku na ten widok. Są tacy młodzi, tacy swobodni, choć wiekiem starsi od niej. A ona, zamiast pić kawę, rozprawiać o polityce i pisać ważne rzeczy, brnie przez zwały śniegu do pracy.

Matka bierze ją za rękę.

– Przykro mi – szepcze.

Rzadko rozmawiają o swoim nieszczęściu i o tym, czym teraz stało się ich życie. Wiera ściska rękę matki. Chce powiedzieć: „Nie szkodzi". Albo: „Nie martw się". Ale boi się, że się rozpłacze, więc tylko kiwa głową.

– Do widzenia – mówi matka, skręcając na przystanek trolejbusu.

– Do wieczora.

Wszystkie trzy rozchodzą się w różne strony.

Wiera samotnie idzie tych kilka przecznic do Pałacu Sprawiedliwości. Ustawia się w długiej kolejce i czeka.

– Nazwisko – mówi goblin siedzący przy biurku, kiedy przychodzi jej kolej.

Jak zwykle bierze dokumenty i czyta. Nagle wstaje i wychodzi. Za szklaną ścianą przez chwilę rozmawia z innymi goblinami, a potem z człowiekiem w długiej czarnej szacie.

Wreszcie wraca, siada i oddaje jej papiery.

– Nie ma takiego nazwiska. Musieliście się pomylić. Następny.

– Ależ na pewno macie go u siebie. Przychodzę tu od ponad roku. Proszę, sprawdźcie raz jeszcze.

– Nikogo takiego tu nie mamy.

– Ale…

– Nie ma go tutaj – mówi szyderczo goblin. – Już nie ma. Zrozumiano? – Wyciąga szyję. – Następny.

Wiera chciałaby się osunąć na ziemię i wybuchnąć płaczem, ale niedobrze jest zwracać na siebie uwagę, ociera więc łzy, prostuje się i idzie do pracy.

Ojca nie ma.

Tak niedawno był i już go nie ma. Prawda wygląda tak, że on nie żyje. Na rozkaz Czarnego Rycerza zabili go trolle jeżdżący lśniącymi czarnymi karetami. Pogrążonej w żałobie rodzinie nie wolno zadawać pytań, w ogóle niczego nie wolno. Nie mogą umyć ciała i ubrać, sprawić godnego pogrzebu, nie mają dokąd pójść na grób. Nawet nie wolno im o coś takiego prosić. Niebezpiecznie jest zwracać na siebie uwagę, niebezpiecznie jest mówić o egzekucji, której

według Czarnego Rycerza wcale nie było. Wiera jak zawsze do końca dnia wykonuje swoje obowiązki i nikomu nic nie mówi.

Do domu wraca piechotą, a nie trolejbusem, starając się wydłużyć tę drogę. A tu zła zima szykuje się, żeby ogarnąć cały świat. Z drzew spadają poczerniałe kruche liście, wirujące na zimnym wietrze i z daleka przypominające stado lecących nisko wron. Pod ołowianym niebem domy wyglądają staro i ponuro. Nawet jasnozielony zamek sposępniał przy tej pogodzie.

Gdy Wiera dochodzi do domu, na ziemi i na drzewach pełno jest świeżego śniegu.

Przy drzwiach przystaje na chwilę, robi jej się duszno. Wie, co ją czeka, i na myśl o rozmowie z najbliższymi ogarnia ją ogromne znużenie. Ale nie ma wyjścia. Wchodzi do środka.

Pokój jest zagracony stłoczonymi na ciasnej przestrzeni meblami z ich dawnego życia. Łóżko babki zostało przesunięte dalej, leżą na nim wszystkie kołdry. Ich łóżko stoi tuż przy schowku. Kiedy chcą otworzyć drzwi do schowka, muszą łóżko przesuwać. Komoda, którą mama sama malowała, i dwie lampy stanęły przy ścianie pod oknem, którego nie da się teraz otworzyć. Jedyny ładny mebel – okazałe mahoniowe biurko ojca – zawalony jest przetworami na zimę i cebulą.

Matka stoi przy kuchni. Olga przy stole obiera kartofle.

Matce wystarcza jedno spojrzenie. Zdejmuje garnek z ognia i wyciera ręce w fartuch. Na sobie ma starą, znoszoną sukienkę, włosy są w nieładzie po całym dniu pracy. Ale patrzy bystro i widać, że się domyśla.

– Jest piątek – mówi.

Olga wstaje. W za ciasnej sukience przypomina roślinkę kiełkującą z nasionka. W tym momencie Wierze nasuwa się myśl, że właściwie siostra jest jeszcze dzieckiem, ma dopiero piętnaście lat, ale przecież ona też tyle miała, kiedy poznała Saszę. Wtedy wydawało się jej, że jest całkiem dorosła. Że już stała się kobietą zdolną prawdziwie pokochać mężczyznę.

– Dowiedziałaś się czegoś? – pyta Olga.

Wiera wyraźnie czuje, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Wiesz co, Olgo? – mówi mama szybko. – Włóż palto i walonki. Pójdziemy się przejść.

– Ale one są na mnie za małe – protestuje Olga. – I pada śnieg.

– Nie dyskutuj – ucina mama. Podchodzi do dużej drewnianej skrzyni stojącej obok łóżka. – Babcia zaraz przyjdzie z pracy.

Wiera czeka, podczas gdy matka i siostra ubierają się ciepło. Wychodzą. Świat jest biały i zamazany. Opadające miękko płatki śniegu tłumią dźwięki. Nawet hałas trolejbusu wydaje się odległy. Są same w tym świecie szeptów, oddzielone od wszystkiego. Jeszcze samotniej czują się w parku. Kiedy tam docierają, latarnie są już pozapalane. W ogóle nie ma ludzi. Wieczór jest chłodny. W dali widać złotawe elewacje domów arystokracji.

Dochodzą do centralnego punktu parku: wielkiego posągu z brązu przedstawiającego skrzydlatego konia. Zbuntowany podrywa się ze śniegu, wzbija się ponad otoczenie.

– Czasy są niebezpiecznie – mówi mama, gdy przed nim stoją. – O pewnych rzeczach… o pewnych ludziach nie powinno się mówić w czterech ścianach, nawet wśród przyjaciół. Pomówimy o tym… – Milknie, wzdycha i kończy ciszej: – …o nim… teraz, a potem już nigdy więcej. Zgoda?

Olga przestępuje z nogi na nogę.

– O co chodzi?

Mama spogląda na Wierę i czeka.

– Poszłam dziś do Pałacu spytać o papę – zaczyna Wiera. Łzy kłują pod powiekami. – Nie ma go już.

– Jak to nie ma? – dopytuje się Olga. – Myślisz, że uciekł?

Mamie wystarcza siły, żeby pokręcić przecząco głową.

– Nie uciekł. – Rozgląda się i przysuwa bliżej córek. Teraz wszystkie trzy niemal się dotykają, a posąg obejmuje je swoim cieniem. – Zabili go.

Olga wydaje z siebie nieludzki głos, jakby się dusiła. Wiera i mama tulą ją mocno. Wszystkie płaczą.

– Ty już wcześniej wiedziałaś. – Wiera nie próbuje nawet ocierać łez, choć przez to nic nie widzi, bo natychmiast zamarzają i zlepiają rzęsy.

Matka kiwa głową.

– Czy to się stało już wtedy, kiedy go zabrali?

Znowu kiwnięcie głową.

– Pozwoliłaś mi tam chodzić co piątek – wyrzuca jej Wiera. – Gdybym wiedziała…

– Musiałaś sama się dowiedzieć – odpowiada matka. – A ja oczywiście miałam nadzieję, że może jednak…

– I co mamy teraz robić? – pyta z rozpaczą Wiera. Życie nagle stało się nieważne i jakieś takie dalekie, nierealne.

– Czekałam na to pytanie – mówi mama. – Wiem, jak gorąco pragnęłyście jego powrotu. Wciąż miałyście nadzieję. A prawda jest taka, że wasz ojciec, mój Pietia, nie wróci. Zostałyśmy same.

– Czyli co mamy robić? – pyta z płaczem Olga.

– Żyć – odpowiada cicho mama.

Wiera rozumie. Pora przestać tylko odmierzać mijający czas. Trzeba zacząć coś z nim robić.

– Nie wiem, o czym teraz marzyć – wzdycha. – Teraz już nic nie jest możliwe.

– Marzycielem był wasz ojciec i przez jego marzenia opłakujemy go dziś potajemnie, kryjąc się, jakby był przestępcą, i my też. W was również zasiał te swoje fantazje. Wyrwijcie je z serca i odrzućcie. Jesteście teraz kobietami Królestwa. Czeka was ciężka praca.

Matka obejmuje je gwałtownie i całuje. Potem szepcze im prosto do ucha:

– Kochał was bardziej niż swoje wiersze, bardziej niż cokolwiek na świecie. A miłość nie umiera.

– Tęsknię do niego. – Olga znów zaczyna płakać.

– Tak – mama mówi przez ściśnięte gardło. – Odtąd już zawsze będzie puste miejsce przy stole. – Cofa się lekko. – Nie będziemy więcej o nim rozmawiać. Nigdy. Nawet między sobą.

– Ale… nie można zaprzeczać uczuciom – protestuje Wiera.

– Nie. Można ich jednak nie okazywać – tłumaczy matka. – I właśnie tak róbcie. – Wkłada rękę do kieszeni i wyjmuje emaliowanego motyla.

Wierze wydaje się przepiękny. Wręcz zbyt wspaniały dla nich. Powinien raczej należeć do królów lub czarodziejów.

– Zrobił go ojciec Piotra. – Matka ujawnia rodzinną historię, której dotąd nie znały. – Miał być dla małej księżniczki, lecz król uznał, że jest tandetny, więc wasz dziadek został zwolniony z pracy i w końcu zaczął robić gliniane cegły. Potem z tego żył. Tego motyla ojciec dostał od niego w dniu naszego ślubu. Niech zawsze nam go przypomina. Czasem, kiedy zamykam oczy, trzymając go w ręku, wydaje mi się, że słyszę śmiech mego Pieti.

– To tylko świecidełko – mówi Wiera. Teraz motyl nie wydaje się już taki ładny jak w pierwszej chwili. I na pewno nie zastąpi ojca.

– Ale to wszystko, co mamy – odpowiada cicho mama.

Wiera jest jeszcze bardzo młoda, więc zamyka się w swoim smutku, ale gdy zima pomału odchodzi, a do Królestwa wkracza wiosna, zaczyna ją męczyć własna melancholia.

– To niesprawiedliwe, że nie mogę iść na studia – narzeka pewnego ciepłego letniego dnia, wiele miesięcy po tej namiastce pogrzebu w parku. Klęczy obok matki, pielą mały ogródek. Obie mają już za sobą cały dzień w pracy. Tak wygląda teraz ich życie. Najpierw praca ku chwale Królestwa, potem dwugodzinna jazda wozem na wieś, gdzie dzierżawią niewielki spłachetek gruntu.

– Jesteś za duża, żeby narzekać na niesprawiedliwość. Powinnaś już się tego nauczyć – strofuje ją matka.

– Wolałabym się uczyć o wielkich pisarzach i artystach.

Matka przysiada na piętach i spogląda na nią. W złotawym świetle o dziesiątej wieczorem Wiera wygląda prawie tak samo ładnie jak dawniej. Tylko brązowe oczy uparcie pozostają stare.

– Twoją ojczyzną jest Królestwo Śniegu – przypomina.

– Doskonale o tym wiem.

– Czyżby? Pracujesz w największej bibliotece świata… Masz dostęp do trzech milionów książek. Codziennie w drodze do domu mijasz królewskie muzeum, gdzie pracuje twoja siostra. Kiedy chcesz, możesz oglądać tam dzieła największych mistrzów. W tym sezonie tańczy Galina Ułanowa. A opera? – Psyka niecierpliwie. – Nie mów mi, że młoda kobieta w naszym Królestwie musi chodzić na uniwersytet, żeby się czegoś dowiedzieć. Jeśli naprawdę tak uważasz, to nie jesteś… – tu zniża głos – …jego córką.

Po raz pierwszy matka wspomina ojca i odnosi to zamierzony efekt.

Wiera przerywa pracę i siada na ciepłej ziemi. Patrzy na delikatną zieloną rozetkę młodej kapusty.

Jestem córką Piotra Andriejewicza – myśli. Wracają wspomnienia ojca, książek czytanych jej przez niego wieczorami oraz marzeń, które w niej rozbudził.

Przez cały tydzień Wiera wciąż wraca w myślach do tej rozmowy w ogrodzie. Duch ojca towarzyszy jej nieustannie, gdy chodzi między bibliotecznymi regałami. Potrzebny jej ktoś, kto pomoże zrozumieć czytane

słowa. Malutki delikatny kiełek musi trochę urosnąć, żeby przebić się przez ziemię krępującą ruchy i wydostać się na słońce.

Pewnego dnia podczas porządkowania starych pergaminów dostrzega znajomą twarz. W jej stronę, stukając laską po marmurowej posadzce, idzie starszy człowiek w szatach duchownego. Siada przy stoliku pod ścianą i otwiera książkę.

Wiera podchodzi do niego. Wie, że matka by jej nie pochwaliła, ale trudno.

– Bardzo przepraszam – zwraca się cicho do duchownego, który przygląda jej się bacznie.

– Wiera? – pyta.

– Tak. – W dawnych dobrych czasach człowiek ten odwiedzał ich w domu. Nie o tym zamierza z nim rozmawiać, choć ojciec i tak w pewnym sensie jest tu z nimi obecny. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale potrzebuję nauczyciela. Nie mam dużo pieniędzy…

Duchowny zdejmuje okulary. Dopiero po chwili odzywa się, a jego głos jest niewiele głośniejszy od szeptu.

– Ja sam nie mogę ci pomóc. W takich czasach żyjemy. Powinienem w ogóle przestać pisać. – Wzdycha. – Gdybym tylko mógł… Ale znam studentów, którzy może nie będą się bali tak jak stary człowiek. Zapytam.

– Dziękuję.

– Uważaj, Wiero. – Wkłada na nos okulary. – I nie mów nikomu o tej rozmowie.

– U mnie sekret jest bezpieczny.

Duchowny nie uśmiecha się.

– Żaden sekret nie jest dziś bezpieczny.

14

Dochodziła północ, gdy Meredith dotarła do domu, zmęczona po długim dniu, lecz mocno poruszona dzisiejszym opowiadaniem. Nakarmiła psy, pobawiła się z nimi chwilę, a potem przebrała się w wygodny dres. Właśnie w kuchni robiła sobie filiżankę herbaty, kiedy podjechał samochód.

Jeff. Kto inny mógłby przyjechać o wpół do pierwszej?

Zacisnęła dłonie na krawędzi zlewu, serce waliło jej mocno. Drzwi frontowe otworzyły się.

Do kuchni weszła Nina, najwyraźniej w wojowniczym nastroju.

Meredith ogarnęło rozczarowanie.

– Jest po północy. Co ty tu robisz?

Nina podeszła do stojącej na szafce butelki wina, wzięła ją, opłukała dwa kubki po kawie znalezione w zlewie i nalała do pełna.

– Najchętniej porozmawiałabym o bajce, która staje się coraz ciekawsza, ale pewnie będziesz się bała. Jednak o czymś musimy porozmawiać.

– Jutro…

– Teraz. Jutro ty znów staniesz się nieprzystępna, a ja zacukana. No, chodź. – Niemal siłą zaciągnęła siostrę do salonu i wcisnęła guzik gazowego kominka.

Syknęły płomienie, a wraz z nimi pojawiło się ciepło i światło.

– Proszę. – Podała siostrze wino w kubku.

– Nie sądzisz, że trochę za późno na picie?

– Odmawiam odpowiedzi na to pytanie. Ciesz się, że to nie tequila, biorąc pod uwagę to, jak się czuję.

„Cała Nina. Z tym swoim wiecznym dramatyzowaniem”.

Meredith usadowiła się na końcu kanapy w malowniczej, półleżącej pozie. Nina symetrycznie zajęła drugi koniec, tak że na środku stykały się stopami.

– O co właściwie chodzi? – spytała Meredith.

– O moją siostrę.

– Nie rozumiem.

– To ty, gdy tata pracował, zabierałaś mnie na akcję „cukierek albo psikus”… Pamiętasz? Robiłaś mi kostiumy. A kiedy starałam się, żeby zostać cheerleaderką, przez kilka tygodni pomagałaś mi ćwiczyć. I kiedy mnie przyjęto, naprawdę się cieszyłaś, mimo że tobie się nie udało. Gdy Sean Bowers zaprosił mnie na studniówkę, uprzedziłaś mnie, że to drań i żeby mu nie ufać. Może nie zawsze zgadzałyśmy się ze sobą, lecz kiedyś byłyśmy siostrami.

– Całe wieki temu. – Meredith już dawno zdążyła zapomnieć.

– Wyjechałam, zostałaś sama. Rozumiem, że nie było ci łatwo z mamą. I pewnie dobrze się nie znamy jako dorosłe, Mere, ale ja tu teraz jestem.

– Właśnie widzę.

– Widzisz? Bo, szczerze mówiąc, przez ostatnie dni zachowywałaś się okropnie. Nic tylko miałaś za złe. Wystarczy mi jedna osoba przy stole, która nie chce ze mną rozmawiać. Nie potrzebuję więcej. – Nina pochyliła się w jej stronę. – Jesteś mi bliska. A ty nawet na mnie nie spojrzysz ani ze mną porozmawiasz. Myślę…

– Jeff mnie rzucił.

Nina wyprostowała się.

– Co?!

Meredith nie była w stanie powtórzyć. Pokręciła tylko głową, czując wzbierające łzy.

– Wyniósł się do motelu obok redakcji.

– A to palant!

Meredith zaśmiała się.

– Dzięki, że nie stwierdziłaś, iż to pewnie moja wina.

W oczach Niny widniało współczucie i troska, i nagle Meredith uświadomiła sobie, dlaczego obcy ludzie tak łatwo się przed nią otwierają. Ona nie osądzała.

– Co się stało? – spytała Nina cicho.

– Zapytał, czy go jeszcze kocham.

– I co?

– Nic. Nie odpowiedziałam. A potem nie zadzwoniłam, nie pojechałam za nim, nie napisałam do niego, nie błagałam, żeby wrócił. Nic dziwnego, że mnie zostawił. Powiedział nawet…

– Co takiego?

– Że jestem jak mama.

– Palant i w dodatku dupa wołowa.

– On mnie kocha. A ja go zraniłam. Wiem o tym. Dlatego tak powiedział.

– Nieważne, co on czuje. Problem jest w tobie, Mere. Tak bardzo się o wszystkich troszczysz. A czego chcesz dla siebie?

Od lat nie zadała sobie tego pytania. Poszła na taką uczelnię, na jaką było ich stać, nie na taką, na jaką by chciała. Wyszła za mąż wcześniej, niż zamierzała, ponieważ zaszła w ciążę. Zamieszkała tutaj, bo tata jej potrzebował. Czy kiedykolwiek zrobiła coś wyłącznie dla siebie?

Od razu przyszedł jej na myśl sklep firmowy. Dawno, dawno temu zorganizowała go od podstaw, a potem dobierała towar, który naprawdę jej się podobał.

– Jeszcze znajdziesz odpowiedź na to pytanie, Mere. Jestem tego pewna. – Nina podeszła i przytuliła ją.

– Dzięki. Naprawdę. Bardzo mi pomogłaś.

Nina wróciła na swoje miejsce.

– Bądź łaskawa pamiętać o tym następnym razem, kiedy spalę piecyk albo zostawię bajzel w kuchni.

– Spróbuję. – Meredith pochyliła się w jej stronę, żeby się stuknąć kubkami. – Za nowy początek.

– Chętnie.

– Ty chętnie pijesz za wszystko.

– Zgadza się. To jedna z największych moich zalet.

Przez następne dwa dni mama zamknęła się w sobie, do zwykłego milczenia doszedł ośli upór. Odmawiała nawet zejścia na dół na kolację. Nina przejęłaby się tym, a może nawet próbowałaby coś zrobić, gdyby wszystkie trzy tak się nie czuły. Ją też mocno poruszyła bajka.

Zbliżały się urodziny ojca.

Dzień zapowiadał się piękny, od rana jasny i słoneczny, a niebo bezchmurne, błękitne.

Nina odrzuciła kołdrę i wstała. To ów dzień, dla którego tu przyjechała. Żadna z nich dotąd się nie zająknęła na ten temat, w końcu należały do kobiet, które nigdy nie mówią o tym, co je boli. Ale to wszystko i tak wisiało nad nimi.

Podeszła do okna. Jabłonie wyglądały tak, jakby tańczyły; miliony zielonych liści i białych kwiatów lśniły i migotały w słońcu.

Zebrała ciuchy z podłogi i szybko się ubrała. Nie zastanawiała się jeszcze, o czym chciałaby dziś rozmawiać z matką. Ale na pewno nie chciała być sama. Ze wspomnieniami.

Zapukała do mamy.

– Wstałaś już?

– Przyjdźcie o zachodzie słońca! – zawołała matka zza drzwi. – Obie!

Rozczarowana zeszła do kuchni. Przegryzła coś naprędce i poszła do siostry, lecz zastała tam tylko oba husky śpiące na słonecznych plamach na werandzie. Oczywiście Meredith pojechała do pracy.

– Cholera.

Ponieważ nie miała najmniejszej ochoty w dniu urodzin taty siedzieć w pustym domu, wróciła po samochód i wybrała się do miasteczka, żeby się czymś zająć do zachodu słońca. Po drodze zatrzymywała się i robiła zdjęcia, w południe zjadła niezdrowy amerykański lunch w dinerze przy głównej ulicy.

O umówionej porze przykładnie stawiła się z powrotem. Gdy weszła do kuchni z aparatem przewieszonym przez ramię, zastała tam Meredith wkładającą coś do piecyka.

– Hej! – powiedziała.

Meredith odwróciła się.

– Zrobiłam kolację. I nakryłam do stołu. Pomyślałam… że potem…

– Jasne – odparła Nina. Podeszła do szklanych drzwi i wyjrzała. – Jak to zrobimy?

Meredith objęła ją serdecznie.

– Chyba po prostu otworzymy urnę i rozsypiemy popioły. Może byś coś powiedziała.

– To raczej ty powinnaś, Mere… Ja go zawiodłam.

– On tak cię kochał. I był z ciebie dumny.

Ninie zwilgotniały oczy. Spojrzała przez okno. Niebo nad sadem składało się z różowych i jasnoliliowych pasów.

– Dzięki. – Przytuliła się do siostry. Stały tak bez słowa.

– Już czas – rozległ się nagle głos mamy.

Nina puściła siostrę i zebrała się w sobie. Obie odwróciły się jednocześnie.

Mama stała w progu, trzymając w ręku szkatułkę z różanego drzewa, inkrustowaną kością słoniową. Zaskoczyła je strojem: miała na sobie fioletową wieczorową bluzkę z szyfonu i kanarkowe płócienne spodnie, a na szyi czerwono-niebieską chustkę.

– Lubił kolory – powiedziała. – Powinnam była ubierać się bardziej kolorowo. – Odgarnęła włosy i spojrzała na zachodzące słońce. Westchnęła. – Weź. – Wręczyła szkatułkę młodszej córce.

Tam nie ma ojca, tam jest tylko popiół, myślała Nina, biorąc szkatułkę z rąk matki. Zrobiło jej się smutno.

Mama z Meredith poszły przodem, ona ociągała się jeszcze chwilę.

Chłodny podmuch, który wpadł przez otwarte drzwi, musnął jej policzek i przyniósł ze sobą zapach jabłek.

– Nino! – zawołała Meredith z ogrodu.

Nina poprawiła pasek od aparatu i wyszła.

One czekały już w zimowym ogrodzie przy ławce pod magnolią. W ostatnich błyskach słonecznego światła nowa miedziana kolumna wyglądała jak wibrujący płomień.

Nina szła dość szybko i o sekundę za późno zauważyła kamień na trawniku. Wszystko stało się w okamgnieniu; potknęła się, przewróciła, szkatułka wyleciała szerokim łukiem w powietrze. Uderzyła w kolumnę i rozbiła się.

Nina poczuła w ustach smak krwi. Chwilę leżała oszołomiona. Usłyszała okrzyk Meredith: „No, nie!”.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że to matka pomaga jej wstać, a jednocześnie mówi coś po rosyjsku, i to wyjątkowo jak na nią serdecznie.

– Wpadła mi z rąk – tłumaczyła się. Wytarła rękawem twarz, jeszcze bardziej rozsmarowując brud na policzku. Chciało jej się płakać.

– Nie płacz – pocieszyła ją mama. – Wyobraź sobie, że on tu jest z nami. Powiedziałby pewnie: „No, tak, Anju. I po co czekałaś, aż się ściemni?”.

Matka uśmiechnęła się.

– Dokonałyśmy aktu rzutu popiołami – podsumowała Meredith, robiąc zabawną minę.

– Na ogół się je rozsypuje, a my rzucamy – dodała Nina.

Mama pierwsza wybuchnęła śmiechem. Dziwnie to zabrzmiało, zupełnie obco. Nina westchnęła, a potem też zaczęła się śmiać.

I tak wszystkie trzy stały pośrodku zimowego ogrodu otoczonego jabłoniami i się zaśmiewały. Nie mogły lepiej uczcić jego pamięci. Później, kiedy mama i Meredith wróciły do domu, Nina została chwilę sama i w ciszy patrzyła na aksamitne białe kwiaty magnolii oprószone szarym popiołem.

– Słyszałeś, jak się śmiałyśmy? Jeszcze nigdy nie robiłyśmy tego we trzy. To dla ciebie.

Przysięgłaby, że czuje przy sobie jego obecność, słyszy oddech w podmuchach wiatru. Wiedziała, co by jej powiedział. „Aleś złapała zająca, Nineczko-Słoneczko”.

– Kocham cię, tato – szepnęła. Samotny kwiatek jabłoni spłynął niesiony wiatrem i upadł u jej stóp.

Meredith wyjęła kotlety de volaille z piecyka i odstawiła na bok, żeby trochę przestygły.

Wytarła ręce, westchnęła i poszła do salonu, gdzie czekała mama.

– Hej! – powiedziała, siadając obok na kanapie.

Matka spojrzała smutno.

Przez moment poczuły się sobie bliskie. Do tego stopnia, że Meredith dotknęła jej dłoni.

Tym razem mama nie odsunęła się.

Meredith chciała powiedzieć coś pocieszającego, ale nie znalazła odpowiednich słów.

– Czas siadać do stołu – w końcu odezwała się mama. – Zawołaj Ninę.

Meredith poszła do ogrodu zimowego, gdzie Nina fotografowała obsypane popiołem kwiaty magnolii.

Usiadła na ławce. Ciemnozłote niebo jeszcze bardziej pociemniało, białe kwiaty w tym świetle wydawały się srebrne.

– Jak samopoczucie? – spytała Nina.

– Beznadziejnie. A u ciebie?

Nina zakryła obiektyw.

– Bywało gorzej. Jak mama?

Meredith wzruszyła ramionami.

– Kto to wie?

– Ostatnio chyba jakby lepiej. Myślę, że to dzięki bajce.

– To ty tak uważasz – westchnęła Meredith. – Skąd ta pewność, skoro nie da się z nią normalnie porozmawiać?

– Przecież nigdy nie rozmawiała z nami normalnie. Nawet nie wiemy, ile naprawdę ma lat.

– Ciekawe, dlaczego nie wydawała się nam dziwna, kiedy byłyśmy małe.

– Bo byłyśmy do tego przyzwyczajone. Jak te dzikie dzieci, którym się wydaje, że są psami.

– Tylko że z takimi dziećmi prędzej się da porozmawiać niż z nią. No nic, chodźmy.

Mama siedziała już przy stole, kolacja była podana. Kotlety de volaille z ziemniakami au gratin i zieloną sałatą. Na środku karafka i trzy kieliszki.

– Moja ulubiona dekoracja stołu – powiedziała Nina, gdy mama nalewała wódkę.

Meredith usiadła obok siostry,

– Toast – zaproponowała mama cicho, podnosząc swój kieliszek.

Zapadło niezręczne milczenie. Patrzyły po sobie, każda zastanawiała się, co powiedzieć, jak wspomnieć go najlepiej, nie rozdrapując przy tym ran i żeby nie zabrzmiało to smutno. Tego by nie chciał.

– Za naszego Evana – powiedziała w końcu mama, stukając kieliszkiem o dwa pozostałe. Wychyliła alkohol jednym haustem. – Tata lubił, jak piłam.

– W taki wieczór trzeba – stwierdziła Meredith. Wypiła i wyciągnęła pusty kieliszek po dolewkę. Drugi równie przyjemnie spłynął przez gardło. – Brakuje mi jego głosu, kiedy tu przychodzę.

Mama też od razu sobie nalała.

– Brakuje mi tego, jak mnie całował rano.

– Przywykłam już do tego, że mi go brakuje – wyznała Nina cicho. – Nalej jeszcze.

Po trzecim kieliszku Meredith poczuła, jak krew zaczyna jej szybciej krążyć.

– Nie chciałby, żebyśmy w ten sposób o nim mówiły – powiedziała mama. – Wolałby…

Zapadła cisza, spojrzały po sobie. Meredith wiedziała, że wszystkie myślą o jednym: „A jak wy bez niego żyjecie?”.

Po prostu człowiek jakoś żyje.

– Moje ulubione święto to Dziękczynienie – przerwała milczenie. – Uwielbiam wszystko, co się z nim łączy… wyczekiwanie dzieci, dekoracje, pierwsze słuchanie kolęd, uroczysty obiad. I przyznam się szczerze, że nie znosiłam naszych rodzinnych wyjazdów. Najgorzej wspominam ten do

wschodniego Oregonu. Pamiętacie, jak nocowaliśmy w tipi? Było ze czterdzieści stopni, a Nina przez sześćset kilometrów śpiewała *Chyba cię kocham*.

Nina zaśmiała się.

– A ja uwielbiałam te nasze wyprawy i biwaki, zwłaszcza to, że nigdy wcześniej nie ustalaliśmy, dokąd jedziemy. Moim ulubionym świętem jest Boże Narodzenie, bo tę datę jestem w stanie zapamiętać. A jeśli chodzi o tatę, to najbardziej brakuje mi tego, że zawsze na mnie czekał.

Meredith nawet nie przyszłoby do głowy, że Nina może się czuć samotnie i że – choć jest takim obieżyświatem – lubi, gdy ktoś na nią czeka.

– Uwielbiałam u ojca jego gotowość do przeżycia przygody – powiedziała mama. – Chociaż te wszystkie wyjazdy to był koszmar. Nino, nie powinnaś nigdy śpiewać przy ludziach, którzy nie mają dokąd uciec.

– Ha! – wykrzyknęła Meredith. – Wiedziałam, że to nie moje widzimisię czy złośliwość. To było jak słuchanie borowania u dentysty.

– Tak? A David Cassidy napisał do mnie list.

– Ale podpis był drukowany. – Ten ostatni cios Meredith zadała z uśmiechem.

Mama westchnęła. Wyglądało, jakby ich nie słuchała.

– Zawsze obiecywał, że mnie zabierze na Alaskę. Wiedziałyście? Żebym zobaczyła białe noce i zorzę polarną. A przede wszystkim pamiętam to, że mnie uratował.

Nagle wstała, jakby w tym momencie uświadomiła sobie, że za bardzo się odsłoniła.

– Ja też zawsze marzyłam o podróży na Alaskę – wtrąciła śpiesznie Meredith, bojąc się, żeby matka nie poszła sobie. Nie teraz.

– Idę do siebie – oświadczyła mama.

Meredith chciała ją odprowadzić.
– Zaczekaj…
Mama nie pozwoliła się dotknąć.
– Nie jestem jeszcze inwalidką.
Meredith stanęła w pół kroku. Mama wyszła.
– Nigdy jej nie zrozumiem.
– Właśnie powiedziałaś wielką prawdę, siostrzyczko.

Tej nocy siedziały do późna, rozmawiały o ojcu i snuły wspomnienia z dzieciństwa. W ten sposób chciały uczcić jego pamięć. Gdy potem Meredith leżała samotnie w łóżku, zaczęła w ciszy z nim rozmawiać. Było to dla niej coś zupełnie nowego. Nie mogła usłyszeć jego rad, ale pomagało już samo mówienie na głos pewnych rzeczy. Opowiedziała mu o Jeffie, o swoich wątpliwościach i jak nie potrafi wypowiedzieć tego, co mąż chciałby usłyszeć. Wiedziała, o co ojciec by spytał. O to samo, co Nina. „Czego ty chcesz?”.

A nad tym dawno się nie zastanawiała. Od dziesięciu lat ważne było, co zrobić na obiad, na jaką uczelnię powinny pójść dziewczynki, jak najlepiej pakować jabłka przeznaczone do wysyłki za granicę. Organizowała produkcję i transport owoców, przejmowała się wstępnymi egzaminami do college’u, czuwała nad domowymi remontami, główkowała, jak zaoszczędzić na naukę dzieci i na podatki. Bez reszty pochłaniały ją zwykłe codzienne sprawy.

Nazajutrz, kiedy znów miała problemy ze skupieniem się przy pracy, pytanie wróciło i wreszcie znalazła w miarę zadowalającą odpowiedź.

Nadal nie wiedziała, czego chce. Za to uświadomiła sobie, czego nie chce. Zrozumiała, że ma dość kręcenia się w kółko,

uciekania w coraz liczniejsze zajęcia i udawania, że nie ma problemów.

Po pracy pojechała prosto do redakcji „Wenatchee World”.

– Hej! – powiedziała, stając w progu.

Jeff podniósł głowę znad papierów. Widać było, że nie sypia dobrze, a i koszula nie prezentowała się zbyt świeżo. Nieogolona twarz sprawiała, że wyglądał inaczej: młodziej, bardziej luzacko. Trochę jak ktoś nieznajomy.

Przeczesał ręką jasne włosy.

– Meredith.

– Dawno powinnam przyjść.

– Czekałem na ciebie.

Spojrzała przez okno na przejeżdżające samochody.

– Miałeś rację, że odszedłeś. Musimy postanowić, co dalej.

– Czy po to przyszłaś, żeby mi to powiedzieć?

Po to? Nawet teraz nie była pewna.

Wyszedł zza biurka i zbliżył się do niej. Przyglądał się jej uważnie, jakby czegoś szukał w jej oczach.

– Bo to nie jest to, co chciałbym usłyszeć.

– Wiem. – Przykro jej było, że go rozczarowuje, lecz nie mogła dać mu tego, na co czekał, choć dla niej byłoby to o wiele łatwiejsze, bo wtedy wróciliby do dawnego życia i mogłaby się spokojnie dalej nad sobą zastanawiać. – Przepraszam cię, Jeff. Ale twoje odejście wiele zmieniło, zmusiło mnie do zastanowienia się nad sobą. Nie chcę więcej robić wyłącznie tego, czego oczekują ode mnie inni. Muszę wiedzieć, o co mi tak naprawdę w życiu chodzi. W tej chwili jeszcze nie potrafię ci odpowiedzieć.

– A czy możesz powiedzieć, że mnie nie kochasz?

– Nie.

Chwilę myślał.

– Dobrze. – Przysiadł na biurku. Wytworzył się teraz między nimi pewien dystans, jakiego przedtem nie było. – Maddy mówiła mi, że wysłałaś jej paczkę z jedzeniem w zeszłym tygodniu.

– Jillian dostała swoją tydzień wcześniej.

Patrzył na nią uważnie.

– A jak urodziny taty?

– Jakoś przeżyłam. Kiedyś ci opowiem. Wydarzyła się zabawna historia z Niną.

Kiedyś.

Już miała zapytać o książkę, ale ktoś zapukał do drzwi. Do środka wsunęła głowę ładna blondynka.

– Jeff, pizza i piwo nadal aktualne? – spytała.

Spojrzał na żonę. Wzruszyła ramionami.

Pierwszy raz przyszło jej do głowy, że nie wie, co on robi, gdy są osobno. Dotąd nie pomyślała o tym, że może układa sobie życie po swojemu, zawiera nowe znajomości. Uśmiechnęła się niby obojętnie i pożegnała się. Nawet skinęła głową Miss Dziennikarstwa w obcisłych dżinsach i sweterku w serek. Po wyjściu stamtąd pojechała prosto do domu. Nakarmiła psy, uporządkowała rachunki do zapłacenia i wstawiła pranie. Zjadła szybką i niewyszukaną kolację: płatki z rodzynkami. Potem zadzwoniła do obu córek i wysłuchała opowieści o zajęciach i o nowych kolegach, którzy byli bardzo fajni.

Jillian spytała o Jeffa.

– Jak to, co z tatą? – Ułamek sekundy za późno uświadomiła sobie, że to zupełnie niewinne pytanie.

– No wiesz, z tą jego alergią. Wczoraj, gdy z nim rozmawiałam, strasznie kaszlał.

– A, to. W porządku.

– Jakoś dziwnie to zabrzmiało. Mamo...?

Meredith zaśmiała się nerwowo.

– Po prostu jestem przepracowana, dziecino. Wiesz, ile o tej porze roku jest roboty przy jabłkach.

– A jak to się ma do taty?

– Nie ma się.

– To dobrze. Powiedz mu przy okazji, że go kocham, dobra?

Meredith zdawało się, że słyszy w jej głosie ironię.

– Jasne.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała przez okno w ciemność. Zegar na ścianie odmierzał minuty. Po raz pierwszy uświadomiła sobie prawdę: są w separacji. Separacja. Rozdział. Osobne życie. Oczywiście powinna zrozumieć to wcześniej, ale jakoś nie przyszło jej to do głowy. Kłopoty z mamą pochłonęły ją do tego stopnia, że problemy małżeńskie zeszły na plan dalszy.

Nagle poczuła, że nie ma ochoty być sama, nie chce oglądać w telewizji żadnej głupiej komedii i udawać, że ją śmieszy.

– Chodźcie, pieski. – Wzięła płaszcz. – Idziemy na spacerek.

Dziesięć minut później była u mamy. Psy zostawiła na werandzie i weszła do środka.

Mama siedziała w salonie i robiła na drutach.

– Cześć, mamo.

Matka nawet nie podniosła głowy.

– Dobry wieczór.

Meredith przełknęła rozczarowanie.

– Przyjechałam dalej pakować. Potrzeba ci czegoś? Jadłaś coś?

– Nic mi nie trzeba, Nina zrobiła kolację. Dziękuję.

– A gdzie ona jest?

– Wyszła.

Meredith czekała na więcej, lecz się nie doczekała.

– Będę na górze, gdybyś mnie potrzebowała.

Zaniosła na górę następne kartony i tym razem przymierzyła się do garderoby. Po lewej stronie znajdowały się rzeczy ojca:

kolorowe rozpinane swetry i golfy. Musnęła dłonią miękkie rękawy. Trzeba będzie je spakować i oddać, ale jeszcze nie jest w stanie się do tego zabrać.

Przeszła na drugą stronę, należącą do mamy.

Zaczęła od swetrów leżących na półce nad sukienkami. Położyła je na podłodze, uklękła i kolejno przeglądała. Segregowała, wybierała, składała równo. Tak ją to pochłonęło, że straciła poczucie czasu i aż podskoczyła, kiedy z sypialni dobiegł głos Niny:

– Wygodnie ci, mamo?

Podeszła do drzwi garderoby i lekko je uchyliła.

Mama leżała w łóżku, obok paliła się nocna lampka. Białe włosy mama miała zatknięte za uszy.

– Jestem zmęczona.

– Dałam ci czas. – Nina usiadła na podłodze przed zimnym kominkiem.

Meredith nie wyszła do nich. Zgasiła tylko światło w garderobie.

Mama westchnęła.

– No, dobrze – zgodziła się, zgasiła lampkę przy łóżku i pełna namiętności i tajemnic opowieść popłynęła jak magiczna rzeka.

– Białe noce w Królestwie Śniegu to czas światła, gdy promienne elfy polatują nad zielonymi liśćmi, a nocne niebo płonie barwnymi tęczami. Latarnie są zapalone, ale ich funkcja jest wyłącznie dekoracyjna: rzucają złote plamy blasku na ulice. A kiedy pada deszcz, co zdarza się rzadko, jego krople lśnią złoto w ich świetle.

Tego dnia Wiera odkurza szklane gabloty w sali elfich manuskryptów. Sama poprosiła o to zajęcie. Podobno czasem elfy pokazują się tym, którzy w nie wierzą, a ona chce znowu uwierzyć.

Jest sama (w tych niebezpiecznych czasach niewielu uczonych ma odwagę szukać prawdy o przeszłości) i nuci piosenkę, której nauczył ją ojciec.

– W bibliotece obowiązuje cisza.

Wiera ze strachu wypuszcza z ręki ścierkę. Nad nią stoi wysoka kobieta przypominająca bociana: przeraźliwie chuda, z nosem długim jak ptasi dziób.

– Bardzo przepraszam. Nikogo tu nie ma, więc myślałam…

– Cicho. Nigdy nie wiadomo, kto słucha.

Wiera nie wie, czy to ostrzeżenie, czy nagana. Obecnie trudno rozróżnić takie niuanse.

– Jeszcze raz bardzo przepraszam.

– Madame Dufours kazała ci powiedzieć, że jakiś student od ojca Niewina potrzebuje twojej pomocy. Idź do niego, tylko nie zaniedbuj swoich obowiązków.

– Już idę – odpowiada Wiera. Na zewnątrz jest spokojna, ale w środku czuje się jak szczeniak, który skacze, usiłując się wydostać. Czyli duchowny znalazł studenta, który ją będzie uczył! Czeka, aż bibliotekarka wyjdzie, po czym składa ścierki i szczotki.

Wie, że idzie za szybko (próbuje zwolnić kroku, lecz nie potrafi; dawno nie czuła się tak podekscytowana). Prawie nie dotykając drewnianej poręczy, zbiega po szerokich marmurowych schodach. Na dole, w holu głównym, stoją stoliki, między nimi chodzą ludzie. Przed biurkiem bibliotekarki czeka kolejka.

– Wiero. – Słyszy swoje imię i powoli się odwraca.

Wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętała: burza długich złotych, wijących się włosów. Jest gładko ogolony, maleńka czerwona kreseczka na szyi świadczy, że robił to w pośpiechu. Zielone oczy znów pogrążają ją bez reszty.

– Jak dobrze znów widzieć waszą wysokość. – Stara się mówić jak najswobodniej. – Tyle czasu minęło.

– Daj spokój.

– Ale…

– Co? Czyżbyś zapomniała, jak było na moście na Fontance?

Wiera próbuje się uśmiechnąć, lecz nie bardzo jej to wychodzi. Drugi raz nie będzie taka naiwna i głupia.

– To była tylko biała noc. Dawno temu.

– To nie była zwykła noc, Wiero.

– Proszę ze mnie nie żartować, wasza wysokość. – Stwierdza z przerażeniem, że głos jej się łamie. – Nie widzieliśmy się od tamtej pory.

– Miałaś piętnaście lat. A ja osiemnaście.

– Zgadza się. – Nadal nie rozumie, do czego on zmierza.

– Czekałem na ciebie.

Pierwszy raz w życiu Wiera symuluje. Skarży się bibliotekarce na silne bóle żołądka i pyta, czy może się zwolnić wcześniej.

Wie, że postępuje źle i że się naraża. Gdyby mama się dowiedziała, gniewałaby się bardzo, zarówno za kłamstwo, jak i za możliwe jego konsekwencje. A jeśli ktoś ją zobaczy na ulicy, kiedy niby jest chora?

Ale dziewczyna w tym wieku niczego się nie lęka, kiedy w grę wchodzi miłość.

Mimo wszystko jest na tyle mądra, że gdy puszczają ją wcześniej z pracy, rzeczywiście wraca do domu. Trolejbus szarpie i kołysze; musi się mocno trzymać mosiężnego drążka. Przed wejściem do mieszkania najpierw ostrożnie zagląda do środka.

Jest tylko babcia, która miesza coś w wielkim czarnym garze stojącym na kuchni.

– Wcześnie dziś wracasz – mówi i odgarnia z czoła wilgotne siwe włosy.

W powietrzu unosi się słodki zapach smażonych truskawek. Na stole stoi co najmniej kilkanaście słoików przygotowanych na zimę.

– Nie miałam dziś wiele pracy – mówi Wiera i w tym momencie czuje, jak jej policzki płoną po tym kłamstwie.

– W takim razie może…

– Pójdę do wioski – mówi szybko Wiera. Widząc zdziwienie babki, dodaje: – Zbiorę ogórki i kapustę.

– Dobrze. Idź.

Wiera przez chwilę patrzy na jej surową twarz. Babka ma na sobie znoszoną sukienkę, strzępiącą się na dole, i pocerowane pończochy. Włosy schowane są pod sfatygowaną niebieską chustką.

– Babciu, powiedz mamie, że późno wrócę. Pewnie nie zdążę na kolację.

– Uważaj – ostrzega babcia. – Jesteś młoda… i jesteś jego córką. Nie rzucaj się w oczy.

Wiera znowu odwraca głowę, żeby ukryć rumieniec. Bierze stary zardzewiały rower, który stoi oparty o ścianę, i wychodzi.

Nigdy jeszcze nie pędziła tak szybko po krętych uliczkach swego ukochanego Królestwa Śniegu. Łzy zamazują ostrość widzenia, wiatr porywa je prosto w rozwiane od jazdy włosy. Kiedy kogoś widzi przed sobą, nie

zwalnia, tylko naciska dzwonek i wymija w pędzie. Przez całą drogę wzdłuż rzeki i na moście mocno bije jej serce, a w myślach pulsuje jedno imię.

Sasza. Sasza. Sasza.

Czekał na nią, tak samo jak ona czekała na niego. Tak wielkie szczęście wydaje się niemożliwe, toż to bryłka złota znaleziona w kurzu drogi życia. Zatrzymuje się przy kutej bramie Ogrodu Letniego i zsiada z roweru.

Jest tu naprawdę pięknie. Ten otoczony z trzech stron wodą park stanowi zielony raj w kamiennym mieście. Powietrze pachnie lipami i nagrzanymi słońcem kamieniami. Wzdłuż zadbanych, wygracowanych ścieżek stoją piękne posągi z marmuru.

Tak jak się umówili, prowadzi rower ścieżką, udając, że to zwykła popołudniowa przechadzka. Ale jej tętno galopuje, a nerwy są jak naelektryzowane.

Sasza czeka pod lipą i uśmiecha się.

Wiera z wrażenia potyka się, rower się przewraca. Sasza natychmiast jest przy niej.

– Tędy – mówi i prowadzi ją do miejsca ukrytego pośród drzew, gdzie czeka rozłożony koc i kosz.

Siadają po turecku na grubym kocu, opierając się o siebie ramionami. Są jak w zielonej altanie, przez którą widać światło słoneczne odbijające się w wodzie i wyzłacające marmurowe posągi. Niebawem pojawią się spacerowicze, w tym liczne zakochane pary, chętne by przejść się w ciepłym blasku czerwcowej nocy.

– Co się z tobą działo… przez cały ten czas? – pyta Wiera, wciąż nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. Od tak dawna mieszka w jej sercu, że powinna go znać, ale tak nie jest. Nie wie, co powiedzieć ani jak powiedzieć, i nagle ogarnia ją strach, że robi błąd, którego potem nie da się naprawić.

– Uczyłem się i uczę się nadal. Chcę zostać poetą.

– Ty, książę? Przecież poezja jest zabroniona.

– Nie bój się, Wiero, nie jestem tak nieostrożny jak twój ojciec. Bardzo uważam.

– To samo papa mówił mamie.

– Spójrz na mnie – mówi Sasza cicho i wtedy dopiero Wiera na niego patrzy.

Pocałunek trwa i trwa w nieskończoność. A tak naprawdę nigdy już się nie skończy. Najwyżej zostanie na jakiś czas przerwany. Krótka pauza. Od tej

chwili życie Wiery będzie się toczyć w przerwach pocałunku. Tamtej nocy w parku ich dusze związały się na zawsze i odtąd dwie odrębne połówki zaczęły stanowić jedną całość.

Wiera opowiada mu wszystko, co jej zdaniem powinien o niej wiedzieć, a potem zachłannie słucha historii jego życia – jak urodził się na północy, zaginął, trafił do sierocińca, a potem królewscy rodzice go odnaleźli. Ta opowieść o opuszczeniu i samotności tak na nią działa, że Wiera jeszcze mocniej tuli się do niego, całuje go i przysięga kochać zawsze.

W tym momencie on kładzie się obok niej, a ich twarze są tuż koło siebie.

– Też będę cię kochał zawsze, Wiero.

Więcej nic nie trzeba mówić.

Trzymając się za ręce, idą w liliowej poświacie przedświtu. W tym świetle alabastrowe posągi wydają się różowe. Na ulicy znów są między ludźmi, między obcymi, którzy wszyscy wydają się przyjaciółmi w tę białą noc, kiedy wiatr wieje od rzeki, szeleszcząc listowiem, a na niebie wykwita zorza polarna w nieziemskich wręcz kolorach.

Na drugim końcu mostu przystają pod latarnią i patrzą na siebie.

– Przyjdź jutro wieczorem na kolację – mówi Wiera. – Chcę, żebyś poznał moją rodzinę.

– A jeśli mnie nie polubią?

W jego głosie nie ma wahania, nie ma żadnych emocji, ale Wiera jak na dłoni widzi jego serce. Słyszy skargę chłopca, który został porzucony, a choć potem odnalazł swoich bliskich, stało się to tak późno, że trauma już się dokonała.

– Pokochają cię, Sasza – zapewnia i tym razem to ona czuje się tą starszą z nich dwojga. – Zaufaj mi.

– Daj mi jeszcze jeden dzień. Na razie nie mów o nas nikomu. Proszę.

– Ależ ja cię kocham.

– Jeden dzień – powtarza.

Wiera uznaje, że może się zgodzić na tak niewiele, choć jej zdaniem on zachowuje się niemądrze. I już się uśmiecha na myśl o następnej czarownej nocy, kiedy będą tylko we dwoje. Może jeszcze raz uda się symulować chorobę.

– Spotkajmy się jutro o pierwszej. Ale nie przychodź do biblioteki. Nie chcę stracić pracy.

– Będę czekał na moście przy zamkowej fosie. Chcę ci coś pokazać.

W końcu rozstają się i Wiera przechodzi na drugą stronę ulicy, prowadząc rower, który strasznie skrzypi. Taszczy go po schodach, starając się iść jak najciszej. Otwiera drzwi. Stare zawiasy też skrzypią.

Od razu wyczuwa zapach dymu. Matka siedzi przy stole i pali papierosa. Popielniczka jest pełna.

– Mamo! – Źle odstawiony rower uderza o ścianę.

– Zachowuj się ciszej – karci ją ostro matka, spoglądając na śpiącą babcię.

Wiera starannie ustawia rower i podchodzi do stołu. Światło jest zgaszone, ale przez okno wpada jasna poświata, która łagodzi kontury przedmiotów. Łagodzi też gniewny wyraz twarzy matki.

– Gdzie warzywa z ogrodu?

– Kiedy jechałam rowerem, wpadłam na ławkę i się przewróciłam. Wszystko się rozsypało. – Skoro kłamstwo już zostało wypowiedziane, trzyma się go kurczowo. – Uderzyłam się. Strasznie mnie boli w boku, i dlatego wróciłam tak późno. Musiałam całą drogę iść.

Matka patrzy na nią bez uśmiechu.

– Siedemnaście lat to niewiele. Wiero, ty nie jesteś jeszcze gotowa do życia… i miłości… choć tobie tak się wydaje. A czasy są niebezpieczne.

– Ty też miałaś siedemnaście lat, kiedy się zakochałaś w papie.

– Tak. – Matka wzdycha. Brzmi to tak, jakby się przyznawała do porażki i jakby doskonale wiedziała, co będzie dalej.

– Zrobiłabyś tak znowu, prawda? To znaczy: zakochałabyś się w papie?

Matka wzdryga się na słowa „zakochałabyś się”.

– Nie – mówi cicho. – Na pewno nie zakochałabym się w poecie, dla którego ważniejsze są jakieś wiersze niż bezpieczeństwo rodziny. Nie zakochałabym się, gdybym wiedziała, jak to jest, kiedy się żyje ze złamanym sercem. – Gasi papierosa. – Nie. Taka jest moja odpowiedź.

– Ale…

– Wiem, że tego nie rozumiesz. – Matka odwraca się. – I mam nadzieję, że nigdy nie zrozumiesz. A teraz kładź się spać. Jeszcze chwilę poudawajmy, że jesteś moją niewinną córeczką.

– Ależ jestem! – zapewnia Wiera.

Mama patrzy na nią.

– Obawiam się, że już niedługo. Ty chcesz tej miłości.

– Mówisz tak, jakby to było jakieś nieszczęście.

Matka bez słowa kładzie się w wąskim łóżku obok Olgi, która chrapnęła cichutko, i objęła ją ramieniem.

Wiera chciałaby jeszcze o coś spytać, wytłumaczyć, co czuje, ale widzi, że matki to nie interesuje. Czy dlatego Sasza poprosił o jeszcze jeden dzień? Bo przewidział niechęć mamy?

Myje zęby, przebiera się na noc, zaplata długie włosy. Kładzie się obok matki, przysuwa blisko i znajduje ciepło w matczynych ramionach.

– Uważaj na siebie – szepcze matka prosto do jej ucha. – I nie okłamuj mnie więcej.

15

Nazajutrz Wiera budzi się wcześnie, myje włosy w kuchennym zlewie i pracowicie suszy je, szczotkując.

– Dokąd idziesz? – pyta sennie Olga, leżąca jeszcze w łóżku.

Wiera przykłada palec do ust.

Matka unosi się na łokciu.

– Nie masz co uciszać siostry, Wiero. Czuję zapach wody różanej. Skropiłaś nią włosy.

Wiera waha się, czy nie skłamać i nie powiedzieć, że w bibliotece ma być dzisiaj ważny gość. W końcu nic nie mówi.

Matka odrzuca cienką kołdrę i wstaje. Olga robi to samo z drugiej strony, wyglądają jak zsynchronizowani pływacy. Ich nocne koszule są poprzecierane i wystrzępione.

– Przyprowadź swojego chłopca w niedzielę – mówi mama. – Babci wtedy nie będzie.

Wiera zarzuca jej ręce na szyję i mocno ją przytula. Potem, jak co dzień od przeszło roku, wszystkie trzy jedzą śniadanie i razem wychodzą.

Kiedy mama skręca do swojego składu, Olga przysuwa się blisko siostry.

– Opowiedz mi.

Wiera bierze ją pod rękę.

– Wyobraź sobie, że książę Aleksander, Sasza, czekał, aż dorosnę, a teraz jest we mnie zakochany.

– Książę – powtarza Olga z przejęciem.

– Wieczorem mam się z nim spotkać. Powiedz mamie, że wszystko w porządku i że wrócę, jak tylko będę mogła. Nie chcę, żeby się martwiła.

– Będzie wściekła.

– Wiem. Ale co mam robić? Ja go kocham, Olgo.

Na rogu Olga przystaje.

– Ale wrócisz do domu?

– Obiecuję.

Na następnej ulicy Wiera wsiada do trolejbusu i jedzie kilka przystanków. Po drodze cały czas myśli, jak tu się urwać wcześniej z pracy.

W holu czeka na nią bibliotekarka. Stoi z założonymi rękami, prawą stopą niecierpliwie stuka w marmurową posadzkę.

Wiera zatrzymuje się.

– Madame Płotkina, bardzo przepraszam za spóźnienie.

Bibliotekarka spogląda na ścienny zegar.

– Dokładnie siedem minut.

– Tak, przepraszam. – Wiera stara się sprawiać wrażenie skruszonej.

– Widziano cię wczoraj w parku.

– Och, ja naprawdę…

– Zależy ci na pracy tutaj?

– Tak. Bardzo jej potrzebuję. Ze względu na rodzinę.

– Gdybym ja była dzieckiem przestępcy i wroga Królestwa, bardziej bym uważała na to, co robię.

– Tak. Oczywiście.

Bibliotekarka otrzepuje ręce, jakby podczas tej rozmowy się ubrudziły.

– Dobrze. A teraz idź do magazynu. Trzeba rozpakować skrzynie.

– Już idę.

– Mam nadzieję, że nie będziesz znowu chora.

Uwięziona przez cały dzień w ciemnym, pełnym kurzu magazynie, Wiera czuje się jak ptak tłukący się o szybę. Myśli tylko o tym, że Sasza czeka na moście. Myśli najpierw z uśmiechem, a potem z coraz większym żalem.

Bardzo chciałaby się stąd wyrwać, ale lęk okazuje się silniejszy niż miłość. Wstydzi się swego tchórzostwa, lecz co ma robić? Jest córką wroga Królestwa, nie powinna zwracać na siebie uwagi. Jej rodzinie i bez tego jest ciężko. Strata posady by je zrujnowała. Tkwi więc w pracy, tylko czasem przez roztargnienie robi coś głupiego, aż koleżanki krzyczą, żeby bardziej uważała.

Godziny mijają wolno. Wiera spogląda co chwila na zegar, zaklinając w duchu dużą wskazówkę, żeby się szybciej ruszała. A gdy przychodzi wyczekiwany koniec zmiany, rzuca robotę w połowie i niemal biegiem wpada w jasną przestrzeń klatki schodowej, prawie sfruwa po szerokich

marmurowych stopniach na dół i tu dopiero zmusza się do zwolnienia kroku. Stara się iść normalnie.

Na ulicy znowu biegnie, na drugą stronę i do przystanku. Kiedy trolejbus przyjeżdża,wciska się na siłę do zatłoczonego wnętrza; w środku jest tyle osób, że nawet nie musi się trzymać mosiężnego drążka.

Dojechawszy na miejsce, od razu wyskakuje i znowu biegiem.

Ulica jest pusta.

Nagle widzi dwie czarne karety. Czekają przy moście nad fosą.

Staje jak wryta, jakby nagle kolana usztywniły się i nie była w stanie ich zgiąć. Ze strachu prawie nie może oddychać. Pewnie się dowiedzieli, że tu się umówiła na spotkanie z księciem, i przyjechali po nią. Albo po niego. Nawet książę nie jest bezpieczny przed Czarnym Rycerzem.

– Lepiej tu nie stój.

Słowa te powoli docierają do jej świadomości. Wtem ktoś brutalnie chwyta ją za ramię i zmusza, żeby się odwróciła.

Jakiś obcy mężczyzna.

– Zabrali go. Nie powinnaś tu stać.

– Ale…

– Żadnego ale. Kimkolwiek dla ciebie był, zapomnij i wracaj do domu.

– Ale ja go kocham.

Mięsista twarz łagodnieje pod wpływem współczucia.

– Zapomnij o swoim chłopcu – mówi. – Idź już.

Popycha ją tak silnie, że o mało nie upadła. Kiedyś byłoby to zachowanie bardzo niegrzeczne, a dziś to bywa uprzejmość, która może nawet uratować życie.

– Dziękuję – mówi cicho i odchodzi.

Łzy kłują pod powiekami, oczy pieką. W pewnym momencie podnosi głowę, i wtedy dostrzega chłopaka stojącego pod latarnią.

Przypomina Saszę, też ma takie niesforne jasne włosy, miły uśmiech i wyraziście zarysowany podbródek. Nie wierzy własnym oczom, powtarza sobie, że jest głupia, bo przecież Saszę zabrali, i odtąd pewnie wszyscy przystojni blondyni będą jej go przypominać. Mimo to idzie w jego stronę. Ułamek sekundy później on rusza jej na spotkanie, a wtedy ona wie, że to nie pomyłka. To jej Sasza.

– Wiero! – Chwyta ją w objęcia i całuje tak mocno, że w końcu ona musi się wyrwać, bo brak jej tchu.

– Czekałeś cały dzień?

– Dzień? Czekałbym całe życie. – Tuli ją.

Przechodzą na drugą stronę, gdzie dumnie wznosi się budynek Teatru Królewskiego, przypominający zielono-białą cukrową watę, z dachem zwieńczonym lirą i koroną. Na chodniku właśnie ustawia się kolejka. Wiera od razu spostrzega, jak pięknie ludzie są ubrani – w futra, biżuterię, białe rękawiczki.

Sasza wprowadza ją tylnymi drzwiami. Wchodzi za nim w ciemność westybulu, potem schodami kierują się na górę.

Omijają foyer i wchodzą do prywatnej loży.

Wiera z nabożeństwem podziwia pogrążoną w półmroku salę, złocenia i kryształowe żyrandole. Loża jest w trakcie remontu, ale nawet nieporządek i pozostawione przez robotników narzędzia nie są w stanie przyćmić jej splendoru. W pierwszym rzędzie stoją wyścielane aksamitem krzesła, za nimi wtula się w cień nieduża kanapa. Wiera widzi, jak na dole otwierają się drzwi i na widownię wlewa się elegancka publiczność. Szmer rozmów płynie aż pod sufit.

Odwraca się do Saszy.

– Chodźmy stąd. To nie jest mój świat.

On ciągnie ją do cienia, opierają się o niebieskie aksamitne zasłony maskujące ścianę.

– Z tej loży nikt nie będzie dziś korzystał. Jeżeli nawet ktoś wejdzie, powiemy, że sprzątamy, i pokażemy te szczotki.

Światło przygasa, na widowni zapada cisza. Błękitno-złota kurtyna rozdziela się na dwie połowy.

Pada pierwszy dźwięk, wysoki i czysty, a po nim następuje radosna uwertura. Wiera nigdy w życiu nie słyszała tak pięknej muzyki. Na scenę, niczym świetlisty promień, wbiega wielka balerina Galina Ułanowa.

Wiera, na ile pozwala jej odwaga, przysuwa się do aksamitnych zasłon z przodu loży.

Ponad dwie godziny tkwi bez ruchu, jak w transie śledząc rozgrywającą się pośród fantastycznych dekoracji historię księżniczki porwanej przez złego

czarownika. Gdy miłość wreszcie zwycięża, Wiera płacze nad nim, nad księżniczką, nad wszystkim…

– Ależby się to papie podobało – wzdycha.

Sasza całuje jej łzy, bierze ją za rękę i prowadzi na tył loży, na kanapę.

Ona wie, co teraz się stanie; budząca się między nimi namiętność gotowa jest wybuchnąć z wielką siłą.

Pragnie go, co do tego nie ma wątpliwości; tak jak kobieta pragnie mężczyzny, ale niewiele wie o tych sprawach. On kładzie się i pociąga ją na siebie, a kiedy wsuwa rękę pod jej sukienkę, drży cały. Jakby jego ciało zaczęło żyć własnym życiem.

– Jesteś pewna, Wieruszko? – szepcze, a ona uśmiecha się, gdyż to przecież jej ukochany Sasza. Jest bezpieczna.

– Tak.

*

W niedzielę Wiera jest zupełnie inną dziewczyną. Albo raczej: jest już kobietą. Od wieczoru w teatrze spotykają się z Saszą potajemnie co dzień po pracy. Jest tak w nim zakochana, że już wie, iż miłość ta nigdy się nie skończy. Stał się jej drugą połową.

– Jesteś pewna, Wieruszko? – pyta, gdy zbliżają się do jej domu.

Dotyka jego ręki. Jest pewna za nich oboje.

– Tak.

Stają przed frontowymi drzwiami, on bierze ją za rękę.

– Wyjdź za mnie – mówi, a ona się śmieje.

– Pewnie, że wyjdę.

Całuje go i zaprasza do środka.

Korytarz jest ciemny i zastawiony pudłami. Po wąskich drewnianych schodach wchodzą na piętro. Przed progiem mieszkania ona przystaje i długo się całują, a potem zamaszyście otwiera drzwi.

Mieszkanko jest ubogie, ale idealnie czyste. Matka cały dzień gotowała i pokój wypełnia słodkawo-pikantny zapach gulaszu.

– Oto mój książę, mamo.

Matka i Olga stoją za stołem, blisko siebie, ich dłonie spoczywają na oparciach krzeseł. Obie ubrane są w śliczne kwieciste bluzki i proste

bawełniane spódnice. Na przyjście gościa mama włożyła pończochy, cokolwiek sfatygowane, i buty na obcasach, Olga jest w samych pończochach.

Wiera widzi je teraz oczami Saszy: zmęczoną, niegdyś piękną matkę i Olgę, która jest u progu kobiecości. Siostra uśmiecha się szeroko, odsłaniając duże, troszkę krzywe zęby.

Matka wychodzi zza stołu.

– Wiele słyszałyśmy o waszej wysokości. Witamy u nas w domu.

Olga chichocze.

– Ja to się dopiero nasłuchałam. Ona nie potrafi trzymać języka za zębami.

Sasza uśmiecha się.

– O tobie też mówiła.

– Taka już jest nasza Wiera – wtrąca mama. – Gaduła. – Długo nie puszcza ręki Saszy, przyglądając mu się uważnie. Zadowolona z oględzin, odwraca się do samowara. – Napijesz się herbaty?

– Chętnie. Dziękuję.

– Słyszałam, że uczysz się w kolegium duchownym – mówi mama. – To musi być ciekawe.

– Owszem. I dobrze się uczę. I będę też dobrym mężem.

Mama jakby lekko drgnęła, ale spokojnie dalej nalewa herbatę.

– A co studiujesz?

– Chcę zostać kiedyś poetą, jak pani mąż.

Wiera obserwuje całą scenę jak na zwolnionym filmie. Gdy padły te dwa słowa – poeta i mąż – matka chwieje się lekko. Szklanka wypada jej z ręki i rozbija się na podłodze. Gorąca herbata pryska na gołe kostki Wiery, która krzywi się z bólu.

– Poetą – mówi matka spokojnie, jakby nic się nie stało, jakby nie stłukła przed chwilą szklanki z rodzinnej zastawy. – Myślałam, że bycie księciem jest już wystarczająco niebezpieczne.

Wiera wyrzuca sobie, że zapomniała uprzedzić Saszę.

– Nie martw się, mamo. Nie musisz…

– Mówisz, że ją kochasz – ciągnie mama, nie zwracając uwagi na Wierę. – W twoich oczach widzę, że tak jest, ale boję się, że zrobisz jej to samo, co już w naszej rodzinie się stało.

– Nigdy nie naraziłbym Wiery na niebezpieczeństwo – zapewnia Sasza uroczyście.

– Jej ojciec też mi tak obiecywał – odpowiada mama gorzko. Sam fakt, że wymówiła słowo „ojciec”, świadczy o tym, że musi być mocno poruszona.

– Nie możesz nam zabronić się pobrać – mówi Wiera.

Matka spogląda na nią i w jej kochających oczach widać bolesne rozczarowanie.

Wiera traci pewność siebie, a jeszcze dziesięć minut temu wydawałoby się nie do pomyślenia, że gdyby musiała wybierać między Saszą a rodziną… A przecież tak właśnie zrobiła mama. Wybrała swojego poetę i uciekła z nim, po czym pokornie wróciła do domu. I matka ją przyjęła, choć nie ma między nimi wielkiej miłości.

Wiera przykłada dłoń do brzucha i lekko go gładzi. W nadchodzących miesiącach będzie wspominać ten moment i myśleć o tym, że dziecko już wtedy w niej rosło. Teraz wie jedynie, iż bardzo boi się przyszłości.

– Stop. – Meredith otworzyła drzwi garderoby i wyszła z kryjówki. Sypialnia była niebieska od księżycowego światła, mama wyglądała na zmęczoną. Ramiona jej opadły, długie białe palce lekko drżały. Mocno zbladła. Meredith podeszła do łóżka.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Słuchałaś – stwierdziła mama.

– Słuchałam – przyznała.

– Dlaczego?

Meredith wzruszyła ramionami. Szczerze mówiąc, nie znała odpowiedzi.

– Masz rację. – Mama oparła głowę na poduszce. – Jestem zmęczona.

Pierwszy raz w życiu matka przyznała jej rację.

– Obie z Niną zajmiemy się tobą. O nic się nie martw. – Omal nie pogłaskała jej po włosach, jak małego zmęczonego dziecka. Omal.

Nina podeszła do nich.

– A kto się zajmie wami? – spytała mama.

Meredith zaczęła coś mówić, ale urwała. Nagle dotarło do niej, że właśnie usłyszała najcieplejsze słowa, jakie matka kiedykolwiek skierowała pod ich adresem. I też miała pełne prawo tak zapytać.

Pewnego dnia odejdzie jak ojciec. Zostaną we dwie. Czy będą się sobą opiekować?

– To ile z tej historii podsłuchałaś? – zaczęła Nina, kiedy wyszły na korytarz.

Meredith nie zatrzymała się.

– Całą.

Zeszły na dół.

– W takim razie po kiego grzyba jej przerwałaś?

Meredith nastawiła wodę.

– Kompletnie cię nie rozumiem – zwróciła się do siostry. – Gdy patrzysz przez jakieś głupie szkiełko, to wtedy widzisz wszystko.

– Tak. No i co?

– Miałaś ją cały czas przed nosem i nie zauważyłaś, że ona pada ze zmęczenia?

– Akurat!

Meredith zaśmiała się z wyższością.

– Posłuchaj. Miałam cholernie ciężki dzień, a ty prowokujesz awanturę, na którą nie mam siły. Teraz pojadę do domu, położę się do pustego łóżka i spróbuję zasnąć. O bajce porozmawiamy jutro, zgoda?

– Zgoda. Ale porozmawiamy.

– Dobrze.

Długo po wyjściu Meredith Nina siedziała samotnie w kuchni, myśląc o tym, co powiedziała siostra.

„Nie zauważyłaś, że ona pada ze zmęczenia”.

Miała rację.

Zupełnie tego nie zauważyła. Mogłaby się tłumaczyć, że tak ją pochłonęła opowieść albo że w pokoju było za ciemno, ale ani jedno, ani drugie jej nie usprawiedliwiało.

Zadziałał tu pewien prosty mechanizm przetrwania, który dawno temu opracowała do perfekcji. Nauczyła się tak patrzeć na matkę, żeby jej nie widzieć. Dobrze pamiętała dzień, od którego się to zaczęło.

Miała jedenaście lat i jeszcze ciągle starała się kochać matkę bezwarunkowo. Jej drużyna softballu zakwalifikowała się do turnieju stanowego, który miał się odbyć w Spokane.

Dziwne, że jeszcze teraz tak bardzo bolało wspomnienie tamtego dnia. Tata był w pracy i mama miała ją odwieźć na stację. Pojechały razem z Mary Kay i jej mamą. Dziewczynki całą drogę paplały jak najęte, a po przyjeździe na miejsce Nina od razu zarzuciła plecak na ramię i pobiegła z koleżankami do pociągu. Zawołała tylko:

– Cześć, mamo! Pomacham ci jeszcze przez okno!

W pociągu wszystkie dzieci natychmiast ustawiły się przy oknach, żeby pomachać rodzicom stojącym na peronie.

Nina przeszukała wzrokiem tłum, ale wśród rodziców matki nie dostrzegła. Poszła sobie.

Do tego stopnia Nina była jej obojętna, że nawet nie pomachała na pożegnanie.

Od tamtej pory Nina, podobnie jak Meredith, stała się córeczką tatusia. Do matki prawie się nie odzywała i niczego od niej nie chciała.

Tylko w taki sposób mogła się bronić przed bólem.

Teraz trzeba będzie to zmienić. Całymi latami patrzyła na matkę, tak naprawdę jej nie widząc. Podobnie jak obie słuchały kiedyś bajki, nie rozumiejąc jej właściwie. Traktowały ją jak fantazję; chodziło zresztą głównie o to, żeby słyszeć ten cudowny głos.

Teraz wszystko jest inaczej.

Aby wypełnić obietnicę daną ojcu, musi się postarać zobaczyć matkę i wysłuchać każdego jej słowa.

16

Nina spała niespokojnie, dręczyły ją sny o uwięzionych królach i czarnych karetach zaprzężonych w smoki oraz o dziewczynach odcinających sobie palce z miłości.

W końcu zrezygnowała ze spania i zapaliła lampkę. Potarła zmęczone oczy, wyjęła notes i długopis.

Bajka się zmieniła.

Może „zmieniła się” nie było odpowiednim słowem; doszły do miejsca, którego dotąd nie znała. Nie słyszała przedtem tej części historii o ubogiej dziewczynie i księciu. Na pewno.

Pojawiało się za to coraz więcej dziwnych konkretów. Jak nie w bajce. Co to miało znaczyć?

Napisała: MOST NA FONTANCE (prawdziwy).

Stukając w zamyśleniu długopisem o papier, odtwarzała w myślach kolejne wydarzenia z opowieści.

PAPIEROSY (od kiedy matki w bajkach palą? Dlaczego matka Wiery nie paliła we wcześniejszych odcinkach?).

GALINA COŚ TAM. Za Boga nie mogła sobie przypomnieć nazwiska tancerki, ale na pewno było rosyjskie.

Postanowiła zejść do gabinetu ojca, gdzie stał komputer. Strasznie długo łączyła się z Internetem, w końcu się udało. Tak była zajęta poszukiwaniami, że aż podskoczyła, kiedy niespodziewanie Meredith dotknęła jej ramienia.

– Wyglądasz, jakbyś w ogóle nie spała – zauważyła siostra.

Nina odsunęła się od biurka.

– Przez tę bajkę. Wczoraj pojawiło się mnóstwo nowych rzeczy, prawda? Przedtem tego nie słyszałyśmy.

– Owszem.

– Zauważyłaś? Matka Wiery pali papierosy i nosi opadające pończochy, Wiera zachodzi w ciążę przed ślubem. Czy słyszałaś takie cuda w jakiejś bajce? I posłuchaj tego: „Galina Ułanowa, wielka rosyjska balerina. Do 1944 roku tańczyła w Teatrze Maryjskim w Leningradzie, a potem przeniosła się do Teatru Bolszoj w Moskwie". Popatrz na to zdjęcie: budynek teatru wieńczy lira i korona na kopule.

Meredith nachyliła się.

– Dokładnie tak, jak opisała mama.

Nina nacisnęła kilka klawiszy i pokazało się zdjęcie Ogrodu Letniego.

– Prawdziwy. W Petersburgu, który wtedy był Leningradem. A jeszcze przedtem Piotrogrodem. Rosjanie zmieniali nazwy przy każdej nowej władzy. Widzisz marmurowe posągi i lipy? A tu jest konny posąg Piotra Wielkiego. Słynny pomnik. Nie skrzydlaty koń, ale jeździec na koniu.

Meredith zastanowiła się chwilę.

– W papierach ojca znalazłam list od jakiegoś profesora z Alaski. Pyta w nim mamę o Leningrad.

– Naprawdę? – Nina pochyliła się nad klawiaturą i po chwili na ekranie znów pojawiła się biografia Galiny Ułanowej. – Była najsłynniejszą tancerką w Leningradzie w latach trzydziestych. Gdybyśmy wiedziały, ile lat miała mama…

Wpisała: LENINGRAD 1930.

Na ekranie pojawiły się linki. Uwagę Niny przykuł jeden i kliknęła. WIELKI TERROR.

– Posłuchaj tylko – powiedziała, kiedy strona pojawiła się na ekranie. – „Lata trzydzieste to okres wielkiej czystki w partii komunistycznej. Stalinowskie służby bezpieczeństwa

aresztowały chłopów, przeciwników politycznych, mniejszości narodowe i artystów. Był to czas powszechnego policyjnego nadzoru, nocnych aresztowań, tajnych «procesów», wieloletnich wyroków oraz egzekucji”.

– Czarne samochody. – Meredith oparła się na ramieniu siostry, czytając dalszy ciąg. – Służba bezpieczeństwa przyjeżdżała po ludzi czarnymi samochodami.

– A Czarnym Rycerzem jest Stalin – dodała Nina. – Opowieść z kluczem.

Wstała. Spojrzały na siebie i pierwszy raz w życiu Nina poczuła, że między nimi jednak istnieje więź.

– Część bajki to historyczna prawda – powiedziała cicho i przeszył ją dreszcz.

– Zauważyłaś, że ostatnio nie ma żadnych oznak obłędu?

– Nie, odkąd zaczęła opowiadać. Myślisz, że tata wiedział, iż to jej pomoże?

– Nie wiem – odparła Meredith. – Nic z tego nie rozumiem.

– Ja też nie. Ale się dowiemy, o co chodzi.

W pracy Meredith miała problemy ze skupieniem się na drobiazgach. Nie podejrzewała, by to zauważono, lecz na zebraniu albo gdy rozmawiała przez telefon, albo kiedy ktoś czytał na głos sprawozdanie, jej myśli same uciekały do maminej bajki.

Pod koniec dnia miała taką samą obsesję jak Nina. Po pracy pojechała najpierw nakarmić psy, a potem od razu do mamy i poszła do gabinetu ojca.

Uklękła na dywanie i otworzyła pudło z napisem DOKUMENTY RÓŻNE 1970–1980.

To jest punkt wyjścia. Może Nina jest mistrzynią dziennikarskiego śledztwa, ale to ona wie, gdzie czego szukać w tym domu. Jeśli znalazł się jeden list dotyczący przeszłości mamy, to może być ich więcej. A także inne dokumenty, pochowane w niepodpisanych teczkach albo zaplątane wśród papierów fotografie.

Na pierwszy ogień poszła teczka z napisem: ВераПетровна. Meredith przeczytała jeszcze raz list od profesora Adamowicza, po czym zasiadła do komputera. Jedyny link, jaki się pojawił, skierował ją na stronę Uniwersytetu Stanu Alaska.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła. Po kilku nieudanych próbach połączono ją wreszcie z wydziałem rusycystyki. Odebrała kobieta mówiąca z silnym rosyjskim akcentem.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– Usiłuję odnaleźć profesora Wasilija Adamowicza.

– Dawno już nie słyszałam tego nazwiska – odparła kobieta. – Profesor Adamowicz jakieś dwanaście lat temu przeszedł na emeryturę. Może połączę panią z kimś innym?

– Muszę się skontaktować osobiście z profesorem. W sprawie dotyczącej jego badań naukowych.

– W takim razie obawiam się, że nie mogę pani pomóc.

– Czy może mi pani poradzić, jak mam go znaleźć?

– Niestety, nie jestem w stanie udzielić odpowiedzi.

– Dziękuję. – Rozczarowana Meredith odłożyła słuchawkę i podeszła do okna. Stąd widziała narożnik zimowego ogrodu. Wieczór był ciepły, ławka stała pusta. W pewnym momencie zobaczyła mamę. Szła, ciągnąc za sobą po trawie róg koca, którym była otulona. Gdy znalazła się w ogrodzie zimowym, najpierw dotknęła obu miedzianych kolumn, a potem usiadła i wyjęła z torby robótkę.

Z okna gabinetu Meredith widziała, że matka zgarbiła się i jakby zmalała. Pewnie wkładała sporo wysiłku w to, żeby przy

córkach stać prosto jak struna. W samotności mogła sobie pozwolić na luz. Wyraźnie coś mówiła do siebie albo do kwiatów. A może… do taty? Czy zawsze, siedząc w ogrodzie zimowym, mówiła do siebie, czy to coś nowego? Kolejny objaw żałoby?

– Znowu jest na dworze? – Do gabinetu weszła Nina w obszernym frotowym szlafroku i futrzanych kapciach. Miała wilgotne włosy.

– Jak zwykle. – Meredith pokazała siostrze list od profesora. – Zadzwoniłam na uczelnię. On jest już na emeryturze, a pani, z którą rozmawiałam, nic więcej nie wie.

Nina przeczytała list.

– A więc mama ma jakieś związki z Leningradem. Tam rozgrywa się akcja bajki i co najmniej część opowiadania jest prawdziwa. Powstaje pytanie: czy mama to Wiera?

Dobre pytanie.

– Jeśli tak, to zaszła w ciążę, mając siedemnaście lat. A zatem albo poroniła, albo…

– …mamy gdzieś braciszka lub siostrzyczkę.

Meredith spojrzała przez okno. Siedząca na ławce kobieta była zawsze samotna. Czyżby miała gdzieś inne dzieci, a może nawet wnuki? Czy to możliwe, że je porzuciła i nigdy do nich nie wróciła?

Nawet Anja Whitson nie mogła być aż tak pozbawiona serca.

Po urodzeniu dziewczynek Meredith miała dwa późne poronienia. Były to dla niej bardzo bolesne przeżycia. Chodziła na terapię, dużo też rozmawiała z Jeffem, dopóki nie stwierdziła, że on źle znosi takie rozmowy. Nie miała w najbliższym otoczeniu nikogo – ani przyjaciółki, ani nikogo z rodziny – komu mogłaby się zwierzyć. Przy najmniejszej wzmiance na ten temat natychmiast słyszała, że powinna „pogadać z fachowcem od tych spraw”. Nikt nie rozumiał, że

ona po prostu chce z życzliwą duszą powspominać utraconych synków.

Jedyną osobą, z którą nigdy nie próbowała rozmawiać, była matka.

Przyszło jej do głowy, że żadna kobieta, która przeżyła utratę swego dziecka, czy to w łonie, czy już po urodzeniu, nie mogłaby, widząc podobne cierpienie, nic nie powiedzieć.

– Nie sądzę – odezwała się w końcu. – A poza tym Wiera widzi kolory. – Już jako dziecko Meredith zajrzała do encyklopedii i przeczytała o wadzie wzroku po nazwą achromatopsja, a w tym wypadku jedno było pewne: mama naprawdę nie odróżniała kolorów. – Może mama to Olga?

– Albo mama jest córką Wiery. Choć to mało prawdopodobne. Jednak przecież nie wiemy, ile naprawdę ma lat, więc… To w jej stylu, tak opowiedzieć nam tę historię, żebyśmy nigdy się nie dowiedziały, jaka naprawdę jest. A jak inaczej miałybyśmy się dowiedzieć?

– Trzeba ją namawiać na ciąg dalszy. A ja przeszukam cały dom od piwnic po strych. Jeśli tu cokolwiek jest, znajdę to.

– Dzięki, Mere – powiedziała Nina. – Jak dobrze mieć sojusznika.

Wieczorem podczas kolacji Nina zadbała, żeby wszystko było jak zwykle. Piła wódkę, jadła z apetytem i próbowała inicjować rozmowę, cały czas bacznie przyglądając się mamie. Kim ty jesteś? – pytała ją w myślach. Z trudem się powstrzymywała, żeby nie zadać głośno tego pytania. Jako dziennikarka wiedziała, że warto zaczekać na ten najwłaściwszy moment i że dobrze jest mieć przygotowaną w miarę sensowną hipotezę co

do odpowiedzi. Widziała, że Meredith toczy ze sobą podobną walkę.

Po posiłku mama od razu wstała i oznajmiła:

– Za bardzo jestem zmęczona, żeby dziś opowiadać.

Nina odczuła niemal ulgę. Pomogła siostrze pozmywać (no dobra, to Meredith odwaliła większą część roboty), pożegnała się z nią i poszła do gabinetu taty. Uruchomiła Internet. Interesowało ją wszystko, co dotyczyło Leningradu w latach dwudziestych i trzydziestych. Natrafiła na wiele informacji, ale nie uzyskała żadnej odpowiedzi.

Dochodziła druga, kiedy z ociąganiem wstała od komputera. Znalazła sporo stron z ciekawymi relacjami, lecz nie odkryła niczego, co by jej się przydało. Wiadomo tylko, że historia ta działa się w Leningradzie w czasach stalinowskich.

Postukując długopisem w stół, przepowiedziała sobie na głos zebrane informacje. Potem jeszcze raz. A w końcu przejrzała notatki.

Spod notatnika wystawała koperta listu z Alaski. Przeczytała treść ponownie, zastanawiając się nad każdym słowem. Leningrad. Badania naukowe. Ważne.

Matka wiedziała coś albo była świadkiem czegoś ważnego, co wiązało się z badaniami profesora.

Ale co to było?

Wielki terror? Represje stalinowskie? A może była primabaleriną…

– Nie szalej – upomniała się na głos. Popatrzyła na teczkę z napisanym cyrylicą niezrozumiałym słowem ВераПетровна. – Jakie informacje chciałeś od niej uzyskać, profesorze Wasiliju?

Gdy wymówiła na głos imię profesora, doznała olśnienia.

Wyprostowała się natychmiast, czujność dziennikarska wróciła.

Jego podpis.

Pierwsza litera wyglądała jak „B”.

Wzięła teczkę, w której przechowywany był list. Serce Niny waliło mocno. Czy nie powinna być spacja po „a”? Wtedy byłoby to imię i nazwisko. Podzieliła słowo na dwa przed drugą wielką literą. To pierwsze miało postać „Bepa”.

W Internecie znalazła rosyjski alfabet i teraz odczytała litery.

Bepa to Wiera.

Drugie słowo: Петровна.

Pietrowna.

Jeszcze trochę poszukiwań i zrozumiała ideę rosyjskich nazwisk. Najpierw imię, potem otczestwo – imię ojca z końcówką męską lub żeńską – i dopiero nazwisko. Na teczce napisano dwa z trzech członów pełnego nazwiska – „owna” było końcówką rodzaju żeńskiego. Wiera Pietrowna znaczy Wiera, córka Piotra.

Od razu skoczyła adrenalina, jak zawsze, kiedy udało się uchwycić sedno sprawy. Wiera jest realną osobą. Na tyle, by jej imię i otczestwo znalazło się na teczce, a teczkę przechowywano przez dwadzieścia lat.

Nie była to pełna odpowiedź, nie wyjaśniała tajemnicy jej pochodzenia. Niestety, bez nazwiska w Internecie nic więcej nie da się namierzyć. Profesor mógł się zajmować losami Wiery, a mama z kolei ją znała czy też wiedziała coś o niej. Albo sama mogła być Wierą. Mogła być też Olgą. Wyjaśnienia tych kwestii trzeba szukać gdzie indziej.

Wasilij Adamowicz wiedział, co łączy mamę z Wierą. Związek ten był na tyle ważny, że zwrócił się do niej o pomoc.

Ninie wpadł do głowy pewien pomysł.

17

O piątej czterdzieści siedem Meredith poszła biegać. Psy ścigały się z nią, ciągle dopominając się jej uwagi.

O siódmej była w sadzie. Przeszła z kierownikiem wzdłuż rzędów drzew, obejrzeli owoce, ocenili uszkodzenia powstałe wskutek mrozu, ustalili terminy pakowania jabłek. O dziesiątej siedziała przy biurku i czytała przewidywane szacunki przyszłych zbiorów.

Ale tak naprawdę była w stanie myśleć tylko o bajce.

„Po prostu zapytam, czy ona jest Wierą".

Pomysł rósł w niej niczym zalążek jabłka, aż osiągnął całkiem realne kształty. Dziwne doprawdy. Tyle razy słuchała tej opowieści w dzieciństwie, że przywykła traktować ją jak coś w sumie mało istotnego. A tu nagle bajka okazała się niezwykle cenna. To trochę tak, jakby człowiek odkrył, że obraz wiszący od dawna nad kominkiem to wczesny van Gogh.

I tak właśnie było. Słyszane wielokrotnie słowa przyjmowała za rzecz naturalną, nie zadając pytań, nie zgłębiając ich treści. Może dzieci tak traktują tego rodzaju opowiadania. Słyszą coś od zawsze i nie zastanawiają się, czy to prawda, czy nie.

Odłożyła raporty i zajrzała do Internetu. Przez godzinę szperała, trochę na oślep. Leningrad. Stalin. Wiera. Olga (imiona te ciągle się powtarzały w rosyjskich ofertach matrymonialnych). Most na Fontance, wielki terror, konny pomnik w Ogrodzie Letnim. Nic istotnego nie znalazła, tyle że

miała znów potwierdzenie, iż sceneria bajki jest jak najbardziej realna.

Znalazła obszerny wykaz publikacji naukowych Wasilija Adamowicza. Pisał o wielu sprawach dotyczących Rosji i Związku Radzieckiego: o początku rewolucji bolszewickiej, zamordowaniu rodziny carskiej, dojściu do władzy Stalina oraz terrorze jego rządów, o ataku Hitlera podczas drugiej wojny światowej, nawet o tragedii w Czarnobylu. Profesor zajmował się wiekiem dwudziestym.

– Wciąż niewiele mi to daje – mruknęła do siebie. W końcu w okienku wyszukiwania dodała słowo EMERYTURA, i wtedy pojawił się link do artykułu prasowego.

Profesor Wasilij Adamowicz, emerytowany wykładowca na Wydziale Filologii Rosyjskiej Uniwersytetu Stanu Alaska w Anchorage, doznał wczoraj udaru w swoim domu w Juneau. Profesor Adamowicz jest dobrze znany w kręgach akademickich ze względu na swój bogaty dorobek naukowy. Przyjaciele mówią, że jego wielkim hobby jest ogrodnictwo, a poza tym świetnie opowiada historie o duchach. W 1989 roku przeszedł na emeryturę, ale wciąż pracuje społecznie w tutejszej bibliotece. Obecnie przebywa w miejscowym szpitalu.

Natychmiast zadzwoniła do biura numerów. Niestety, nie mieli numeru Wasilija Adamowicza w Juneau. Rozczarowana poprosiła o numer biblioteki.

– Jest ich kilka, proszę pani.

– Poproszę wszystkie. – Starannie je zapisała.

Szczęście dopisało za czwartym razem.

– Halo? Usiłuję odnaleźć profesora Wasilija Adamowicza.

– Ach, Wasia – odpowiedział kobiecy głos. – Od dawna nikt do niego nie dzwonił.

– Czy to u państwa pracował?

– Przez wiele lat, dwa razy w tygodniu. Dzieciaki go uwielbiały.

– Próbuję się z nim skontaktować.

– Słyszałam, że jest w domu opieki.

– Nie wie pani w którym?

– Nie, przykro mi. Nie wiem, ale… Czy pani jest jego znajomą?

– Moja matka go zna. Ale dawno nie mieli kontaktu.

– Wie pani o udarze?

– Tak.

– Podobno jest w kiepskim stanie. Nie bardzo może mówić.

– Ach, tak? To smutne. Cóż, bardzo dziękuję pani za pomoc. – Meredith odłożyła słuchawkę.

W tym momencie do biura weszła Daisy.

– Mamy problem w magazynie. Nic pilnego, ale Hector prosi, żebyś tam dziś zajrzała, jeśli możesz. Chyba że jesteś bardzo zajęta, to ja mogę się tym zająć.

– Dobrze. – Meredith nie odrywała wzroku od notatek. – Zrób tak.

– A potem pojadę na Tahiti.

– Aha. Doskonale.

– Na kartę kredytową firmy.

– Świetnie. Dzięki.

Daisy energicznie podeszła do biurka i usiadła na krześle naprzeciwko szefowej.

– Dość tego! – oświadczyła, krzyżując groźnie ramiona na piersi. – Natychmiast mów wszystko.

Zaskoczona Meredith podniosła głowę. Co ona przedtem mówiła?

– Coś się stało?

– Właśnie powiedziałam, że jadę na Tahiti na koszt firmy.

Meredith roześmiała się.

– Czyli ja w ogóle nie słuchałam?

– Co się dzieje?

Daisy od dawna zna ich rodzinę, więc może coś wie.

– Kiedy poznałaś moją mamę?

Wyskubane brwi uniosły się ze zdziwienia.

– Chwileczkę, daj mi pomyśleć. Chyba miałam wtedy jakieś dziesięć lat. Może mniej. Pamiętam doskonale, jak huczało od plotek. Twój tata spotykał się z Sally Herman, a potem poszedł na wojnę i wrócił żonaty.

– Więc mało znał mamę?

– Tego nie wiem. Ale był w niej strasznie zakochany. Moja mama twierdziła, że jeszcze nie widziała tak zakochanego faceta. Ona się opiekowała twoją mamą.

– Jak to opiekowała się?

– No, tak. Przez pierwszy rok.

Meredith nic z tego nie rozumiała.

– Dlaczego?

– Twoja mama była chora. Chyba o tym wiedziałaś? Przez rok nie wstawała prawie z łóżka, a potem nagle wyzdrowiała w ciągu jednego dnia. Moja mama myślała, że się zaprzyjaźnią, ale nie. Wiesz, jaka jest twoja mama.

Co za przedziwna wiadomość! Zdumiewająca. Meredith nie pamiętała, żeby matka kiedykolwiek miała choćby kaszel.

– Na co była chora?

Z jakiej przyczyny spędziła cały rok w łóżku? I czemu tak nagle wyzdrowiała?

– Nie wiem. Mama nigdy o tym nie mówiła.

– Dzięki, Daisy. To dla mnie ważne – powiedziała.

Przez następnych kilka godzin niby coś robiła, ale myślała głównie o matce.

O piątej przestała udawać, że pracuje.

– Daisy, sprawdzisz za mnie, co się dzieje w magazynie? Jeśli coś poważnego, dzwoń na komórkę. Jeśli nie, to mnie już dzisiaj

nie ma.

– Dobrze.

Dziesięć minut później weszła do domu rodziców, gdzie powitał ją zapach świeżego chleba. Matka, w wielkim białym fartuchu, zagniatała w kuchni ciasto ubielonymi mąką rękami. Ilości jak zwykle przemysłowe. A zamrażarka w garażu i tak już pełna była domowego pieczywa.

– Cześć, mamo.

– Wcześnie dziś jesteś.

– Niewiele się działo, więc pomyślałam, że przyjadę i znowu trochę popakuję. Kiedy skończę, może przejrzymy razem rzeczy do oddania.

– Jak chcesz.

– Masz jakieś sugestie, co oddać, co zostawić?

– Nie.

Co na to odpowiedzieć? Dlaczego jej w ogóle nie obchodzą takie sprawy?

– Gdzie Nina?

– Godzinę temu oznajmiła, że ma coś do załatwienia i wyszła. Wzięła aparat, więc…

– Nie wiadomo, kiedy wróci.

– Właśnie. – Mama znów zajęła się ciastem.

Meredith zdjęła żakiet i postała jeszcze chwilę w kuchni. Z początku planowała pójść do gabinetu ojca, lecz zmieniła zamiar. Przyszło jej do głowy, że może warto by sprawdzić szuflady i kieszenie ubrań w garderobie.

Upewniła się, że mama wciąż zajęta jest chlebem, i poszła na górę.

Po prawej stronie wisiały rzeczy matki, same czarne i szare, przeważnie z miękkiej wełny lub bawełny. Golfy, rozpinane swetry, długie spódnice, luźne spodnie. Nic modnego, krzykliwego czy drogiego.

„Ubrania, w których można się schować”.

Ta dziwna myśl zjawiła się nie wiadomo skąd. Nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy. Pewnie wcześniej by na to w ogóle nie zwróciła uwagi.

Opowiadanie i słuchanie bajki zmieniało percepcję świata i zmieniało ich wzajemny stosunek. Tu pojawiła się następna myśl: dlaczego tak bardzo zdenerwowała wtedy mamę sztuka oparta na bajce? Dotychczas Meredith była święcie przekonana, że matka gniewała się na nią i że to ona, dokonując takiego, a nie innego wyboru tekstu, zrobiła coś złego.

Tymczasem możliwe, że reakcja mamy nie miała nic wspólnego z córkami. Czy przypadkiem widok odegranych na scenie jej własnej opowieści nie okazał się dla niej zbyt trudny?

Podeszła do komody. Może jej zawartość pozwoli odkryć tajemnicę? Która kobieta nie trzyma pamiątek starannie ukrytych przed ciekawskimi oczami?

Przymknęła drzwi, pozostawiając jedynie cieniutką szparkę, żeby widzieć pokój, i otworzyła górną szufladę. Leżała tu poskładana równo w trzech stosach bielizna: biała, szara i czarna. Skarpetki, podobnie, ułożone były kolorami. W rogu leżało kilka staników. Wsunęła rękę głębiej, ale pod palcami wyczuwała jedynie gładkie drewniane dno. Z rosnącymi wyrzutami sumienia sprawdziła drugą i trzecią szufladę, gdzie leżały poskładane w kostkę swetry i koszulki. Uklękła, otworzyła dolną. Tu znalazła piżamy, koszule nocne i niemodny kostium kąpielowy.

Żadnych sekretów. Nic bardziej osobistego niż bielizna.

Rozczarowana i zawstydzona, zamknęła szuflady. Z westchnieniem wstała i spojrzała na wiszące ubrania. Wszystkie porządnie posegregowane i na swoim miejscu. Jedna rzecz tylko nie pasowała: wełniany płaszcz wiszący na samym końcu. Był szafirowy.

Meredith pamiętała, że matka włożyła go tylko raz – na przedstawienie *Dziadka do orzechów*. Obie z Niną były jeszcze małe. Tata nalegał, okręcił mamę wokół siebie i pocałował. „Proszę cię, Anju. Ten jeden raz”.

Sięgnęła po płaszcz. W stylu lat czterdziestych, z jaskrawego niebieskiego kaszmiru. Szerokie watowane ramiona, dopasowany w talii, rękawy z mankietami, pleksiglasowe dekoracyjne guziki. Przymierzyła. Jedwabna podszewka okazała się cudownie miękka. Aż się zdziwiła, bo pasował na nią idealnie. Wyobraziła sobie matkę jako młodą, uśmiechniętą dziewczynę, rozkoszującą się miękkością kaszmiru.

Z tym że tak naprawdę matka się nie rozkoszowała. Rzadko płaszcz nosiła, jednak go nie wyrzuciła. Jak na kobietę, która nie przechowuje pamiątek, to trochę dziwne. Chyba że nie chciała urazić uczuć ojca. Płaszcz zapewne sporo kosztował.

Włożyła ręce do kieszeni i obróciła się przed dużym lustrem wiszącym na drzwiach.

Wyczuła coś pod podszewką przy kieszeni.

Brzeg tajnej skrytki był naddarty i chwilę zajęło jej rozprucie go na tyle, żeby udało się wyjąć zniszczoną czarno-białą fotografię. Przedstawiała dwoje dzieci.

Długo się jej przyglądała. Nieostra i pognieciona fotografia nie pozwalała zobaczyć niczego wyraźnie, ale z pewnością widniało na niej dwoje dzieci w wieku około trzech czy czterech lat, trzymających się za ręce. W pierwszej chwili Meredith pomyślała, że to ona i Nina, ale z błędu wyprowadziły ją staroświeckie ciężkie palta i buty. Na odwrocie ktoś napisał jedno słowo. Po rosyjsku.

– Meredith!

Zaczerwieniła się gwałtownie, a po chwili zdała sobie sprawę, że to Nina idzie na górę i ją woła.

Otworzyła drzwi garderoby.

– Jestem tutaj.

Siostra miała na sobie spodnie w kolorze khaki i takąż koszulę oraz wysokie buty. Jakby się wybierała na safari.

– Tu jesteś. Szukałam…

Meredith złapała ją za ramię i wciągnęła do garderoby.

– Mama nadal w kuchni?

– Tak. Piecze chleb w takich ilościach, że wystarczyłoby dla głodującego kraju Trzeciego Świata. A co?

– Spójrz, co znalazłam. – Meredith pokazała jej zdjęcie.

– Poszperałaś trochę? Grzeczna dziewczynka. No, no, kto by pomyślał, że się na to zdobędziesz.

– Popatrz tylko.

Nina wzięła zdjęcie, długo mu się przyglądała, a potem odwróciła je i popatrzyła na napisane tam słowo. Znów wróciła do zdjęcia.

– Wiera i Olga?

Meredith drgnęła.

– Tak myślisz?

– Trudno orzec, czy to chłopcy, czy dziewczynki. Ale wydają się podobne do mamy, nie sądzisz?

– Szczerze? Nie wiem. Co robimy?

Nina już o tym pomyślała.

– Na razie nic. Ale zabierzemy je ze sobą i w stosownej chwili spytamy.

– Dowie się, że grzebałam w jej rzeczach.

– Wezmę to na siebie. W końcu to ja jestem dziennikarką. Wtykanie nosa w cudze sprawy wchodzi w zakres moich obowiązków służbowych.

– Wiesz, dowiedziałam się jeszcze od Daisy, że zaraz po ślubie mama chorowała. Bali się, że umrze.

– Mama? Chorowała? Przecież ona nawet kataru nie miewa.

– Wiem. Dziwne, co?

– Tym bardziej utwierdzam się w słuszności mojego planu – powiedziała Nina.

– Jakiego planu?

– Powiem wszystko przy kolacji. Przy mamie. Chodźmy teraz na dół.

Matka siedziała przy kuchennym stole. Na blacie leżało kilkanaście bochenków i pudełka z miejscowej chińskiej restauracji.

Nina zaserwowała chińszczyznę. Podała też wódkę i kieliszki.

– A czy ja mogę się napić wina? – spytała Meredith.

– Jasne. – Jej siostra, wyraźnie będąc myślami gdzie indziej, nalała wódki do dwóch kieliszków.

– Jesteś taka… podekscytowana – zauważyła mama.

– Jak pies na widok listonosza – dodała Meredith, gdy siostra usiadła naprzeciwko.

– Mam dla was niespodziankę – oznajmiła Nina, podnosząc kieliszek. – Na zdrowie.

– Jaką niespodziankę? – zainteresowała się Meredith.

– Najpierw porozmawiamy. – Nina nałożyła sobie na talerz porcję wołowiny z brokułami. – No, dobrze. Moim ulubionym zajęciem jest podróżowanie. Kocham moje wszystkie życiowe pasje. Mój facet chce, żebym się ustatkowała.

Ostatnie wyznanie zszokowało Meredith swoją intymnością. Niespodziewanie dla samej siebie postanowiła podjąć wyzwanie.

– Moim ulubionym zajęciem jest kupowanie pięknych rzeczy. Marzyłam kiedyś o stworzeniu sieci galerii z upominkami. Mój mąż… mnie rzucił.

Mama drgnęła, ale nic nie powiedziała.

– Nie wiem, jak dalej będzie – dodała Meredith. – Może po prostu pewnego dnia miłość… Trzeba pozwolić jej odejść?

– Nie, to nie tak – zaprzeczyła matka.

– To jak…

– Wczepiasz się w nią pazurami. Trzymasz i nie puszczasz.

– Czy na tej zasadzie ty i tata byliście szczęśliwi tyle lat? – spytała Nina.

Mama sięgnęła po łyżkę do nakładania.

– Oczywiście. Przecież o tym mówię.

– Teraz twoja kolej – przypomniała jej Nina.

Meredith miała ochotę ją kopnąć. Pierwszy raz naprawdę ze sobą rozmawiają, a ta znów wyjeżdża ze swoją głupią grą.

Mama spojrzała na swój talerz.

– Moim ulubionym zajęciem jest gotowanie. Lubię ogień na kominku w zimny wieczór. I… – Umilkła.

Meredith pochyliła się wyczekująco.

– I… boję się wielu rzeczy. – Wzięła widelec i zaczęła jeść.

A to dopiero! Meredith nie potrafiła wyobrazić sobie matki bojącej się czegokolwiek, a ona się do tego przyznała, więc to musi być prawda. Chciała zapytać: „Czego konkretnie się boisz?”, ale nie miała odwagi.

– Czas na moją niespodziankę – oświadczyła Nina z uśmiechem. – Jedziemy na Alaskę.

Siostra spojrzała pytająco.

– Jedziemy? To znaczy kto?

– Ty, ja i mama. – Wyjęła spod stołu trzy bilety. – Rejs statkiem.

Meredith była tak zaskoczona, że kompletnie nie wiedziała, co powiedzieć. Powinna zaprotestować, zaznaczyć, że przecież ma pracę, że nie może zostawić psów samych. Cokolwiek. Lecz prawda była taka, że chciała jechać. Nagle zamarzyła się jej ucieczka od sadu, od spraw biurowych, od rozmowy, którą powinna odbyć z Jeffem. Daisy może się zająć magazynem.

Mama wolno podniosła głowę. Twarz miała bladą i na tle tej bladości błękitne oczy płonęły jeszcze bardziej niesamowicie.

– Chcesz mnie zabrać na Alaskę? Czemu?

– Mówiłaś, że tata ci to obiecywał – wyjaśniła spokojnie Nina, a siostra miała ochotę ją uściskać. Tyle w jej głosie było miękkości i ciepła. – Ty też chciałaś tam pojechać, Mere.

– Ale… – Mama pokręciła głową.

– Przyda się nam taki wyjazd – orzekła autorytatywnie Nina. – Wszystkim trzem. Powinnyśmy trochę pobyć razem. Poza tym chcę, żeby mama zobaczyła Alaskę.

– W zamian za resztę historii – dopowiedziała mama.

Zapadła niezręczna cisza.

– Owszem. Chcemy usłyszeć całą… bajkę. Ale to inna sprawa. Widziałam wyraz twojej twarzy, gdy mówiłaś o obietnicy taty. Marzyłaś o tej podróży. Więc pozwól, że cię teraz tam zabierzemy.

Mama wstała i przeszła do jadalni. Stojąc przy szklanych drzwiach, długo patrzyła na zimowy ogród, który rozkwitał jak oszalały.

– Kiedy jedziemy? – spytała.

Nazajutrz rano Nina stała przy płocie z aparatem w ręku i obserwowała wchodzących na teren sadu pracowników. Kobiety szły do chłodni pakować przechowywane tam jabłka, przeznaczone do wysyłki na eksport; za kilka miesięcy będą już tegoroczne zbiory, i wtedy trzeba będzie sortować nowe owoce według jakości. Mężczyźni wyposażeni w drabiny ruszyli między drzewa. Ich zadanie polegało na owijaniu zalążków. Ten zabieg miał uchronić je przed szkodnikami i niekorzystnymi warunkami atmosferycznymi.

Już miała wracać do domu, kiedy pod garaż zajechał brudny niebieski samochód. Nina od razu rozpoznała gęstą czarną

czuprynę kierowcy, przetykaną gdzieniegdzie siwizną. Popędziła na jego spotkanie.

– Danny! – Rzuciła mu się w ramiona z takim impetem, że aż się zachwiał i oparł o maskę. Na nogach jednak ustał.

– Niełatwo cię namierzyć, Nino Whitson.

Z uśmiechem wzięła go za rękę.

– Dobrze zrobiłeś, że przyjechałeś. Chodź. Pokażę ci wszystko.

Z niespodziewaną dla samej siebie dumą oprowadziła go po sadzie, który jej ojciec tak bardzo kochał. Opowiedziała mu kilka wspomnień z dzieciństwa, ale główny temat stanowiła bajka.

W końcu spytała:

– A właściwie dlaczego przyjechałeś?

Uśmiechnął się.

– Oczywiście z miłości. Gdzie twój pokój?

– Na piętrze.

– Cholera! – zaklął. – Czyli jeszcze się muszę wdrapywać.

– Nie pożałujesz. Słowo – szepnęła, całując go w ucho.

Wniósł ją po schodach do dziewczęcego pokoiku.

– Oho, cheerleaderka – powiedział na widok leżącego w kącie, zakurzonego biało-czerwonego pompona. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

Zaczęła rozpinać mu koszulę. Palce poruszały się gorączkowo. Oczekiwanie na jego dotknięcie było torturą, a kiedy wreszcie znaleźli się w łóżku, przekonała się, że w Dannym płonie taki sam ogień jak w niej. Strasznie była na niego napalona, tylko tak dosadnie można to określić. A efekt finalny okazał się tak intensywny, że miała wrażenie, iż na moment cały świat zniknął.

Później Danny leżał na boku, oparty na łokciu, i na nią patrzył. Na opalonej twarzy wyraźnie odcinała się siateczka cieniutkich kresek, zwłaszcza wokół oczu. Po miłosnych

zapasach czarne loki miał nieco potargane. Uśmiechał się, lecz jakoś smutno.

– Pytałaś, dlaczego przyjechałem.

– Daj kobiecie chwilę odsapnąć.

– Już odsapnęłaś. – Odgadła wszystko z jego spojrzenia.

– Niech ci będzie – westchnęła. Bała się spojrzeć mu w oczy, ale się zmusiła. – Dlaczego przyjechałeś?

– Byłem w Atlancie. Stamtąd to rzut beretem.

– W Atlancie? – Doskonale wiedziała, co jest w Atlancie. Każdy dziennikarz wiedział.

– CNN. Zaproponowali mi program autorski. „Świat widziany z bliska". – Uśmiechnął się. – Jestem już zmęczony, moja droga Nineczko. Od lat włóczę się po świecie, tymczasem noga dokucza i nie chce mi się już konkurować z dwudziestolatkami. Jednak przede wszystkim… mam dosyć samotności. Mogę się dalej włóczyć, ale pod warunkiem, że będzie gdzieś miejsce, do którego można wrócić.

– Gratuluję propozycji – powiedziała nieswoim głosem.

– Wyjdź za mnie – poprosił i spojrzał na nią tymi swoimi niebieskimi oczami. A jej zebrało się na płacz. Pojawiła się idiotyczna myśl: Powinnam była zrobić mu więcej zdjęć.

– Czy gdybym się zgodziła za ciebie wyjść… – dotknęła jego twarzy i przesunęła palcami po rzadko u niego gładkim policzku – …zostawiłbyś w diabły CNN i wyjechał ze mną do Afryki? Albo na Bliski Wschód czy do Malezji? Czy mogłabym powiedzieć rano, że mam ochotę na dobre tajskie żarcie, a w południe już siedzielibyśmy w samolocie?

– To wszystko już było, kochanie.

– Co ja bym robiła w Atlancie? Uczyła się piec placek z brzoskwiniami i czekała na ciebie w domu ze szklaneczką szkockiej?

– Daj spokój. Wiem przecież, że to nie dla ciebie.

– Wiesz? – Czuła się, jakby spadała z wielkiej wysokości. Ucisk w żołądku niemal wysadza jej oczy. Jak może się zgodzić? Jak może się nie zgodzić? Kocha go, tego jest pewna. Ale cała reszta? Osiąść na stałe? Dom w mieście albo na przedmieściu? Stały adres? Ona? Prowadzi życie dokładnie takie, jakiego pragnęła. A teraz miałaby zapuścić gdzieś korzenie? To dobre dla takich mężczyzn jak jej ojciec i takich kobiet jak jej siostra, którzy nigdy nie odrywają się od ziemi. Jeśli Danny naprawdę ją kocha, to zdaje sobie z tego sprawę.

– Pojedź ze mną do Atlanty na weekend. Porozmawiamy z ludźmi, zobaczymy. Może byś coś dla siebie znalazła. Kurczę, jesteś znaną reporterką. Na wyścigi będą się przepychać, żeby cię zatrudnić. Kochanie, proszę, daj nam szansę.

– Teraz jadę na Alaskę z mamą i z Meredith.

– Wrócisz na czas. Obiecuję.

– Widzisz… Jest jeszcze bajka… No i muszę trochę powęszyć. Nie mogę teraz tego przerwać. Może za dwa tygodnie, kiedy skończymy…

Danny odsunął się.

– Zawsze będzie coś, czego akurat nie można przerwać.

– Nie mów tak. To są moje rodzinne sprawy. Obiecałam ojcu. Nie możesz ode mnie żądać, żebym się wycofała.

– Ależ ja wcale tego nie chcę.

– Wiesz dobrze, co mam na myśli.

– Owszem. Oświadczyłem się i nie dostałem odpowiedzi.

– Daj mi trochę czasu.

Pocałował ją. Tym razem wolno, delikatnie i ze smutkiem. A gdy po chwili znowu się kochali, dowiedziała się czegoś nowego o seksie. Że może wyrażać wiele rzeczy, między innymi pożegnanie.

Meredith od wielu lat nie wyjeżdżała nigdzie bez męża i córek. Kiedy się pakowała i po raz któryś z rzędu przepakowywała, jej entuzjazm dla wyprawy stale rósł. Zawsze chciała pojechać na Alaskę.

Czemu więc nigdy nie pojechała?

Zadawszy sobie to pytanie, spojrzała na leżącą na łóżku otwartą walizkę i zamiast złożonego w kostkę białego swetra ujrzała swoje własne życie. Nie był to widok budujący.

Zawsze planowała rodzinne wakacje, ale to inni decydowali, dokąd pojadą. Jillian chciała zobaczyć Wielki Kanion, więc byli tam w lecie pod namiotem. Maddy marzyły się wyspy południowe, o czym świadczyły dwukrotne rodzinne wakacje na Hawajach. Jeff uwielbiał narty, więc co roku jeździli do Sun Valley.

Natomiast nigdy nie pojechali na północ, na Alaskę.

Dlaczego? Czemu to ona zawsze rezygnowała z własnej przyjemności? Czy myślała, że ma jeszcze dużo czasu? Że przez dziewiętnaście lat na pierwszym miejscu będą przyjemności dzieci, a potem przestawi się jakąś wajchę i jej marzenia też zaczną się liczyć? Tak to się zmieni, jak się zmienia pas na autostradzie? Tymczasem wcale tak się nie stało. Do tego stopnia zaangażowała się jako matka, że już nie było mowy o powrocie do punktu wyjścia.

Rozglądając się po pokoju, wszędzie widziała jakieś okruchy rodzinnego życia – zdjęcia, rysunki dziewczynek, drobiazgi kupowane razem z Jeffem. Tuż przy łóżku stała fotografia, na którą patrzyła co dzień, a tak naprawdę nie widziała jej od lat. Oboje wyglądali jeszcze na straszne dzieciaki. Młodzi małżonkowie z maleńką, ale już bystro patrzącą córeczką. Jeff nosił wtedy długie włosy, które wiatr zwiewał na opalone policzki. A jego uśmiech był tak cudownie szczery i prawdziwy.

„Ona to my – powiedział tamtego dnia przed wielu laty, kiedy razem trzymali swoją pierworodną. – Jest tym, co w nas najlepsze”.

Myśl, że mogłaby go utracić, nagle stała się nie do zniesienia. Porwała kluczyki i pojechała do redakcji. Na jego widok uświadomiła sobie, że równie mocno boi się utracić samą siebie.

– Chciałam ci przypomnieć, że jutro wyjeżdżamy – odezwała się po długiej chwili milczenia.

– Pamiętam.

– Będziesz mieszkał w domu, dobrze? Jak znam życie, czekają cię codzienne telefony od dziewczynek. One są święcie przekonane, że nie możesz beze mnie żyć.

– Uważasz, że nie mają racji?

Stał blisko, mogłaby go dotknąć, gdyby chciała. I nawet chciała, ale nie zrobiła tego.

– A mają?

– Porozmawiamy po twoim powrocie.

– A jeśli… – Słowa wymknęły się same.

– Co jeśli?

– Jeśli nadal nie będę wiedziała, co ci powiedzieć?

– Po dwudziestu latach?

– Szybko minęły.

– Pytanie jest tylko jedno, Mere. Czy ty mnie kochasz?

„Tylko jedno pytanie”.

Czy do tego można sprowadzić całe dorosłe życie?

Cisza się przeciągała. Jeff wziął z biurka stojące na nim zdjęcie.

– To dla ciebie.

Omal się nie rozpłakała. Ich ślubna fotografia. Trzymał ją na biurku przez te wszystkie lata.

– Nie chcesz jej już tutaj?

– Nie dlatego ci ją daję.

Dotknął lekko jej policzka i ten gest mówił więcej niż dwadzieścia lat bycia razem, dwadzieścia lat poznawania się niemal na wylot, dwadzieścia lat namiętności, miłości i rozczarowań. Wiedziała, że dał jej to zdjęcie, by o nich pamiętała.

Spojrzała na niego.

– Nigdy ci nie mówiłam, że chcę pojechać na Alaskę. Myślę zresztą, że wielu rzeczy nie mówiłam. – Po wyrazie jego oczu poznała, że on rozumie, i wtedy zdała sobie sprawę, jak on dobrze musi ją znać. Towarzyszył jej podczas zdawania egzaminów i robienia dyplomu, przy porodach i przy śmierci ojca. Był głównym świadkiem znacznej części jej życia. Kiedy przestała mu opowiadać o swoich marzeniach? I dlaczego?

– Żałuję, że mi nie powiedziałaś.

– Ja też.

– Myślę, że słowa są bardzo ważne. Westchnął. – Czy przypadkiem twój tata nie wiedział o tym od początku?

Pokiwała głową. Jak to jest, że tak wiele w życiu zależy od tej prostej prawdy? Słowa naprawdę są ważne. Życie składa się z rzeczy wypowiedzianych i niewypowiedzianych. A przez milczenie jej małżeństwo chwieje się teraz w posadach.

– Ona nie jest taka, jak nam się wydawało. Mam na myśli mamę. Kiedy opowiada, czasem staje się… Sama już nie wiem. Stapia się z bohaterką bajki. Aż boję się poznać prawdę, ale też nie potrafię się wycofać. Muszę się dowiedzieć, kim ona jest. Może wtedy będę wiedziała, kim ja jestem.

Podszedł bliżej i pocałował ją w policzek.

– Szczęśliwej podróży, Mere. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

18

Był to jeden z tych słonecznych dni, gdy w panoramie Seattle na tle błękitnego nieba dominuje Mount Rainier. Choć nabrzeże świeciło pustkami, gdyż sezon dopiero się zaczynał, sklep z pamiątkami i znajdująca się przy tej samej ulicy restauracja rybna pełne były turystów. Ale reszta miasta należała jeszcze do mieszkańców.

Meredith popatrzyła na wielki statek rejsowy stojący przy terminalu sześćdziesiątym szóstym. Nieustannie napływali nowi pasażerowie i ustawiali się w kolejce do wejścia na pokład.

– Jesteście gotowe? – spytała Nina, zarzucając plecak na ramię.

– Nie wiem, jak ty potrafisz podróżować prawie bez bagażu – powiedziała Meredith, ciągnąc za sobą ciężką walizę. Przy wejściu przekazała ją bagażowym i weszły na trap. Mama nagle przystanęła.

Meredith niemal na nią wpadła.

– Mamo? Co się stało?

Mama otuliła się mocniej czarnym wełnianym płaszczem i postawiła kołnierz. Patrzyła na statek.

– Mamo? – spytała znów Meredith.

Nina dotknęła ramienia matki.

– Przecież płynęłaś przez Atlantyk – powiedziała łagodnie.

– Z ojcem – odparła mama. – Nie pamiętam wiele, poza tym jednym momentem, kiedy wchodziliśmy na pokład

i odpływaliśmy.

– Byłaś wtedy chora – szepnęła Meredith.

Mamę wyraźnie zaskoczyły te słowa.

– Tak.

– Dlaczego? – zapytała Nina. – Co ci było?

– Nie teraz, Nino. – Poprawiła torebkę na ramieniu. – Chodźcie. Poszukajmy naszych kabin.

Stojący na szczycie trapu mężczyzna w mundurze sprawdził dokumenty kobiet i zaprowadził je do sąsiadujących ze sobą kabin.

– Zapraszamy na wcześniejszą zmianę przy kolacji. Tu jest numer stolika. Bagaż dostarczymy bezpośrednio do kajut. Jak tylko wypłyniemy z portu, na dziobie zostaną podane koktajle.

– O, koktajle – ucieszyła się Nina. – Podoba mi się. Idziemy, drogie panie.

– Spotkajmy się tam na miejscu – zaproponowała mama. – Muszę się trochę ogarnąć.

– Dobrze – zgodziła się Nina. – Ale nie każ nam czekać. Mamy co opijać.

Siostry poszły lśniącym wiśniowo-błękitnym korytarzem do pomieszczenia na dziobie statku. Pasażerów było sporo. Stali, chodzili i rozmawiali na pokładzie, wokół basenu i przy poręczy. Kelnerzy w czarno-białych uniformach roznosili na lśniących srebrnych tacach kolorowe drinki z parasolkami. Nieco dalej, przy bufecie, grał zespół mariachi.

Meredith oparła się o poręcz, sącząc drinka.

– Powiesz mi kiedyś coś o nim?

– O kim?

– O Dannym.

– O!

– Musiało mu strasznie zależeć, skoro przeleciał taki kawał, żeby cię zobaczyć. Dlaczego nie został?

Ryknęła syrena. Ludzie klaskali i wiwatowali, kiedy ogromny statek wolno wypłynął z doku. Mamy na razie nie było widać. No tak. Z nią nigdy nic nie wiadomo.

– Chce, żebym przeprowadziła się na stałe do Atlanty.

– I co? Nie jesteś zachwycona tym pomysłem?

– Osiąść na stałe? Ja! Posłuchaj, ja nie tylko kocham mój zawód, ja nim żyję. A małżeństwo jako takie to nie jest moja bajka. Przecież i tak możemy się kochać i póki nie są nam potrzebne wózki inwalidzkie – jeździć po świecie, nie?

Jeszcze miesiąc temu Meredith uraczyłaby ją kilkoma frazesami, tłumacząc, że miłość to jedyne, co się w życiu liczy, i że czas najwyższy założyć rodzinę. Jednak przez ten okres po śmierci taty nauczyła się czegoś nowego. Każdy wybór zmienia drogę, którą się idzie, a bardzo łatwo można pójść w niewłaściwym kierunku. Ustatkowanie się może też oznaczać rezygnację z tego, co się kocha.

– Podziwiam cię. Masz swoją pasję i ją realizujesz. Nie ulegasz presjom.

– Czy miłość to wystarczający powód? A jeśli ja go kocham, ale nie mam ochoty osiąść nigdzie na stałe? A jeśli ja nie chcę domku na przedmieściu i gromadki dzieci?

– Kwestia twojego wyboru. Nikt ci nie powie, co jest dla ciebie dobre.

– Powiedz, czy gdybyś znów miała wybierać, wybrałabyś Jeffa po raz drugi, biorąc pod uwagę to, co między wami zaszło?

Meredith nie zastanawiała się dotąd nad tym, lecz odpowiedź przyszła sama. Jakoś łatwiej było przyznać się tutaj, wśród obcych ludzi, na błękitnym oceanie.

– Wyszłabym za niego.

Nina objęła ją.

– No tak – powiedziała. – I nadal twierdzisz, że nie wiesz, czego chcesz.

– Jesteś okropna. Nie znoszę cię.

Nina ścisnęła ją za ramię.

– Nieprawda. Ty mnie kochasz.

Meredith znów się uśmiechnęła.

– Chyba tak.

Hostessa zaprowadziła je do stolika przy ogromnym oknie. Za szybą fale bezkresnego pustego oceanu połyskiwały w świetle zachodzącego słońca. Mama uśmiechnęła się do dziewczyny i podziękowała jej.

Meredith była zaskoczona tą jej wylewnością. Od lat przebywała z matką na co dzień, ale w swoim zwykłym nawale zajęć nigdy się jej nie przyglądała. Przeważnie zaś ją mijała, najchętniej z daleka, po drodze do ojca. A ostatnio, kiedy tak często były tylko we dwie, nie czuła żadnej łączącej ich więzi. Od bardzo dawna uważała matkę za osobę zimną i daleką.

Kobieta, która właśnie miło się uśmiechnęła, była kimś zupełnie innym. Znowu jakieś przedziwne sekrety się odsłaniają. Ciekawe, co przyniesie im ta podróż. A jeśli się okaże, że matka jest jak jej ukochana w dzieciństwie lalka matrioszka? Czy wtedy uda się zobaczyć tę ukrytą najgłębiej?

Hostessa podała im karty i życzyła smacznego.

Przy stole panowało milczenie, dopóki nie zjawił się kelner.

– Przyda nam się porządny drink – zadecydowała Nina. – Wódka. Rosyjska. Najlepsza, jaką macie.

– Ja nie – zaoponowała Meredith. – Nie piję czystej wódki na wakacjach. – Zwróciła się do kelnera: – Poproszę truskawkowe daquiri.

Nina uśmiechnęła się,

– Trudno, jak wolisz. Ja poproszę wódkę i margaritę z lodem. Dużo soli.

– Wódkę i kieliszek wina – zamówiła mama.

– W ten sposób na spotkaniu klubu AA zapanował porządek – stwierdziła żartobliwie Meredith.

O dziwo, mama się uśmiechnęła.

– Za nas – wzniosła toast Nina, kiedy podano drinki. – Za Meredith, Ninę i Anję Whitson. Po raz pierwszy razem.

Mama drgnęła lekko, a Meredith zauważyła, że unika patrzenia na nie, nawet w momencie stukania się kieliszkami.

Uważnie ją obserwowała i stwierdziła, że ilekroć matka spogląda na ogromne błękitne morze, w jej oczach widnieje jakiś dziwny smutek. Dopiero po zapadnięciu ciemności odprężyła się i jej napięcie wyraźnie opadło. Zabierała głos w rozmowie i dodała trzy odpowiedzi do zwykłej puli gry. Wypiła nawet drugi kieliszek wina, ale chyba bardziej ją pobudził niż zrelaksował. Po deserze wstała.

– Wracam do kabiny – oznajmiła. – Idziecie ze mną?

Nina zerwała się od razu, Meredith zareagowała spokojniej.

– Jesteś pewna, mamo? Nie wolałabyś dziś odpocząć? Jutro też jest dzień.

– Dziękuję za troskę, ale nie. Chodźcie. – Szybko odeszła.

Córki niemal biegły za nią.

Najpierw w swojej kabinie przebrały się w dresy. Meredith kończyła właśnie myć zęby, kiedy Nina podeszła do niej.

– Chcę jej pokazać zdjęcie i spytać, co to za dzieci.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Bo ty jesteś ta grzeczna córeczka, która zawsze do wszystkich się dostosuje, jest miła i uprzejma. – Uśmiechnęła się szeroko. – Ja to ta zła siostra. Możesz powiedzieć, że nic nie wiedziałaś. Zaufasz mi tym razem?

– Dobrze – zgodziła się w końcu Meredith.

Poszły do matki.

Otworzyła i wpuściła je do swego apartamentu. Jak można się było spodziewać, panował w nim idealny porządek. Żadnych ubrań na wierzchu, żadnych osobistych drobiazgów. Zaskoczył je natomiast czajnik z herbatą i trzy filiżanki na stoliku.

Mama nalała sobie herbaty i usiadła na fotelu stojącym w kącie. Okryła nogi pledem.

Meredith przysiadła na miękkiej ławeczce naprzeciwko niej.

– Zanim zgasimy światło – odezwała się Nina – chciałam ci coś pokazać.

Mama podniosła głowę.

– Tak?

Nina podeszła do niej. Meredith miała wrażenie, że ogląda zwolniony film, kiedy siostra wyjęła zdjęcie i podała mamie.

Mama zakrztusiła się i zbladła.

– Grzebałaś w moich rzeczach?

– Wiemy, że bajka dzieje się w Leningradzie i że sporo jest w niej prawdy. Kim jest Wiera? I co to za dzieci?

Mama pokręciła głową.

– Nie pytaj.

– Jesteśmy twoimi córkami – powiedziała cicho Meredith, pragnąc złagodzić ostrość pytań siostry. – Po prostu chcemy wiedzieć coś o tobie.

– Tata prosił – dodała Nina.

Mama spojrzała na zdjęcie, które drżało w jej dłoni. W kabinie panowała tak idealna cisza, że słychać było fale uderzające w kadłub o wiele, wiele niżej.

– Macie rację. To nie jest bajka. Ale jeśli chcecie usłyszeć resztę, to pozwólcie mi opowiedzieć tę historię po mojemu. W jedyny sposób, w jaki potrafię.

– Ale kto…

– Żadnych pytań. Tylko słuchacie. – Blada i zmęczona mama nagle przemawiała głosem jak ze stali.

Nina usiadła przy siostrze.

– Dobrze.

– W takim razie idziemy dalej. – Mama oparła się wygodnie. Przesunęła palcami po zdjęciu. Tym razem zaczęła mówić przy zapalonym świetle.

– Tamtego dnia w Ogrodzie Letnim Wiera zakochała się w Saszy i jest to dla niej decyzja na całe życie, mimo oporu matki, która boi się tej miłości do poezji, jaką deklaruje Sasza. Wiera jest młoda i bardzo zakochana w mężu. Gdy przychodzi na świat pierwsze dziecko, wydaje się jej to niemożliwym wprost cudem. Dają córce na imię Anastazja, dziewczynka jest teraz słońcem w życiu Wiery. A kiedy za rok rodzi się Lew, Wiera nie wyobraża sobie większego szczęścia, mimo że w Związku Radzieckim czasy są bardzo ciężkie. Świat już się dowiedział, ile straszliwego zła wyrządza Stalin. Ludzie znikają, umierają, giną tragicznie. Nikt nie wie tego lepiej niż Wiera i Olga, które nadal boją się mówić o ojcu. Ale w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Wiera jakoś nie potrafi się tym wszystkim martwić, zwłaszcza gdy klęczy na czarnej żyznej ziemi i pracuje w ogrodzie. Mają z Saszą pod miastem małą działkę, sadzą na niej warzywa, aby jakoś przetrwać długą, białą leningradzką zimę. Wiera nadal pracuje w bibliotece, a Sasza studiuje, ucząc się tego, na co pozwala Stalin. Są posłusznymi obywatelami, przynajmniej starają się za takich uchodzić, gdyż czarne samochody jeżdżą w tych dniach bardzo często. Saszy został zaledwie rok do skończenia studiów; liczy na to, że dostanie posadę nauczyciela akademickiego.

– Mamo, patrz! – woła Lew, wyciągając w jej stronę małą pomarańczową marchewkę, bardziej korzonek niż dojrzałe warzywo. Wiera wie, że powinna go skarcić, lecz wobec uśmiechu synka czuje się bezbronna. Czterolatek ma złote loki swojego ojca i chętnie się śmieje.

– Odłóż marchewkę z powrotem – prosi. – Ona jeszcze musi urosnąć.

– Mówiłam, żeby nie wyrywał – wtrąca z wyższością pięcioletnia Anja, w przeciwieństwie do wiecznie roześmianego brata, zawsze poważna.

– Bardzo słusznie – odpowiada Wiera, starając się zachować powagę. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata, ale przy dzieciach szybko stała się dorosła. Tylko gdy są sami z Saszą, czują się jeszcze bardzo młodzi.

Wiera kończy pracę, woła dzieci, bierze je za rączki i zaczyna się długi powrót do domu.

Do Leningradu docierają wczesnym wieczorem. Ludzie na ulicach biegają i krzyczą. W pierwszej chwili Wiera myśli, że to białe noce tak działają na mieszkańców, ale kiedy mijają most na Fontance, dociera do niej coś niecoś ze strzępków rozmów, kłótni i dyskusji.

Nagle z głośników dobiega pisk i pada słowo „Uwaga" ciśnięte jak nóż w drewnianą tablicę. Mocno trzymając dzieci za ręce, Wiera wchodzi w tłum w chwili, gdy zaczyna płynąć obwieszczenie: „Obywatele Związku Radzieckiego… o czwartej rano bez wypowiedzenia wojny… niemieccy żołnierze zaatakowali nasz kraj…".

Przemówienie ciągnie się i ciągnie, ludziom każe się być wiernymi synami Ojczyzny, zaciągnąć się w szeregi niezwyciężonej Armii Czerwonej i odeprzeć wroga. Wiera nie może tego słuchać. Myśli tylko o jednym: żeby jak najszybciej znaleźć się w domu.

Dzieci płaczą, zmęczone długą drogą do mieszkania niedaleko nabrzeża Mojki. Wiera prawie na to nie zważa. To prawda, jej dzieci płaczą, dla matki to straszne, ale ona jest też córką i żoną. Natychmiast musi zobaczyć się ze swoją matką i z mężem. Na brudnej klatce schodowej panuje dziwna cisza. W mieszkaniu nie pali się światło, i dopiero po chwili wzrok przyzwyczaja się do mroku.

Mama i Olga, jeszcze w ubraniach, które noszą do pracy, oklejają okna gazetami. Kiedy Wiera wchodzi, mama odrywa się od tego zajęcia. Mówi: „Bogu dzięki", obejmuje i przytula córkę.

– Musimy szybko załatwić kilka spraw – zapowiada.

Olga sama kończy oklejać okno. Wiera widzi, że siostra płakała, nakrapiane piegami policzki noszą ślady łez, a jasne włosy są potargane. Gdy Olga jest zdenerwowana albo się czegoś boi, szarpie się za włosy.

– Wiero, pójdziecie teraz z Olgą do sklepu – zarządza matka. – Kupicie wszystko, co można dłużej przechowywać. Kaszę, miód, cukier, smalec. Co

tylko się da. Ja pobiegnę podjąć nasze oszczędności. – Klęka przed Lwem i Anją. – Wy zostaniecie tutaj i poczekacie na nas.

Anji to się nie podoba.

– Chcę iść z tobą, babciu.

Mama dotyka jej policzka.

– Teraz wszystko jest inaczej, kochanie. Dzieci muszą być bardzo posłuszne. – Wstaje, bierze torebkę, sprawdza, czy ma niebieską przepustkę.

Wychodzą we trzy i zamykają drzwi na klucz. Gdy zapada zatrzask, po drugiej stronie rozlega się płacz.

Wiera patrzy na matkę.

– Nie mogę ich tak zostawić…

– Teraz musimy robić różne rzeczy, które przedtem wydawały się niemożliwe – mówi mama łagodnie. – Chodźmy już, bo będzie za późno.

Na dworze niebo jest przepiękne, bezchmurne i błękitne, a bzy rosnące pod oknami napełniają powietrze słodką wonią. Wydaje się nieprawdopodobne, że w taki dzień miastu może zagrażać wojna. Wszystko się zmienia, gdy skręcają za róg i widzą ludzi tłoczących się pod zamkniętym bankiem. Wymachujących dokumentami i krzyczących. Kobiety płaczą.

– Za późno – mówi mama.

– Co się dzieje? – pyta Olga, nerwowo szarpiąc włosy. Rozgląda się niespokojnie. Starsza kobieta obok niej jęczy i osuwa się na ziemię. W ciągu paru sekund przed ich oczami zakrywa ją tłum.

– Ludzie nie mogą odebrać swoich pieniędzy. – Mama tak mocno zagryza dolną wargę, że aż pojawia się na niej krew. Idą do sklepu spożywczego. Ludzie kupują, co się da, ile mogą unieść. Półki są praktycznie puste. Ceny poszły w górę.

Wiera nie bardzo może to pojąć. Wojnę dopiero co ogłoszono, a już poznikały wszystkie zapasy. Ludzie są zrozpaczeni i zdezorientowani.

– Już raz to przeżywaliśmy – wzdycha mama.

Starcza im pieniędzy na kaszę, mąkę, soczewicę i smalec. Z tymi niezbyt obfitymi zakupami idą z powrotem zatłoczonymi ulicami i tuż po szóstej docierają do domu.

Wiera słyszy płacz dzieci. Serce jej się kraje. Otwiera drzwi i chwyta je w ramiona. Lew zarzuca jej rączki na szyję i mocno obejmuje.

– Tęskniłem za tobą, mamusiu.

Wiera obiecuje sobie, że w tym jednym nie będzie słuchać matki: nigdy więcej nie zostawi swoich dzieci samych.

– Gdzie papik? – pyta Anji, która wzrusza bezradnie ramionkami.

Powinien już być w domu.

– Na pewno nic mu się nie stało – pociesza matka. – Teraz trudno się przedostać gdziekolwiek, takie tłumy na ulicach.

Jednak niepokój Wiery nasila się z każdą mijającą minutą. O ósmej Sasza nareszcie wraca. Ma brudne policzki, włosy mokre od potu.

– Wieruszko! – Bierze ją w ramiona i przytula tak mocno, że trudno jej oddychać. – Trolejbusy są przepełnione. Całą drogę biegłem. A wy jak? W porządku?

– Teraz tak – odpowiada Wiera.

I wierzy w to.

Tej nocy, kiedy babcia chrapie w dusznych ciemnościach, Wiera siada na łóżku. Zaklejona gazetą i paskami papieru szyba przepuszcza niewiele światła. Miasto za oknem jest dziwnie, wręcz niesamowicie ciche. Jakby Leningrad nabrał powietrza w płuca i wstrzymał oddech.

Pogrążone w mrocznych cieniach mieszkanie wydaje się jeszcze mniejsze i bardziej zagracone. Trzy wąskie łóżka w pokoju i dziecięce łóżeczka w kuchni. Nie ma gdzie się ruszyć. Wszyscy razem nie mogą jeść posiłków. Nie ma tyle miejsca przy stole ani tylu krzeseł.

Mama i Olga też nie śpią. Siedzą na łóżku. Leżący obok Wiery Sasza jest dziwnie cichy, jak nie on.

– Co my teraz zrobimy? – pyta Olga. W wieku dziewiętnastu lat powinna myśleć o chłopcach oraz o swojej przyszłości, a nie o wojnie. – A może Niemcy nas uratują. Towarzysz Stalin…

– Ciii – mówi mama ostro, spoglądając z lękiem na swoją śpiącą matkę. Pewnych rzeczy nie należy mówić głośno. Olga powinna już to wiedzieć. – Jutro pójdziemy do pracy. Pojutrze zrobimy to samo, popojutrze też. A teraz pora spać. Przekręć się na drugi bok, Olgo. Ja cię przytrzymam.

Przeciążone łóżko trzeszczy, kiedy mama z siostrą układają się do snu. Wiera wyciąga się obok męża, pragnie poczuć się bezpiecznie w jego objęciach. Za mało tu światła, by mogła wyraźnie zobaczyć jego twarz, ale mąż oddycha równo i pewnie, w zgodnym rytmie z jej własnym sercem, więc się

trochę uspokaja. Dotyka jego policzka, wyczuwa pod palcami miękki świeży zarost, tak dobrze znany jak ślubna obrączka na palcu. Przysuwa się bliżej, całuje go i przez ten krótki moment, gdy ich usta się stykają, świat przestaje istnieć. On jednak odsuwa się i mówi:

– Musisz być silna, Wieruszko.

– Będziemy silni – odpowiada zamknięta w jego ramionach.

Dwie noce później budzą ich strzały.

Wiera zrywa się z bijącym sercem. Wpada na łóżko matki, kiedy próbuje dojść do dzieci. Cienkie szyby drżą, w korytarzu słychać kroki i krzyki.

– Szybciej – ponagla Sasza, ale mówi to spokojnym głosem. Zbierają się, mama pakuje tyle żywności, ile się da. Dopiero gdy są pod jasnym niebem, rozumieją, że to obrona przeciwlotnicza ćwiczy przed nadchodzącą nawałą.

Na ich ulicy nie ma schronów. Mama rozmawia z sąsiadami, jutro zejdą do piwnicy i przygotują ją odpowiednio.

Wśród tego całego zamieszania Sasza patrzy na Wierę. Lew śpi w jego ramionach (chłopiec potrafi spać zawsze), a Anja stoi obok i przestraszona ssie kciuk. To jej zwyczaj z wczesnego dzieciństwa, który teraz wrócił.

– Wiesz, że muszę iść – mówi Sasza do Wiery.

Ona wpada w rozpacz. Nagle nocne wystrzały przestają mieć jakiekolwiek znaczenie. O wiele większy lęk budzi w niej to, co widzi w twarzy męża.

– Jestem studentem, jestem poetą – tłumaczy. – A ty jesteś córką wroga państwa.

– Nie publikowałeś żadnych swoich wierszy…

– I tak jestem podejrzany. Wiesz o tym. Ty zresztą też.

– Nie możesz iść. Nie puszczę cię.

– Już za późno. Zaciągnąłem się na ochotnika.

Stojąca obok mama ściska ją mocno za ramię.

– Oczywiście, że pójdziesz, Sasza – mówi spokojnie, a Wiera słyszy w jej głosie ton ostrzeżenia. Jak zawsze, chodzi o to samo. Nawet teraz, pośród strzałów i eksplozji, czarny samochód jedzie ulicą.

– Tak trzeba – przekonuje Sasza. – Nasza armia jest najlepsza na świecie. Szybko spuścimy Niemcom lanie. Ani się obejrzysz, a wrócę do domu.

Wiera trzyma za rękę małą Anję, która słucha każdego słowa, słuchają też stojący w pobliżu sąsiedzi i obcy, przypadkowi ludzie. Wie, co powinna czuć

i powiedzieć, ale nie ma na to dość siły. Podobne słowa usłyszała kiedyś od ojca. „Nie martw się, Wiero. Zawsze będę przy tobie”.

– Obiecaj, że wrócisz.

– Obiecuję – odpowiada Sasza bez wahania.

Wiera dobrze jednak wie, że nie ma sensu prosić o pewne obietnice. Patrzy na matkę, obie rozumieją tę prawdę. W tym momencie Wiera zaczyna znacznie więcej pojmować z własnego dzieciństwa. Ale przede wszystkim musi być teraz silna ze względu na dzieci.

Spogląda na męża.

– Trzymam cię za słowo, Aleksandrze Andriejewiczu.

Rano budzi się wcześnie; po cichu wyciąga ślubne zdjęcie.

Długo patrzy na szczęśliwe, uśmiechnięte twarze. Łzy zamazują widok, kiedy wyjmuje zdjęcie z ramki, składa na pół i jeszcze raz na pół. Chowa do kieszeni płaszcza.

Słyszy za sobą kroki, czuje dłonie na ramionach.

– Kocham cię, Wieruszko – mówi Sasza cicho, całując ją w policzek.

Dobrze, że stoi z tyłu. Chyba nie miałaby siły spojrzeć mu w oczy.

– A ja kocham ciebie, Sasza.

„Tylko wróć do mnie”.

Po chwili już go nie ma.

19

Wiera i Olga mają szczęście, jeśli chodzi o pracę. Olga pracuje w Ermitażu, Wiera w Leningradzkiej Bibliotece Publicznej. Teraz obie całymi dniami w mrocznych, cichych salach pakują dzieła sztuki i literatury, tak by nie zaginęła historia państwa radzieckiego. Codziennie po pracy Wiera samotnie wraca piechotą do domu. Czasem nadkłada drogi i zachodzi do Ogrodu Letniego powspominać ów dzień, kiedy spotkała się tam z Saszą. Staje się to coraz trudniejsze. Leningrad zmienia się nie do poznania. Pomniki zabezpieczane są deskami i workami z piaskiem. Nad Instytutem Smolnym wiszą sieci kamuflujące; złota iglica nad budynkiem Admiralicji zamalowana została na szaro. Wszędzie ruch – ludzie budują schrony przeciwlotnicze, stoją w kolejkach po artykuły spożywcze, kopią rowy. Niebo jest wciąż niebieskie i bezchmurne, żadna bomba na razie nie spadła, lecz wojna się zbliża i wszyscy o tym wiedzą. Codziennie głośniki wywrzaskują relacje z sytuacji na froncie. Nikt nie chce wierzyć, że Niemcy dojdą do Leningradu – do czarodziejskiego miasta wzniesionego na bagnach i ludzkich szkieletach – ale nikt nie ma wątpliwości, że bomby spaść mogą.

Po drodze Wiera bierze z banku dwieście rubli, które wolno podjąć raz w miesiącu, i z pieniędzmi w ręku staje w kolejce po trzy bochenki chleba i ser. Dziś ma szczęście, bo wystarcza dla niej. Czasami czeka się długo, a gdy już dochodzi się do drzwi, zamykają sklep.

Kiedy wreszcie o ósmej wraca do domu, Anja i Lew bawią się w pokoju, skaczą po łóżkach i krzyczą.

– Mama! – woła Lew na jej widok. Na buźce pojawia się radosny uśmiech, synek biegnie co sił w małych nóżkach i rzuca się jej w ramiona. Anja za nim, ale ona nie przytula się do matki tak mocno. Jest zła na wojnę i chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Nie lubi siedzieć cały dzień w świetlicy i wracać do domu dopiero o szóstej z tą „śmierdzącą panią Newską z naszego piętra”.

– Jak moje skarby? – pyta Wiera, tuląc też Anję. – Co robiliście dziś w przedszkolu?

– Jestem już za duża na przedszkole – informuje Anja, z powagą marszcząc czoło.

Wiera głaszcze ją po główce i idzie do kuchni. Nastawia właśnie wodę, kiedy do mieszkania wchodzi Olga.

– Słyszałaś? – pyta bez tchu.

Wiera odwraca się.

– Co?

Olga spogląda ze smutkiem na Anję i Lwa bawiących się patykami.

– Dzieci mają zostać ewakuowane z Leningradu – ścisza głos.

Po obudzeniu się rano w dniu ewakuacji Wiera czuje się fatalnie. Bo czy zdoła wsadzić dzieci do pociągu jadącego nie wiadomo dokąd, a potem żyć normalnie? Zostaje parę minut dłużej w łóżku, są to jedyne chwile, jakie ma tylko dla siebie w ciasnym mieszkanku, gdzie żyje tyle osób. Patrzy w sufit, na zacieki i rdzawe plamy. Matka na łóżku obok przewraca się niespokojnie. Olga pochrapuje cichutko.

– Wiero? – odzywa się matka.

Wiera przekręca się na bok.

Patrzą teraz na siebie. Mają siebie blisko, bo łóżka stoją prawie jedno przy drugim. Mogłyby się dotknąć. Olga przewraca się na drugi bok i ściąga stary, wytarty koc z ramion mamy.

– Nawet o tym nie myśl – mówi mama, a Wiera zastanawia się, czy ona tak samo kiedyś będzie wiedziała, co jej dzieci zamierzają.

– Nie mogę nie myśleć – wyznaje. Całe życie była posłuszna władzy. Nie wychylała się, nie robiła nic, co mogłoby zwrócić uwagę jej przedstawicieli. Ale to? Czy będzie zdolna do czegoś takiego?

– Towarzysz Stalin widzi wszystko i wie wszystko. Z pewnością wyśle dzieci tam, gdzie będą bezpieczne. Rozkaz jest, że mają jechać, i koniec.

– A jeśli ich więcej nie zobaczę?

Mama wstaje z łóżka i kładzie się obok niej, po stronie Saszy. Obejmuje ją i gładzi jej czarne włosy, zupełnie jak wtedy, kiedy Wiera była mała.

– My, kobiety, dokonujemy wyborów, kierując się dobrem innych. A jeśli jesteśmy matkami, dla naszych dzieci… musimy czasem wiele poświęcić.

W ten sposób je ocalisz. Będzie to dla ciebie trudne, dla nich też. Ale nie ma rady. Trzeba robić, co każą, choć serce pęka.

– Sasza mnie uprzedzał, że będę musiała być silna.

Mama kiwa potakująco głową.

– Mężczyźni i tak tego nie rozumieją. Nawet twój Sasza. Idą na tę swoją wojnę, bo im się zdaje, że wiedzą, czym jest odwaga.

– Teraz mówisz o papie.

– Może i tak.

Długo leżą bez słowa.

Pierwszy raz od dawna Wiera myśli o ojcu. Nadal boli, ale mniej niż ciągłe rozpamiętywanie tego, co musi nieuchronnie nadejść. Zamyka oczy i widzi siebie na ciemnej ulicy przed ich starym mieszkaniem. Ojciec wychodzi do kawiarni.

Jest zimno. Dłonie marzną w wełnianych rękawiczkach, a w palcach u nóg czuje mrowienie z chłodu.

– Weź mnie ze sobą – błaga. Pada lekki śnieg, płatki spadają na nieosłonięte policzki.

Wielkie czarne wąsy ojca poruszają się w uśmiechu.

– Wiesz dobrze, Wieruszko, że to nie miejsce dla dziewczynek. Tylko dla mężczyzn.

– Ale będą czytane twoje wiersze. A poza tym przyjdzie Anna Achmatowa. To kobieta.

– Tak, kobieta. – Ojciec stara się przybrać surowy ton. – A ty jesteś jeszcze małą dziewczynką. Pewnego dnia – dodaje, kładąc jej dłoń na ramieniu – sama napiszesz coś pięknego, własnego. Może wtedy znów będą uczyć w szkole literatury zamiast tych socrealistycznych bzdur, które według Stalina mają oznaczać postęp ludzkości. Cierpliwości. Pomachasz mi, jak będę wchodził do środka?

Wiera patrzy w ślad za nim. Śniegowe płatki składają mikroskopijne pocałunki na jej policzkach i od razu przyjmują postać kropelek wody spływających w dół i niczym zimne palce wciskających się za kołnierz.

W tej ruchomej śnieżnej bieli ojciec stanowi zamazaną plamę szarości. Nie jest pewna, czy w końcu jej odmachał. Noc już zapada, zmieniają się kolory, przygasa światło. Próbuje to wszystko zapamiętać, żeby potem opisać w pamiętniku.

– Kiedyś marzyłam, że zostanę pisarką. Pamiętasz? – pyta teraz cicho matkę.

Długo trwa, nim mama odpowiada, jeszcze ciszej:

– Pamiętam wszystko.

– Może kiedyś…

– Cii… – Matka głaszcze ją po włosach. – Bo będzie bardziej boleć. Coś o tym wiem.

W jej głosie słychać i rozczarowanie, i pogodzenie się z losem. Wiera zastanawia się, czy pewnego dnia ona powie to samo, gdy poddanie się losowi wyda się łatwiejszym rozwiązaniem. W tym momencie słyszy, jak Lew w kuchni rozmawia z pluszowym królikiem, jego największym przyjacielem.

Myśli wtedy: A więc to już. Czuje na włosach pocałunek matki, słyszy słowa szeptane do ucha, lecz nie jest w stanie nic zrozumieć. Coś głośno szumi w głowie. Siada na łóżku. Choć ranek jest ciepły, podobnie jak wczorajszy wieczór, ma na sobie spódnicę i sweter. Pod łóżkiem czeka para zniszczonych butów. Wszyscy teraz śpią w ubraniach. W każdej chwili może być nalot.

W małym mieszkanku zaczyna się ruch. Olga jęczy, że jeszcze by pospała, tak bardzo bolą ją ramiona od pakowania dzieł sztuki do skrzyń. Babcia głośno wyciera nos. Anja oznajmia, że jest głodna.

Wszystko jest takie zwyczajne.

Wierę coś dusi w gardle, przełyka więc ślinę, ale to nie pomaga. W kuchni widzi Lwa – wypisz, wymaluj ojciec, z anielskimi złotymi loczkami i wyraziście zielonymi oczami. Lew. Jej własny mały lewek. Śmieje się i zwierza się jednookiemu wyleniałemu królikowi, że może dziś pójdą do Ogrodu Letniego karmić łabędzie.

– Jest wojna – mówi pięcioletnia Anja, spoglądając na niego z zabawną wyższością. Głosik ma spokojny, lecz w oczach płonie moc. To charakterek – ta mała. Wiera zawsze chciała być taka.

– Właściwie to pójdziemy na spacer – mówi Wiera. Znów dosłownie robi jej się słabo, kiedy wymawia te słowa. Matka dotyka jej lekko, jakby w ten sposób chciała córce dodać sił. Wiera bierze dziecinne paltka. Wczoraj do późna zaszywała pod podszewką pieniądze i dokumenty.

Lew zrywa się na nogi, wesoło klaszcze w ręce i woła: „Spacer, spacer!”. Nawet Anja się uśmiecha. Zaledwie pięć dni temu ogłoszono wojnę, a dawne życie bez śladu odeszło w przeszłość.

Śniadanie mija jak stypa, wśród milczących spojrzeń i pochylonych głów. Tylko mama ma odwagę patrzeć na Wierę. Babcia wstaje od stołu pierwsza. Spogląda na wnuczkę, do oczu napływają łzy, odwraca się.

– Chodźmy, Zoju – mówi szorstko. – Inaczej się spóźnimy.

Matka musiała za mocno zagryźć wargę, bo krwawi. Podchodzi do wnuków, klęka przed nimi, obejmuje i przytula.

– Nie płacz, babciu – mówi Lew. – Jutro możesz pójść z nami.

Olga wybucha płaczem i natychmiast się opanowuje.

– Już idę, mamo.

Matka wolno puszcza dzieci i wstaje.

– Bądźcie grzeczne. – To ostatnie słowa, jakie mówi do wnuków. Daje Wierze sto rubli. – Tyle mam. Przykro mi…

Wiera kiwa głową i przytula mamę raz jeszcze. Potem prostuje się.

– Idziemy, dzieci.

Jest piękny, słoneczny dzień. Idą w sześcioro jak najdłużej się da. Mama i babcia odłączają się pierwsze; skręcają w stronę składów żywnościowych Badajewa, gdzie obie pracują. Następnie opuszcza ich Olga. Mocno przytula siostrzenicę i siostrzeńca, a potem, usiłując nie płakać, biegnie na przystanek trolejbusu.

Wiera zostaje sama z dziećmi, idą razem ruchliwą ulicą. Wokół wszędzie kopie się okopy, buduje schrony. Zachodzą do Ogrodu Letniego, ale łabędzie zniknęły ze stawu, a posągi obłożone są workami z piaskiem. Dziś nie ma tu bawiących się dzieci, nie dzwonią przeraźliwie rowerowe dzwonki.

Próbując się uśmiechać, co jej nie za bardzo wychodzi, Wiera bierze dzieci za rączki i prowadzi do dzielnicy, której jeszcze nie znają.

W budynku, do którego wchodzą, rozgrywają się dantejskie sceny. Przez główny hol we wszystkich kierunkach wiją się kolejki zmierzające do zawalonych papierami biurek. Za biurkami siedzą opryskliwi urzędnicy w szarych ubraniach. Mają posępne twarze.

Wiera wie, że powinna z dziećmi stanąć w kolejce i czekać, ale nagle zabrakło jej sił. Wzdychając z rozpaczą, prowadzi dzieci na bok. Nie ma tu spokojnego miejsca – wszędzie hałas, odgłos kroków, płacz, kichanie, błagania. Pachnie ludzkimi ciałami, cebulą i wędzonym mięsem.

Wiera klęka.

Anja marszczy buzię.

– Jak tu śmierdzi, mamusiu.

– Towarzysz Kicuś mówi, że tu jest brzydko – uskarża się Lew, tuląc króliczka.

– Pamiętacie, jak papik szedł do wojska? Powiedział nam wtedy, że wszyscy będziemy musieli być silni.

– Ja jestem silny. – Lew wyciąga pulchną, różową piąstkę.

– Tak – mówi Anja i już coś podejrzewa. Spogląda na palta w ręku matki i na walizkę zabraną z domu.

Wiera wkłada jej ciężkie czerwone wełniane paltko i zapina pod szyją.

– Za gorąco, mamo! – Dziewczynka się wyrywa.

– Pojedziecie teraz pociągiem – tłumaczy Wiera spokojnie. – Nie na długo. Tydzień albo dwa. Może będzie tam zimno, więc musicie być ciepło ubrani. A w walizce… zapakowałam wam więcej ubrań i trochę jedzenia. Na wszelki wypadek.

– A ty nie masz palta – zauważa Anja.

– Ja na razie muszę zostać i chodzić do pracy, ale będę tu na was czekać, a wy wrócicie bardzo prędziutko. Kiedy już wrócicie…

– Nie – przerywa jej Anja stanowczo. – Nie chcę jechać bez ciebie.

– I ja nie chcę – powtarza jak echo Lew.

– Nie mamy wyjścia. Rozumiecie? Nadchodzi wojna i nasz wielki towarzysz Stalin chce, żeby wszystkie dzieci były bezpieczne. Pojedziecie pociągiem na południe, a gdy Armia Czerwona odniesie zwycięstwo, wrócicie do domu, do papika i do mnie.

Lew płacze.

– Chcesz, żebyśmy pojechali? – pyta Anja, a jej niebieskie oczy pełne są łez.

Nie – myśli Wiera, ale kiwa potakująco głową.

– Chcę, żebyś się zaopiekowała bratem – mówi. – Jesteś już duża i mądra. Będziesz przy nim zawsze i nigdy nie zostawisz go samego. Dobrze? Będziesz silną córeczką mamusi?

– Tak, mamusiu – obiecuje Anja.

Przez następne pięć godzin stoją w kilku kolejkach. Dzieci są rejestrowane i dzielone na grupy, a potem wysyłane do następnej kolejki. Jest późne popołudnie, w ośrodku ewakuacyjnym czeka mnóstwo dzieci i ich matek. Panuje dziwna cisza. Maluchy siedzą jak trusie, tylko machają w powietrzu nogami; buzie lśnią od potu, tak ciepło są wszystkie okutane. Matki unikają

wzajemnie swego wzroku, jakby się bały ujrzeć własne cierpienie w oczach innych kobiet.

W końcu przyjeżdża pociąg. Przeraźliwy pisk kół, kłęby pary walą w powietrze. Z początku tłum się nie rusza – nikt nie chce iść pierwszy – ale kiedy ciszę przeszywa gwizd, wszyscy zaczynają biec w owczym pędzie, matki rozpychają się łokciami, usiłując zdobyć dla swoich dzieci jak najlepsze miejsca w pociągu mającym je stąd wywieźć w bezpieczne miejsce i uratować.

Wiera przepycha się naprzód, aż do pociągu, który jest jak żywe zwierzę: dyszy parą, stęka i sapie. Towarzysze nadzorujący przebieg ewakuacji odbierają matkom dzieci. Lew szlocha i trzyma się kurczowo Wiery. Anja płacze cichutko, co jest jeszcze gorsze.

– Dbajcie o siebie nawzajem i trzymajcie się razem. Nie dawajcie nikomu waszego jedzenia. W kieszeniach macie zaszyte pieniądze, mogą wam być potrzebne. A tu jest moje nazwisko i adres. – Przypina im szpilkami karteczki do kołnierzy.

– Dokąd jedziemy? – pyta Anja. Serce się kraje, kiedy się patrzy na małą dziewczynkę, która w tych okolicznościach próbuje się zachowywać jak dorosła. Pięciolatka powinna się bawić lalkami, a nie stać godzinami w kolejce, a potem jechać nie wiadomo dokąd, daleko od rodzinnego domu.

– Na wieś niedaleko rzeki, która się nazywa Ługa. Będziecie tam bezpieczni. A ja postaram się do was przyjechać. – Wiera dotyka kartki przypiętej do kołnierza córeczki, jakby kontakt z tym dowodem tożsamości dziecka mógł jej jakoś pomóc.

– Wsiadać! – krzyczy jeden z towarzyszy. – Szybko! Pociąg odjeżdża!

Wiera przytula córeczkę, a potem synka. Serce dosłownie pęka jej na kawałki.

Obcy ludzie zabierają od niej dzieci i przekazują innym obcym ludziom.

Wszyscy płaczą i machają. Anja trzyma Lwa za rękę; pokazuje mamie, jak mocno go trzyma, jaka jest silna i mądra.

Dzieci znikają Wierze z oczu.

Z początku stoi jak skamieniała. Tłum popycha ją i szturcha, ludzie mamroczą pełne wściekłości przekleństwa. Czy nikt nie widzi, że jest bezwładna, że nie może się ruszyć? W końcu zostaje pchnięta tak silnie, że pada na kolana. Nad jej głową dzieci podawane są z rąk do rąk przez dorosłych.

Wolno wstaje, pończochy ma podarte na kolanach. Zaczyna szaleńczo przeszukiwać okna pociągu, biegnie od wagonu do wagonu, aż w końcu uświadamia sobie, że jej dzieci są za małe i nie sięgną do okna, więc ich nie zobaczy.

Za małe.

Czy powiedziała im wszystko, co trzeba?

Pilnujcie palt, nawet jeśli wam będą mówić, że zaraz wracacie do domu. Zima może przyjść wcześnie.

Nigdy się nie rozdzielajcie.

Myjcie zęby.

Zjedzcie to, co dostaliście. Wszystko. Przy posiłkach starajcie się być jak najbliżej siebie w kolejce.

Pilnujcie się wzajemnie.

Kocham was.

W tym momencie Wiera potyka się i omal nie przewraca. Nie powiedziała im, że je kocha. Bała się, że jeszcze bardziej się rozpłaczą, i zatrzymała w sobie to, co najważniejsze; jedyne słowa, które naprawdę się liczą.

Jęczy. Ból wybucha z siłą erupcji wulkanu. Krzycząc, toruje sobie drogę przez tłum, rozpycha się łokciami, potrąca kobiety o pustym, zrozpaczonym spojrzeniu. Przedziera się do pociągu.

– Jestem zwykłą robotnicą, niezatrudnioną na żadnym kluczowym stanowisku – mówi do towarzyszki sprawdzającej dokumenty przy wejściu do pociągu. Widać, iż tamta jest tak zmęczona, że niewiele ją to obchodzi.

– Zaświadczenie?

– Zgubiłam w tym zamieszaniu. – Pokazuje kłębiący się tłum. Kłamstwo pali goryczą. Co gorsza, może się wydać, a nic – nawet wojna – nie jest tak groźne jak zwrócenie na siebie uwagi pewnych służb. Mimo to zadziera wysoko głowę i brnie dalej. – Nie widzę tu żadnych przedstawicieli klasy robotniczej, a powinni nadzorować ewakuację. Niedobrze. Będę musiała to zgłosić.

Podziałało. Zmęczona kobieta wyprostowuje się niemal na baczność.

– Macie rację, towarzyszko. Postaram się naprawić błąd.

– Słusznie. – Serce mocno wali w piersi, kiedy mija tamtą i wsiada do pociągu. Boi się, że za chwilę ktoś podbiegnie i zdemaskuje ją jako oszustkę, a potem ją zabiorą.

Ale nic takiego się nie dzieje. Wiera zwalania kroku i rozgląda się po morzu dziecięcych twarzyczek. Maluchy są upakowane jak śledzie w beczce, opatulone w palta i czapki, choć jest lato i słońce – bo nikt nie wierzy, że wrócą za dwa tygodnie, lecz nikt nie odważa się powiedzieć tego głośno. Buzie lśnią od potu i łez. Dzieci siedzą spokojnie i cicho. Bardzo cicho. Żadnych rozmów, śmiechu czy zabawy. Tkwią na swoich miejscach smutne i otępiałe. W pobliżu jest kilka kobiet. Towarzyszki zajmujące się ewakuacją, nauczycielki i pewnie kilka takich matek jak Wiera, które nie potrafią rozstać się z dziećmi, a jednocześnie boją się sprzeciwić nakazom władz.

Wiera nie chce nawet myśleć o tym, co zrobiła ani jak to się może skończyć dla całej rodziny, która tak bardzo potrzebuje pieniędzy zarabianych przez nią w bibliotece.

Pociąg budzi się do życia. Lokomotywa gwiżdże, skład pomału rusza. Wiera wędruje po pociągu, unikając smutnego wzroku małych pasażerów i przechodzi z jednego wagonu do drugiego.

– Mama!

Nad grzechotem kół i poświstem lokomotywy przebija się głos Anji. Wiera dociera do ławeczki, na której siedzą jej dzieci, skulone razem. Są za małe i nie sięgają do okna, żeby mogły przez nie patrzeć.

Siada obok, bierze je na kolana i obsypuje pocałunkami.

Krągła buźka Lwa, mokra od potu i łez, już jest czymś umorusana. Chłopczyk ma mokre oczy, ale dzielnie nie płacze. Wiera myśli, że pewnie to rozstanie z nią podziałało na niego jak zastrzyk dorosłości. Nie jest już taki malutki, jak był.

– Powiedziałaś, że musimy jechać.

Wiera ma tak ściśnięte gardło, że może jedynie kiwnąć głową.

– Trzymałam go za rękę, mamo – mówi Anja poważnie. – Cały czas.

Jak wszyscy posłuszni władzy radzieckiej obywatele, Wiera nie krytykuje posunięć rządu. Skoro towarzysz Stalin zarządził ewakuację dzieci, odstawiła swoje do pociągu. Ten akt buntu, jaki się dokonał przez to, że pojechała z nimi, to w sumie nic takiego, a im bardziej oddalają się na południe od Leningradu, tym mniej znaczący się wydaje. Sprawdzi tylko, czy na miejscu są bezpieczne, a jak wszystko będzie w porządku, wróci do pracy w bibliotece. Jeśli dopisze jej szczęście, potrwa to dzień, najwyżej dwa. Kierowniczce, towarzyszce Płotkinej,

powie, że jej patriotycznym obowiązkiem było towarzyszenie dzieciom ewakuowanym na rozkaz partii.

Słowa wiele znaczą w Związku Radzieckim. Zwłaszcza takie, jak: patriotyczny, wydajny, kluczowy. Wtedy każdy boi się sprzeciwić. Jeśli tylko Wiera zachowa pewność siebie i nie okaże strachu, na pewno jej się uda.

Żeby tylko mama się o nią nie martwiła. I Olga.

– Mamo, jestem głodny – kaprysi Lew. Zwinął się w kłębek na jej kolanach, w ramionach tuli swojego ukochanego króliczka. Ssie kciuk i głaszcze miękki różowy jedwab wewnątrz ucha przyjaciela.

Jadą już kilka godzin, ale nikt jeszcze nie powiedział nic o posiłku ani o zatrzymaniu się, ani kiedy przyjadą na miejsce.

– Niedługo, mój mały lewku – mówi Wiera, głaszcząc wywatowane ramiona synka. Dzieci w pociągu pomału wychodzą z otępienia, kręcą się, kilkoro marudzi, któreś zaczyna płakać. Wiera sięga właśnie do kieszeni po małą paczuszkę rodzynek, gdy rozlega się gwizd lokomotywy. Tym razem trwa długo, a nie krótko jak na przejeździe. Ciągnie się i ciąg-nie niczym krzyk kobiety. Dochodzi do tego pisk hamulców, pociąg trzęsie się i drży, a potem zwalnia.

Wokół słychać strzały i ryk silnika samolotu. Zaczynają się eksplozje.

Wiera wygląda na zewnątrz i widzi ogień. W pociągu wybucha panika. Wszyscy krzyczą i biegną do okien.

Przez wagon przepycha się towarzyszka w koszuli i wymiętych wełnianych spodniach.

– Wszyscy wysiadać! – krzyczy. – Prędko, prędko! I biegiem do stodoły widocznej z tyłu pociągu. Szybciej!

Wiera chwyta swoje dzieci i biegnie. Później, kiedy już jest na samym przodzie biegnących, przychodzi jej do głowy, że przecież jako dorosła powinna pomóc dzieciom, które są bez opieki. Ale już za późno. Samoloty krążą po niebie, bomby spadają, buchają płomienie.

Wszędzie jeden wielki dym i krzyk. Ledwo co widać. Samoloty sieją zniszczenie – wokół płoną budynki, dymią czarne dziury w ziemi, walą się domy.

Niemcy już są i posuwają się nieubłaganie naprzód ze swoimi czołgami, armatami i bombami.

W stronę Wiery biegnie mężczyzna w mundurze.

– Gdzie jesteśmy?! – krzyczy do niego.

– Około czterdziestu kilometrów na południe od Ługi! – odkrzykuje tamten i biegnie dalej.

Wiera mocniej ściska dzieci. Płaczą, po buziach płyną czarne strużki brudu. Tłum z pociągu biegnie do wielkiej stodoły, we wnętrzu robi się tłoczno.

Jest gorąco, pachnie strachem, ogniem i potem. W górze słychać samoloty, ziemia drży od wybuchów bomb.

– Wywieźli nas prosto na Niemców – stwierdza gorzko jakaś kobieta.

– Ciii – słychać od razu z różnych stron, ale takie słowa musiały paść. Ich prawdziwość wbija się w umysł Wiery niczym ostra drzazga, której już nigdy nie da się usunąć.

Wszyscy tutaj – głównie dzieci – są bezbronni, nie mogą liczyć na żadną pomoc.

Bogu dzięki, że z nimi pojechała. A gdyby byli sami?

Wie, że jeszcze nieraz ta straszna myśl do niej powróci. I może nawet wtedy się rozpłacze. Ale to później. Na razie trzeba działać.

– Musimy stąd uciekać. – Z początku mówi cicho, lecz kiedy kolejna bomba spada tak blisko, że trzęsą się krokwie i sypie się z góry kurz i pył, powtarza głośniej. – Trzeba uciekać. Jeśli bomba uderzy w stodołę…

– Obywatelko – odzywa się ktoś. – Skierowano nas tutaj. Partia…

– Chodzi o dzieci. – Wiera nie mówi wprost tego, co naprawdę myśli. Nie może. Ale wiele osób wie, o co chodzi. Widać to po oczach. – Ja moje stąd zabieram. Kto chce, niech idzie ze mną.

Ludzie szemrzą. Nic dziwnego. W jej kraju od dawna rządzi strach i nie wiadomo, czyja ręka wcześniej zada śmierć. Czy Niemców, czy swoich.

Trzymając mocno małe rączki, zaczyna wolno przepychać się do wyjścia. Tłum rozstępuje się, nawet dzieci. Odprowadzają ją spojrzenia pełne nieufności i lęku.

– Idę z wami – odzywa się jakaś kobiecina. Jest mocno starsza, o pomarszczonej twarzy, na siwych włosach ma brudną chustkę. Otacza ją czwórka dzieci w zimowych ubraniach. Ich blade buzie umorusane są popiołem.

Tylko oni idą.

Wiera, kobieta i ich szóstka drobiazgu pomału posuwają się w stronę wyjścia. Na dworze jest szaro od dymu.

– Trzeba iść z powrotem – mówi kobieta.

– Jak daleko jesteśmy od Leningradu? – pyta Wiera, wciąż nie mając pewności, czy robi słusznie. Jest teraz odsłonięta i całkiem bezbronna, a w górze cały czas latają samoloty. Po lewej stronie pada bomba, wybuch unosi budynek w powietrze.

– Około dziewięćdziesięciu kilometrów – odpowiada staruszka. – Nie ma co stać. Szkoda czasu.

Wiera bierze Lwa na ręce, ujmuje rączkę Anji. Wie, że nie uniesie synka długo, ale chociaż tak zacznie tę wędrówkę. Czuje się spokojniejsza, mając przy swoim sercu jego serduszko, bijące mocno i równo.

Po latach dopiero zapomni o męce i trudach tej drogi, o tym, jak dzieciom robiły się bąble, jak ich stopy krwawiły, jak skończyło się im jedzenie, jak spali w stodołach niczym uciekający przestępcy i przez całą noc słuchali nalotów i huku padających bomb, jak budzili się w panice, myśląc, że ktoś do nich strzelał, i jak gorączkowo sprawdzali, czy nie są ranni. Na zawsze natomiast zachowa w pamięci kierowców ciężarówek, którzy ich podwozili, ludzi, którzy dawali im chleb i pytali, co widzieli tam, na południu. Mówiła im wtedy to, z czego przedtem nie zdawała sobie sprawy: że wojna to ogień, strach i ciała leżące w przydrożnych rowach.

Kiedy wreszcie docierają do domu, wyczerpana, dosłownie pada w ramiona matki. Jest ledwo żywa ze zmęczenia, buty zdarte do szczętu, stopy płoną żywym ogniem i ból ten długo nie ustępuje, nawet gdy je moczy w ciepłej wodzie. Ale to nie ma w ogóle znaczenia. Teraz.

Ważne jest ukochane miasto, do którego zmierzają Niemcy. Hitler przysiągł, że zetrze Leningrad z mapy.

Wiera doskonale rozumie swój obywatelski obowiązek.

Nazajutrz wstanie wcześnie, włoży na siebie kilka warstw ciepłej odzieży, spakuje kiełbasę i tyle suszonych owoców, ile zdoła zabrać, i wraz z tysiącami młodych kobiet wyruszy na południe, aby bronić tego, co kocha. To zadanie każdego obywatela.

– Zatrzymamy ich na Łudze – mówi do matki, która przytakuje, ale widać, że cierpi. – Potrzeba wielu rąk do pracy.

Mama nie pyta dlaczego ani jak, ani dlaczego akurat ty. Odpowiedź jest oczywista. To dopiero początek prawdziwej wojny, a Leningrad już stał się

miastem kobiet. Młodzi mężczyźni są na froncie. Teraz przyszła kolej na dziewczęta. Teraz one wyruszają na wojnę.

– Zaopiekuję się dziećmi – obiecuje, a w jej głosie słychać stanowcze: „Wrócisz”, tak wyraźne, jakby zostało powiedziane na głos.

– Nie jadę tam na długo – zarzeka się Wiera. – A w bibliotece potraktują to jak akt patriotyzmu. Wszystko będzie dobrze.

Mama kiwa głową. Obie wiedzą, że obietnica szybkiego powrotu to fikcja, ale nic nie mówią. Obie chcą w nią wierzyć.

20

– Myślę, że na dziś wystarczy – powiedziała mama.

Meredith wstała.

– Teraz nie wyglądasz na bardzo zmęczoną.

– Przestałam walczyć – odparła mama, wpatrując się we własne dłonie.

Słysząc tę dziwną odpowiedź, Nina poderwała się z miejsca.

– To znaczy?

– Miałaś rację, Nino. Ojciec wymusił na mnie obietnicę, że opowiem wam tę historię. Broniłam się. A walka z samą sobą strasznie rozstraja.

– Czy dlatego… robiłaś takie dziwne rzeczy po śmierci taty? – spytała Meredith. – Bo nie spełniłaś jego życzenia?

– Możliwe, że to jeden z powodów – odparła matka, wzruszając ramionami, jakby to i tak nie miało znaczenia.

Siostry czekały jeszcze chwilę, ale już zerwała się ta cienka nić bliskości, jaka je połączyła tego wieczoru. Mama znowu unikała kontaktu wzrokowego.

– No, cóż – westchnęła Meredith. – Wstąpimy po ciebie przed śniadaniem.

– Nie chcę…

– Ale my chcemy – przerwała Nina tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jutrzejszy dzień też spędzimy razem. Możesz mnie nawet zwymyślać, lecz i tak postawię na swoim.

– Co do tego nie mam wątpliwości. – Meredith uśmiechnęła się. – To straszna małpa, kiedy nie dostaje, czego chce.

– Coś o tym wiem – zgodziła się mama.

– Żartujecie sobie ze mnie. – Nina powiedziała to z wyraźnym zadowoleniem.

Wszystkie trzy w tym momencie poczuły się dziwnie lekko i radośnie. Jakby świat nagle pojaśniał.

– Idźcie już – poprosiła mama. Nina zauważyła, że matka powstrzymuje uśmiech, i to drobne spostrzeżenie dodało jej skrzydeł.

– Chodź, starsza siostro. – Objęła Meredith ramieniem.

Poszły do siebie.

Kabina była długa i wąska, ale wbrew pozorom całkiem przestronna. Starczyło miejsca na część z niewielkim salonikiem – miękką ławeczkę można było nawet rozłożyć do spania. Resztę umeblowania stanowił niski stolik, telewizor i dwa wąskie łóżka. Rozsuwane drzwi prowadziły na werandę. Nina włączyła telewizor, ale ponieważ u wybrzeży Kolumbii Brytyjskiej nie było zasięgu żadnej stacji telewizyjnej – podobnie zresztą jak telefonii komórkowej czy Internetu – na ekranie ukazała się droga statku na mapie morskiej. Jeśli chciałyby obejrzeć film, musiałyby go wypożyczyć z biblioteki na statku.

– Zamawiam łazienkę! – zawołała Meredith, czym rozśmieszyła siostrę. Była to częsta kwestia z ich dzieciństwa.

„Tato, Meredith znów włazi na moją połowę. Powiedz jej, żeby się posunęła”.

„Tato, Nina specjalnie popsuła mojego robota”.

„Tylko żebym nie musiał się przez was zatrzymywać”.

Nina uśmiechnęła się na myśl o tym ostatnim zdaniu. Kiedy siostra wyszła z łazienki, sterylnie czysta w różowej flanelowej piżamie, z kolei ona poszła się umyć. Pierwszy raz od lat spały w jednym pokoju, tak blisko siebie.

– Z czego się śmiejesz? – spytała Meredith.

– Przypomniały mi się nasze rodzinne wyprawy.

– „Tylko żebym się przez was nie musiał zatrzymywać” – zacytowała Meredith i obie się zaśmiewały serdecznie przez chwilę. Nagle zniknęły te wszystkie lata i powróciło żywe wspomnienie tego, jak każda z nich broniła swojej połowy tylnego siedzenia w czerwonym cadillacu, podczas gdy John Denver śpiewał o tym, jak fajnie być wysoko w górach.

– Mama nigdy z nami nie śpiewała – przypomniała Meredith.

– Ciekawe dlaczego.

– Zawsze myślałam, że po prostu ma nas w nosie, ale teraz nie jestem pewna. Tata miał rację. Bajka wiele zmieniła.

Nina ułożyła się wygodnie na poduszce.

– A na tym zdjęciu to pewnie Anja i Lew – zasugerowała po chwili.

– Bardzo możliwe.

Nina spojrzała na siostrę. Coraz bardziej dręczyło ją pytanie, o którym myślała przez cały wieczór. Dłużej nie mogła go ignorować.

– Jeśli mama jest Wierą – powiedziała wolno – to co się w takim razie stało z jej dziećmi?

Nina zjeździła cały świat, ale chyba jeszcze nie widziała czegoś tak pięknego jak sceneria Inside Passage. Głęboka, tajemnicza, błękitna woda, a dokoła wyspy – skaliste, porośnięte lasem, równie dziewicze jak przed dwustu laty. I ośnieżone skaliste góry w dali.

Tego ranka wcześnie wstała, za co spotkała ją nagroda w postaci widoku świtu budzącego się na wodzie. Udało jej się też sfotografować orkę, która pojawiła się przed dziobem;

przepiękny był kontrast wielkiego czarno-białego cielska na tle ciemnozłotego porannego nieba.

Pstrykała zdjęcia prawie do wpół do ósmej. Ręce zgrabiały jej na kość, szczękała zębami, coraz trudniej było utrzymać nieruchomo obiektyw.

– Może szanowna pani ma ochotę na gorącą czekoladę?

Odwróciła się od barierki i oszałamiającego widoku. Ujrzała młodą stewardesę z tacą, na której stały kubki i termos. Wyglądało to tak kusząco, że darowała dziewczynie tę „szanowną panią".

– Z przyjemnością. Dziękuję.

Stewardesa uśmiechnęła się grzecznie.

– Tam na leżakach są koce.

– Czy tu w ogóle bywa ciepło? – spytała Nina, tuląc zmarznięte palce do rozkosznie gorącego kubka.

– Jeżeli, to w sierpniu. Alaska jest piękna, lecz tutejszy klimat bywa mało przyjazny.

Nina podziękowała jej, wzięła wełniany koc z leżaka i wróciła do barierki. Znów patrzyła na skrzący się błękit wód. Obok statku płynęły trzy delfiny; wyłaniały się z wody i nurkowały pod powierzchnię w idealnej synchronizacji.

– Dobra wróżba – odezwała się Meredith, która właśnie podeszła.

Nina uniosła ramię i wpuściła siostrę pod koc.

– Chodź, bo zimno jak cholera.

– Ale za to pięknie.

W dali pojawiła się samotna latarnia morska stojąca na zielonym cyplu skalistej wysepki.

– Strasznie się wierciłaś w nocy. – Meredith bezceremonialnie sięgnęła po kubek siostry.

– A co? Też nie spałaś?

– Ostatnio nie sypiam. To jedna z dodatkowych atrakcji rozpadu małżeństwa. Czuję się zmęczona, a mimo to mam problemy z zaśnięciem. Czemu więc się tak wierciłaś?

– Za trzy dni będziemy w Juneau.

– I?

– Znalazłam go.

Meredith odwróciła się do niej, niechcący wyszarpując przy tym z jej palców koc, który się osunął na pokład.

– Kogo?

– Profesora Adamowicza. Jest w domu opieki przy Franklin Street w Juneau. W redakcji pomogli mi go wytropić.

– Więc stąd ten cały rejs. Powinnam była się domyślić. Rozmawiałaś już z nim?

– Nie.

Meredith spojrzała na wodę.

– I co teraz? Tak po prostu się tam zjawimy?

– Jeszcze tego do końca nie przemyślałam. Wiem, wiem. Niespodzianka, co? Kiedy udało się go namierzyć, pomyślałam sobie, że koniecznie trzeba się z nim zobaczyć. On wiele nam może wyjaśnić.

– Korespondował z nią, nie z nami. Trochę się boję, jak ona to przyjmie. Jest… bardzo drażliwa. Tata miał rację.

– Właśnie dlatego nie spałam. Trochę strach powiedzieć, że grzebałyśmy w jej życiu. A przecież nie możemy tak ni stąd, ni zowąd zabrać jej do profesora. Głupio też będzie, jeśli pójdziemy same, a ją zostawimy na cały dzień, zwłaszcza po moich płomiennych przemowach, że powinnyśmy przebywać jak najwięcej razem. I jeśli pójdziemy same, profesor może nie chcieć z nami rozmawiać. To z nią nawiązał wtedy kontakt.

– Teraz rozumiem, dlaczego się wierciłaś. Jeśli jeszcze dodać do tego resztę...

– Jaką resztę?

– Twoją naturę, Ninko. Nie wypuścisz z rąk takiej okazji. Na głowie staniesz, żeby się z nim zobaczyć.

– To prawda. Więc co robimy?

– Idziemy do profesora.

Słysząc niespodziewanie głos matki, Nina podskoczyła i rozlała czekoladę.

– O, mama – wyjąkała Meredith.

– Słyszałaś naszą rozmowę? – spytała Nina, oblizując palce. Na pozór była spokojna i opanowana. Tego się nauczyła w swoim fachu – opanowania, nawet jeśli w środku wszystko trzęsie się jak galareta. Tylko głos miała odrobinę niepewny. Tak fajnie się wszystko ostatnio układa. Strasznie się bała, żeby czegoś nie zepsuć.

– Usłyszałam wystarczająco dużo – odparła matka. – Chodzi o tego profesora z Alaski, tak? Który do mnie kiedyś pisał?

Nina zdjęła koc i okryła nim chude ramiona matki.

– Odnalazłam go, mamo. To ja byłam wścibska, nie Meredith.

Mama otuliła się kocem i przytrzymała jego skraj na piersi. Białe palce wyraźnie odcinały się na tle czerwonej wełny. Usiadła na stojącym obok leżaku.

Siostry zajęły leżaki po obu jej stronach i też się przykryły. Za chwilę stewardesa podała im gorącą czekoladę.

– Przepraszam, mamo – odezwała się Nina. – Powinnam ci była od razu powiedzieć.

– Pewnie się bałaś, że się nie zgodzę na ten wyjazd.

– Tak – przyznała. – A ja bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o tobie. Nie tylko dlatego, że obiecałam tacie.

– Koniecznie chcesz znać prawdę.

– Jak mogłabym… jak mogłybyśmy nie chcieć poznać prawdy? – odparła Nina, dołączając do siebie Meredith. – Jesteśmy częścią ciebie, a nie znamy cię prawie wcale. Może dlatego nie znamy siebie. Meredith nie może się zdecydować,

czy kocha męża ani czego naprawdę w życiu chce. Ja mam faceta, który na mnie czeka w Atlancie, a mnie tylko Wiera w głowie.

Mama umościła się wygodnie.

– Może rzeczywiście nadszedł czas – powiedziała cicho. – Z profesorem Adamowiczem rozmawiał ojciec, ja nie chciałam, choć on uważał, że powinnam. Pewnie dlatego zachował ten list.

– O czym chciał z tobą rozmawiać profesor? – spytała cichym głosem Meredith, czekając w napięciu na odpowiedź

– Chodziło o Leningrad – odparła mama. – Przez wiele lat ukrywano, co tam się działo. Władze robią takie rzeczy po mistrzowsku. Dawniej bałam się o tym mówić. Teraz nie mam czego się bać. Jutro skończę osiemdziesiąt jeden lat.

– Jutro są twoje urodziny? – zapytały zgodnym chórem.

Mama uśmiechnęła się leciutko.

– Wydawało się, że będzie łatwiej, jeśli ukryją wszystko. Owszem, jutro są moje urodziny. – Napiła się czekolady. – Pójdę z wami do tego profesora, ale wiedzcie jedno: będziecie żałować, że zaczęłyście te dociekania.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała Meredith. – Czemu miałybyśmy żałować tego, że dowiemy się, kim jesteś?

Mama długo nie odpowiadała. W końcu wolno odwróciła się do Meredith.

– Będziecie.

Miasto Ketchikan wyrosło na łososiach. Połowy, solenie, konserwowanie, przetwórstwo. Deszczomierz – zwany tu eufemistycznie licznikiem płynnego światła słonecznego – potwierdzał wysoką wilgotność klimatu.

– Spójrzcie. – Meredith patrzyła w kierunku porośniętego trawą placu po drugiej stronie ulicy, gdzie mężczyzna o długich czarnych włosach rzeźbił słup totemowy. Wokół zebrał się tłum gapiów.

Nina odważyła się wziąć matkę pod rękę.

– Chodźmy popatrzeć.

Ku jej zdziwieniu, mama się zgodziła. Podeszły razem.

Zaczął padać deszcz. Większość ludzi rozeszła się, szukając schronienia, ale mama stała wytrwale, przyglądając się pracy nieznajomego. Posługując się metalowym narzędziem, wprawnie nacinał drewno i wygładzał jego powierzchnię. Pomału z bezkształtnego klocka wyłaniała się łapa.

– Niedźwiedź – domyśliła się mama.

– Ma pani oko. – Rzeźbiarz podniósł głowę znad roboty.

Teraz Nina zobaczyła, że jest to człowiek już starszy. Ciemna, wysuszona twarz pocięta była zmarszczkami, włosy na skroniach siwiały.

– To dla mojego syna. – Pokazał podstawę słupa, na której widniało wyobrażenie ptaka z wielkim dziobem. – Nasz klan. Kruk. Ptak Grom sprowadził burzę, która rozmyła drogę. A niedźwiedź to mój syn…

– Czyli rodzinna historia – zauważyła Meredith.

– Totem pogrzebowy. Aby ocalić pamięć o nim.

– Piękny – powiedziała mama dokładnie takim samym głosem, jakim opowiadała bajkę. Niesamowicie to zabrzmiało tutaj, na otwartym terenie i w strugach deszczu. Ninę nagle olśniło. Zrozumiała, dlaczego mama opowiada tylko po ciemku i czemu jej głos tak się zmienia. Wchodziła w przeżycie utraty bliskiej osoby. Tylko wtedy przestawała wznosić wokół siebie mur.

Dość długo stały, obserwując, jak z drewna wyłaniają się niedźwiedzie pazury. Potem poszły przejść się po Creek Street.

Dawna nadrzeczna dzielnica czerwonych latarni stała się teraz eleganckim deptakiem ze sklepami i restauracjami. Znalazły przyjemną knajpkę z ładnym widokiem i zajęły stolik przy oknie.

Na ulicy mimo deszczu turyści biegali od sklepu do sklepu, niczym antylopy gnu w okresie największych wędrówek. Dzwonki w drzwiach dźwięczały nieustannie.

– Witamy u Kapitana Hooka. – Ładna młoda kelnerka ubrana była w jasnożółty kombinezon i czerwoną bluzkę w kratkę. Spod żółtego rybackiego kapelusza wymykały się brązowe loki. Na identyfikatorze widniało imię Brandi. Podała im duże laminowane karty dań w kształcie haczyka na ryby.

Szybko wróciła, żeby przyjąć zamówienie, które brzmiało: trzy razy ryba z frytkami i trzy razy mrożona herbata. Kiedy poszła, Meredith powiedziała:

– Ciekawe, jak by wyglądał totem naszej rodziny.

Zapadła cisza. Popatrzyły na siebie.

– Tata byłby na dole – zaczęła Nina. – On dał nam początek.

– Niedźwiedź – orzekła Meredith. – A ty byłabyś orłem.

Orzeł. Samotnik. Gotów w każdej chwili odlecieć. Nina spoważniała. Nie mogła się z tym nie zgodzić. Na całym świecie zostawiła po sobie ślady, tylko w domu była rzadkim gościem. A szanse ma tylko na ten rodzinny totem, na żaden inny. I choć tego właśnie zawsze chciała – być całkiem wolna i niezależna – w tym momencie ta jej samotność przeraziła ją.

– Meredith będzie lwicą, która dba o wszystkich i trzyma rodzinę razem.

– Czym ty byłabyś, mamo? – spytała Meredith.

Mama wzruszyła ramionami.

– Mnie by tam raczej nie było.

– Uważasz, że nie zostawiłaś po sobie niczego? – spytała Nina.

– Jeśli już, to lepiej o tym zapomnieć.

– Tata kochał cię przez ponad pięćdziesiąt lat – powiedziała Meredith. – To już coś.

Mama napiła się mrożonej herbaty i zapatrzyła się w deszcz za oknem.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Nina wstała i szeptem ją o coś poprosiła, po czym jak gdyby nigdy nic wróciła na miejsce. Jedząc pysznego halibuta z frytkami, rozmawiały o Ketchikan. O biżuterii ze złotych samorodków w oknach wystawowych, o sztuce plemion indiańskich, o noszonych tu przez wszystkich swetrach zrobionych na drutach przez kobiety z plemienia Cowichan, i o bieliku, którego widziały siedzącego na słupie totemowym. Niby zwykła pogawędka przy stole, ale Ninie wydawała się czymś absolutnie niezwykłym. Matka się wyciszyła i złagodniała, mówiła o różnych rzeczach, wykazywała zainteresowanie. Stawała się coraz przystępniejsza, a pod koniec lunchu nawet kilka razy się uśmiechnęła.

Kelnerka zabrała talerze, a potem, zamiast położyć na stole rachunek, postawiła przed mamą urodzinowy tort. Odblask palącej się świeczki zatańczył na kolorowym lukrze.

– Wszystkiego najlepszego, mamo! – wykrzyknęły córki.

Mama patrzyła na świeczkę.

– Zawsze chciałyśmy ci urządzić przyjęcie urodzinowe – wyznała Meredith. Odważyła się dotknąć dłoni matki.

– Popełniłam tyle błędów – przyznała mama cicho.

– Każdy je popełnia – pocieszyła ją Meredith.

– Nie, ja… nie myślałam, że tak wyjdzie… Chciałam wam powiedzieć, ale miałam trudności, żeby chociaż… na was spojrzeć. Tak mi było wstyd.

– Ale teraz na nas patrzysz – wtrąciła Nina, choć to nie było prawdą, bo mama patrzyła na świeczkę. – I tak naprawdę

chcesz nam opowiedzieć swoją historię. Zawsze chciałaś. Dlatego zaczęłaś tę bajkę.

Mama zamyśliła się.

– Ty jesteś Wierą – powiedziała Nina cicho.

– Nie – zaprzeczyła mama. – To był ktoś zupełnie inny.

– Ale tym kimś wtedy byłaś ty. – Nina, trochę zła na siebie za tę natarczywość, nie mogła się powstrzymać.

– Jesteś zupełnie jak pies, który zwęszył trop – westchnęła mama. – Tak. Dawno temu byłam Wierą Pietrowną Marczenko.

– Dlaczego…

– Dość! – przerwała mama niespodziewanie ostro. – To moje pierwsze urodzinowe przyjęcie z córkami. Później przyjdzie czas na resztę.

21

Przy kolacji rozmawiały o zwykłych sprawach. Napiły się wina, wznosząc przy tym kolejny urodzinowy toast. Po smacznym posiłku poszły przejść się po statku, wielkim, lśniącym, kolorowym i bogatym jak Las Vegas. Wstąpiły do teatru, gdzie magik w pomarańczowym, naszywanym cekinami kostiumie pokazywał sztuki. Najpierw sprawił, że jego skąpo odziana asystentka znikła. Gdy znów się pojawiła, wręczył jej papierowe róże, które zmieniły się w białe gołębie i odleciały. Następnie pociął ją na kawałki, a potem połączył w całość.

Po każdym numerze mama klaskała z entuzjazmem, uśmiechnięta i szczęśliwa jak dziecko.

Meredith wprost nie mogła oderwać od niej oczu, tak promieniała. Pomyślała, że uroda matki zawsze miała w sobie chłód lodu, a dziś mama jest zupełnie inna: ciepła i promienna.

Po przedstawieniu postanowiły wracać. Szły w milczeniu wśród hałasu i gwaru rozmów. Coś się w nich dziś zmieniło, może za sprawą urodzin. Trudno było sprecyzować, co konkretnie, albo przewidzieć, jakie to przyniesie dla nich skutki. Jednego Meredith była pewna: koniec z dystansem wobec matki. Przeszło dwadzieścia pięć lat udawała, że jej nie dostrzega, i nie chciała od niej niczego, bo tylko trzymając się z dala, mogła bronić się przed bólem. Przynajmniej tak uważała. A teraz… Było to tak nowe i intensywne przeżycie, że nawet z ulgą pomyślała, iż tego wieczoru jest już za późno na ciąg dalszy opowieści.

Odprowadziły mamę pod drzwi kabiny.

– To był cudowny dzień. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego. – Nina trochę niezdarnie przytuliła jubilatkę, ale zrobiła to tak szybko i na tak krótko, że matka nawet nie zdążyła zareagować.

Meredith chciała też tak postąpić, lecz w ostatniej chwili przestraszyła się demonstracji uczuć.

– Musisz być zmęczona. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Kładź się szybko, jutro czeka nas wczesne wstawanie. Mamy płynąć przez Zatokę Lodowców. Podobno jest niesamowita.

– Dziękuję wam za urodziny – powiedziała mama tak cicho, że ledwo ją usłyszały. Zniknęła w swojej kabinie.

Siostry poszły do siebie.

– Zamawiam łazienkę! – wykrzyknęła Nina z łobuzerskim uśmiechem.

Meredith, pogrążona w myślach, nie zwróciła na to uwagi. Wzięła koc i wyszła na małą werandę. Nawet po ciemku widziała zarys linii wybrzeża. Gdzieniegdzie świeciło się samotne światło, znak życia.

Oparta plecami o drzwi, patrzyła przed siebie w ciemność – na swój sposób piękną i tajemniczą. Podobnie jak ich mama. Wszystko bowiem zależało od momentu i perspektywy patrzącego. Bo przecież mama miała w sobie wcześniej to wszystko, co teraz odkryły, tylko one widziały ją ze złej strony albo w nieodpowiednim oświetleniu.

– Pewnie to ty, Meredith.

Z sąsiedniej werandy dobiegł głos matki. Takich malutkich werand znajdowało się tam zapewne kilkaset, ale w ciemnościach stały się niewidoczne, nawet te najbliżej położone.

– Cześć, mamo.

W mroku majaczył jedynie zarys postaci i biel włosów.

Były do siebie podobne. Kiedy miały problemy, wolały być same i na zewnątrz.

– Pewnie myślisz o swoim małżeństwie.

Meredith westchnęła.

– Wątpię, byś mogła mi coś doradzić.

– Miłość jest czymś strasznym – odparła mama spokojnie. – Lecz o wiele gorsze jest zaprzeczanie miłości. Chcesz się męczyć i do końca życia zastanawiać, czy nie odeszłaś zbyt szybko, zbyt łatwo? Martwić się, czy jeszcze kogoś w życiu pokochasz?

Jej głos stał się miękki i łagodny. Jakby ból noszony w sercu topniał.

– Mamo, ty chyba dobrze wiesz, czym jest utrata.

– Wszystkie to wiemy.

– Kiedy się zakochałam w Jeffie, czułam się tak, jakby mi pierwszy raz w życiu naprawdę zaświeciło słońce. Nie mogłam znieść najkrótszej choćby rozłąki. A potem… mogłam. Może dlatego, że tak młodo się pobraliśmy.

– Wiek nie ma znaczenia dla prawdziwej miłości. Kobieta może być jeszcze dziewczynką, a już znać własne serce.

– Już nie jestem szczęśliwa. Nawet nie wiem, kiedy to się stało i dlaczego.

– Pamiętam, że dawniej więcej się uśmiechałaś. Zwłaszcza wtedy, gdy otworzyłaś sklep z pamiątkami. Może nie powinnaś przejmować firmy.

Zaskoczona tymi słowami, Meredith długo milczała, kiwając w zamyśleniu głową. Nie przypuszczała, że matka w ogóle cokolwiek zauważała, jeśli chodzi o córki.

– Zrobiłam to dla ojca. Bardzo tego chciał.

– To prawda.

– Popełniłam błąd, że wszystko zawsze robiłam dla innych. Dla taty, dla sadu, dla dzieci. Głównie zresztą dla nich, a teraz tak są zajęte własnymi sprawami, że same z siebie prawie nigdy

nie dzwonią. To ja muszę je ścigać, pamiętać o ich rozkładzie zajęć. Wypytywać, co robią.

– Jillian i Maddy wyleciały z gniazda, bo dałaś im skrzydła i nauczyłaś latać.

– Szkoda, że ja nie mam skrzydeł – powiedziała cicho Meredith.

– To moja wina. – Mama podniosła się z miejsca. Podłoga lekko skrzypnęła.

– Dlaczego tak się stało? – Meredith podeszła do oddzielającej je barierki. Matka też szła w jej stronę i nagle znalazły się niemal twarzą w twarz, tak że mogły spojrzeć sobie w oczy.

– Opowiadam wam moją historię, żeby to wytłumaczyć.

– Kiedy skończysz, czy będę wiedziała, co złego zrobiłam?

W mroku blada twarz matki wyglądała jak papierowa maska.

– Kiedy skończę, zrozumiesz, że nie ty jedna popełniłaś błędy. Czekam na was. Dzisiaj opowiem o linii obrony na rzece Ludze.

– Jesteś pewna? Późno już.

– Jestem pewna. – Matka otworzyła rozsuwane drzwi i weszła do środka.

Meredith również wróciła do jasno oświetlonej kabiny. Nina siedziała na łóżku i wycierała włosy ręcznikiem.

– Pewnie po ciemku nic nie widać?

– Mama chce opowiadać.

– Dzisiaj? – Nina zerwała się z łóżka, gotowa biec natychmiast. Wilgotny ręcznik zsunął się na podłogę.

Meredith odniosła go do łazienki i starannie rozwiesiła.

– Idziemy? – Niecierpliwiła się siostra przy drzwiach.

Meredith odwróciła się.

– Ty masz skrzydła.

– Co?

– Pewnie tylko ja jestem jak struś albo ptak dodo. Tak uparcie chodzę po ziemi, że straciłam zdolność latania.

Nina roześmiała się i przytuliła ją. Wyszły.

– Nie jesteś żadnym głupim strusiem, które to ptaki, tak nawiasem mówiąc, to straszne wredoty i zawsze żyją same.

– Czym więc jestem? – spytała Meredith, kiedy siostra pukała do mamy.

– Raczej łabędziem. One łączą się w pary na całe życie, wiesz? Jeden nie odleci bez drugiego.

– I kto to mówi? Przecież nie jesteś romantyczką.

– Nie… – Nina spojrzała na nią. – Ale ty jesteś.

Kolejne zaskoczenie. Nigdy by tak siebie nie określiła. To dobre dla takich mężczyzn jak ojciec, który kochał bezwarunkowo i potrafił okazywać miłość. Albo jak Jeff, który nigdy nie zapomniał pocałować jej na dobranoc, choćby było nie wiadomo jak późno albo miał za sobą nie wiadomo jak trudny dzień.

A może dobre też dla kobiet, które bardzo wcześnie odnalazły swoją drugą połowę, a że były wtedy bardzo młode, nie doceniły, jak rzadki to przypadek.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich mama, z rozpuszczonymi włosami, ubrana w szafirowy szlafrok z wyposażenia łazienki. Dziwnie wyglądała w tak ostrym kolorze. Meredith przyglądała się jej z niedowierzaniem.

Nagle ją olśniło.

– Przecież Wiera widzi kolory – powiedziała.

Nina aż się zachłysnęła.

– To prawda. Czyżbyś ty też widziała kolory?

– Nie.

– To jak…

– Żadnych pytań – zastrzegła mama stanowczo. – Ustaliłyśmy zasady. – Ułożyła się na łóżku w pozycji półsiedzącej, wsparta na poduszkach.

Siostry usiadły na wyścielanej ławeczce. W ciszy słychać było tylko ich oddechy oraz dalekie uderzenia fal o kadłub statku. Mama zaczęła łagodnie, a jej głos natychmiast stał się słodki i czarowny. Nie wyglądała wcale na wątłą starszą panią. I leciutko się uśmiechała. Oczy miała przymknięte.

– Wierze bardzo trudno jest opuścić dzieci. Zwłaszcza że dopiero wrócili z morderczej wędrówki do domu. Ale teraz Leningrad stał się miastem kobiet, i to one muszą go bronić przed Niemcami. I tak w jasny, słoneczny dzień już drugi raz w tym tygodniu Wiera całuje dzieci na pożegnanie. Mają cztery i pięć lat, nie powinny zostawać bez matki, ale, tak jak przewidziała ich babcia, wojna wszystko zmienia. Dlatego Wiera decyduje się na coś, co jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się nie do pojęcia. Teraz klęczy przed dziećmi, wszyscy na nią patrzą.

– Mama i ciocia Olga muszą jechać i pomóc, żeby w Leningradzie było bezpiecznie. Będziecie grzeczne, dobrze? Pomożecie babci?

W oczach Lwa natychmiast pojawiają się łzy.

– Nie chcę, żebyś jechała.

Wiera nie może znieść smutku synka i odwraca się do córeczki, która już raz miała być ta duża i silna.

– A jak nie wrócisz? – pyta cicho dziewczynka, wyraźnie starając się nie rozpłakać.

Wiera wyjmuje z kieszeni skarb, który pierwotnie zamierzała zabrać ze sobą. Wolno otwiera dłoń. Leży na niej piękny kolorowy motyl.

– Proszę – mówi do Anji. – Przechowaj go dla mamusi. To moja najcenniejsza rzecz. Ile razy na niego spojrzysz i pomyślisz o mnie, będziesz wiedziała, że do was wrócę i że gdziekolwiek jestem, cały czas o was myślę. I że was kocham. Nie baw się nim, nie połam. To bardzo ważne, Anju. Dowód, że wrócę. Dobrze, słonko?

Anja z powagą bierze motyla i trzyma go ostrożnie w rączce.

Wiera po raz ostatni całuje oboje i wstaje.

Napotyka wzrok matki. W ich spojrzeniach jest wszystko – pożegnanie, obietnica, że będą uważać na siebie, oraz lęk, że już się nie zobaczą. Wiera powinna przytulić matkę, lecz jeśli to zrobi, rozpłacze się, a nie chce płakać przy dzieciach. Z wieszaka przy drzwiach bierze ciężkie zimowe palto i zarzuca

sobie na ramię. Wkrótce potem obie z Olgą jadą w ścisku na pace ciężarówki razem z innymi młodymi kobietami. Wiele z nich ubranych jest w kwieciste letnie sukienki, a na nogach mają sandały. W innych czasach można by pomyśleć, że jadą na letni obóz, może w góry Ural albo nad Morze Czarne, ale teraz coś takiego nikomu nie przyszłoby nawet do głowy. Żadna z dziewcząt się nie uśmiecha.

Kiedy dojeżdżają do linii rzeki Ługi, jak okiem sięgnąć uwijają się ludzie. Przeważają kobiety i całkiem młode dziewczęta. Kopią rowy i budują umocnienia, które zatrzymają wroga i nie pozwolą mu zająć Leningradu. Nisko pochylone, walą w ziemię oskardami i łopatami. Są potwornie zmęczone. Twarze spocone, sukienki brudne i podarte. Ale to Rosjanki – kobiety radzieckie – i żadna nie ośmieli się przerwać pracy czy na coś poskarżyć. Coś takiego jest nie do pomyślenia. Wiera stoi w pełnym słońcu na odkrytym terenie – las zaczyna się dopiero kilka kilometrów dalej. Przydzielony do ich grupy towarzysz objaśnia jej, co ma robić.

Olga podchodzi bliżej i bierze siostrę za rękę. Traktowane jak żołnierze, wyglądają jak dzieci, z czego nawet nie zdają sobie sprawy. To ostatnie chwile względnego spokoju. Potem będzie tylko praca, praca i praca. Dostają oskardy i idą do wykopu. Tam dołączają do długiej linii dziewcząt, kobiet i starszych mężczyzn atakujących łopatami twardą ziemię. Dłonie krwawią i pokrywają się bąblami, niektórzy kaszlą krwią, inni płaczą, łzy płyną czarnymi od brudu strużkami. I tak dzień po dniu. Kopią.

W nocy Wiera i Olga śpią w stodole razem z innymi dziewczętami, podobnie jak one zmęczonymi i brudnymi, otępiałymi od pracy. Śmierdzi tu kurzem, błotem, potem i dymem.

Siódmej nocy Wiera rozpala w kącie stodoły małe ognisko z gałązek. Opału jest mało, więc bardzo się stara zdążyć zagotować wodę do picia dla siostry. Cienki kapuśniak, który dostały na obiad, jest już tylko wspomnieniem. W żołądku rozpanoszył się coraz większy z każdą chwilą głód.

Obok na beli siana leży starsza tęga kobieta. Ogląda swoje brudne paznokcie z takim wyrazem twarzy, jakby pierwszy raz widziała własne ręce. Jest to zupełnie obca osoba, ale ma w oczach coś, co podnosi na duchu.

– Popatrz. – Olga stawia na ziemi kubek z gorącą wodą i pokazuje ręce. – Krwawią.

Mówi to ze zdziwieniem, jakby krew nie wiadomo skąd się wzięła.

Wiera ogląda zakrwawione palce i pozdzierane bąble.

– Musisz owijać ręce, mówiłam ci.

– Obserwowali mnie dzisiaj – odpowiada Olga cicho. – Towarzysz Słotkow i towarzysz Pritkin. Oni na pewno wiedzą o papie. Nie mogłam przerwać pracy, by poprawiać szmaty na rękach.

Wiera bardzo się o nią martwi. Coś podobnego siostra mówiła już parę dni wcześniej, lecz dopiero teraz Wiera zdaje sobie sprawę, że z nią jest naprawdę źle. Olga unika też kontaktu wzrokowego. Już widziały tutaj umierające dziewczęta. Nie dalej jak wczoraj bomba spadła tak blisko, że Olga ogłuchła na kilka godzin.

Rozlega się alarm. Z początku odgłos lecących samolotów przypomina odległe brzęczenie, kojarzy się z pszczołą przelatującą podczas letniego pikniku. Potem ten dźwięk narasta, a z nim rośnie też strach. Kobiety biegają, padają płasko na ziemię. Tak naprawdę nie ma dokąd uciec.

Lecą bomby. Przez szpary widać czerwone i żółte błyski. Gdzieś ktoś krzyczy. Powietrze robi się szare i pełne pyłu. Oczy pieką.

Olga drży, ale nie rusza się z miejsca. Patrzy na swoje poranione dłonie i nagle zaczyna metodycznie zdzierać martwą, pokrytą bąblami skórę. Z ran płynie krew.

– Nie rób tak – mówi Wiera, chwytając ją za ręce.

– Miód.

Ktoś to powiedział głośno. Wiera z początku nie zwraca uwagi. Jedyne, co do niej dociera, to huk bomb. Gdzieś blisko rozlega się krzyk.

Za chwilę słyszy znowu:

– Miód.

To ta starsza kobieta. Pomarszczone usta palaczki, sine worki pod oczami. Z kieszeni fartucha wyjmuje małą fiolkę.

– Posmaruj miodem.

Wiera nie może się nadziwić hojności tego gestu. Nad Ługą miód jest cenniejszy niż złoto. Jedzenie i lekarstwo w jednym.

– Dlaczego nam pani pomaga? – pyta Wiera, rozsmarowując małą kropelkę miodu na dłoniach Olgi.

Kobieta spogląda smutno.

– Cóż innego nam zostało? – Wycofuje się na swoje miejsce między belami siana.

– Jak ma pani na imię? – pyta Wiera.

– Nieważne – odpowiada kobieta. – Uważaj na siostrę. Widziałam już takie oczy. Z nią nie jest dobrze.

Wiera domyśla się, o co jej chodzi. Stara się być dzielna, lecz te słowa ją zmroziły. Przedtem tłumaczyła sobie, że stan Olgi bierze się z braku snu i z niedożywienia, ale teraz widzi w nieprzytomnych oczach siostry to samo, co dostrzegła starsza kobieta: szaleństwo. Olga nie wytrzymuje krzyków, ciężkiej pracy i tego, że na ich oczach bomby rozrywają ludzi na strzępy. Najgorsza jest ta nagła i niespodziewana śmierć. Olga coraz bardziej zapada się w siebie. Mamrocze pod nosem, prawie nie sypia. Wyrywa włosy garściami.

– Chodź, Olguszko. – Wiera obejmuje ją i razem układają się na sianie, które nie jest ani miękkie, ani wonne.

– Widzę papę – mówi Olga rozmarzonym głosem. Jakby zapomniała, kim są, gdzie są i o kim nie powinny mówić.

– Ciii.

– Opowiedz mi bajkę, Wiero. O księżniczkach i o chłopcach, którzy przynoszą róże.

Mimo ogromnego zmęczenia Wiera gładzi brudne, splątane włosy siostry i stara się ją pocieszyć i uspokoić za pomocą jedynej rzeczy, jaka jej została – głosu.

– Królestwo Śniegu to czarodziejskie, otoczone obronnym murem miasto, gdzie noc nigdy nie zapada, a białe gołębie gnieżdżą się na słupach telefonicznych.

Olga zamyka oczy, a Wiera długo snuje swoją opowieść, tworząc cały nowy świat pozwalający oderwać się od ponurej rzeczywistości. W końcu jej własne powieki stają się ciężkie, całuje wtedy zakrwawione dłonie siostry, czując przy tym metaliczny posmak krwi zmieszany ze słodyczą miodu.

– A teraz śpij.

– Zobaczymy jutro mamę? – pyta jeszcze Olga sennie.

– Nie, jutro nie – odpowiada Wiera, mocniej ją obejmując. – Ale już niedługo.

Dzień jest słoneczny i jasny. Gdyby nie to, że Niemcy bombardują wszystko dokoła, a ich czołgi nieustannie prą naprzód, śpiewałyby tu ptaki, a sosny byłyby zielone, nie czarne. A tak zniszczone zostało całe piękno tego miejsca. Okop, wielka wyrwa w ziemi, jest jak śmiertelna głęboka rana. Kobiety pełzają na jego dnie, żołnierze biegają stąd na linię frontu i z powrotem. Jeśli linia frontu zostanie przerwana, jeśli Niemcy się przedrą, Leningrad padnie. Wszyscy to wiedzą, więc kopią, mimo krwawiących rąk i padających bomb.

Wiera stara się nie myśleć o niczym, skupia się na łyżce trzymanej w ręku. W zeszłym tygodniu złamał się oskard. Początkowo miała szczęście, bo znalazła łopatę, ale nie schowała jej dobrze i pewnego ranka okazało się, że łopata zniknęła. Więc teraz kopie dużą łyżką półmiskową.

Tak mija cały dzień. Wbija się w ziemię, nabiera jej na łyżkę, wyciąga. Bolą ramiona, kark drętwieje, pokryte bąblami dłonie palą żywym ogniem. Nie pomaga słona woda (po miodzie i jego właścicielce pozostało jedynie wspomnienie). A teraz ma jeszcze krwawienie miesięczne, jakby nawet własne ciało zwróciło się przeciwko niej. Najbardziej jednak martwi ją stan Olgi. Siostra kopie bez słowa skargi, ale nie może spać, nie może jeść, a gdy zaczynają padać bomby, staje nieruchomo i osłaniając oczy przed słońcem, gapi się na samoloty.

W ciągu ostatnich tygodni Wiera nauczyła się, że do wszystkiego można się przyzwyczaić – do spania w brudzie, do rozpaczliwego szukania osłony przed bombami, do kopania dołów, do widoku umierających, do potykania się o trupy, do swądu palącego się ludzkiego ciała. Lecz nie może się pogodzić z tą nową Olgą, która porusza się jak ślepiec, a kiedy dokoła eksplodują bomby, śmieje się głupkowato.

Wyje alarm przeciwlotniczy. Wszyscy biegną, krzyczą, popychają się.

Olga w brudnej, podartej sukience stoi nad okopem. Długie jasne włosy, brudne i splątane, przewiązane ma chustką, która kiedyś była niebieska. Na niebie pojawiają się niemieckie samoloty, słychać ich brzęczenie.

Wiera ucieka po hałdach wykopanej ziemi i kawałków gruzu. Odwraca się i krzyczy do siostry:

– Chodź tutaj!...

– Posłuchaj, to maszyna do szycia mamy...

Olga stoi bez ruchu i osłania oczy.

– Biegnij! – woła Wiera i w tym momencie spada bomba.

Olga jest, a po chwili jej nie ma. Podmuch wybuchu odrzuca ją na bok jak szmacianą lalkę. Spada po drugiej stronie okopu, z góry lecą okruchy gruzu i ziemi…

Wiera krzyczy, płacze. Wydostaje się z okopu i na czworakach pełznie do siostry leżącej obok kupy gruzu. Na piersi Olgi widzi cegłę – skąd się tam wzięła?

Krew płynie z kącików ust, sączy się po ubłoconym policzku. Oddech jest chrapliwy. Olga kaszle.

– Wiero… – Nagle drży. – Ja zapomniałam zejść…

– Powinnaś mnie słuchać – mówi Wiera. Tuli ją do piersi, tak bardzo pragnie zatrzymać ją przy życiu swoją miłością. – Jestem twoją starszą siostrą.

– Zawsze… wszystkim rządzisz…

Wiera całuje ją w policzek i ociera krew, ale ręce ma tak brudne, że tylko gorzej ją rozsmarowuje.

– Kocham cię, Olgo. Nie odchodź. Proszę…

Olga uśmiecha się i kaszle. Z nosa bucha krew i miesza się z brudem.

– Pamiętasz, jak poszłyśmy…

Już jej nie ma.

Wiera długo klęczy w kurzu i pyle. Aż przychodzą żołnierze i zabierają Olgę.

Potem idzie znowu kopać. Nie dlatego, że jest nieczuła albo że nie cierpi.

Co ma robić innego?

22

W sierpniu Wiera zostaje zwolniona z prac frontowych. Jest jedną z tysięcy wycieńczonych kobiet wracających w milczących grupkach do domu. Pociągi jeszcze kursują, lecz są strasznie przepełnione i trzeba mieć dużo szczęścia, żeby zdobyć w nich miejsce, choćby tylko stojące. Znowu ewakuują dzieci z Leningradu – tym razem z matkami – ale Wiera już nie wierzy władzom i nie zamierza wykonywać ich poleceń. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu słyszała, że podobno cały pociąg dzieci został zbombardowany niedaleko rzeki Mgi. Może to prawda, a może nie. Nieważne. Wystarcza jej, że jest to bardzo prawdopodobne.

Po dwóch miesiącach kopania i uciekania przed bombami zmężniała fizycznie. Na tyle, że wraca do domu piechotą przez zupełnie nieznane okolice. Czasem ma szczęście i podwozi ją wojskowa ciężarówka, choć na szczęście na ogół trudno teraz liczyć, większość drogi do Leningradu odbywa więc pieszo. Spotykanych po drodze żołnierzy pyta o Saszę. Bezskutecznie. Nie jest to dla niej zaskoczeniem.

Kiedy w końcu dociera do Leningradu, okazuje się, że miasto się zmieniło pod jej nieobecność. Okna są zaciemnione, pozaklejane paskami papieru. Parki przecina siatka okopów, trawa i kwiaty zostały poniszczone. Wszędzie leżą zwały pokruszonego betonu – tak zwane zęby smoka – które mają zatrzymać czołgi. Na przedmieściach ulice zagrodzone są wielkimi żelaznymi belkami, co kojarzy się z więziennymi kratami. Ulicami maszerują kolumny wojska. Wielu żołnierzy ma przygnębione, wręcz zrozpaczone twarze. Rozumie ich, bo sama czuje się podobnie. Przegrali na jednym froncie, przerzucono ich na inny, w pobliżu miasta. W ich zmęczonych oczach dostrzega ten sam strach, który ją dręczy. Leningrad nie jest już niezdobytym miastem, jak sobie wszyscy zawsze wyobrażali. Niemcy są coraz bliżej…

Wiera dociera wreszcie na miejsce i widzi swój dom. Poza zaciemnieniem w oknach wszystko wygląda jak dawniej. Drzewa w pełnym rozkwicie, a niebo błękitne jak bławatki w zbożu.

Boi się iść dalej, nagle ogarnia ją przemożne pragnienie, aby odwrócić się i uciec. Jak najdłużej zatrzymać dla siebie tragiczną wiadomość. Jednak wie, że ucieczka nie pomoże, starając się więc oddychać głęboko i spokojnie, idzie naprzód. Jak najwolniej odmierza kroki, lecz w końcu i tak staje pod drzwiami.

Otwierają się pod dotknięciem i oto znowu jest w ciasnym, zagraconym mieszkaniu. Zniszczone meble i łuszcząca się farba wydają się jej piękne i kochane.

Mama stoi przy kuchni w spłowiałej sukience, na siwych włosach zawiązaną ma starą chustkę. Miesza coś w garnku. Gdy Wiera wchodzi, wolno się odwraca. Radość jej uśmiechu rani serce, ale jest jeszcze gorzej, kiedy radość znika i zastępuje ją smutek. Jedna tylko córka wróciła do domu.

– Mama! – krzyczy Lew i rzuca trzymane w ręku zabawki, po czym pędzi co sił.

Siostra go dogania i w jednej sekundzie rzucają się Wierze w ramiona. Tak ładnie pachną, są takie czyste… Jakie mięciutkie i słodkie są policzki Lwa. Jak dojrzałe śliwki. Można by je zjeść. Wiera ściska dzieci za długo i za mocno, nie zdając sobie sprawy, że cały czas płacze.

– Nie płacz, mamo – mówi Anja, ocierając jej łzy. – Mam motyla. Nie popsułam go.

Wiera wolno wypuszcza dzieci z objęć i wstaje. Dygocze i próbuje nie płakać, kiedy napotyka wzrok matki. Ta wymiana spojrzeń to moment, w którym definitywnie kończy się jej dzieciństwo i młodość.

– Gdzie ciocia Olga? – pyta Lew.

Wiera nie umie odpowiedzieć. Po prostu stoi.

– Olgi nie ma – odpowiada jej matka lekko drżącym głosem. – To bohaterka, nasza Olga. Tak teraz trzeba o niej myśleć.

– Ale…

Mama bierze Wierę w ramiona i trzyma tak mocno, że żadna z nich nie może oddychać. Milczą i w tej ciszy wspomnienia napływają i uciekają niczym smuga kolorowego barwnika w wodzie. Potem długo patrzą na siebie i Wiera rozumie.

Na razie nie będą mówić o Oldze. Zrobią to dopiero wtedy, gdy ból na tyle złagodnieje, by można było z nim żyć.

– Musisz się wykąpać – mówi mama. – Koniecznie trzeba zmienić bandaże na rękach. Chodź!

Pierwsze dni po powrocie do Leningradu mijają jak sen. Za dnia razem z innymi pracownikami biblioteki Wiera pakuje najcenniejsze książki, przygotowując je do transportu. Ona, niepozorna szara myszka, niesie pierwsze wydanie Anny Kareniny. Książka jest zaskakująco ciężka. Wiera na moment przymyka oczy i widzi Annę w klejnotach i futrze biegnącą po śniegu do Wrońskiego.

Ktoś napomina ją ostro, a ona omal nie upuszcza na ziemię cennego tomu. Zaskoczona, czerwieni się i spuszcza wzrok, przepraszając, po czym wraca do pracy. Do końca tygodnia spakowali ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy arcydzieł i wysłali w bezpieczne miejsce. Przygotowali na strychach worki z piaskiem, a część ważnych książek została zniesiona do piwnic. Opróżnia się kolejne sale, okna zabija deskami, drzwi zamyka na klucz. Tylko najmniejsze czytelnie są otwarte.

Pod koniec zmiany bolą ją ramiona od podnoszenia i przesuwania skrzyń, a do odpoczynku jeszcze daleko. Nie idzie prosto do domu, tylko rusza w miasto i ustawia się w pierwszej napotkanej kolejce.

Obojętne, co sprzedają. Odkąd zaczęto racjonować żywność, kupuje się, co jest. Jak większość obywateli Leningradu, Wiera ma skromne środki finansowe. Racja żywnościowa wynosi czterysta gramów chleba dziennie i sześćset gramów masła miesięcznie. Daje się jakoś przeżyć. Ale często nachodzi ją myśl, że przed laty popełniła wielki błąd. Gdyby pracowała w piekarni, rodzina by tak nie głodowała. Jako pracownica kluczowego przemysłu miałaby większe przydziały.

W kolejce spędza kilka godzin. Tuż po dziesiątej dochodzi do lady. Zostały tylko marynaty. Kupuje trzy słoiki. Na tyle ją stać.

Wraca do domu. Matka i babka siedzą przy stole i palą jednego papierosa na spółkę.

Wiera bez słowa – ostatnio nikt wiele nie mówi – idzie prosto do łóżeczek dzieci. Pochyla się, oboje czule całuje. Zmęczona i głodna siada przy stole. Mama stawia przed nią talerz zimnej kaszy.

– Dziś odszedł ostatni transport – mówi babcia.

Wiera patrzy na nią.

– Myślałam, że ewakuacja potrwa jeszcze jakiś czas.

Mama zaprzecza ruchem głowy.

– Nie mogłyśmy się zdecydować, to zdecydowano za nas.

– Niemcy przekroczyli Mgę.

Wiera rozumie, co to znaczy. A gdyby nawet nie rozumiała, rozpacz w oczach matki mówi wszystko.

– Więc…

– Leningrad jest teraz wyspą odciętą od świata. – Mama zaciąga się i oddaje papierosa babce. – Ze wszystkich stron.

Odcięty również od dostaw.

– Co robić? – pyta Wiera.

– Co robić? – powtarza babcia.

– Nadchodzi zima – mówi poważnie mama. – Potrzeba nam jedzenia i burżujki. Jutro pójdę z dziećmi na targ.

– Chcesz coś sprzedać?

– Obrączkę.

– A więc naprawdę się zaczęło. – Babka gasi papierosa.

Wiera dostrzega ich spojrzenia. Boi się, ale to smutne porozumienie między dwiema starszymi kobietami daje pewną pociechę. Mama i babcia już to przechodziły. Dla miasta Piotra Wielkiego wojna nie jest niczym nowym. Raz już przetrwały, to i teraz się uda, jeśli będą ostrożne i sprytne.

Miasto zmienia się w linię frontu. Wszystko znika, także wzajemna ludzka życzliwość. Racje są stale zmniejszane i często nie ma co jeść, nawet jeżeli są kartki żywnościowe. Wiera tak jak inni jest zmęczona, głodna i boi się. Wstaje o czwartej rano, żeby stanąć w kolejce po chleb, a po pracy idzie daleko na przedmieścia i tam na zasadzie handlu wymiennego kupuje od chłopów żywność – za litr wódki torbę zwiędłych kartofli, za walonki pół kilograma smalcu. A po drodze wykopuje z pola zapomniane warzywa.

Nie jest to bezpieczne, ale nie ma wyjścia. Jakoś muszą sobie radzić. Do biblioteki teraz mało kto przychodzi, lecz Wiera trzyma się kurczowo pracy, żeby dostawać kartki. Pewnego razu wraca ze wsi szybkim krokiem, starając

się iść opłotkami. Pod sukienką ma ukrytą torbę cennych kartofli. Wygląda, jakby nosiła w łonie dziecko.

Do domu został jeszcze kilometr, kiedy nad opustoszałymi ulicami zaczyna wyć alarm przeciwlotniczy. Milknie, po czym rozlega się brzęczenie samolotów, coraz bliżej i bliżej.

Słyszy głośny gwizd i biegnie do parku, bo tam są okopy. Jeszcze nim dociera do celu, coś wybucha. Z nieba pada ziemia i gruz. Kolejne eksplozje obracają okoliczne budynki w ruinę.

A potem… cisza.

Wiera wstaje wolno, chwieje się na nogach.

Kartofle całe.

Wypełza z okopu. Otrzepuje się i biegnie. Miasto płonie, wszędzie dokoła jest pełno dymu. Ludzie krzyczą i płaczą.

Skręca za róg i widzi, że jej dom jest cały.

Za to sąsiedni budynek uległ zniszczeniu. Została połowa, druga część zmieniła się w stos dymiących gruzów. Kiedy Wiera podchodzi bliżej, widzi idealnie zachowany salon – zielone tapety w kwiatki, stół nakryty do kolacji, obraz na ścianie. Tylko ludzi nie ma. Nagle żyrandol nad stołem zaczyna się trząść, po czym spada i rozbija się pośród talerzy.

Jej bliscy są w piwnicy razem z sąsiadami. Gdy alarm zostaje odwołany, wracają na górę. Dzieci idą spać.

To dopiero początek. Nazajutrz Wiera idzie z matką i dziećmi na targ, gdzie szukają burżujki. Matka mówi, że bez piecyka nie przeżyją zimy.

Burżujkę znajdują na uboczu, w zakamarku. Sprzedają ją ludzie, z którymi w normalnych warunkach Wiera nigdy by się nie zetknęła. Śniadzi, pijani mężczyźni i równie pijane kobiety obwieszone biżuterią, której z pewnością tydzień temu jeszcze nie miały.

Wiera trzyma dzieci jak najbliżej siebie i stara się ukryć obrzydzenie, kiedy czuje oddech mężczyzny przesycony wódką.

– Ostatnia. – Łypie na nią obleśnie, chwiejąc się na nogach.

Mama zdejmuje obrączkę. Złoto lśni matowo w świetle poranka.

– Mam obrączkę – mówi.

– Złoto teraz nic niewarte. – Wie doskonale, że to on dyktuje warunki.

– Wojna nie będzie trwała wiecznie – przekonuje mama. – I mam jeszcze to. – Rozpina płaszcz i wyjmuje wielki słój białego cukru.

Tu zainteresowanie większe; cukier jest teraz na wagę złota. Albo babka, albo mama ukradły go w pracy.

Wielka jak bochen łapa wysuwa się niczym atakujący wąż i zgarnia słój.

Mama z zadowoleniem przyjmuje fakt, że jej ślubna obrączka nie trafia w ręce tego odrażającego typa.

Niosą piec do mieszkania, taszczą na górę po schodach. Ustawiają na miejscu. Dym będzie odprowadzała na zewnątrz rura wpuszczona w otwór wywiercony w ścianie. Mama zaciera ręce.

– I o to nam chodziło. – Zanosi się kaszlem.

Żeliwny piecyk z dwiema szufladkami, które się nie wysuwają, jest mały i bardzo brzydki. Nie chce się wierzyć, że za coś takiego trzeba było oddać obrączkę ślubną.

– Sporo było tego cukru – mówi Wiera cicho do mamy.

– Babcia przyniosła.

– Żeby tylko nie miała kłopotów – szepcze Wiera. – Składy Badajewa są na pewno szczególnie pilnowane. To największe magazyny żywności. Pracujecie tam obie. Jeśli jedna…

– Wiem. – Mama patrzy na nią znacząco. – Babcia jeszcze pracuje. Dziś ma zostać do późna. Wyjdzie ostatnia.

– Ale…

– Ty o niczym nie wiesz. – Mama znowu kaszle. Ten kaszel jest głęboki i wilgotny. Jakby przedzierał się przez gęste, bulgoczące błoto.

– Nie podoba mi się ten kaszel, mamo.

– To przez kurz w powietrzu po nalocie.

Wiera chce coś powiedzieć, ale rozlega się alarm.

– Dzieci! – woła. – Chodźcie szybko. – Ubiera je śpiesznie w płaszczyki.

– Nie chcę – marudzi Lew. – W piwnicy śmierdzi.

– Pani Newska gorzej śmierdzi – mówi Anja i jej zachmurzona buzia rozjaśnia się uśmiechem.

Lew chichocze.

– Jak gotowana kapusta.

Wiera ucisza dzieci, myśląc z goryczą, że niedługo trwało ich prawdziwe dzieciństwo. Zapina płaszczyk Lwa i bierze go za rękę.

Sąsiedzi długim szeregiem schodzą na dół. Na wszystkich twarzach maluje się to samo: strach w połączeniu z obojętnością. Ucieczka do piwnicy i tak nie ocali domu przed bombą. Ale cóż im zostaje. Idą.

Wiera całuje dzieci, tuli je mocno i zostawia pod opieką matki.

Wszyscy schodzą na dół, a ona idzie na górę. Dostaje zadyszki, tak szybko wspina się po brudnych, ciemnych schodach. Wychodzi na płaski, zaśmiecony dach. Przy niskim murku leżą żelazne szczypce i stoją wiadra z piaskiem. Widać stąd południową część Leningradu. W dali, między balonami zaporowymi wiszącymi nad miastem, pojawiają się samoloty. Nie jeden, dwa jak poprzednio, teraz jest ich kilkanaście. Z początku wyglądają jak małe czarne kropki, ale wkrótce już można odróżnić lśniące śmigła i ogony.

Bomby padają niczym krople deszczu; w ślad za nimi unoszą się kłęby dymu i błyski ognia.

Samolot leci prosto nad ich domem…

Wiera widzi, jak srebrny brzuch otwiera się i wypluwa z wnętrza bombę zapalającą. Ta spada jakieś pięć metrów od niej i syczy. Przerażona Wiera biegnie, potyka się o kawałek drewna i upada. W ustach czuje smak krwi. Z trudem się podnosi, nakłada wyjęte z kieszeni rękawice. Ręce drżą od pośpiechu; żelaznymi szczypcami próbuje uchwycić bombę. To bardzo trudne zadanie. Za długo to trwa i drewniana belka pod spodem zajmuje się ogniem. Do góry wzbija się kłąb dymu, żar bijący w twarz jest nie do wytrzymania, pot zalewa oczy. W końcu udaje się i bomba z głuchym stukiem spada na trawnik przed domem; już nie stanowi zagrożenia. Wiera rzuca szczypce, depcze płomienie i przysypuje piaskiem.

Ogień ugaszony. Wiera osuwa się na kolana. Serce wali jak oszalałe, policzki pieką od gorąca. Gdyby jej tutaj nie było, bomba wypaliłaby dach i wpadła do środka, a potem spadałaby przez kolejne piętra, po drodze zostawiając płomienie.

Wylądowałaby w piwnicy. W ciasnym, zatłoczonym pomieszczeniu. Gdzie są jej najbliżsi…

Zapada noc, Wiera wciąż jeszcze klęczy. Miasto wygląda, jakby całe stało w ogniu. Wszędzie unoszą się kłęby dymu. Ten dym utrzymuje się długo po odlocie samolotów, coraz bardziej gęstnieje i nabiera czerwonawego zabarwienia. Błyskające wśród domów jasnożółte i pomarańczowe płomienie liżą podbrzusza napęczniałych chmur.

Alarm zostaje odwołany, ale Wiera nadal trwa w szoku, nie jest w stanie się poruszyć. Dopiero myśl o dzieciach, które pewnie przerażone płaczą, zmusza ją do zejścia. Niepewnym krokiem idzie do włazu i schodzi do mieszkania, gdzie rodzina już na nią czeka.

– Widziałaś ogień? – chce wiedzieć Anja.

– Był daleko. – Wiera usiłuje się uśmiechać. – Jesteśmy bezpieczni.

– Mamo, opowiesz nam bajkę? – pyta Lew, wsuwając kciuk do buzi. Powieki opadają mu sennie, ale zaraz się podnoszą.

Wiera bierze dzieci w ramiona i niesie do łóżka. Dziś nie każe im myć zębów. Układa się przy nich.

Mama siedzi przy stole i pali tego jednego papierosa, jakiego sobie wydziela dziennie. Zapach dymu tytoniowego rozpływa się w zapachu płonącego miasta. W powietrzu czuć coś niemal słodkiego, jak karmel za długo zostawiony na ogniu.

Wiera mocno przytula dzieci.

– Jest sobie biedna dziewczynka – zaczyna, starając się mówić spokojnym głosem. To trudne, bo myśli ciągle krążą wokół niedawnego niebezpieczeństwa. Ma pełną świadomość, jakiego losu wszyscy uniknęli. I wciąż słyszy świst lecącej na nią bomby.

– Na imię ma Wiera – mówi Anja sennie, przysuwając się bliżej. – Tak?

– Na imię ma Wiera – powtarza Wiera, wdzięczna za podpowiedź. – I jest naprawdę biedna. Jest nikim. Ale jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy…

– Dobrze, że opowiadasz im swoją historię – mówi mama, kiedy Wiera wchodzi do kuchni.

– Niczego innego nie byłam w stanie wymyślić. – Siada przy kulawym stoliku i opiera stopę na pustym krześle obok. Choć okna są zamknięte i zaciemnione, czuje smak popiołu na języku i tę dziwną słodkawą spaleniznę. Świat zewnętrzny widać tylko tamtędy, gdzie papier odkleił się od szyby; poświata nie jest już czerwona, lecz pomarańczowozłota, przemieszana z szarością. – Papa też nam dużo opowiadał, pamiętasz?

– Wolę nie pamiętać.

– Ale…

– Babcia powinna już dawno wrócić. – Mówiąc to, mama unika jej wzroku.

Wiera czuje gwałtowny skurcz w żołądku. W zamieszaniu na śmierć zapomniała o babce.

– Na pewno wszystko z nią w porządku – pociesza samą siebie.

– Tak – odpowiada mama tępo.

Rano babki nadal nie ma. Jest jedną z tysięcy osób, których nikt nigdy więcej nie zobaczy. Po mieście, niczym płomienie po nalocie, rozchodzi się druzgocząca wieść.

Spłonęły składy Badajewa, przepadły wszystkie zapasy żywności.

Leningrad jest teraz odizolowany, odcięty od jakiejkolwiek pomocy. Wrzesień przechodzi w październik. Białe noce się skończyły, zbliża się zima, mroźna i ciemna. Mało kto chodzi do biblioteki, do muzeów czy teatru, a ci, którzy się zjawiają, przede wszystkim chcą się ogrzać. W coraz ciemniejsze dni, kiedy zima zaczyna dmuchać swoim lodowatym oddechem, najważniejszym i niemal jedynym zajęciem jest zdobywanie jedzenia.

Wiera wstaje codziennie o czwartej i wychodzi ubrana w walonki i wełniane palto, opatulona szalikiem tak, że widać tylko oczy. Ustawia się w pierwszej lepszej kolejce; samo stanie nie jest wcale łatwe, nie mówiąc o zakupie jedzenia. Silniejsi odpychają słabszych. Cały czas trzeba się mieć na baczności. Wystarczy chwila nieuwagi, a tamta miło wyglądająca dziewczyna może cię okraść, podobnie jak ten przygarbiony staruszek.

Po pracy wraca do zimnego mieszkania, o szóstej siadają do posiłku. Tyle że trudno to nazwać posiłkiem. Jeden kartofel, jeśli mają szczęście, i kasza, w której jest więcej wody niż krup. Dzieci ciągle się skarżą na głód, mama pokasłuje cicho.

Pierwszy śnieg pada w październiku. Zazwyczaj jest to pora radości i śmiechu, gdy dzieci biegają po parku, robią orła na śniegu i budują śnieżne twierdze. Ale nie podczas wojny. Teraz śnieg to biała śmierć spadająca w maleńkich drobinach na wyniszczone miasto. Lśniąca kołderka przykryła wszystkie umocnienia – zęby smoka, żelazne belki, okopy. Nagle miasto znów stało się piękne – bajkowa kraina łukowatych mostków, zamarzniętych rzek i kanałów, zasypanych śniegiem parków. Kiedy nie widać rozwalających się budynków czy stosów wypalonych cegieł w miejscu, gdzie były składy

żywności, można niemal zapomnieć… Tylko do godziny siódmej. Wtedy Niemcy zrzucają bomby. Co wieczór, jak w zegarku.

Śnieg, jeśli już zaczyna padać, długo nie przestaje. Rury zamarzają. Trolejbusy zatrzymują się i pozostają uwięzione w zaspach. Na ulicach nie ma już czołgów ani ciężarówek, nie maszerują kolumny żołnierzy. Zostały tylko nieszczęsne, okutane ciepło kobiety. Jak Wiera. Ruchome punkty poruszające się w bieli miejskiego pejzażu w poszukiwaniu czegokolwiek, co się nadaje do jedzenia. W Leningradzie nie ma już zwierząt. Niemal każdy tydzień przynosi dalsze zmniejszanie racji żywnościowych.

Wiera brnie po śniegu. Jest tak głodna, że z trudem się rusza, i chwilami marzy jej się, żeby przestać się poruszać w ogóle. Stara się zapomnieć o siedmiu godzinach stania w kolejce, pociesza się myślą o swoich zdobyczach: oleju słonecznikowym i olejowych wytłokach. Ciągnie za sobą czerwone sanki, które ześlizgują się z zasp i co chwila zahaczają o coś ukrytego pod śniegiem – o gałąź, o kamień, o zamarznięte zwłoki.

Pierwsze trupy pojawiły się tydzień temu: opatuleni czym się da ludzie, zamarznięci na śmierć na parkowych ławkach albo w podcieniach budynków.

Żywi szybko uczą się ich nie dostrzegać. Wierze chwilami nie mieści się to w głowie, ale tak jest. Im bardziej człowiek staje się głodny i zziębnięty, tym skuteczniej pole widzenia zawęża się wyłącznie do swoich, poza tym nie widzi się nic.

Zostały do przejścia cztery przecznice. Wiera czuje w piersi silny ból i marzy, by choć na chwilę przystanąć. Usiąść na ławce, oprzeć się wygodnie i zamknąć oczy. Może ktoś przyniesie i poda gorącą, słodką herbatę…

Oddycha nierówno, w żołądku ma bolesną pustkę. Właśnie takie marzenia są śmiertelnie niebezpieczne. Wystarczy na chwilę usiąść, żeby umrzeć. Tak się teraz dzieje w Leningradzie. Ktoś ma niewielki kaszel… albo zainfekowaną rankę… albo po prostu kiepsko się czuje i postanawia zostać w łóżku jeszcze choćby na godzinę. A potem nagle jest martwy. Codziennie w bibliotece brakuje kogoś, kto powinien być. Wiadomo, co znaczy taka nieobecność. Już się więcej tej osoby nie zobaczy.

Przedziera się przez śnieg, wolno stawiając stopy i ciągnąc za sobą sanki. Przeszła już prawie dwa kilometry od Newy, gdzie nabrała pięć litrów wody z przeręblа. Przy drzwiach wejściowych zatrzymuje się dosłownie na moment, żeby odsapnąć, po czym zaczyna mozolną wspinaczkę na piętro. Przyciska do

piersi pojemnik z wodą; jest lodowaty, od tego zimna jeszcze bardziej bolą ją płuca.

W mieszkaniu jest ciepło. Wiera od razu zauważa, że zostało porąbane kolejne krzesło. Leży na boku, bez dwóch nóg i oparcia. Już wszyscy razem nie usiądą przy stole, co i tak nie ma większego znaczenia, bo przecież nie ma prawie nic do jedzenia.

Lew w paltku i w butach leży na podłodze w kuchni i dwiema metalowymi ciężarówkami bawi się w wojnę. Kiedy Wiera wchodzi, chłopiec zadziera głowę i patrzy. Ona ma wrażenie, że nie było jej cały miesiąc, a nie jeden dzień. Zauważa jego zapadnięte policzki i sterczące kości policzkowe. W wymizerowanej buzi oczy wydają się nienaturalnie wielkie. Spojrzenie ich wcale nie jest spojrzeniem dziecka.

– Masz jedzenie? – pyta.

– Masz? – podchwytuje Anja. Schodzi z łóżka, ciągnąc za sobą kocyk.

– Wytłoki – mówi Wiera.

Anja marszczy nosek.

– Mamo, ach, nie.

Serce boli, gdy się to słyszy. Wiele by dała, żeby móc przynieść do domu kartofle czy masło albo choćby kaszę. Niestety, wytłoki to wszystko, co jest. Normalnie karmiło się nimi bydło, smakują jak trociny i są tak twarde, że można je rąbać siekierą, bo dodają do nich spreparowane wióry. Ale grunt, że mają dziś cokolwiek do jedzenia.

Pocieszanie dzieci nie ma sensu. Tego się nauczyła, odkąd w Leningradzie zaczął padać śnieg. Po prostu muszą być dzielne i ponosić wyrzeczenia jak wszyscy. Trudno domagać się czegoś, co jest w tej chwili nieosiągalne. Wiera bierze leżące na podłodze krzesło i wyłamuje trzecią nogę. Rąbie na pół, wkłada do burżujki i nastawia przyniesioną z Newy wodę. Doda się do niej drożdży, żeby oszukać żołądek. Niewiele to da, ale może choć na chwilę przyniesie ulgę.

Pochylając się, czuje gorąco pulsujące w skroniach. Dotyka włosów Lwa. Jak u wszystkich są sztywne od brudu. Mycie się to teraz wielki luksus.

– Opowiem wam dzisiaj dalszy ciąg bajki – obiecuje. Czeka na choćby cień entuzjazmu, lecz synek tylko kiwa główką i lekko wzrusza ramionami.

– Dobrze.

Zimno i głód pomału ich wykańczają. Wiera wzdycha zupełnie jak stara kobieta. Patrzy na matkę, która leży w łóżku. Pyta Anję:

– Jak babcia się czuje dzisiaj?

Buzia dziecka jest bledziutka i tak wymizerowana, że widać głównie oczy.

– Leżała cichutko – odpowiada. – Dałam jej wodę do picia.

Wiera pochodzi do swojej dużej dziewczynki, bierze ją na ręce i mocno przytula. Serce jej pęka, gdy nawet przez grube paltko wyczuwa sterczące kości.

– Jesteś moją najlepszą na świecie córeczką – szepcze. – Tak ładnie się wszystkim zajmujesz.

– Staram się – mówi pięciolatka, a Wierze chce się płakać.

Przytula ją mocno raz jeszcze i stawia na ziemi.

Podchodzi do matki, która śledzi jej ruchy czujnie jak jastrząb. Mama jest bardzo blada, skurczyła się i poszarzała. Tylko ciemne oczy są żywe i uważne; nie spuszcza ich z Wiery.

Córka przysiada na łóżku.

– Zdobyłam trochę wytłoków. I olej słonecznikowy.

– Nie jestem głodna. Daj moją porcję dzieciom.

To samo mówi co wieczór. Z początku Wiera się z nią wykłócała, ale potem przeważyły coraz bardziej wystające kości policzkowe Anji i płacz Lwa, błagającego przez sen o jedzenie.

– Zrobię ci herbaty.

– Doskonale, dziękuję. – Mama przymyka oczy.

Wiera wie, że matka nie może spać, kiedy ona jest w pracy. Musi pilnować wnuków, i jest to dla niej ogromny wysiłek. Od kilku tygodni nie wstaje z łóżka, a jeżeli już, to dosłownie na kilka minut.

– Podobno za tydzień będzie więcej jedzenia – mówi Wiera. – Słyszałam, że mają przysłać transport, jak tylko Ładoga zamarznie. Wtedy jakoś sobie poradzimy.

Matka chwilę milczy, oddycha nierówno.

– Pamiętasz? Twój ojciec, gdy nad czymś pracował, cały czas chodził. Mruczał sobie zdania pod nosem i bardzo się cieszył, jeśli znalazł odpowiednie słowo.

Wiera delikatnie głaszcze suche czoło matki.

– Czasem czytał mi swoje wiersze. Mówił: „Wieruszko, kiedyś będziesz duża i napiszesz własny, a teraz posłuchaj tego…”.

– Chwilami czuję jego obecność. I Olgi. Słyszę, jak rozmawiają, jak chodzą. Raz nawet tańczyli. Kiedy tu są, pod kuchnią pali się ogień i jest tak dobrze, ciepło.

Wiera milczy. Ostatnio matka coraz częściej widzi duchy, nawet z nimi rozmawia. Przestaje dopiero, gdy Lew zaczyna płakać.

– Dodam ci odrobinę miodu do herbaty. I dziś coś zjesz, dobrze? Tylko dzisiaj.

Mama głaszcze Wierę po ręku i wzdycha cichutko.

Tej zimy Wiera po przebudzeniu myśli o jednej z dwóch rzeczy: albo że dziś na pewno będzie lepiej, albo że wkrótce i tak nastąpi koniec. Sama się dziwi, że jednocześnie wierzy w poprawę sytuacji i w to, że niedługo umrze, ale tak jest. W kolejne lodowate poranki ogarnia ją strach i natychmiast dotyka dzieci, które śpią obok. Gdy tylko poczuje wolne, regularne bicie serduszek, strach mija.

Wstanie z łóżka wymaga odwagi. Nawet po włożeniu na siebie wszystkich możliwych ubrań i otuleniu się kocem wciąż jest zimno. W nocy woda zamarza w garnkach na kuchni, a sklejone lodem rzęsy zlepiają się tak mocno, że rano trudno otworzyć oczy.

Dzisiaj wstaje, jak zwykle, przełażąc nad dziećmi, które pojękują przez sen. Mama po swojej stronie leży cichutko, tylko po chwili niemal niezauważalnie przesuwa się na lewo. Teraz wszyscy śpią w dawnym łóżku babki i grzeją się wzajemnie.

Wiera w samych pończochach podchodzi do piecyka. Nie ma daleko; łóżko stoi możliwie najbliżej burżujki. Pozostałe meble są zsunięte razem. Teraz liczy się głównie drewno, z którego są zrobione. Wiera bierze ze schowka siekierę i rąbie nią resztki łóżka, na którym kiedyś spała. Rozpala ogień w burżujce i nastawia wodę.

Póki woda się gotuje, klęka w kącie w kuchni i wyciąga z podłogi deskę. Sprawdza ukryte zapasy. Robi tak codziennie, czasem nawet kilka razy. Nowy nawyk.

Torba cebuli, pół butelki oleju słonecznikowego, trochę wytłoków słonecznikowych, dwa słoiki marynat, trzy kartofle, prawie pusty słoik miodu

i resztka cukru. Z namaszczeniem wyciąga ze skrytki jedną dużą cebulę i miód, po czym kładzie deskę na miejsce. Na śniadanie ugotuje pół cebuli, a miód będzie do herbaty. Właśnie odmierza herbatę, kiedy ktoś puka do drzwi.

Tak dawno nie słyszała tego dźwięku, że z początku nie wie, co to jest. Teraz nie ma sąsiedzkich wizyt i pogaduszek. Nie mają też żadnej rodziny, która by ich mogła odwiedzać.

Takie pukanie może oznaczać niebezpieczeństwo. Ludzie potrafią zabić dla odrobiny masła czy cukru.

Bierze więc siekierę i trzymając ją przy piersi, podchodzi do drzwi. Serce bije mocno i szybko, ma wrażenie, że zaraz zemdleje. Po raz pierwszy od dawna zapomina, że jest głodna. Drżącą ręką naciska klamkę.

Ktoś stoi za progiem.

Wiera patrzy i patrzy i nic nie rozumie. Pewnie jak matka zaczyna z głodu widzieć duchy. Siekiera wypada jej z ręki i uderza z hukiem o podłogę.

– Wieruszka? – mówi ten ktoś niepewnie.

Na dźwięk tego głosu nogi odmawiają posłuszeństwa i Wiera wolno osuwa się na ziemię. Jeżeli tak wygląda śmierć, to chce się jej poddać. Kiedy przybysz ją chwyta i przytrzymuje, pewna jest, że umarła. Na szyi czuje jego ciepły oddech. Tak dawno nikt nie trzymał jej w ramionach.

– Wieruszko – słyszy znowu, tym razem w głosie dźwięczy niepokój. Mężczyzna nie rozumie, dlaczego ona się w ogóle nie odzywa.

Wiera zaczyna się śmiać. Jest to właściwie suchy, szeleszczący dźwięk, tak dalece ta prosta czynność została przez nią zapomniana. Jakby jej głos zardzewiał.

– Sasza – mówi wreszcie. – Czy ty mi się śnisz?

– Naprawdę jestem tutaj – odpowiada mąż.

Wiera tuli się do niego, ale gdy Sasza chce ją pocałować, cofa się zawstydzona. Wie, że ma nieświeży oddech. Wskutek głodu zapach z ust jest wyjątkowo nieprzyjemny.

On nie pozwala jej uciec. Całuje ją jak kiedyś i przez jeden rozkoszny moment Wiera jest znów tamtą młodą dziewczyną zakochaną w swoim księciu…

Kiedy wreszcie jest w stanie wypuścić go z objęć, spogląda na niego niemal z nabożeństwem. Sasza ma głowę ogoloną prawie na zero, wychudł, ale

zmężniał. Coś nowego pojawiło się w jego oczach. Smutek. Cóż – myśli Wiera – to znak naszych czasów.

– Nie pisałeś.

– Pisałem. Raz na tydzień. Pewnie nie ma kto dostarczać listów.

– Puścili cię z wojska? Wróciłeś na dobre?

– Nie, Wiero. – Zamyka drzwi na korytarz. – Boże, ależ tu zimno!

– I tak mamy szczęście, bo jest burżujka.

Sasza rozpina wystrzępiony szynel i wyjmuje schowane pod nim pół szynki, sześć kawałków kiełbasy i słoik miodu.

Na widok mięsa Wierze kręci się w głowie. Nie pamięta, kiedy ostatni raz je jadła.

On kładzie jedzenie na stole. Bierze ją za rękę i omijając resztki połamanych mebli na podłodze, podchodzą do łóżka. Sasza długo patrzy na śpiące dzieci.

Wiera widzi jego łzy i doskonale go rozumie. To nie dzieci, to mali dorośli. Dzieci, które głodują.

Anja przewraca się na bok, pociągając za sobą brata. Porusza ustami: coś przeżuwa we śnie. Nagle otwiera oczy.

– Papik? – pyta i trąca Lwa.

Chłopczyk przekręca się na wznak i też otwiera oczy. Nie bardzo rozumie, nie poznaje Saszy.

– Czego chcesz? – mruczy gniewnie.

– Czy to moje małe żuczki? – pyta Sasza.

Lew siada.

– Papik!

Sasza chwyta oboje w ramiona, są jak dwa piórka. Po raz pierwszy od miesięcy dźwięczy ich radosny śmiech. Domagają się pieszczot, wiją się w jego ramionach jak dwa szczeniaczki. Ojciec niesie je bliżej piecyka. Do Wiery dolatują strzępy ich rozmowy.

– Papik, a ja umiem rozpalać ogień…

– Ja potrafię ciąć drewno…

– Szynka! Przywiozłeś nam szynkę!

Wiera siada obok matki, która się uśmiecha.

– Wrócił – mówi mama.

– Przywiózł jedzenie – dodaje Wiera.

Mama z trudem unosi się i siada. Wiera jej pomaga, poprawia poduszki.

Kiedy pochyla się nad nią blisko, czuje jej nieświeży oddech.

– Spędź ten dzień z rodziną, Wiero. Żadnego stania w kolejce. Żadnego ciągnięcia wody z Newy. Zapomnijcie na chwilę o wojnie. Pójdźcie gdzieś razem. – Kaszle w zszarzałą chustkę. Obie udają, że nie widzą na niej plam krwi.

Wiera głaszcze czoło mamy.

– Zrobię ci słodkiej herbaty. I zjesz trochę szynki.

Matka kiwa głową i znów zamyka oczy.

Wiera siedzi jeszcze chwilę, słuchając jej chrapliwego oddechu, śmiechu dzieci i głosu męża. To wszystko wydaje się nierealne, zupełnie niewiarygodne. Okrywa matkę starannie i wstaje.

– On jest taki z ciebie dumny – mówi mama z westchnieniem.

– Sasza?

– Twój ojciec.

Wiera czuje ucisk w gardle. Nic nie mówi. Na szczęście śmiech Lwa ogrzewa bardziej niż palące się w piecyku nogi starego łóżka. Wiera wyjmuje żeliwną patelnię, na odrobinie oleju słonecznikowego smaży szynkę i w ostatniej chwili dodaje pokrojoną na plasterki cebulę.

Uczta.

W mieszkaniu rozchodzi się cudowny zapach skwierczącej szynki i słodkawej przysmażonej cebuli. Wiera dodaje odrobinę miodu do herbaty. Nikt nic nie mówi, kiedy siadają na starym materacu (nie ma już krzeseł) i jedzą. Nawet mama pochłonięta jest dawno niezaznaną przyjemnością jedzenia.

– Mogę dostać jeszcze, mamo? – Lew wybiera palcem miód z dna kubka.

– Nie ma już – mówi Wiera cicho. Choć mieli królewskie śniadanie, nie były to ilości wystarczające.

– Może pójdziemy do parku – proponuje Sasza.

– Wszystko jest zagrodzone – wyjaśnia mu Anja. – Jak w więzieniu. Nikt się tam już nie bawi.

– My się pobawimy. – Sasza uśmiecha się, jakby to był najzwyklejszy dzień.

Na dworze pada śnieg. Miasto okrywa biały welon, który rozmywa kontury domów. Zęby smoka zmieniają się w śnieżne pagórki, okopy – w białe wąwozy. Od czasu do czasu na parkowej ławce lub na chodniku widać podłużny kształt,

ale łatwo go nie zauważyć. Wiera ma nadzieję, że dzieci nie domyślają się, co się kryje pod puszystym śniegiem.

Park lśni bielą. Konny pomnik Piotra Wielkiego okryty jest workami, spod których widać jedynie fragmenty rzeźby. Na oszronionych drzewach wiszą lodowe sople. Dziwne, że żadne drzewo nie zostało ścięte. W mieście nie ma już drewnianych płotów ani ławek, ani poręczy, lecz żadne drzewo z parku nie poszło na opał.

Dzieci wybiegają naprzód, kładą się na plecach i robią na śniegu orła. Śmieją się przy tym głośno.

Wiera z Saszą siadają na ławce. Z gałęzi leci im na głowy śnieg. Wiera trzyma męża za rękę. Bardzo wiele daje jej ten kontakt fizyczny z nim, choćby przez grube rękawice.

– Przygotowują lodowy szlak na jeziorze Ładoga – mówi Sasza, a ona domyśla się, że przyjechał też po to, by jej o tym powiedzieć.

– Słyszałam, że ciężarówki zapadają się pod lód.

– Na razie tak. Ale to się zmieni. Dostarczą żywność do miasta. I wywiozą ludzi.

– To pewna wiadomość?

– Teraz to jedyna droga ewakuacji.

– Tak? – Odwraca wzrok, nie chce mówić o innej ewakuacji, podczas której omal nie straciła dzieci.

– Jak tylko będzie można przejechać bezpiecznie, załatwię wam przepustki.

Wiera woli o tym na razie nie myśleć. Najważniejsze teraz jest zapewnienie jedzenia i ciepła. Niechże ją przytuli i pocałuje, zamiast mówić o ewakuacji.

Przymyka oczy i zastanawia się, czy będą się kochać dziś w nocy. Tylko czy ona sprosta? Chwilami jest tak słaba, że nie ma siły się poruszyć.

– Wiero – odzywa się Sasza, a ona znów spogląda na niego.

Z wysiłkiem mruga powiekami. Czasem tak trudno się skupić. Nawet teraz.

– Tak? – Widzi niepokój w jego jasnozielonych oczach i nagle przypomina sobie ten pierwszy raz, kiedy się spotkali. Wiersz. Powiedział do niej coś o różach. A później w bibliotece mówił, że czekał na nią, aż dorośnie.

– Masz żyć – mówi Sasza.

Wiera usiłuje go zrozumieć, a on niespodziewanie zaczyna płakać. Dopiero wtedy dociera do niej sens jego słów.

– Dobrze – odpowiada, też płacząc.

– Musisz się nimi opiekować. Coś wymyślę. Obiecuję. Wytrzymaj jeszcze trochę. Obiecaj mi. – Potrząsa nią. – Że dotrwacie do końca.

Wiera oblizuje spękane, suche usta.

– Obiecuję – mówi i wierzy w to święcie.

On przyciąga ją i całuje. Dla Wiery pocałunek ma smak słodkich letnich brzoskwiń. Oboje przestają płakać.

– Jutro są twoje urodziny – mówi Wiera.

– Dwudzieste szóste.

Przytula się do niego, on ją mocno obejmuje. Zwykła rodzina na spacerze w parku. Słychać śmiech dzieci, aż przechodzący obok ludzie nie mogą się nadziwić. Jakby ktoś nagle uwolnił ich z więzienia, w którym byli zamknięci od miesięcy. Dawno nie słyszano tu śmiechu dzieci.

Może dziwnie zabrzmią te słowa, ale to najpiękniejszy dzień w życiu Wiery. Cudowne, złote wspomnienie. Idąc do domu i trzymając męża za rękę, pragnie zachować je w sercu na zawsze. Takie światełko rozjaśniające mrok będzie jej bardzo potrzebne w nadchodzących miesiącach.

Kiedy wchodzą do mieszkania, od razu wyczuwa coś niedobrego.

Jest ciemno, panuje lodowaty chłód. Oddechy zamieniają się w mgiełkę jak na dworze. Woda w dzbanku na stole całkiem zamarzła. Na metalowym korpusie piecyka lśni szron. Ogień zgasł.

Matka kaszle. Wiera biegnie do niej, wołając po drodze do Saszy, żeby co prędzej rozpalił ogień.

Matka oddycha głośno i chrapliwie. Oddech przedziera się z trudem, jakby ktoś na siłę przeciskał owoc przez sito. Jest bardzo blada, wręcz szara jak brudny śnieg. Usta otacza sina obwódka, która coraz bardziej ciemnieje.

– Wieruszko… – szepcze.

Wiera nie jest pewna, czy matka coś powiedziała, czy też jej się to wydawało.

– Mamo. – Pochyla się nad nią.

– Czekałam tylko na Saszę.

Wiera chce błagać, prosić, tłumaczyć, że on nie wrócił na stałe, że musi wyjechać, a ona bardzo potrzebuje matki, ale…

Nie jestem w stanie powiedzieć ani słowa.

Siedzę tylko, patrzę na moją matkę i kocham ją tak bardzo, że nawet nie pamiętam, jak bardzo jestem głodna.

– Kocham cię – mówi mama cicho. – Nigdy o tym nie zapomnij.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– Nie próbuj. To miałam na myśli. – Mama z trudem się podnosi. Aż serce boli patrzeć, ile wysiłku ją to kosztuje, więc podtrzymuję ją. Jest bezwładna jak drewniana lalka. Głowa leci jej do tyłu.

– Kocham cię, mamo. – Za mało, zaledwie trzy słowa. Ale nie jestem gotowa na pożegnanie. Więc mówię co innego, trzymając ją blisko, jak najbliżej.

– Pamiętasz, jak mnie uczyłaś gotować barszcz? Kłóciłyśmy się, jak drobno powinna być pokrojona cebula i dlaczego trzeba ją najpierw poddusić. Nawet ugotowałaś barszcz z surowych warzyw, żebym się przekonała, jaka jest różnica. Potem uśmiechnęłaś się do mnie i powiedziałaś: „Nie zapominaj, Wieruszko, że ja naprawdę sporo wiem”. Jeszcze nie nauczyłam się od ciebie wszystkiego…

W tym momencie ściska mi się gardło i nie mogę dalej mówić.

Ona odchodzi.

Słyszę głos mojego synka:

– Mamo, co się stało babci?

A ja z całej siły staram się nie płakać. Bo co by płacz dał?

Łzy są teraz w Leningradzie bezużyteczne.

23

Zapadła cisza. Meredith miała wrażenie, że czuje na języku smak popiołu.

„Nie jestem w stanie powiedzieć ani słowa”.

Matka leżała z podciągniętymi kolanami, przykryta po szyję, jakby ciepły koc miał ją przed czymś chronić.

– W porządku, mamo? – Nina wstała.

– A może być w porządku?

Meredith też się podniosła. Nie mówiły nic i nie patrzyły na siebie, ale w tym momencie panowało między nimi idealne porozumienie. Podeszły do łóżka.

– Twoja matka i twoja siostra na pewno widziały twoje starania i wiedziały, że bardzo je kochałaś – powiedziała Meredith.

– Daj spokój – odparła matka.

Meredith nie całkiem zrozumiała.

– Z czym mam dać spokój?

– Nie próbuj mnie pocieszać.

– Mamo, to nie jest pocieszanie. Tak naprawdę było. One wiedziały, że je kochasz – spokojnie tłumaczyła Meredith.

Nina przytakiwała.

– Ale wy tego nie wiedziałyście. – Mama spojrzała na nie kolejno.

Meredith mogłaby teraz skłamać swojej starej matce, że czuła się przez nią kochana, i może jeszcze tydzień temu by tak zrobiła dla świętego spokoju.

– To prawda. Ja nigdy nie uważałam, że mnie kochasz.

Czekała na odpowiedź. Miała nadzieję, że usłyszy coś, co zmieni nagle wszystko i odmieni je same, choć nie miała pojęcia, co to miałoby być.

W końcu odezwała się Nina:

– Przez wiele lat myślałyśmy, że z nami jest coś nie tak. Nie potrafiłyśmy zrozumieć, dlaczego kobieta, która tak bardzo kocha swego męża, może jednocześnie nienawidzić własnych dzieci.

Mama drgnęła, usłyszawszy słowo „nienawidzić". Machnęła ręką, jakby je wypraszała z pokoju.

– Idźcie już.

– Nie chodziło o nas, prawda? – ciągnęła Nina. – To nie nas nienawidziłaś, tylko siebie.

W tym momencie mama pękła. Trudno to inaczej określić.

– Próbowałam was nie kochać… – wyznała cicho. – A teraz idźcie. Wyjdźcie, zanim powiecie coś, czego potem będziecie żałować.

– Co takiego miałybyśmy powiedzieć? – spytała Nina.

– Idźcie już. Proszę. I nie wracajmy do tematu, dopóki nie wysłuchacie do końca.

Meredith zauważyła, że mama lekko się zawahała przy słowie „proszę", i zrozumiała, że jest bliska łez.

– Dobrze – powiedziała. – Idziemy.

Pochyliła się i pocałowała ją w policzek. Poczuła przy tym zapach różanego szamponu. Dotąd nawet nie wiedziała, jakiego szamponu mama używa. I pierwszy raz objęła ją i przytuliła.

– Dobranoc, mamo.

Miała cichą nadzieję, że mama zawoła, zatrzyma je jeszcze. Ale aż takie rewelacje nie nastąpiły. Siostry wróciły do swojej kabiny. W milczeniu, zamyślone, kolejno poszły do łazienki, umyły zęby, przebrały się w piżamy i położyły się.

Jak dziwnie to wszystko ze sobą się łączyło – pomyślała Meredith. Życie jej i życie matki. Nie tylko przez więzy krwi, lecz także przez charakter i być może przez temperament. Czuła przez skórę, że strata, która ostatecznie złamała matkę – i dokonała zmiany Wiery w Anję – dla niej też byłaby zabójcza. I bała się dalszego ciągu opowieści.

– Jak myślisz, co się stało z Lwem i Anją? – spytała Nina.

Meredith wolałaby, żeby to nie było pytanie. Wolałaby zwykłe zdanie, które mogłaby pominąć milczeniem. Przed tą podróżą i zanim się tylu rzeczy dowiedziała, pewnie by się rozzłościła albo zmieniła temat. Cokolwiek, żeby stłumić ból. Teraz to nie miałoby sensu. Już wie, że ból nosi się w sobie całe życie i nie ma od niego ucieczki.

– Strach się domyślać.

– I co będzie z mamą, kiedy opowie nam do końca? – spytała Nina cicho.

Ta kwestia dręczyła Meredith już od dawna.

– Nie wiem.

Według przewodnika Sitka stanowiła jedno z najbardziej malowniczych miast Alaski i zarazem najciekawszych pod względem obiektów zabytkowych. Dwieście lat temu, kiedy San Francisco było zaledwie kropką na mapie Kalifornii, a Seattle zielonym wzgórzem, to nadmorskie miasteczko miało teatry, music-halle, a w ciepłe letnie wieczory eleganccy panowie wznosili toasty rosyjską wódką. Sitka spłonęła w pożarze, a odbudowane potem miasto zamieszkiwali w równych proporcjach Rosjanie, Tlingici i Amerykanie.

Woda u wybrzeży była płytka, duże liniowce nie mogły więc podpływać blisko i turyści dostawali się do tego pięknego

miasta szalupami. Podczas przeprawy do portu Nina pstrykała jedno zdjęcie za drugim. Było to wyjątkowe miejsce, absolutnie dziewicze, a tego dnia, przy błękitnym niebie, złotym słońcu i spokojnej szafirowej wodzie, przyroda prezentowała się szczególnie pięknie. Dokoła na morzu leżały rozrzucone niczym paciorki jadeitowego naszyjnika zielone zalesione wyspy. W tle dumnie wznosiły się ośnieżone górskie szczyty.

Gdy wysiadły na brzeg, Nina nakryła obiektyw i powiesiła aparat na ramieniu.

Mama, osłoniwszy oczy, spoglądała na leżące przed nimi miasto. Nad zabudową górowała wysoka wieża zwieńczona prawosławnym krzyżem.

Nina odruchowo znów sięgnęła po aparat. W obiektywie zobaczyła, że twarz matki patrzącej na cerkiewną wieżę dziwnie złagodniała.

– Mamo, jak to jest? – spytała, podchodząc bliżej. – Kiedy widzisz coś takiego?

– Tyle lat minęło – odparła mama, nie odrywając wzroku od wieży. – Myślę… o tym wszystkim, co się stało.

Meredith podeszła z drugiej strony i we trzy ruszyły wraz z niewielką grupą, która zeszła ze statku. Idąc ulicą wychodzącą z portu, od czasu do czasu dostrzegały ślady rosyjskiej przeszłości Sitki – w nazwach ulic, w nazwach sklepów, w potrawach z kart wywieszonych w oknach restauracji. W centrum stał nawet słup totemowy z wyrzeźbionym carskim dwugłowym orłem.

Mama tego nie komentowała, dopiero gdy weszły do cerkwi Świętego Michała, zachwiała się, jakby zrobiło jej się słabo. Córki ją podtrzymały.

Było tu mnóstwo złoconych ikon. Niektóre bardzo stare, malowane na desce, inne na blasze i wysadzane kamieniami półszlachetnymi. Podziały wnętrza wyznaczały bogato złocone

łuki. Dla zwiedzających wystawiono do oglądania haftowane złotem suknie ślubne i szaty liturgiczne.

Mama chodziła, patrzyła, oglądała, a jeśli mogła, to dotykała. Przystanęła przed ołtarzem, nakrytym ciężkim białym jedwabiem haftowanym złotą nicią w krzyże. Stały tu świece i leżały dwa stare Pisma Święte.

– Chcesz, żebyśmy się razem pomodliły? – spytała Meredith.

– Nie. – Mama otarła oczy, choć nie było widać w nich łez. Wyszła z cerkwi i ruszyła przed siebie. Nina domyśliła się, że wcześniej przestudiowała plan miasta, bo dokładnie wiedziała, dokąd idzie. Minęła reklamę historycznych wycieczek o tematyce rosyjsko-amerykańskiej i skręciła na cmentarz. Porośnięty trawą, z kilkoma wątłymi drzewami i skupiskami krzewów, leżał na niewielkim wzniesieniu. Kaplicę cmentarną wieńczyła miedziana kopuła z prawosławnym krzyżem. Nagrobki były bardzo stare, niektóre kute ręcznie. Miejsce wiecznego spoczynku księżnej Macutowej, otoczone białym drewnianym płotkiem, zdobił jedynie skromny napis z czarnych liter. Niektóre nagrobki porastał mech. Od lat nie chowano tu nikogo, mimo to mama dokładnie oglądała wszystkie mogiły.

Nina zrobiła jej zdjęcie przed omszałym pomnikiem, który już dawno temu się pochylił, pewnie wskutek burzy. Wiosenny wiatr podskubywał ciasno związane siwe włosy. Mama wyglądała… jak nie z tego świata. Blada, szczupła, eteryczna, a nie osoba z krwi i kości. W błękitnych oczach widać było wielki smutek. I szczery. A Nina na emocjach się znała, bo wiele widziała w życiu tragedii. Opuściła aparat i podeszła do matki.

– Szukasz kogoś?

– Nie – odparła mama. Po czym dodała: – Duchów.

Chwilę razem patrzyły na grób Dmitrija Pietrowicza, który zmarł w tysiąc osiemset dwudziestym siódmym roku. Mama

wyprostowała się.

– Jestem głodna. Chodźmy coś zjeść. – Włożyła duże ciemne okulary w stylu Jackie O. i zawiązała chustkę na szyi.

Wróciły do centrum i tam znalazły małą restaurację nad wodą, której szyld obiecywał NAJLEPSZĄ KUCHNIĘ ROSYJSKĄ W SITCE.

Gdy Nina otworzyła drzwi, umieszczony nad nimi dzwonek zadźwięczał wesoło. W długiej, wąskiej sali stało kilkanaście stolików, w większości zajętych. Goście nie wyglądali na turystów. Mężczyźni byli przeważnie brodaci, postawni, o szerokich barach. Kobiety w niemodnych kwiecistych sukienkach i kolorowych chustkach na głowie. Do tego kilku rybaków w żółtych kombinezonach.

Powitała je pulchna i bardzo sympatyczna kobieta o zadziwiająco młodym i dźwięcznym głosie. Miała jakieś sześćdziesiąt lat. Pyzatą twarz, rumianą jak jesienne jabłuszko, okalały srebrne loki. Idealny wizerunek babci.

– Witam serdecznie, dzień dobry. Na imię mam Stacey, służę paniom uprzejmie. – Biorąc po drodze trzy karty dań, zaprowadziła je do stolika przy oknie z widokiem na skrzącą się niebieską wodę. Do brzegu płynęła właśnie łódź rybacka, jej ślad znaczyły srebrzyste fale.

– Co by nam pani poleciła? – spytała Meredith.

– Zdecydowanie klopsiki. Do tego podajemy nasz własny makaron. Chociaż barszcz też jest wart grzechu.

– A jest wódka? – spytała mama.

– Czyżby rosyjski akcent? – ucieszyła się Stacey.

– Dawno już stamtąd wyjechałam.

– W takim razie jest pani naszym gościem specjalnym. Proszę nie patrzeć do menu. Przyniosę coś ekstra. – Oddaliła się śpiesznie, pogwizdując. Po drodze zatrzymała się jeszcze na

moment przy kilku stolikach, po czym zniknęła za zasłoną z koralików.

Chwilę później była z powrotem. Postawiła przed nimi trzy kieliszki, oszronioną butelkę wódki, półmiseczek z czarnym kawiorem oraz małe grzanki.

– Tylko proszę nie mówić, że to za drogie – powiedziała. – Nie co dzień mamy tutaj prawdziwych Rosjan. Na koszt firmy. *Wasze zdarowie*.

Zaskoczyła je wszystkie. Nina zastanawiała się, jak długo mama nie słyszała ojczystego języka.

– *Wasze zdarowie* – odparła mama i wzięła kieliszek.

Stuknęły się, wypiły do dna i sięgnęły po kawior.

– Moje córki pomału stają się Rosjankami. – W głosie mamy zadźwięczała jakaś cieplejsza nuta. Nina żałowała, że nie widać oczu mamy ukrytych pod ciemnymi okularami.

– Prawdziwy Rosjanin nie poprzestaje na jednym – zgorszyła się Stacey. – Jak tak można?

Przez następne dwadzieścia minut rozmawiały o rzeczach błahych. Gdy na stole zjawiło się jedzenie, dalszą rozmowę zdominowały zachwyty. Maleńkie, rozpływające się w ustach klopsiki podane w szafranowym rosole, zupa grzybowa zapiekana z serem gruyère, faszerowana łososiem soczysta pieczeń cielęca w sosie kawiorowym. Kiedy przyniesiono strudel jabłkowo-orzechowy, wszystkie stwierdziły, że nie ma na niego miejsca. Stacey uśmiechnęła się, słysząc te słowa, i odeszła.

Nina pierwsza odkroiła kawałek maślanego ciasta z nadzieniem orzechowym i skosztowała.

– O mój Boże! – wykrzyknęła.

Mama też wzięła kawałek.

– Dokładnie taki robiła moja mama.

– Naprawdę? – spytała Meredith.

– Zawsze mówiła, że sekret polega na tym, by nie zagniatać ciasta w rękach, ale uderzać nim o stolnicę. Nawet się o to kłóciłyśmy. Ja uważałam, że to niekonieczne. Oczywiście nie miałam racji. – Mama westchnęła. – Później, ilekroć robiłam takie ciasto, zawsze myślałam o mamie. Kiedyś upiekłam strudel dla waszego ojca, a on stwierdził, że jest słony. Pewnie od moich łez. Przestałam je robić, usiłowałam zapomnieć o tym przepisie.

– I zapomniałaś?

Mama spojrzała w okno.

– Niczego nie zapomniałam.

– Wcale nie chciałaś zapomnieć – zauważyła Meredith.

– Czemu tak uważasz?

– Bo nam opowiadałaś bajkę. Tylko w ten sposób umiałaś nam przekazać, kim jesteś.

– Aż do przedstawienia – powiedziała mama. – Tak mi przykro, Meredith.

Starsza córka poruszyła się niepewnie.

– Całe życie czekałam na te przeprosiny, a teraz nie mają już znaczenia. Ważniejsza jesteś ty. I to, żebyśmy dalej ze sobą rozmawiały.

– Dlaczego? – spytała matka cicho. – Jak może ci jeszcze na tym zależeć? Wam obu?

– My też usiłowałyśmy cię nie kochać – wyznała Nina.

– Przyznaję, że robiłam wszystko, żeby wam to ułatwić.

– Nie – zaprzeczyła Meredith. – To wcale nie było łatwe.

Mama nalała wódki. Podniosła kieliszek, patrząc na swoje córki.

– Za co wypijemy?

– Może za rodzinę? – Stacey pojawiła się w samą porę i nalała czwarty kieliszek dla siebie. – Za tych, którzy są z nami, za tych,

którzy już odeszli, i za tych, którzy zaginęli. – Stuknęła swoim kieliszkiem o kieliszek mamy.

– Czy to stary rosyjski toast? – spytała Nina, wychyliwszy alkohol.

– Nigdy przedtem tego nie słyszałam – powiedziała mama.

– Tak mówi się u mnie w domu – wyjaśniła Stacey. – Dobry, nie uważacie?

– *Da.* – Mama uśmiechnęła się. – Bardzo dobry.

W drodze powrotnej mama wydawała się jakaś wyższa. Uśmiechała się, zwracała uwagę na wystawy sklepowe.

Meredith nie wierzyła własnym oczom. Miała wrażenie, że ogląda motyla wykluwającego się z poczwarki. I ta nowa matka, czy też raczej matka widziana w zupełnie nowym świetle, oddziaływała na nią tak, że Meredith też poczuła się jakoś inaczej. Podobnie jak mama, częściej się teraz uśmiechała i częściej się śmiała. Ani razu nie pomyślała, co tam w biurze i jak córki dają sobie radę. Nie przejmowała się niczym. Było jej po prostu dobrze w tym rejsie z matką i siostrą. Stały się nierozłączne jak sznury splecione w jedną linę. Wszędzie chodziły razem.

– Patrzcie – powiedziała mama, kiedy doszły do końca ulicy.

W pierwszej chwili Meredith myślała, że chodzi o malownicze drewniane sklepiki albo o widoczny w dali ośnieżony szczyt Mount Edgecumbe.

– Co takiego?

– Tam.

Śledząc wzrokiem jej palec, Meredith zobaczyła po drugiej stronie ulicy park. Pod latarnią obrośniętą jasnoróżowymi kwiatami stała roześmiana rodzina i robiła sobie zdjęcia. Matka

o długich brązowych włosach, ubrana w starannie uprasowane dżinsy i golf, ojciec, przystojny blondyn, miło uśmiechnięty, i dwie dziewczynki o słomianych czuprynkach, chichoczące i wypychające jedna drugą z kadru.

– Tak kiedyś wyglądaliście z Jeffem – powiedziała mama cicho.

Meredith zrobiło się smutno. Inaczej smutno niż przedtem. Nie chodziło o to, że córki nie dzwonią albo że Jeff jej nie kocha, czy nawet o to, że straciła jakąś ważną część siebie. Ten smutek wiązał się ze świadomością, że nie jest już młoda. Beztroskie dni dawno minęły. Dzieci się usamodzielniły i trzeba się z tym pogodzić. Zawsze będą ich łączyć więzy rodzinne, ale – tego się nauczyła w ciągu ostatnich kilku tygodni – relacje w rodzinie nie są czymś ustalonym raz na zawsze. Ciągle coś się zmienia. Czasem są to zmiany ukryte głęboko i niewidoczne z zewnątrz, a czasem wprost dramatyczne. Sztuka polega na tym, żeby zachować umiar. Trudno przewidzieć ich charakter, jeszcze trudniej nad nimi zapanować. Pewnych rzeczy się nie zatrzyma. Po prostu trzeba uważać, żeby się nie dać wysadzić z siodła.

Stojąc i patrząc na nieznajomych, przypomniała sobie kilka momentów ze swojego małżeństwa. Są z Jeffem na promie, tańczą pod lustrzaną kulą w rytm *Schodów do nieba*. Całują się. Potem poród. Ona wrzeszczy, żeby zabrał w cholerę ten idiotyczny lód… Jeff przynosi jej początek powieści i pyta o opinię… Stoi przy niej, kiedy umiera tata, i pyta: „A kto zajmie się tobą?”. Próbuje ją objąć i przytulić.

– Byłam idiotką – powiedziała na głos, zapominając, że stoi na ulicy, a wokół chodzą ludzie.

– Najwyższy czas. – Uśmiechnęła się Nina. – Mam dosyć bycia w rodzinie jedyną, która zawsze wszystko spieprzy.

– Kocham Jeffa – wyznała nagle Meredith. Czuła się bardzo nieszczęśliwa, a jednocześnie też tak, jakby ktoś dodał jej skrzydeł.

– No, pewnie, że kochasz – potwierdziła mama.

Meredith spojrzała na nią z rozpaczą.

– A jeśli już jest za późno?

Mama uśmiechnęła się i w tym momencie niezwykle wypiękniała, a na jej twarzy, tak dobrze im znanej, pojawił się całkiem nowy wyraz.

– Mam osiemdziesiąt jeden lat, opowiadam córkom historię swojego życia. Przez wiele lat wydawało mi się, że już jest za późno, by zacząć. Że czekałam zbyt długo. Na szczęście, nasza Nina nie przyjmuje odmowy do wiadomości.

– Wreszcie się doczekałam. Nie ma to jak być wredną małpą. – Nina wyjęła z torby na aparat fotograficzny telefon komórkowy. – Zadzwoń do niego.

– Teraz? Kiedy jest nam tak dobrze? To może poczekać.

– Nie – wtrąciła mama ostro. – Nie czekaj.

– A jeśli…

Mama dotknęła lekko jej ręki.

– Spójrz na mnie, Meredith. Zobacz, co strach może zrobić z człowiekiem. Czy chcesz być taka jak ja?

Meredith wolno zdjęła matce ciemne okulary. Uśmiechnęła się, patrząc w te niesamowite błękitne oczy, które od dziecka ją fascynowały.

– Wiesz co, mamo? Dumna jestem z twojej siły. Tyle w życiu przeszłaś… a przecież jeszcze nie usłyszałyśmy najgorszego. Kogoś innego by to zabiło. Tylko osoba tak nadzwyczajna jak ty mogła przetrwać. Nie mam więc nic przeciwko temu, żeby być taka jak ty.

Mama z trudem przełknęła ślinę.

– Ale z drugiej strony więcej nie chcę się bać. Co do tego masz rację. Nineczko Słoneczko, dawaj komórkę. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

– Spotkajmy się na statku – zaproponowała Nina.

– Gdzie?

Mama zaśmiała się.

– Jak to gdzie? W barze. Tym z widokiem.

Meredith patrzyła za nimi, gdy odchodziły. Lekki wiatr grał na muszli zawieszonej na szczycie domu, gdzieś daleko odezwała się syrena okrętowa, a ona słyszała jedynie powracające wciąż echo śmiechu matki. Postanowiła zapamiętać ten dźwięk na całe życie i przypominać go sobie za każdym razem, gdy przestanie wierzyć w cuda.

Przeszła na drugą stronę, z wdziękiem zatrzymując ruch uliczny. Minęła rodzinkę, cały czas robiącą sobie zdjęcia, i usiadła na drewnianej ławeczce z tabliczką, na której wyryty był napis: PAMIĘCI MYRNY, KTÓRA KOCHAŁA TEN WIDOK.

Widziała stąd łodzie rybackie i wycieczkowe stłoczone przy przystani. Maszty kołysały się przy każdym niewidocznym stąd ruchu wody. Ptaki morskie krzyczały, polatując nad turystami i polując na frytki.

Spojrzała na zegarek i szybko skalkulowała, co teraz może robić Jeff.

Sygnał powtórzył się wiele razy i już miała zrezygnować.

W końcu odebrał, dysząc, jakby przed chwilą biegł.

– Halo?

– Jeff? – Bała się, że się rozpłacze. Bardzo starała się opanować. – To ja…

– Meredith…

Zaniepokoiło ją, że nie umie odczytać emocji w jego głosie. A przecież kiedyś wyczuwała każdy niuans.

– Jestem w Sitce – powiedziała i zacięła się.

– Jest taka piękna, jak mówią?

– Nie – odpowiedziała zdecydowanym głosem. Szkoda tracić czas na takie rozmówki. Jak dotąd nic nie dawały, a tylko doprowadziły do tego całego bałaganu. – To znaczy tak, tutaj jest pięknie, ale nie o tym chcę mówić. Nie chcę też mówić o dzieciach ani o pracy, ani o mamie. Chcę cię przeprosić. Spytałeś mnie, czy cię kocham, a ja zamknęłam się jak ślimak w skorupie. Nie wiem dlaczego. To było głupie i niesprawiedliwe. Kocham cię. Kocham cię i tęsknię. I mam nadzieję, że nie jest za późno, ponieważ chcę spędzić starość z mężczyzną, z którym przeżyłam młodość. Z tobą. – Wciągnęła głęboko powietrze. Wydawało się jej, że mówi już strasznie długo. Chyba wyrzuciła z siebie wszystko. Teraz decyzja zależy od niego. Czy nie zraniła go za mocno? Czy nie zwlekała za długo? Cisza się przeciągała. Usłyszała jęk sprężyny, gdy siadł na starej kanapie, i potem westchnienie.

– Powiedz coś – poprosiła.

– Grudzień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego.

– Co?

– Stałem w kolejce w szkolnej stołówce. Karie Dovre szturchnęła mnie i kiedy spojrzałem, zobaczyłem ciebie stojącą na skraju boiska. Unikałaś mnie, pamiętasz? Po tej sztuce na Boże Narodzenie. Przez dwa lata nie chciałaś na mnie spojrzeć. Wiele razy próbowałem do ciebie podejść, lecz zawsze w ostatniej chwili zawodziły nerwy. Aż do tego dnia w grudniu. Padał śnieg, stałaś sama i trzęsłaś się z zimna. I zanim zdążyłem znów stchórzyć, podszedłem do ciebie. Karie krzyczała za mną, że mi kolejka przepadnie, a co tam! Spojrzałaś wtedy na mnie, świetnie to pamiętam, a mnie wprost sparaliżowało ze strachu. Bałem się, że uciekniesz, ale nie. Spytałem cię, czy lubisz lody bananowe. – Zaśmiał się. – Kretyn, co? Na dworze minus dwadzieścia pięć, a ja pytam o lody. Ale ty powiedziałaś, że tak.

– Pamiętam – rzekła cicho.

– Mamy setki takich wspomnień.

– Tak.

– Próbowałem się odkochać. Nie udało się, natomiast na sto procent byłem pewien, że ty już mnie nie kochasz.

– Wcale nie. Ja po prostu… Czy możemy zacząć od początku?

– Cholera jasna! Nie chcę zaczynać od początku. Najbardziej podoba mi się środek.

Meredith roześmiała się. Też nie chciałaby znowu się męczyć z młodzieńczymi emocjami. Wystarczy, gdy po prostu poczuje się młoda. I jednak chciała się troszkę zmienić.

– Obiecuję, że będę dla ciebie lepsza.

– A ja postaram się, żebyś się częściej uśmiechała. Boże, jak ja do ciebie tęskniłem! Czy możesz przyjechać do domu zaraz? Ogrzeję łóżko.

– Niedługo – obiecała i rozsiadła się wygodniej na ławce Myrny.

Przez następne pół godziny rozmawiali jak dawniej – o wszystkim i o niczym. Jeff powiedział, że prawie skończył powieść, a ona zrelacjonowała mu część historii matki. Był zachwycony, sam podsuwał wspomnienia, które teraz stały się zrozumiałe, a wcześniej zupełnie niewytłumaczalne. „Te ilości jedzenia – wyliczał. – I pewne rzeczy, które mówiła…”.

Pogadali jeszcze o córkach, o tym, jak sobie radzą na studiach. I jak miło będzie latem, gdy zjadą do domu.

– Czy wiesz już, czego chcesz? – spytał w końcu. – Poza mną oczywiście.

– Jeszcze nad tym pracuję. Ale coś tak czuję, że pomyślę o rozszerzeniu działalności sklepu z pamiątkami. A prowadzenie sadu zostawię Daisy. Albo go sprzedam. – Zdziwiły ją własne słowa. Aż do dziś w ogóle o tym nie myślała,

tymczasem nagle nabrało to sensu. – I chcę pojechać do Rosji, do Leningradu.

– To znaczy do Sankt Petersburga? Ale…

– Dla mnie to zawsze będzie Leningrad. Chcę zobaczyć Ogród Letni i Newę, i most na Fontance. Nigdy tak naprawdę nie pojechaliśmy na miesiąc miodowy…

Zaśmiał się.

– Czy ja na pewno rozmawiam z Meredith Cooper?

– Z Meredith Iwanowną Cooper. Tak bym się nazywała po rosyjsku. Tak. To ja. Możemy tam pojechać?

W głosie Jeffa dźwięczał śmiech i miłość, kiedy powiedział:

– Skarbie, dzieci wyfrunęły z gniazda. Możemy jechać wszędzie.

24

Juneau stanowiło najlepszy przykład tego, czym jest Alaska. Stolica stanu nie miała żadnych dróg dojazdowych i można tu było dotrzeć jedynie statkiem, łodzią lub samolotem. Otoczone wysokimi ośnieżonymi górami, wciśnięte między pola lodowe wielkości sporego stanu, miasto gwarne i hałaśliwe obficie czerpało ze swoich indiańskich i pionierskich korzeni.

Gdyby nie miały swojej misji – i nie padało tak mocno – pewnie pojechałyby na wycieczkę zobaczyć lodowiec Mendenhall. A tak we trzy udały się do domu opieki Glacier View.

– Boisz się, mamo? – spytała Meredith.

– Coś czuję, że to spotkanie nie zostało z nim wcale ustalone – odparła matka.

– W zasadzie nie – przyznała Nina. – Ale prędzej czy później i tak każdy ze mną rozmawia.

Mama uśmiechnęła się.

– To prawda.

– I jak? Boisz się? – Teraz to pytanie zadała Nina.

– Nie. Powinnam to zrobić wiele lat temu. Może gdybym… Nie, nie boję się opowiedzieć mojej historii człowiekowi, który zbiera takie relacje.

– Może gdybyś co? – dopytywała się Meredith.

Mama spojrzała na nią spod czarnego wełnianego kaptura rzucającego cień na twarz.

– Chcę, byście obie wiedziały, że ta podróż wiele dla mnie znaczy.

– Mówisz tak, jakby to miało być pożegnanie – zaniepokoiła się Nina.

– Dzisiaj dowiecie się o strasznych rzeczach, jakie popełniłam.

– Wszyscy robimy straszne rzeczy – pocieszyła ją Meredith. – Nie przejmuj się tak.

– Akurat! – prychnęła mama z niesmakiem. – To taka czcza gadanina waszego pokolenia. Nim tam wejdziemy, muszę wam coś powiedzieć. Kocham was. – Głos jej się załamał, jakby nagle zachrypła. Spojrzała na nie serdecznie. – Moja Ninoczka… moja Mieruszka.

Nim zdążyły zareagować na pieszczotliwie zruszczone formy swoich imion, odwróciła się i weszła do środka.

Nina z trudem dotrzymywała kroku swojej przeszło osiemdziesięcioletniej matce.

W holu urzędowała ciemnowłosa recepcjonistka o okrągłej twarzy, ubrana w haftowany koralikami czerwony sweter.

– Anja Whitson z córkami – powiedziała Nina. – Pisałam do profesora Adamowicza, że przyjedziemy dzisiaj i go odwiedzimy.

Recepcjonistka z poważną miną zajrzała do kalendarza.

– A, tak. Jego syn Max ma być o dwunastej, żeby się z paniami spotkać. Proszę chwilę zaczekać. Może kawy?

– Chętnie. – Nina uśmiechnęła się.

Dziewczyna zaprowadziła je do poczekalni, którą zdobiły czarno-białe obrazki barwnej przeszłości Juneau.

Nina usiadła przy oknie. Zaskoczyło ją, że krzesło było wyjątkowo wygodne. Za ogromnym panoramicznym oknem ciągnął się zielony las, teraz chłostany deszczem.

Mijały kolejne minuty. Ludzie wchodzili i wychodzili, sporo osób poruszało się na wózkach. Gwar rozmów to napływał, to cichł.

– Ciekawe, jak tu wyglądają białe noce – odezwała się mama, wyglądając przez okno.

– Im dalej na północ, tym są piękniejsze – zapewniła Nina. – Wiem to z własnego doświadczenia. Jeśli ma się szczęście, to i stąd można czasem zobaczyć zorzę polarną.

– Zorza polarna – westchnęła mama. Usiadła na pomarańczowym krześle. – Ojciec czasem zabierał mnie na spacer w nocy, kiedy wszyscy spali. „Moja Wieruszko, moja mała pisareczko” – tak zwracał się do mnie. Opatulał mnie ciepło, brał za rękę i ruszaliśmy na wędrówkę ulicami Leningradu. Od czasu do czasu przystawaliśmy, żeby popatrzeć w niebo. Było takie piękne. Tata mówił, że to pokaz bożych ogni. Zawsze ściszał głos. Wtedy wszystko było niebezpieczne, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, jak bardzo niebezpieczne. – Westchnęła. – Pierwszy raz o nim mówię. W dodatku przypomniał mi się taki zwykły, codzienny moment.

– Czy te wspomnienia bolą? – spytała Meredith.

Mama myślała przez chwilę.

– Tak, ale to dobry ból. Zawsze bałyśmy się choćby wspomnieć jego imię. To właśnie Stalin z nami zrobił. Po przyjeździe do Stanów nie mogłam uwierzyć, że ludzie mogą być tacy wolni, że można mówić, co się myśli. A już lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte… – Pokręciła głową z uśmiechem. – Ojciec byłby zachwycony, gdyby widział strajk okupacyjny czy demonstrujących studentów. On był jak oni, jak… Sasza i wasz ojciec. Marzyciel.

– Czy Wiera też była marzycielką? – spytała Nina cicho.

Mama pokiwała głową.

– Przez jakiś czas.

Do pokoju wszedł mężczyzna we flanelowej koszuli i spranych dżinsach. Potężna czarna broda zasłaniała niemal połowę jego kanciastej twarzy. Trudno było określić wiek tego człowieka.

– Pani Whitson? – zapytał.

Mama wolno wstała z miejsca.

Mężczyzna podszedł z wyciągniętą ręką.

– Jestem Maksym. Syn Wasilija Adamowicza, z którym pani chciała się zobaczyć.

Nina i Meredith wstały jednocześnie.

– Pański ojciec pisał do mnie wiele lat temu.

Maksym przytaknął i dodał:

– Niestety, muszę panie ze smutkiem poinformować, że ojciec jest po udarze. Ma trudności z mówieniem, lewa połowa ciała jest sparaliżowana.

– Może w takim razie niepotrzebnie zabieramy panu czas? – spytała mama.

– Nie, skądże. Kontynuuję dzieło ojca, zwłaszcza sprawy dotyczące oblężenia Leningradu. Bardzo ważne jest gromadzenie relacji tych, którzy ocaleli. Dopiero od jakichś dwudziestu lat prawda zaczęła wychodzić na jaw. Sowieci zazdrośnie strzegli swoich sekretów.

– Otóż to. – Mama pokiwała głową.

– Chodźmy do ojca. Chciałbym nagrać pani wypowiedź, bardzo nam się przyda do jego pracy. Ojcu ze względu na jego stan trudno wyrazić, jak bardzo jest szczęśliwy i wdzięczny pani. Będzie to pięćdziesiąta trzecia relacja naocznego świadka. Niebawem wybieram się do Sankt Petersburga zbierać dalsze materiały. Pani współpraca jest dla nas szczególnie cenna.

Mama słuchała, potakując, a Nina umierała z ciekawości, co myśli teraz, kiedy zbliżają się do końca jej historii.

– Chodźmy – zaprosił Maksym. Poszedł przodem jasno oświetlonym korytarzem. Po drodze mijali starsze osoby poruszające się z balkonikami albo na wózkach.

Zaprowadził kobiety do pokoju na samym końcu korytarza, gdzie obok łóżka chorego stało kilka krzeseł najwyraźniej przygotowanych w związku z wizytą. Profesor był chudy, drobny i miał wymizerowaną twarz. Prawie całkiem łysy, tylko nad uszami sterczały kępki siwych włosów. Wydatny nos przypominał dziób drapieżnego ptaka, a usta pod nim były tak blade, że niemal niewidoczne. Gdy weszli, ledwo dostrzegalnie poruszył prawą ręką, drgnął też nieznacznie prawy kącik jego ust.

Maksym pochylił się nad ojcem i coś szepnął.

Profesor odpowiedział, ale niewyraźnie i Nina nic nie zrozumiała.

– Mówi, że bardzo się cieszy. Długo czekał na tę chwilę. Mój ojciec, Wasilij Adamowicz, wita panie serdecznie.

Mama poważnie skłoniła głowę.

– Proszę usiąść. – Maksym wskazał krzesła. Na stoliku przy oknie stał miedziany samowar, a obok talerze, półmisek z pierogami, strudel, pokrojony w plastry ser i krakersy.

Wasilij próbował coś powiedzieć, jego głos zaskrzypiał dziwnie.

Maksym słuchał uważnie.

– Przepraszam, tatuśku, ale nie bardzo rozumiem. Chyba mówi coś o deszczu, nie jestem pewien. Chciałbym panią nagrać, Anju, jeśli wolno mi się tak do pani zwracać. Zgadza się pani na nagranie?

Mama spojrzała na lśniący samowar i na rządek szklanek w srebrnych koszyczkach.

– *Da* – odparła cicho, dając przy tym ręką znak, że jest to jej obojętne.

Nina zorientowała się, że tylko ona stoi. Usiadła obok Meredith.

Jakiś czas w pokoju panowała cisza. Słychać było jedynie bębnienie deszczu o dach.

Wreszcie mama westchnęła i powiedziała:

– Długo opowiadałam tę historię w dość specyficzny sposób. Nie bardzo wiem, jak zacząć teraz. Nie mam pojęcia.

Maksym wcisnął guzik nagrywania. Rozległo się kliknięcie, taśma zaczęła się przesuwać. Mama jeszcze raz głęboko westchnęła i zaczęła:

– Anja Whitson to nie jest moje prawdziwe imię i nazwisko. Naprawdę nazywam się Wiera Pietrowna Marczenko Whitson. Pochodzę z Leningradu i dotąd noszę w sercu obraz mojego rodzinnego miasta. W młodości znałam tam niemal wszystkie ulice. Lecz to nie moja młodość was interesuje. Kiedy miałam piętnaście lat, zabrano mi ojca. Wtedy zaczęła się dla mnie dorosłość. A pod koniec wojny stałam się starą kobietą.

Ale to już środek mojej historii. Zaczyna się ona w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Wracam do domu ze wsi…

Nina oparła się i przymknęła oczy; w ten sposób widziała w wyobraźni obrazy wywoływane słowami matki. Słuchała już tego wcześniej jako bajki, tylko tym razem była mowa o rzeczywistości. Bez Czarnego Rycerza, książąt i goblinów. Historia Wiery, młodej kobiety, która zakochała się, miała dzieci… a potem w nieludzkich warunkach kopała umocnienia na linii rzeki Ługi i wracała pieszo do domu pośród padających bomb. Nina długo ocierała oczy, kiedy zginęła Olga i gdy umarła matka Wiery.

– Ona odchodzi – mówi mama z przerażającą prostotą. – Słyszę, jak mój syn pyta: „Mamo, co się stało babci?”. A ja z całej siły staram się nie płakać.

Przykrywam ciało mamy kocem, usiłując nie myśleć o tym, jak bardzo wychudła przez ostatni miesiąc. Może powinnam była zmuszać ją do jedzenia? To pytanie będzie mnie dręczyć do końca życia. Gdybym ją zmuszała, pewnie teraz nakrywałabym jedno z moich dzieci. Co miałam robić?

– Mamo – odzywa się znowu Lew.

– Babcia poszła do cioci Olgi. – Staram się być silna, lecz głos się łamie. Dzieci płaczą.

Sasza je pociesza. Ja w sobie nie mam nic, czym mogłabym je pocieszyć. Jestem w środku zimna i skostniała, boję się, że jeśli mnie ktoś dotknie, rozbiję się jak skorupka jajka.

Długo siedzę w ciemnym, zimnym pokoju obok mojej zmarłej matki, pogrążona w modlitwie, która przyszła za późno. Przypominam sobie to, co mi powiedziała dawno temu, gdy jako dziecko szukałam u niej pociechy. „Nie będziemy więcej o nim rozmawiać".

Sądziłam wtedy, że to z powodu ryzyka, jakie nam groziło. Teraz, kiedy siedzę przy niej, mam wrażenie, że się poruszyła – tak, przysięgam, że tak. Dotyka mojej ręki, a mnie pierwszy raz od miesięcy robi się ciepło, i wreszcie rozumiem, co mi wówczas chciała powiedzieć.

Idź dalej. Jeśli możesz, zapomnij. Żyj.

Nie chodziło wtedy wcale o ojca, ale o życie. I o to, czym jest śmierć. Patrzę na matkę, oczywiście jest zimna i nieruchoma i dobrze wiem, że do mnie nie mówiła. Ale jednak mówiła. Więc robię to, co do mnie należy. Wstaję już w nowej roli. Jestem teraz sierotą bez matki i nie mam siostry. Nikt nie został z rodziny, w której się urodziłam. Mam tylko rodzinę, którą ja założyłam.

Matka jest w nas wszystkich, a zwłaszcza we mnie. Anja ma w sobie jej odwagę i siłę. Lew dostał łatwość śmiechu Olgi. A ja, ja mam w sobie wiele z nich obu, a także marzenia ojca, a więc oni wszyscy są we mnie.

Sasza podchodzi do mnie.

Obejmuje mnie mocno, wtulam zmarzniętą twarz w jego równie zziębniętą szyję.

– Kiedyś wyjedziemy stąd – obiecuje. – Pojedziemy na Alaskę, już to ustaliliśmy. Nie zawsze będzie tak jak teraz.

– Alaska – szepczę, myśląc o tym jego marzeniu, naszym marzeniu. – Kraina Nocnego Słońca. Tak…

Lecz to marzenie – każde marzenie – jest w tej chwili odległe i sprawia, że tylko bardziej boli.

Sasza mówi coś do mnie, a ja w zielonych oczach widzę jego myśli, a może są to odbite moje własne myśli. Wysuwam się z jego objęć, a on zwraca się do naszych biednych zapłakanych dzieci:

– My z mamą musimy zająć się babcią.

Lew, który siedzi na podłodze, zaczyna płakać, ale jest to zaledwie blada imitacja tego, jak mój synek potrafi się smucić. Tak, zupełnie inaczej wybucha płaczem, gdy jest zdrowy. Teraz tylko siąka nosem. Jest zbyt głodny i zmęczony, żeby porządnie płakać.

– Zostaniemy tutaj, tatusiu – oświadcza Anja poważnie. – Ja się nim zaopiekuję.

– Moje kochane dzieci – wzrusza się Sasza. Zajmuje je czymś, a ja wtedy myję mamę i ubieram w jej najlepszą sukienkę. Staram się nie myśleć o tym, jak bardzo jest chuda i wynędzniała… jak nie moja matka.

To prawda, co powiadają ludzie. Dzieci stają się dorosłymi, którzy potem znów stają się dziećmi. Nie mogę przestać myśleć o tym cyklu, kiedy delikatnie myję jej ciało, zapinam sukienkę i czeszę włosy. Na koniec wygląda, jakby spała, a ja całuję przeraźliwie zimne policzki i szepczę słowa pożegnania.

Już czas.

Oboje z Saszą ubieramy się ciepło. Wkładam na siebie wszystko, co mam – cztery pary skarpet, za luźne walonki matki, spodnie, sukienki, swetry. Ledwo mieszczę to wszystko pod paltem, a moja głowa opatulona szalem wygląda jak u małego dziecka.

Wychodzimy. Dzień jest zimny i ponury. Światło palących się latarni rozprasza padający śnieg. Przywiązujemy mamę do małych czerwonych sanek, które kiedyś towarzyszyły rodzinnym zabawom, a teraz są niezwykle cenne i potrzebne. Sasza jest dostatecznie silny, żeby samodzielnie ciągnąć je przez głęboki śnieg, Bogu dzięki.

Jestem słaba. Staram się to ukryć przed moim mężem, ale nie bardzo mi się udaje. Każdy krok w śniegu po kolana to prawdziwa męka. Mój oddech dobywa się w nierównych, bolesnych spazmach. Bardzo chcę usiąść, choć wiem, że nie wolno.

Przed nami idzie mężczyzna, zatacza się jak pijany i opiera o latarnię. Pochylony, oddycha ciężko.

Mijamy go. Tak teraz wszyscy robimy, tacy się staliśmy. Gdy z trudem oddychając, oglądam się, widzę, że upadł w śnieg. Wiem, że gdy będziemy wracać, zobaczymy tu leżące sine, zamarznięte ciało…

– Nie patrz – mówi Sasza.

– I tak widzę – odpowiadam i brnę dalej. Jak tego nie widzieć? Podobno co dzień umierają trzy tysiące ludzi, głównie starsi mężczyźni i małe dzieci. My, kobiety, jesteśmy silniejsze.

Na szczęście Sasza jest wojskowym, więc tylko kilka godzin stoimy w kolejce po świadectwo zgonu. Stracimy rację żywnościową mamy, ale ukrywanie przed władzami jej śmierci byłoby znacznie niebezpieczniejsze niż głód.

Kiedy kończy się ciepło, jakie daje stanie w kolejce, jestem potwornie wyczerpana. Głód boleśnie ściska żołądek i czuję się tak jakoś dziwnie. Płaczę, a łzy natychmiast zamarzają na policzkach.

Szkoda, że na cmentarzu są latarnie, wolałabym, żeby było ciemno. A tak widać wyraźnie, gdzie leżą ciała, choć zasypane są śniegiem, okryte jego białym całunem. Te przy cmentarnej bramie przypominają kłody drewna.

Ziemia jest zbyt zmarznięta na pochówki. Powinnam to wiedzieć. I wiedziałabym, gdyby mój umysł pracował normalnie, ale głód ogłupia i spowalnia reakcje.

Sasza patrzy na mnie tak smutno, że wprost trudno to znieść. Mam ochotę się poddać, osunąć się w śnieg i niczym się nie przejmować.

– Nie mogę zostawić jej tutaj. – Nie jestem nawet w stanie policzyć leżących ciał. Zabrać z powrotem do domu też nie można, choć tak robiło wielu naszych sąsiadów. Po prostu wydzielili w mieszkaniu miejsce dla zmarłych. Ja tak nie mogę.

Sasza kiwa głową i ciągnie sanki przez ciemny, cichy cmentarz, omijając śnieżne pagórki.

Trzymamy się za ręce. To jedyny sposób, żeby się nie zgubić. Dochodzimy do otwartej przestrzeni pod drzewem pokrytym szadzią. Może pod jego osłoną będzie bezpieczna. Ja nie potrafiłam jej uchronić. Nasze głosy odbijają się głuchym echem, kiedy oboje mówimy naraz, że to dobre miejsce. Łatwo poznać po drzewie i tutaj pewnego dnia ją odnajdę albo przynajmniej będę mieć gdzie ją wspominać. Odtąd zawsze czternastego grudnia będę o niej myśleć, gdziekolwiek się znajdę. Niewiele, ale lepsze to niż nic.

Klękam w śniegu, nawet w rękawicach palce drżą z zimna, gdy rozwiązuję sznur i oswobadzam zamarznięte ciało.

– Przepraszam cię, mamo – szepczę, a zęby mi szczękają z zimna. Jak ślepiec w ciemności dotykam jej twarzy, usiłuję ją zapamiętać. – Wrócę do ciebie, jak przyjdzie wiosna.

– Chodźmy. – Sasza pomaga mi wstać. Wiem, że nawet w takiej chwili nie powinnam klękać w śniegu. Kolana mam teraz jeszcze zimniejsze. Zaraz stopy mi zdrętwieją.

Zostawiamy ją tam. Samą.

– Nic więcej nie mogliśmy zrobić – mówi Sasza później, kiedy brniemy do domu, oddychając ciężko i nierówno.

Chcę tylko się położyć, jestem tak głodna, zmęczona i smutna. Nieważne, że wtedy umrę.

– Tak – odpowiadam. Nic już mnie nie obchodzi. Marzę, żeby przystanąć na chwilę.

Ale Sasza ciągnie mnie naprzód, a gdy po powrocie do domu tulimy się na łóżku razem z naszymi dziećmi, dziękuję Bogu, że mój mąż był przy mnie.

– Nie poddawaj się – szepcze do mnie tej nocy. – Znajdę jakiś sposób, żeby was stąd wydostać.

Obiecuję mu to.

Zgadzam się nie poddawać. W tym momencie jeszcze nie wiem, co to będzie oznaczało.

Rano Sasza całuje mnie w policzek, szepcze, że mnie kocha, i wychodzi.

Pod koniec grudnia miasto powoli zamarza na śmierć. Niemal cały czas jest ciemno. Ptaki spadają z nieba jak kamienie. Pamiętam, że pierwsze zdychają wrony. Jest niemożliwie zimno. Dwadzieścia stopni poniżej zera to zwykła temperatura. Tramwaje zatrzymują się nagle jak dziecinne zabawki, które przestały się podobać. Pękają rury z wodą.

Wszędzie widać sanki. Ciągnięte przez kobiety, służą do transportu różnych rzeczy. Drewna ze spalonych budynków. Wody z Newy. Wszystkiego, co da się spalić lub zjeść.

Zdziwilibyście się, co można jeść. Podobno kiełbasa sprzedawana na targu zrobiona jest z ludzkiego mięsa. Nie chodzę na targ. Nie ma sensu. Piękne

futra i biżuterię sprzedają tam za pół darmo, a wytłoki z magazynowych zmiotków i trocin osiągają ceny niebotyczne.

Jak najmniej się ruszamy, moje dzieci i ja. W mieszkaniu jest cały czas ciemno – tylko rano pojawia się błysk świtu. Świec zostało nam niewiele. Nasza mała burżujka to w tej chwili dla nas wszystko. Ciepło i światło. Życie. Spaliliśmy większość mebli, zostało tylko kilka rzeczy.

Opatuleni czym się da, w nocy grzejemy się nawzajem. Ranki są trudne, budzimy się wolno. Leżymy pod wszystkimi kocami, jakie mamy, łóżko dosunięte jest jak najbliżej piecyka. Mimo to mamy szron we włosach. Lew zaczął kaszleć, co mnie bardzo martwi. Zmuszam go do picia gorącej wody, ale on nie chce. Trudno mieć do niego pretensję. Nawet po zagotowaniu woda ma nieprzyjemny zapaszek. Na zlodowaciałej rzece też leżą trupy.

Wstaję zmarznięta i bez sił i zdarza się, że bardzo długo wyłamuję nogę krzesła albo rąbię na kawałki szufladę, żeby mieć opał. W uszach mi dzwoni, często kręci się w głowie. Zdarza się, że się przewracam. Teraz mogę wymacać u siebie każdą, nawet najdrobniejszą kosteczkę. A jednak uśmiecham się, kiedy pocałunkiem budzę moje dzieci.

Anja protestuje jękiem, ale wolę to, niż jak Lew leży nieruchomo.

Potrząsam nim mocno, wołam po imieniu. Gdy otwiera oczy, nie mogę się pohamować i padam na kolana.

– Głuptasku – mówię, ocierając łzy. Nic nie słyszę, tak dudni mi w uszach i tak głośno wali serce.

Dałabym wszystko, by usłyszeć od niego, że jest głodny.

Robię nam po kubku gorącej wody zaprawionej drożdżami. Nie jest to odżywcze, lecz jakoś wypełnia żołądek. Z namaszczeniem biorę kawałek czarnego chleba – końcówka racji z tego tygodnia – i kroję na trzy części. Najchętniej dałabym im wszystko, ale wiem, że nie powinnam. Beze mnie sobie nie poradzą, więc muszę jeść.

Kroimy swoje kawałki kromki na wąskie paski i zjadamy je jak najwolniej. Połowę mojej porcji wkładam do kieszeni na później. Wstaję i ubieram się we wszystko, co mam.

Dzieci leżą w łóżku, przytulone do siebie. Nawet z daleka widać, że coraz bardziej przypominają szkielety obciągnięte skórą. Kiedy ostatni raz myłam Lwa, była to sama skóra i ostro sterczące kości.

Podchodzę i siadam na łóżku. Dotykam policzka synka, naciągam mu na uszy włóczkową czapkę.

– Nie idź, mamo – prosi.

– Muszę.

Taka rozmowa odbywa się co dzień. One już niewiele potrafią wykrzesać z siebie, już nie walczą.

– Może znajdę dla nas jakiś cukierek, chciałbyś?

– Cukierek. – Rozmarza się, kładąc główkę na poduszce.

Anja patrzy na mnie. Nie jest chora jak brat, tylko wycieńczona głodem jak ja.

– Nie powinnaś obiecywać mu cukierka – mówi surowo.

– Och, dziecino! – Przytulam ją mocno, mocno. Całuję spękane usteczka. Oddechy mamy strasznie nieświeże, ale to nieważne.

– Mamo, ja nie chcę umrzeć – mówi.

– Nie umrzesz, dusza maja. Nie dopuścimy do tego.

„Moja dusza".

Ona jest moją duszą. Oboje są. Tylko dlatego co dzień wstaję, ubieram się i idę do pracy.

Ciągnę sanki w lodowatych ciemnościach wczesnego poranka. W bibliotece idę do jedynej czytelni, jaka jest jeszcze otwarta. Olejowe lampki rzucają nieduże plamy światła. Wielu pracowników jest tak chorych, że z trudem się ruszają. Ci, którzy mają więcej sił, porządkują książki i przygotowują odpowiedzi na zapytania rządu i wojska. Chodzimy też do zbombardowanych domów szukać książek. Staramy się ratować, co się da. Kiedy nie ma nic do roboty, idę do kolejki. Dzisiaj mam szczęście – trafił się słoik kwaszonej kapusty i porcja chleba.

Droga powrotna do domu to gehenna. Nogi mam słabe, oddycham z trudem, kręci mi się w głowie. Wokół leżą trupy. Już ich nawet nie omijam, nie mam siły nadkładać drogi.

W połowie drogi wyjmuję z kieszeni malutki kawałek chleba z porannego posiłku. Wkładam do ust i długo trzymam na języku.

Chwieję się na nogach, a w uszach znów słyszę ten ryk. W ciągu ostatnich tygodni przyzwyczaiłam się do niego.

Widzę przed sobą ławkę.

Usiąść. Zamknąć oczy choć na chwilę…

Jestem wykończona. Bolesne ssanie w żołądku ustąpiło, teraz naszło mnie zmęczenie. To przez walkę o każdy oddech.

I nagle ku memu wielkiemu zdziwieniu widzę przed sobą Saszę. Wygląda tak samo jak tego dnia, kiedy się poznaliśmy, wiele lat temu, w innym życiu. Nie ma na sobie palta, a jego włosy są długie i złote.

– Sasza – słyszę swój skrzeczący głos. Chcę podbiec, ale nogi odmawiają posłuszeństwa. Osuwam się na kolana w głęboki śnieg.

Czuję go przy sobie, obejmuje mnie ramieniem. Oddech ma ciepły i pachnie czereśniami.

Czereśnie. Ojciec je nam przynosił…

I miód.

Zamykam oczy, zgłodniała tego smaku i tego słodkiego oddechu.

Czuję zapach barszczu mamy.

– Wstawaj, Wiero.

Najpierw jest to głos Saszy, dźwięczny i znajomy, a potem mój własny krzyk:

– Wstawaj, Wiero!

Jestem sama. Nikt przy mnie nie stoi, nie ma też pachnącego miodem i czereśniami oddechu mojego ukochanego. Jestem tylko ja, klęczę w głębokim śniegu, pomału zamarzam na śmierć.

Myślę o chichotach Lwa, o poważnym spojrzeniu Anji i o pocałunkach Saszy.

Z wielkim trudem powoli wstaję.

Strasznie długo trwa, nim docieram wreszcie do domu, choć to nie jest daleko. Kiedy wchodzę do mieszkania, gdzie w porównaniu z dworem jest całkiem ciepło, znów padam na kolana.

Anja jest przy mnie. Obejmuje mnie mocno i trzyma.

Nie wiem, jak długo siedzimy na podłodze i trzymamy się w objęciach. W końcu zimno zapędza nas do łóżka.

Wieczorem po kolacji składającej się z gorącej kapusty i gotowanego kartofla – boskie – siedzimy przy burżujce.

– Mamo, opowiedz nam bajkę – prosi Anja. – Lew, chcesz?

Biorę synka na ręce i patrzę na jego bladą buzię, piękną w blasku ognia. Chcę opowiedzieć mu coś, co sprowadzi na niego dobre sny, lecz gardło mam

zaciśnięte, a usta tak popękane, że bolą przy mówieniu, więc po prostu trzymam w ramionach moje dzieci i tylko lodowata cisza kołysze nas do snu.

Myślicie pewnie, że nie może już być gorzej, ale może. I jest.

To najzimniejsza zima odnotowana w Leningradzie. Racje są nieustannie obcinane. Żeby nas ogrzać, palę kolejne ukochane książki ojca. Siedzę w zimnie i w ciemnościach, obejmując wychudzone dzieci, i opowiadam im historie. Anna Karenina. Wojna i pokój. Eugeniusz Oniegin. Tak często opowiadam im o tym, jak poznałam Saszę, że znam już słowa na pamięć.

Tamto dawne życie staje się coraz bardziej odległe. Pewnego dnia nie pamiętam, jak wygląda moja własna twarz, nie mówiąc o twarzy mego męża. Nie pamiętam przeszłości, lecz widzę przyszłość; widzę ją w zapadniętych buziach moich dzieci, w sinych wrzodach, które pojawiły się na bladej skórze Lwa.

Szkorbut.

Na szczęście pracuję w bibliotece. Z książek dowiaduję się, że witaminę C zawierają sosnowe igły, więc łamię gałęzie i wiozę na sankach do domu. Herbata z igieł jest gorzka, ale Lew już nie narzeka.

Wolałabym, żeby narzekał.

Ciemno. Zimno.

Słyszę oddechy dzieci leżących obok mnie. Każdy oddech Lwa przebija się przez warstwę flegmy. Sprawdzam czoło. Bogu dzięki, nie jest gorące.

Wiem, dlaczego się obudziłam. Zgasł ogień.

A ja nie mam siły wstać, żeby coś z tym robić.

Tak trudno się przed tym bronić. Jestem w stanie tylko leżeć i trzymać w ramionach moje dzieci. Mogłabym zasnąć na zawsze.

Są gorsze rodzaje śmierci.

Wtedy czuję nóżki Anji ocierające się o moje. Przez sen mruczy: „Tato”, a mnie się przypomina moja obietnica.

Wstawanie trwa w nieskończoność. Wszystko boli. W uszach mi dzwoni, mam zaburzenia równowagi. W połowie drogi do piecyka potykam się i upadam.

Kiedy budzę się z omdlenia, jestem zdezorientowana. Wydaje mi się, że słyszę ojca. Siedzi przy biurku i pisze. Pióro głośno skrobie, na grubym

papierze pojawiają się słowa.

Nie.

Podchodzę do półki z książkami. Został ostatni skarb: wiersze ojca.

Nie mogę ich spalić.

Może jutro, ale jeszcze nie dzisiaj. Biorę więc siekierę – jest taka ciężka – i odrąbuję boczną ściankę półki. Grube stare drewno, twarde jak żelazo, daje dużo ciepła.

Stoję przed ogniem i chwieję się na nogach.

Nagle dociera do mnie, że jeśli teraz się położę, umrę. Matka mi to powiedziała? Siostra? Nie pamiętam. Wiem tylko, że to prawda.

– Nie umrę w łóżku – mówię głośno. Podchodzę do jedynego mebla, jaki jeszcze został. Biurko ojca. Siadam przy nim owinięta kocem.

Czuję zapach ojca. Czyżby znowu halucynacje? Nie wiem. Biorę do ręki jego pióro, ale okazuje się, że atrament w kałamarzu zamarzł na kość. Mały metalowy kałamarz jest zimny jak lód. Niosę go do piecyka i oboje szybko się ogrzewamy. Robię sobie do picia kubek gorącej wody i wracam do biurka.

Zapalam lampę. Wiem, że głupio robię, powinnam oszczędzać olej, lecz nie mogę siedzieć w tym zimnie po ciemku. Poza tym coś trzeba robić, żeby żyć.

Będę pisać.

Nie jest za późno. Jeszcze nie umarłam.

„Nazywam się Wiera Pietrowna i jestem nikim…”.

Piszę i piszę, choć wiem, że papier ten i tak w końcu pójdzie do pieca. Ręka mi drży, litery skaczą jak antylopy. Jednak piszę. Noc pomału blednie.

Kilka godzin później przez gazety przesącza się jasnoszare światło dnia, a ja wiem, że odniosłam zwycięstwo.

Kiedy odkładam pióro, słyszę pukanie do drzwi. Zmuszam nogi do poruszania się.

Za drzwiami stoi nieznajomy mężczyzna w dużym czarnym wełnianym płaszczu i w wojskowej czapce.

– Wiera Pietrowna Marczenko?

Znam skądś ten głos, lecz nie potrafię skupić wzroku na twarzy przybysza. Mam jakieś problemy z widzeniem.

– To ja. Dima Newski z dołu. – Podaje mi butelkę czerwonego wina, torebkę cukierków i woreczek kartofli. – Mama nie może już jeść, jest bardzo chora. Właściwie umiera. Prosiła, żeby wam to dać. Dla dzieci, powiedziała.

– Dima – powtarzam, ale nadal nie rozumiem, kto to jest. Nie przypominam też sobie jego matki, choć to ma być moja sąsiadka.

Jedzenie biorę. Nie krępuję się. Kto wie? Pewnie mogłabym nawet zabić dla jedzenia.

– Dziękuję. – Już sama nie wiem, czy naprawdę to powiedziałam, czy chciałam powiedzieć, czy też wydawało mi się, że mówię.

– Jak tam Aleksander?

– Jak wszyscy. Zapraszam do środka. Będzie trochę cieplej…

– Dziękuję, ale muszę wracać do matki. Nie zostanę długo. Jutro z powrotem na front.

Po jego odejściu nabożnie wpatruję się w jedzenie. Uśmiecham się, kiedy budzę Lwa tego ranka.

– A ja mam dla ciebie cukierka…

W styczniu przywiązuję biednego Lwa do sanek. Taki jest słabiutki, że nie protestuje; ciałko ma sinoczarne i pokryte wrzodami. Za zimno, żeby Anja wstała z łóżka. Mówię, żeby czekała na nas.

Droga do szpitala zajmuje nam trzy godziny…

Czekający na lekarza poumierali w kolejce. Dokoła leżą trupy. Ten zapach.

Pochylam się nad Lwem, który jest jednocześnie chudziutki i spuchnięty. Malutka buźka przypomina głodującego kota.

– Jestem tutaj, mój lewku. – Nic innego nie potrafię wymyślić.

Zbliża się do nas pielęgniarka.

Dokoła setki chorych, a ona podchodzi właśnie do nas. Kiedy po zbadaniu Lwa podnosi głowę, widzę w jej oczach współczucie.

– Proszę – podaje mi kartkę. – Na to dostaniecie dla niego zupę z prosa i masło. W przychodni jest aspiryna.

– Dziękuję – mówię.

Patrzymy na siebie, wiedząc, że to i tak wszystko za mało.

– Ma na imię Lew.

– Mój syn jest Jurij.

Kiwam głową ze zrozumieniem. Czasem jedynie imię człowiekowi zostaje.

Po powrocie do domu gotuję wszystko, co mogę znaleźć. Zdzieram ze ścian tapetę. Makaron robi się z mąki i wody i ta właśnie mieszanina pęcznieje

podczas gotowania. Klej stolarski zachowuje się podobnie. Mój Boże, jakich ja przepisów uczę moją córkę.

Długo gotuję skórzany pasek Saszy, przyrządzam galaretę. Jest obrzydliwa w smaku, ale udaje się nakłonić Lwa, żeby troszkę zjadł…

W połowie stycznia przychodzi do nas kolega Saszy. Jest wyraźnie wstrząśnięty tym, co zobaczył. Przekazuje mi paczkę.

Po jego wyjściu wszyscy się na nią rzucamy. Lew nawet się uśmiecha.

W środku są papiery ewakuacyjne. Mamy wyjechać dwudziestego.

Pod dokumentami leży pęto kiełbasy i torebka orzechów.

W całkowitych ciemnościach pakuję całe moje życie, a jest tego niewiele. Nawet nie wiem, co zabrałam, a co tam zostało. Większość naszych rzeczy po prostu przemarzła, część została spalona. Pamiętam, że wzięłam wiersze ojca i ostatni tomik Anny Achmatowej. Zabieram całe jedzenie – kiełbasę, pół torby cebuli, cztery kawałki chleba, trochę wytłoków, ćwierć słoika oleju słonecznikowego i resztki kwaszonej kapusty.

Lwa muszę nieść. Buzia mu spuchła, ramiona pokryte ma wrzodami. Nie da rady iść sam. Tak mi trudno go budzić, kiedy śpi.

Wychodzimy z domu w ciemnościach poranka. Malutka Anja taszczy naszą jedyną walizkę. Jest w niej jedzenie. Wszystkie ubrania mamy na sobie.

Na dworze jest przeraźliwie zimno, pada gęsty śnieg. Przez całą długą drogę na stację ściskam moją córeczkę za rękę. Po dotarciu na miejsce obie jesteśmy wykończone.

W pociągu trzymamy się razem. Jest nas tylko troje, a wokół mnóstwo ludzi. Nikt nie rozmawia. Śmierdzi pleśnią, wyziewami ciał i nieświeżymi oddechami. I śmiercią. Ten zapach wszyscy rozpoznają.

Mam dzieci cały czas przy sobie. Daję im trochę wina, Lew nie jest zachwycony. Nie mogę wyjąć jedzenia, za dużo oczu patrzy. Mogliby mnie zabić za wytłoki, nie mówiąc o kiełbasie.

Grzebię w kieszeni płaszcza, do której nabrałam ziemi ze spalonych składów Badajewa.

Lew chciwie zjada brudne słodkie okruchy i z płaczem domaga się więcej. Mam tylko jedno wyjście: nacinam własny palec i wkładam mu do buzi. Ssie jak noworodek, pije moją ciepłą krew. Boli mnie, ale wolę taki ból niż ten,

który mnie rozdziera, gdy słyszę, jak mu świszcze w płucach czy jak ma rozpalone czoło.

Cichutko opowiadam o ich ojcu i o mnie. O miłości z bajki, która wydaje się taka daleka. Wtedy w pociągu, wśród stuku kół, gdy tak bardzo się boję, Lew kaszle, a Anja dopytuje się, kiedy zobaczymy papika, zaczynam nazywać mojego męża księciem, Stalina Czarnym Rycerzem, a Newa nabiera magicznych właściwości.

Podróż trwa w nieskończoność. Wszystko mnie boli od tego trzęsienia przez wiele godzin. Tylko bajka trzyma nas przy zdrowych zmysłach. Inaczej pewnie zaczęłabym płakać albo krzyczeć i już nigdy bym nie przestała.

W końcu dojeżdżamy do jeziora Ładoga. Jak okiem sięgnąć, wszędzie lód. Wszystko białe i zamglone. Jakbym oglądała świat przez obłok pary mojego własnego oddechu.

Znajdujemy się na początku lodowej drogi.

25

Wojsko przez kilka miesięcy wytyczało lodowy szlak przez zamarzniętą Ładogę. Już jest gotowy, ludzie nazywają go drogą życia. Podobno wkrótce zaczną tędy jeździć transporty z zaopatrzeniem dla Leningradu. Dotąd ciężarówki zapadały się pod lód. Oczywiście Niemcy nieustannie je bombardowali.

Sprawdzam, czy dzieciom jest ciepło. Wszystko w porządku, tak jak było, kiedy opuszczaliśmy Leningrad. Oboje opatuleni są dodatkowo gazetami, mają na sobie wszystkie swoje ubrania. Głowy i szyje starannie owijamy szalikami. Staram się zakryć wszystko, nawet mały zaczerwieniony nosek Lwa.

Oddychanie na takim zimnie wywołuje ból w płucach. Stojący obok mnie Lew znów zaczyna kaszleć.

Na czarnym niebie wznosi się księżyc w pełni, rzucający na śnieg niebieską poświatę. Stoimy wszyscy razem, jak bydło w stadzie. Wiele osób kaszle, jakieś dziecko płacze. Myślę sobie: Szkoda, że to nie Lew. Jego cichy spokój mnie przeraża.

– Mamo, co robimy? – pyta Anja.

– Poszukamy ciężarówki. Weź mnie za rękę.

Zaczynam iść, oczy mi łzawią i pieką. Lwa niosę, a choć jest taki chudziutki, bardzo mi ciąży i ledwo się ruszam. Każdy krok wymaga skupienia i siły woli. Pochylam się do przodu i w ten sposób stawiam opór wyjącemu wichrowi. Jedynym realnym odniesieniem w tym lodowym niebiesko-czarnym świecie jest rączka mojej córki w mojej dłoni. Gdzieś daleko słyszę głos silnika chodzącego na luzie. Mam nadzieję, że to konwój.

– Chodźmy! – usiłuję przekrzyczeć wiatr i nie wiem, czy mi się to udaje. Jest mi tak zimno, że bolą mnie nawet kolana. Boli zginanie palców, gdy biorę Anję za rączkę.

Idę.

I idę.

I idę.

I nic nie ma. Lód, czarne niebo i dalekie wybuchy dział przeciwlotniczych.

Myślę: Trzeba się pośpieszyć. I jeszcze: Moje dzieci. Nagle czuję, że Sasza jest przy mnie. Grzeje mnie swoim oddechem. Szepcze o miłości i o domu, który zbudujemy dla siebie na Alasce. Mówi, że teraz mogę odpocząć.

– Tylko na chwilę. – Padam na kolana, jeszcze zanim zdążyłam wypowiedzieć te słowa.

Świat jest cichy. Ktoś się śmieje, zupełnie jak Olga. Poszukam jej, ale najpierw się zdrzemnę. Takie myśli przychodzą mi do głowy.

Zamykam oczy.

– Mamo.

– Mamo.

– Mamo.

Krzyczy mi prosto w twarz.

Podnoszę wolno powieki i widzę Anję. Moja córka zdjęła szalik i okręca go wokół mojej szyi.

– Musisz wstać, mamo. – Szarpie mnie.

Widzę, że Lew zwisa bezwładnie w moich ramionach, główka leci mu do tyłu. Lecz czuję jego oddech.

Rozwijam szalik z powrotem i okręcam buzię Anji.

– Nie zdejmuj szalika. Nikomu go nie dawaj. Nawet mnie.

– Ale ja cię kocham, mamo.

Te słowa dają mi siłę. Zaciskając zęby w przewidywaniu tego bólu, który ma dopiero nadejść, dźwigam się na nogi i znów zaczynam iść.

Jeden krok, potem drugi, potem następny, aż tuż przede mną materializuje się ciężarówka.

Kierowca w za dużym białym kombinezonie stoi obok szoferki i pali papierosa. Zapach ten od razu przypomina mi matkę.

– Możemy się z wami zabrać? – pytam i słyszę, jak głos mi się łamie, jaki jest słaby.

Mężczyzna nie jest wynędzniały. Znaczy, że to ktoś ważny. Na pewno należy do partii. Wzbiera we mnie nadzieja.

Nachyla się nad Lwem.

– Martwy?

Potrząsam głową.

– Nie. Tylko śpi. Proszę. – Jestem w desperacji. Inne ciężarówki zaczynają odjeżdżać, a ja wiem, że umrę tu dzisiaj, jeśli nikt mnie nie zabierze. Wyjmuję emaliowanego motyla zrobionego przez dziadka.

– Proszę – powtarzam.

– Nie, mamo. – Anja zabiera mi motyla.

Mężczyzna się krzywi.

– Za byle jakie świecidełko?

Zdejmuję rękawicę i ściągam obrączkę.

– Jest złota. Proszę…

Patrzy na mnie z pogardą i zaciąga się po raz ostatni, a potem rzuca niedopałek w śnieg.

– Niech ci będzie, babciu. – Chowa obrączkę do kieszeni. – Wsiadaj. Wezmę ciebie i wnuki.

Taka jestem wdzięczna, że z początku nie dociera do mnie, co powiedział. Dopiero później, kiedy wszyscy siedzimy w szoferce.

Babcia.

Wziął mnie za staruszkę. Ściągam szal i patrzę w lusterko.

Włosy mam białe jak śnieg.

Przez lód jedziemy za dnia. Nie jest oczywiście bardzo jasno, ale wystarczająco, bym wiedziała gdzie jesteśmy.

Niekończący się śnieg. Sznur ciężarówek pełnych jedzenia dla mojego biednego Leningradu. Żołnierze w białych kombinezonach. Niedaleko – jakieś trzysta metrów – jest stacja kolejowa, następny punkt wędrówki.

Nagle zaczyna się nalot. Kierowca zatrzymuje się i wysiada.

Nie mam ochoty wysiąść, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, co nam grozi w ciężarówce. W baku jest paliwo, wóz nie ma kamuflażu. Trudno o bardziej wyraźny cel. Ale tu jest ciepło, a my tak długo… W tym momencie spoglądam na Lwa i zapominam o wszystkim.

Mój synek nie oddycha.

Mocno nim potrząsam, rozpinam paltko. Wyciągam gazety. Jego klatka piersiowa to same kości i zsiniała skóra pokryta wrzodami.

– Obudź się, Lewku. Oddychaj, postaraj się. – Przykładam usta do jego buzi i oddycham za niego.

Wreszcie drży lekko w moich ramionach i czuję kwaśny oddech wpadający mi do ust.

Płacze.

Tulę go mocno do serca i też płaczę.

– Nie zostawiaj mnie! – wołam. – Nie przeżyję tego.

– Mamo, jakie on ma gorące ręce – mówi Anja. Jest przestraszona moim krzykiem.

Dotykam jego czoła.

Rozpalone. Ręce mi się trzęsą, kiedy upycham z powrotem gazety, zapinam sweterek i palto.

Wysiadamy na mróz.

Anja prowadzi, bo ja jestem tak skupiona na synku, że nie zwracam najmniejszej uwagi na bomby i strzały. Gdzieś blisko wybucha ciężarówka.

Jesteśmy w oku cyklonu. Dokoła jeżdżą samochody, stukają na lodzie kopyta koni ciągnących wozy, biegają żołnierze, a biedni, zagłodzeni niemal na śmierć uchodźcy z Leningradu rozpaczliwie szukają kogoś, kto podwiezie ich choć kawałek.

W końcu trafiamy do izby chorych. Mieści się w brudnych, podartych i łopoczących na wietrze białych namiotach rozstawionych na śnieżnym polu.

To nie jest żaden szpital, to miejsce dla umierających i umarłych. Nic więcej. I ten straszliwy odór. Ludzie leżą we własnych zamarzających odchodach. Jęczą.

Nie mam odwagi położyć nigdzie Lwa. Boję się, że tu mu się pogorszy. Mam wrażenie, że już przez kilka godzin szukamy kogoś, kto by nam pomógł.

W końcu natykam się na starszego pana z laską, patrzącego nieruchomo przed siebie. Ale ma na sobie biały kitel, więc podchodzę do niego.

– Proszę. – Wyciągam błagalnie ręce. – Mój syn ma wysoką gorączkę.

Człowiek ten odwraca się do mnie. Widać, że jest śmiertelnie zmęczony. Ręce mu drżą, gdy bada Lwa. On też na palcach ma wrzody.

Przykłada rękę do czoła mego synka i spogląda na mnie.

Nigdy nie zapomnę jego wzroku. Bogu dzięki, że nic przy tym nie mówi.

– Zabierzcie go do szpitala w Czerepowcu. – Wzrusza ramionami. – Może…

Nie proszę go, żeby powiedział coś więcej. Nawet tego nie chcę.

Daje mi cztery białe pigułki.

– Dwie dziennie – mówi. – Popić czystą wodą. Kiedy ostatni raz jadł?

Tylko potrząsam głową. Jak powiedzieć prawdę? Że nie można go zmusić do jedzenia?

– Czerepowiec – powtarza i odchodzi. Co chwila ktoś go zaczepia i prosi o pomoc.

– Chodźmy.

Biorę Anję za rękę i ruszamy w kolejną ciężką i bolesną wędrówkę z izby przyjęć przez śnieżne pole na stację kolejową. Papiery mamy w porządku, więc wpuszczają nas do wagonu, gdzie jest niemożliwie ciasno. Dla mnie i dla moich dzieci nie ma miejsca, więc siadamy na zimnej podłodze. Lwa trzymam na kolanach, Anja jest tuż koło mnie. Kiedy zapada zmrok i robi się ciemno, wyciągam orzechy. Daję kilka Anji, boję się jej dawać za dużo. Sama też kilka zjadam. Udaje mi się skłonić Lwa, żeby połknął jedną tabletkę i popił wodą, którą dla niego przyniosłam.

Czeka nas długa i straszna noc.

Co chwila pochylam się i sprawdzam, czy Lew jeszcze oddycha.

Pamiętam, jak raz się zatrzymaliśmy. Drzwi pociągu się otworzyły i ktoś krzyknął:

– Są zmarli? Zmarli? Dawać tutaj.

Jakieś ręce sięgają po Lwa, próbują go wydrzeć z moich ramion.

Trzymam synka kurczowo.

– On oddycha, oddycha! – krzyczę.

Drzwi się zamykają i znowu robi się ciemno. Anja przysuwa się do mnie. Słyszę, jak płacze.

W Czerepowcu nie jest lepiej. Mamy tu spędzić jeden dzień. Na początku myślę, że to dobrze, bo podleczymy trochę Lwa, zanim wsiądziemy do następnego pociągu, lecz synek jest coraz słabszy. Staram się nie dostrzegać prawdy, ale ona leży w moich ramionach. Lew cały czas kaszle. Teraz w plwocinie pojawiła się krew. Jest rozpalony i ma dreszcze. Nie je ani nie pije.

Szpital w Czerepowcu jest odrażający. Wszyscy chorują na dyzenterię i szkorbut. Co chwila wchodzi nowy przybysz z Leningradu, szukający pomocy. Co godzina ciężarówki wywożą stąd trupy. Ludzie umierają tam, gdzie stoją.

Dobrze, że jestem taka słaba z głodu, bo nie mam siły biegać z miejsca na miejsce i żebrać o pomoc. Stoję w ponurym, zimnym korytarzu z moim

synkiem na rękach. Kiedy ktoś mnie mija, błagam szeptem:

– Pomóżcie mu. Proszę.

Anja śpi skulona na zimnej podłodze, ssąc kciuk. Zatrzymuje się przy nas pielęgniarka.

– Proszę mu pomóc. – Podaję jej Lwa.

Bierze go bardzo delikatnie. Staram się nie myśleć o tym, jak głowa leci mu do tyłu.

– Dystrofia – mówi. – Trzeci stopień. Czwartego już nie ma. – Widząc moje puste spojrzenie, dodaje: – Umiera. Lecz gdybyśmy podali mu płyny… może. Wezmę go do doktora. Potrwa to parę dni, będzie ciężko, ale kto wie…

Pielęgniarka jest młoda. Taka jak ja byłam przed wojną. Nie wiem, czy mogę jej wierzyć.

– Mam papiery ewakuacyjne. Jutro podobno jedziemy pociągiem do Wołogdy.

– Nie wpuszczą go do pociągu – mówi pielęgniarka. – Nie w takim stanie.

– Jeżeli zostaniemy, potem nie kupimy biletów. Umrzemy tutaj.

Pielęgniarka nic nie odpowiada. Kłamstwo to strata czasu.

– Czy można go zacząć leczyć od razu? – pytam. – Może do jutra mu się polepszy.

Pielęgniarka nie potrafi ukryć litości.

– Oczywiście. Może do jutra mu się polepszy.

I tak się dzieje.

Jest lepiej.

Po nocy, którą obie z Anją spędziłyśmy skulone na podłodze przy brudnym szpitalnym łóżeczku Lwa, budzę się obolała i zziębnięta. Szybko klękam i patrzę na synka, a wtedy okazuje się, że on nie śpi. Pierwszy raz od dawna niebieskie oczy są czyste i klarowne.

– Dzień dobry, mamusiu – mówi głosem chrapliwym jak skrzeczenie żaby, który rani mi serce. – Gdzie jesteśmy? Gdzie papik?

Szybko budzę Anję.

– Jesteśmy przy tobie, dziecinko. Jedziemy do papika. Czeka na nas w Wołogdzie.

Uśmiecham się i płacząc, patrzę na mego synka, na moje dziecko. Nie wiem, czy to łzy przesłaniają mi wzrok, czy może nadzieja, że nie dostrzegam

prawdy. Jestem dorosła i powinnam dobrze wiedzieć, ale rozsądek wyparował, gdy tylko usłyszałam jego głos. Nie chcę widzieć, że nadal jest siny, a z wrzodów na piersi sączy się żółta ciecz. Nie chcę słyszeć, jak fatalnie kaszle. Ja widzę Lwa. Mojego małego lewka. Moje dziecko z najbardziej na świecie niebieskimi oczami i najśliczniejszym śmiechem.

Przychodzi pielęgniarka i mówi, że czas iść do pociągu, a ja nie wiem, co robić.

– Jemu jest lepiej – powtarzam uparcie.

Zapada cisza, przerywana tylko kaszlem Lwa i odległym rata-tata-ta broni maszynowej. Pielęgniarka znacząco patrzy na Anję.

Pierwszy raz zauważam, że moja córeczka jest bardzo bledziutka, że usta ma szare i spierzchnięte, a na szyi ropiejące wrzody. Włosy wychodzą jej garściami.

Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć?

– Ale… – Rozglądam się. – Dlaczego nie wezmą go do pociągu?

– Brakuje miejsc, tylu jest uchodźców. Nie chcą zabierać umierających. Macie papiery dla siebie i dla córki, tak?

Jak to jest, że dotąd nie rozumiałam, o co jej chodzi? I jak mam wyrazić, co czuję, kiedy dociera do mnie prawda? Nóż w sercu mniej by bolał.

– Mam go zostawić, żeby umarł? Sam?

– On i tak umrze. – Pielęgniarka patrzy na Anję. – Ją można jeszcze uratować. – Dotyka mojego ramienia. – Współczuję.

Stoję jak skamieniała, ona idzie do swoich zajęć. Nie wiem, ile czasu to trwa; dopiero gdy z dala dobiega gwizd lokomotywy, spoglądam na moją córkę, którą kocham bardziej niż własne życie, i na mojego umierającego synka.

– Mamo? – odzywa się Anja niepewnie.

Biorę ją za rękę i wychodzimy ze szpitala. Idziemy do pociągu. Tam klękam przed nią.

Jest taka mała. Ma na sobie jasnoczerwone paltko, a na nogach za duże na nią walonki.

– Mamo?

– Nie mogę zostawić Lwa samego – tłumaczę i słyszę, jak głos mi się łamie. Prawda brzmi: „Nie chcę, żeby umarł sam”. Ale jak coś takiego powiedzieć pięciolatce? Przecież ona nie zdaje sobie sprawy, że właśnie dokonuję wyboru,

do jakiego żadna matka nigdy nie powinna być zmuszona. Czy znienawidzi mnie za to?

Jej buzia marszczy się w znajomym grymasie, a mnie serce się kraje. Przez chwilę jest taka, jaka była kiedyś.

– Ale…

– Jesteś moją silną córeczką. Poradzisz sobie.

Kręci główką i zaczyna płakać.

– Nie, mamo. Zostanę z tobą.

Sięgam do kieszeni i wyjmuję skrawek papieru. Jeszcze pachnie kiełbasą i żołądek aż mi się skręca od tego zapachu. Piszę imię i nazwisko mego dziecka i przypinam kartkę do paltka.

– Papik będzie czekał na ciebie w Wołogdzie. Znajdziesz go. Powiedz mu, że przyjedziemy we środę. Spotkacie nas na dworcu.

To kłamstwo. Gorzkie. Ale ona mi ufa.

Nie pozwalam, żeby się do mnie przytuliła. Usiłuje mnie dosięgnąć, lecz ją wpycham w otaczający nas tłum.

Tuż obok stoi jakaś kobieta. Anja wpada na nią, kobieta chwieje się i przeklina.

– Mamo…

Popycham ją w stronę obcej kobiety, która patrzy na mnie szklistym wzrokiem.

– Proszę wziąć moją córkę – mówię. – Ma papiery. Jej ojciec będzie czekał w Wołogdzie. Aleksander Iwanowicz Marczenko.

– Nie, mamo. – Anja płacze i wyciąga do mnie ręce.

Chcę ją odepchnąć mocniej i nie potrafię. W ostatniej chwili chwytam ją w ramiona, tuląc do siebie.

Pociąg gwiżdże. Ktoś krzyczy:

– Czy ona jedzie?!

Zdejmuję rączkę Anji z szyi.

– Bądź silna, Anju. Kocham cię, dusza maja.

Jak można nazwać kogoś swoją duszą i go odepchnąć? A ja tak właśnie robię. Właśnie tak.

W ostatniej chwili daję jej motyla.

– Przechowaj go dla mnie. Przyjadę po niego. I po ciebie.

– Nie, mamo…

– Obiecuję. – Podnoszę ją do góry i wkładam w obce ramiona.

Płacze, woła mnie i usiłuje się uwolnić. Drzwi pociągu się zamykają.

Długo stoję, a pociąg coraz bardziej maleje w dali, aż w końcu całkiem niknie. Niemcy znowu bombardują. Słyszę wybuchy dokoła, ludzie krzyczą, odłamki spadają na blaszane dachy.

Nie obchodzi mnie to.

W drodze powrotnej do szpitala coś mi wypada z kieszeni, ale nawet nie patrzę na ziemię. Nie interesuje mnie, co zgubiłam. Przez zwały brudnego śniegu przedzieram się do mego syna.

Pustka po odjeździe Anji jest jak nóż w sercu. Dusi mnie za gardło. Lecz mówię sobie, że postąpiłam słusznie.

Zatrzymam Lwa przy życiu siłą woli. Sasza znajdzie Anję w Wołogdzie i wszyscy czworo spotkamy się w środę.

Jakie to piękne marzenie. Staram się zachować je jak najdłużej, chronię jak wątły płomyk świecy, osłaniany w dłoniach.

W szpitalu jest ciemno. I ten zapach nie do zniesienia. I zimno. Tu, w środku, czuje się wiatr wyjący na dworze, wciskający się w każdą szparę i szczelinę, szukający drogi dostępu.

Leżący w wąskim łóżeczku Lew porusza przez sen ustami, przeżuwając jedzenie, którego nie ma. Kaszle teraz niemal cały czas, wypluwa przy tym krew, która tworzy koronkowy deseń na tle jasnego koca.

Nie mogę tego dłużej znieść. Wciskam się do łóżeczka i biorę go w ramiona. Wtula się we mnie jak wtedy, gdy był całkiem malutki, mruczy „mama” przez sen. Słuchanie jego oddechu jest dla mnie torturą.

Głaszczę gorące, wilgotne czoło. Rękę mam lodowatą, ale muszę go dotykać, żeby czuł moją obecność. Zagarniam go w siebie. Śpiewam jego ulubione piosenki i opowiadam ulubione bajki. Od czasu do czasu budzi się, uśmiecha się do mnie słabiutko i prosi o cukierka.

– Nie mam cukierka. – Całuję zapadnięte sine policzki. Nacinam znowu palec i daję mu ssać, póki nie zaczyna mnie tak boleć, że muszę przestać.

Śpiewam, choć nie pamiętam w ogóle słów. I nagle zdaję sobie sprawę, że on nie oddycha.

Całuję zimny policzek i usta i zdaje mi się, że słyszę, jak on mówi: „Kocham cię, mamusiu”. Ale oczywiście to tylko moja wyobraźnia. Czy kiedykolwiek zapomnę, jak to było, kiedy on dzień po dniu powoli umierał? I o tym, że to ja do tego dopuściłam? Z rozpaczą myślę, że nie powinniśmy byli wyjeżdżać z Leningradu.

Nie sądziłam, że zniosę tak straszliwy ból, a jednak. Tego dnia i przez początek następnego leżę przy nim i trzymam w ramionach coraz zimniejsze ciałko. W zwykłych czasach nie pozwolono by mi na to, ale te czasy są bardzo odległe od zwykłych. W końcu wypuszczam z ramion mego synka i wstaję.

Wolałabym leżeć z nim tak na zawsze i pomału umierać z głodu, lecz nie mogę tego zrobić. Obiecałam Saszy.

„Żyj” – prosił.

I tak z pustymi ramionami i sercem ciężkim jak kamień zostawiam swoje martwe dziecko samo w łóżeczku przy drzwiach i znowu ruszam przed siebie. Zostanie mi po nim jedynie ta data w kalendarzu i pluszowy króliczek, który jest w mojej walizce.

Nie powiem wam, co zrobiłam, żeby zdobyć miejsce w pociągu jadącym na wschód. To zresztą bez znaczenia. I tak nie jestem sobą, tylko wycieńczonym ciałem o posiwiałych włosach i nie ma dla mnie odpoczynku, a tak bardzo pragnę położyć się gdziekolwiek, zamknąć oczy i więcej nie wstawać. Ból utraty, który towarzyszy mi cały czas, tak kusi, tak kusi…

Anja.

Sasza.

Tych słów się trzymam, choć chwilami zapominam, o kim tak marzę. Z mojego miejsca w pociągu widzę zniszczony krajobraz. Wszędzie trupy. Ziemia poorana bliznami po bombach. Wieczny odgłos samolotów i broni maszynowej.

Pociąg wolno posuwa się naprzód, przystając po drodze nawet w całkiem małych miejscowościach. Na każdej stacji wygłodniali ludzie biją się o to, by dołączyć do brudnych, wymęczonych, patrzących nieprzytomnym wzrokiem pasażerów. Wszyscy chcą uciekać na wschód. Wokół słychać szeptane na ucho opowieści o ciężkich walkach, jakie toczą się tam, dokąd zmierzamy, ale ich nie słucham. Nie obchodzi mnie to. Mam w środku pustkę, nie potrafię się niczym przejmować.

Staje się cud. Wreszcie dojeżdżamy do Wołogdy. Kiedy drzwi pociągu się otwierają, uświadamiam sobie, że nie sądziłam, iż tu dojadę.

Pamiętam, że się uśmiechnęłam.

Uśmiecham się.

Upycham włosy pod chustkę, żeby Sasza nie zobaczył, jak bardzo się postarzałam. Ściskam małą walizkę z całym moim dobytkiem – naszym dobytkiem – i przedzieram się przez tłum.

Ludzie szybko się rozchodzą, niektórzy krążą w pobliżu, pewnie szukając czegoś do jedzenia albo swoich bliskich.

Stoję tam i nagle osoby znajdujące się najbliżej mnie zaczynają się rozbiegać. W dali słychać samoloty. Wiadomo, co to oznacza. Rozlega się alarm przeciwlotniczy i wszyscy szukają schronienia. Niektórzy chowają się w rowach.

Jakieś sto metrów dalej widzę Saszę. Trzyma za rękę Anję, która w jasnoczerwonym paltku wygląda jak mały okrągły czerwony ptaszek na śniegu.

Robię krok w ich stronę, z oczu płyną mi łzy. Stopy mam popuchnięte i pokryte wrzodami, ale nie zważam na ból. Mówię sobie: „Tam są moi kochani bliscy”. Biegnę. Tak bardzo pragnę, by Sasza wziął mnie w ramiona, że przestaję w ogóle myśleć.

Głupia.

Za późno słyszę padającą bombę. Teraz już wiem, że ten syczący świst to nie był mój własny świszczący oddech. W jednej chwili wszystko wybucha: pociąg, drzewo tuż obok, ciężarówka na poboczu.

Przez ułamek sekundy jeszcze widzę Saszę i Anję. Potem lecą w powietrzu w dwie różne strony, a za nimi jest ściana ognia…

Budzę się w szpitalnym namiocie. Pomału wraca mi pamięć, zrywam się.

Dokoła leżą poparzeni, poranieni ludzie. Krzyczą i jęczą.

Stwierdzam, że nie widzę kolorów. Gorzej słyszę, jakbym miała watę w uszach. Podrapany i skaleczony policzek krwawi, ale prawie nie czuję bólu.

Czerwonopomarańczowa barwa ognia jest ostatnim kolorem, jaki widziałam w życiu.

– Nie powinniście jeszcze wstawać – mówi do mnie jakiś człowiek w podartym kitlu. Jest potwornie zmęczony, jak ktoś, kto widział zbyt wiele

okropności.

– Mój mąż! – krzyczę, żeby słyszeć własny głos w tym zgiełku. W uszach mi dzwoni. – Moja córeczka. Mała dziewczynka w czerwonym paltku i mężczyzna. Stali… pociąg został zbombardowany… muszę ich odnaleźć!

– Przykro mi – mówi, a mnie serce wali tak mocno, że docierają do mnie tylko strzępki słów – … nikt nie ocalał… tutaj…

Wymijam go i zataczając się jak pijana, idę od łóżka do łóżka, lecz widzę same obce twarze.

Na dworze pada gęsty śnieg, jest potwornie zimno. Nie rozpoznaję tego miejsca. Przede mną rozciąga się ogromne pole śniegu. Biel pokryła zniszczenia spowodowane przez wybuch. Te wzgórki to pewnie ciała.

Nagle widzę małą ciemną plamę przy najbliższym namiocie.

Chcę biec, a ledwo idę. Dopóki mróz nie zaczyna parzyć w stopy, nie zauważam, że jestem boso.

To jej paltko. Mojej Anji. Albo raczej to, co z niego zostało. Nie widzę już czerwieni, lecz rozpoznaję kartkę z jej imieniem i nazwiskiem wypisanymi moją własną ręką. Papier zamókł, atrament się rozmazał, ale nie ma wątpliwości. To tylko połowa paltka, druga została oderwana. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, jak to się stało.

Na jasnej podszewce zostały ciemne plamy krwi.

Wtulam nos w materiał i wdycham uwięziony w nim zapach. Oddycham moją córeczką.

Spod podszewki wypruwam zaszyte tam przeze mnie zdjęcie jej i Lwa. „Widzisz – powiedziałam do niej, kiedy je tam razem chowałyśmy podczas pierwszej ewakuacji dzieci, zdawałoby się wieki temu – teraz twój brat zawsze będzie z tobą”.

Biorę skrawek papieru z jej imieniem i składam w dłoni. Jak długo siedzę na śniegu, gładząc paltko mojego dziecka i wspominając jego uśmiech?

Wieczność.

Nikt nie chce mi dać broni. Każdy, kogo o to proszę, mówi, żebym się uspokoiła, że jutro poczuję się lepiej.

Powinnam była się zwrócić do kobiety, do matki, której zabito najpierw jedno dziecko, a potem drugie. Ona by zrozumiała.

A może tylko ja jestem taka…

Ten ból jest nie do zniesienia. A ja wcale nie chcę, żeby mi było lepiej. Zasługuję na cierpienie. Wracam do szpitala tylko po to, żeby zabrać buty i palto, i znowu ruszam przed siebie.

Wędruję jak jakiś duch przez tę krainę śniegu. Wiele tu chodzi takich żywych trupów i nikt ich nie zatrzymuje. Kiedy tylko słyszę strzały lub bombardowanie, kieruję się w tamtą stronę. Podbiegłabym, gdyby stopy tak nie bolały.

Ósmego dnia znajduję to, czego szukam.

Linia frontu.

Mijam moich rodaków Rosjan, którzy coś wołają i próbują mnie zatrzymać.

Wyrywam się, jeśli trzeba, bijąc i kopiąc, i idę dalej.

Dochodzę do Niemców i staję przed nimi.

– Zastrzelcie mnie – mówię i zamykam oczy. Wiem, co widzą. Szaloną, półgłuchą staruszkę ze zniszczoną walizką i szarym pluszowym króliczkiem w ręku.

26

– Ale tu też nie mam szczęścia – powiedziała mama z westchnieniem.

Po tym ostatnim, wymówionym cichym głosem zdaniu zapadła cisza.

Nina otarła łzy i spojrzała na matkę niemal z czcią.

Jak zdołała znieść taki ból? Jak w ogóle ktoś może tyle przeżyć i przetrwać?

Mama wstała. Zrobiła krok w lewo i zatrzymała się; potem zwróciła się w prawo i znów się zatrzymała. Poruszała się tak, jakby nagle obudziła się w dziwnym miejscu, z którego nie ma ucieczki. Opuściwszy ramiona, podeszła do okna.

Nina popatrzyła na Meredith. Siostra była wyraźnie wstrząśnięta. Nina zresztą czuła się tak samo.

– Mój Boże – westchnął w końcu Maksym, wyłączając magnetofon. Kliknięcie zgrzytnęło w ciszy. Nina uświadomiła sobie, że to, co właśnie usłyszeli, jest ważne nie tylko dla ich rodziny.

Mama stała nieruchomo, przyciskając dłonie do piersi, jakby się bała, że jej serce przestanie bić.

Co miała w tym momencie przed oczami? Swój piękny Leningrad zmieniony w lodowate, zbombardowane pustkowie, gdzie ludzie umierali na ulicy, a ptaki spadały z nieba?

A może twarz Saszy? Buzię Anji? Ostatni rozdzierający serce uśmiech Lwa?

Nina patrzyła uważnie na kobietę, która dała jej życie, i wreszcie zobaczyła ją naprawdę.

Matka była lwicą. Wojowniczką. Kobietą, która wybrała piekło w doczesności, bo choć chciała się poddać, nie umiała tego zrobić.

W ślad za tą myślą przyszła następna. Nagle Nina zobaczyła jak w obiektywie swoje własne życie. Latami jeździła po świecie w poszukiwaniu prawdy o sobie w losach innych kobiet.

Tymczasem ta prawda była w domu, w rękach jedynej kobiety, której nigdy nawet nie starała się zrozumieć. To dlatego ciągle nie mogła opublikować swoich zdjęć kobiet. Bo nigdy nie miała poczucia, że praca jest naprawdę skończona. Dla niej koniec następował w momencie zrozumienia. Ukryta za obiektywem, patrząc przez szkiełko, tak naprawdę próbowała znaleźć siebie. Tymczasem to nie mogło się udać, gdyż kobieta nie zrozumie swojej historii, dopóki nie pozna historii własnej matki.

– A oni, zamiast mnie zastrzelić, wzięli mnie do niewoli – powiedziała matka, nie odwracając się od okna.

To dało Ninie jeszcze bardziej do myślenia. Wydawało się, że od poprzedniej wypowiedzi mamy minęło co najmniej pół godziny, a tak naprawdę to były tylko minuty. Które wystarczyły, by zobaczyła prawdę o swoim własnym życiu.

– Do niewoli – powtórzyła cicho mama. – Próbowałam umrzeć. Próbowałam… Nigdy nie byłam na tyle silna, żeby się zabić… – Odwróciła się w końcu od okna. – Wasz ojciec był żołnierzem i wyzwalał nasz obóz. Działo się to w Niemczech pod sam koniec wojny. Wieki później. Kiedy pierwszy raz mnie zagadnął, nie zwróciłam na niego większej uwagi. Wtedy myślałam tylko o jednym. Że gdybym była silniejsza, miałabym przy sobie moje dzieci tego dnia, kiedy otworzyły się bramy obozu. Gdy Evan spytał mnie o imię, szepnęłam: „Anja”.

Mogłam to później sprostować, ale tak dobrze mi było słyszeć jej imię, kiedy się do mnie zwracano. Bolało, lecz ten ból niósł pocieszenie. Przynajmniej tyle mi zostało. Wyjechałam z Evanem… wyszłam za niego… ponieważ chciałam uciec, a to był jedyny sposób. W ogóle się nie spodziewałam, że zacznę znów żyć. Długo chorowałam. Miałam nadzieję, że umrę. Ale nie umarłam. I cóż… Czy Evana można było nie pokochać? Tak też się stało. Teraz już wiecie. – Wzięła torebkę i zamierzała wyjść, lecz w tym momencie lekko się zachwiała, jakby straciła równowagę.

Nina się zerwała, Meredith też i bez słowa chwyciły ją z dwóch stron pod ręce. Zaprotestowała.

– Nie powinnyście…

– Koniec z tym mówieniem nam, mamusiu, co mamy czuć – powiedziała Nina łagodnie.

– Koniec z odrzucaniem nas – dodała Meredith, gładząc ją po policzku. – Tak wiele w życiu straciłaś.

Mama zakrztusiła się. Czyżby łzy?

– Nas nie stracisz – zapewniła Nina i coś ją zakłuło pod powiekami. – Nigdy.

Anja Whitson znów się zachwiała, ale córki ją podtrzymały i posadziły na krześle.

Uklękły przy niej, tak samo jak kiedyś, w dzieciństwie. Ale teraz bajka mamy była skończona lub prawie skończona. Odtąd zacznie się inna. Ich wspólna historia.

Przez całe życie, patrząc na piękną twarz matki, Nina widziała napięcie, twarde spojrzenie oraz pozbawione uśmiechu usta.

Zrozumiała teraz, że owa twardość była narzucona jak maska. Miała zasłaniać miękkość kryjącą się w środku.

– Macie prawo mnie nienawidzić – powiedziała mama drżącym głosem.

Meredith podniosła się i dotknęła jej rąk.

– Kochamy cię.

Mama zadrżała i pojawiły się łzy. Na ich widok – pierwszych, jakie u niej widziały – Ninie też oczy zwilgotniały.

– Tęsknię za nimi – wyszeptała mama i rozpłakała się. Długo dusiła w sobie to wyznanie. Co czuła, kiedy w końcu padło?

„Tęsknię za nimi".

Proste słowa.

Wszystko.

Córki przytuliły ją. Pozwoliły jej się wypłakać.

Gdy wreszcie wypuściły ją z objęć, twarz miała mokrą od łez, włosy w nieładzie, oczy zaczerwienione i wilgotne. I wyglądała pięknie jak nigdy dotąd. Uśmiechnięta. Dotknęła kolejno ich twarzy.

– *Dusza maja* – powiedziała cicho do każdej z córek.

Siedzący przy łóżku Wasilija Maksym wstał i chrząknął, przypominając, że nie są same.

– Jest to jedna z najbardziej wstrząsających relacji z oblężenia Leningradu, jakie słyszałem. – Wyjął taśmę z urządzenia. – Stalin trzymał wszystko w tajemnicy, i dopiero niedawno prawda zaczęła wychodzić na jaw. To ważne, żeby ludzie mogli ją poznać.

– Zrobiłam to dla moich córek. – Mama wyprostowała się dumnie.

Patrząc na nią, Nina pomyślała, że ci, którzy przeżyli Leningrad, musieli być tacy twardzi. Inaczej by nie przetrwali.

– Oficjalnie podawane liczby trudne są do zweryfikowania, lecz ocenia się, że oblężenie kosztowało życie miliona ludzi. Z czego ponad siedemset tysięcy zmarło z głodu. To jest też ich historia. Dziękuję pani. – Maksym chciał coś jeszcze dodać, ale Wasilij wydał z siebie chrapliwy dźwięk.

Syn pochylił się nad nim.

– Co? – Pochylił się jeszcze niżej. – Nie rozumiem…

– Dziękuję – powiedziała Nina cicho do matki.

Mama pocałowała ją w policzek.

– Moja Ninoczka – szepnęła. – To ja ci dziękuję. Że nie odpuściłaś.

Nina powinna w tym momencie pękać z dumy, zwłaszcza że Meredith patrzyła na nią z podziwem, ale to nie do końca było tak, jak by wynikało ze słów mamy.

– Myślałam tylko o sobie. Jak zwykle. Chciałam usłyszeć twoją historię, więc zmuszałam cię do mówienia. Nie pomyślałam, że to może być dla ciebie tak bolesne.

Wilgotne oczy mamy rozjaśnił uśmiech.

– I dlatego jesteś tak ważna dla świata, Ninoczko. Powinnam ci była dawno sama powiedzieć, ale wolałam, żeby ojciec robił to za nas oboje. Kolejny z moich nietrafionych wyborów. Jesteś światełkiem na trudne chwile. Twoje zdjęcia mają siłę przekonywania. Nie pozwalasz ludziom przejść obojętnie. Jestem z ciebie bardzo dumna. Z tego, co robisz. To ty nas ocaliłaś.

– To prawda – zgodziła się Meredith. – Ja bym zrezygnowała. A ty nas jeszcze tu przywiozłaś.

Nina nie wiedziała dotąd, że słowo „dumna” może zakołysać światem. I zrozumiała jeszcze jedno: miłość jest w stanie ogarnąć wszystko.

Teraz, gdy na nowo zrozumiała, czym może być miłość, jej życie się zmieni. Nie wyobrażała sobie życia bez miłości – bez rodziny. A poza tym miłość czeka też w Atlancie. Wystarczy po nią sięgnąć. Jutro wyśle telegram. Powiedzmy: *A jeśli powiedziałabym, że nie chcę do Atlanty? Jeśli powiedziałabym, że pragnę innego życia niż tam, innego życia niż inni, ale z Tobą? Pojechałbyś ze mną czy zostałbyś? A jeśli powiem, że Cię kocham?*

Ale to dopiero jutro.

– Jak mam znów wyjechać? – Spojrzała na siostrę i na matkę. – I was zostawić?

– Nie musimy być razem, żeby być razem – odparła Meredith.

– Twoja praca stanowi o tym, kim jesteś – powiedziała mama. – A miłość da ci więcej przestrzeni. Może będziesz teraz przyjeżdżać częściej do domu? Mam nadzieję.

Kiedy Nina zastanawiała się nad odpowiedzią, odezwał się Maksym:

– Bardzo przepraszam, ale ojciec nie czuje się najlepiej.

Mama podeszła do łóżka i spojrzała na twarz Wasilija. Lewa strona była lekko zdeformowana po udarze. Po skroniach spływały jeszcze łzy, na poduszce obok głowy widniały plamy wilgoci. Gestem pełnym serdeczności dotknęła jego policzka i powiedziała coś po rosyjsku.

Gdy Nina, która podeszła za matką, zobaczyła, jak profesor próbuje się uśmiechać, pomyślała o ojcu. Zamknęła oczy, jakby się modliła. A tak naprawdę się nie modliła, tylko pomyślała: „Dzięki, tatusiu”. Już on będzie wiedział, o co chodzi. Na pewno wszystko słyszał.

– Proszę bardzo. – Maksym z powagą wręczył mamie kasety. – Ojciec prosi, żeby dostarczyła je pani jego dawnemu studentowi. Nazywa się Philip Kiselev. Od lat się tym nie zajmuje, ale ma mnóstwo materiałów. Mieszka niedaleko stąd, w Sitce.

– W Sitce? – powtórzyła mama. – Już tam byłyśmy. Statek nie będzie tamtędy wracał.

– Prawdę mówiąc, to czterdzieści minut temu statek wypłynął z Juneau – wtrąciła Meredith. – Cały jutrzejszy dzień będzie na morzu.

Wasilij usiłował coś powiedzieć. Widać było, jak bardzo się denerwuje, że nikt go nie rozumie.

– Nie można wysłać pocztą? – spytała mama, a Nina odniosła wrażenie, że mama boi się dotknąć tych taśm.

– Philip był prawą ręką ojca. Jego matka i mój ojciec znają się dobrze jeszcze z Mińska.

Nina spojrzała na Wasilija i znów pomyślała o ojcu. O tym, jak niewiele mogło znaczyć bardzo dużo.

– Przekażemy te kasety – obiecała. – Pojedziemy tam zaraz. Zostanie jeszcze mnóstwo czasu, żeby dogonić statek w Skagway.

Meredith wzięła kasety i adres.

– Dziękuję, profesorze. I panu, Maksymie.

– To ja paniom dziękuję – odparł Maksym uroczyście. – Czuję się zaszczycony, że panią poznałem, Wiero Pietrowna Marczenko Whitson.

Mama skinęła głową. Popatrzyła na kasety, pochyliła się i szepnęła coś Wasilijowi do ucha. Oczy starszego pana zwilgotniały. Uśmiechnął się, na ile mógł.

Nina wzięła mamę pod rękę. Meredith dołączyła z drugiej strony. Wyszły razem. Wiosenny dzień był przyjemny, niebo błękitne. Deszcz ustał, świat po nim stał się lśniący i czysty.

Do Sitki przypłynęły o siódmej trzydzieści.

– Przez ten czas można by dojechać do Los Angeles – utyskiwała Nina, wysiadając z hydroplanu.

– Jak na zatwardziałego obieżyświata strasznie narzekasz – zauważyła Meredith.

– Pamiętam, jak Nina była mała – odezwała się mama. – Jeśli pozwijały się jej skarpetki w butach, siadała na ziemi i wrzeszczała. Ryczała też, jak dałam za dużo keczupu do jajecznicy. Albo za mało.

– Nieprawda – zaprotestowała Nina. – Byłam bardzo grzeczna. Mówisz chyba o Meredith. Pamiętasz, jak dostała szału, gdy jej nie pozwoliłaś zostać u Karie Dovre na noc?

– To nic w porównaniu z tym, co ty urządziłaś, kiedy mama nie pomachała ci na pożegnanie przed turniejem w softball – przypomniała Meredith.

Nina przystanęła i spojrzała na mamę.

– W pociągu – powiedziała. – Nie byłaś w stanie patrzeć, jak odjeżdżam pociągiem, prawda?

– Na ile mogłam, na tyle próbowałam być silna – odparła mama cicho. – Ale wtedy rzeczywiście nie… Wiem, jak bardzo cię to zabolało. Przepraszam.

Meredith pomyślała, że takich momentów z przeszłości przypomni się teraz więcej. Odkąd zaczął się proces naprawy, trzeba je będzie ciągle poddawać nowej interpretacji. Jak ów dzień, gdy przekopała ogród zimowy. To tak jakby wyrwała i wyrzuciła kamienie nagrobne najbliższych mamie istot. Nic dziwnego, że matka tak wtedy zareagowała. I nic dziwnego, że zima była dla niej trudna.

A sztuka? Meredith ujrzała całą sytuację przez pryzmat nowo poznanych faktów. To zrozumiałe, że mama ją przerwała. Oni z Jeffem nieświadomie odgrywali historię jej miłości… Ależ musiała cierpieć.

– Nie przepraszajmy się więcej – zaproponowała Meredith. – Ustalmy raz na zawsze, że jest nam przykro za wszystkie te chwile, kiedy uraziłyśmy się wzajemnie, bo się nie rozumiałyśmy. I odpuśćmy sobie. Dobrze? – Spojrzała na mamę, która kiwnęła głową, i na Ninę. Siostra też się zgodziła.

Znalazły wygodne pokoje w małym pensjonacie na skraju miasta. Z tarasu miały widok na zaciszną zatokę, zielone garby pobliskich wysepek i na śnieżny szczyt Mount Edgecumbe. Nina pierwsza wzięła prysznic, a Meredith w tym czasie usiadła na

tarasie i oparła stopy na barierce. Obserwowała samotnego orła zataczającego koła nad wodą; ciemny punkt krążący nad ciemnogranatowym morzem.

Zamknęła oczy. Po tak niezwykłym dniu kłębiły się jej w głowie przeróżne myśli, wspomnienia i odkrycia. Analizowała swoje dzieciństwo, przyglądając się poszczególnym wydarzeniom w świetle nowych informacji. Ciekawe, że ta siła mamy, o której teraz dopiero się przekonała, jakby jej też się udzieliła. Uwaga Jeffa: „Jesteś jak ona, wiesz o tym, prawda?" nabrała nowej treści. Meredith wreszcie poczuła się bardziej pewna siebie. Ta cała historia nauczyła ją, że życie, podobnie jak miłość, można w jednej chwili stracić. Póki trwa, trzeba trzymać się go ze wszystkich sił i cieszyć się każdym jego momentem.

Drzwi z tyłu rozsunęły się, a potem cicho zatrzasnęły. W pierwszej chwili pomyślała, że Nina przyszła zgłosić, iż łazienka jest wolna, tymczasem poczuła słodki zapach różanego szamponu.

– Hej. – Uśmiechnęła się do mamy. – Myślałam, że już dawno śpisz.

– Nie mogę zasnąć.

– Za jasna noc?

– Nie mogę spać, kiedy tam leżą te kasety – wyznała mama i usiadła obok.

– Możemy je wziąć do nas.

Dłonie mamy poruszyły się nerwowo.

– Trzeba je oddać dzisiaj.

– Dzisiaj? Jest piętnaście po dziewiątej.

– *Da.* Już pytałam na dole. To zaledwie trzy przecznice stąd.

Meredith spojrzała na nią uważnie.

– Koniecznie chcesz dziś? Ale dlaczego?

– Szczerze? Nie umiem powiedzieć. Jestem stara i głupia. Tyle wiem. I pragnę to już mieć za sobą.

– Zadzwonię do niego.

– Nie ma go w książce telefonicznej. Już dzwoniłam do informacji ode mnie z pokoju. Po prostu trzeba tam pójść. Najlepiej dziś. Jutro może wyjść do pracy i będziemy musiały czekać.

– Z kasetami.

Mama spojrzała na nią.

– Z kasetami – potwierdziła cicho, i wtedy Meredith zrozumiała, że to bezradność. I strach. Po tym, co matka w życiu przeszła, wolała nie mieć przy sobie niczego, co by jej przypominało tamte przeżycia.

– Dobrze. Zawołam Ninę. Zaraz pójdziemy.

Meredith na moment przystanęła i dotknęła ramienia matki. Nawet przez gruby wełniany sweter wyczuwało się kości pod skórą.

Przez ostatnie miesiące unikała jakiegokolwiek kontaktu fizycznego z nią i ta obecna bliskość, w dodatku po tylu latach zachowywania dystansu, wydawała się prawdziwym cudem. Wróciła do pokoju. Stały tu dwa łóżka nakryte pledami w czerwono-zieloną kratkę, z czarnymi poduszkami w kształcie łosia. Na ścianach wisiały czarno-białe ryciny przedstawiające Tlingitów z Sitki. Łóżko Niny nie było jeszcze przygotowane do spania. Leżały na nim ubrania i sprzęt fotograficzny.

Zapukała do łazienki, a że nie dostała odpowiedzi, weszła.

Nina suszyła włosy, wyśpiewując na całe gardło *Crazy for You* Madonny. Z krótkimi czarnym włosami i idealną cerą wyglądała na góra dwadzieścia lat.

Meredith postukała ją w ramię. Nina podskoczyła i omal nie upuściła suszarki na podłogę. Roześmiała się i wyłączyła ją.

– Aleś mnie wystraszyła. Muszę koniecznie iść do fryzjera. Zaczynam wyglądać jak Edward Nożycoręki.

– Mama chce dziś jeszcze oddać kasety.

– O! Dobrze.

Meredith nie mogła powstrzymać uśmiechu. Od razu widać, jakie są różne. Nina miała w nosie późną porę i zupełnie się nie przejmowała, że nie bardzo wypada iść do kogoś, nie zadzwoniwszy przedtem. Nie pomyślała, że mama miała ciężki dzień i powinna odpocząć.

Dla niej był to zew kolejnej przygody, a na taki zawsze odpowiadała.

Ta cecha siostry szczerze Meredith imponowała.

Za niespełna dwadzieścia minut szły ulicą wskazaną przez właścicielkę pensjonatu. Noc całkiem jeszcze nie zapadła, niebo miało kolor ciemnej śliwki i usiane było gwiazdami, które wydawały się tak blisko, że niemal w zasięgu ręki. W gałęziach drzew szeleścił lekki wiaterek i w tej ciszy kroki rozbrzmiewały wyraźnym echem. Gdzieś w dali ryknęła syrena okrętowa.

Tutejsze domy wyglądały na stare. Miały spadziste dachy, werandy od frontu i starannie utrzymane ogródki. Słodka woń róż w powietrzu rywalizowała ze słonym zapachem morza.

– To tutaj – oznajmiła Meredith, która przestudiowała plan miasta.

– Światło się pali. Super – ucieszyła się Nina.

Dom był biały i schludny. Barierka werandy wyglądała identycznie jak u nich i bardzo podobna była dekoracja szczytów. Taki trochę domek z bajki.

– Zupełnie jak dacza mojego dziadka – orzekła mama. – A jednocześnie też amerykański.

Nina wzięła ją pod ramię.

– Na pewno chcesz?

W odpowiedzi mama ruszyła naprzód.

Pod drzwiami wzięła głęboki oddech i wyprostowała się. Zapukała. Dwa razy.

Drzwi otworzył niski, krępy mężczyzna. Miał grube czarne brwi i siwe wąsy. Jeśli nawet zdziwiła go ta nocna wizyta, nie okazał tego.

– Dobry wieczór – powiedział uprzejmie.

– Czy pan Philip Kiselev? – spytała mama, biorąc od Niny torbę z kasetami.

– Dawno nie miałem z nim kontaktu.

Mama cofnęła rękę.

– Nie jest pan Philipem Kiselevem?

– Nie. Nazywam się Gerald Koontz. Philip to mój kuzyn. Wyjechał.

Mama spoważniała.

– Przepraszam w takim razie za to najście. Błędnie nas poinformowano.

Meredith spojrzała na kartkę w ręku siostry. Wszystko się zgadza. To ten adres.

– Profesor Adamowicz musiał…

– Wasia? – Gerald uśmiechnął się szeroko, odsłaniając piękne zęby. Odwrócił się i zawołał: – Kochanie, mamy gości od Wasi.

– Niezupełnie – zaczęła się tłumaczyć mama. – Raz jeszcze przepraszam. Wyjaśnimy to.

W tym momencie weszła kobieta ubrana w czarne jedwabne spodnie i luźną tunikę. Siwe loki związane miała w luźny koński ogon.

– Stacey! – wykrzyknęła Nina ze zdziwieniem. Meredith też poznała kelnerkę z rosyjskiej restauracji.

– Coś takiego! – wykrzyknęła Stacey z promiennym uśmiechem. – Przecież to moje Rosjanki. Proszę wejść, zapraszam. – I dodała pod adresem Geralda: – Były u nas. Podałam kawior.

Gerald uśmiechnął się.

– Znaczy, przypadłyście jej do gustu.

Nina weszła pierwsza i wciągnęła za sobą mamę.

– Tutaj, tędy – zapraszała Stacey. – Siadajcie. Zaraz zrobię herbatę. Skąd tu się wzięłyście?

Wprowadzono je do ładnie umeblowanego salonu, gdzie w rogu stał domowy ołtarzyk, na którym paliły się trzy świece. Stacey usadowiła gości na kanapie.

– Gere coś mówił, że znacie Wasilija?

– Raczej niewiele – odpowiedziała mama. Siedziała wyprostowana.

Gdzieś w domu rozległ się hałas.

– Aha. Wnuki – stwierdził Gerald i wyszedł.

– Mamy u siebie dzieci mojego syna. Już zapomniałam, jak malcy psocą w tym wieku. – Stacey uśmiechnęła się. – Zaraz będzie herbata. – Wyszła.

– Myślicie, że profesorowi coś się pomyliło? A może Maksym źle zapisał adres? – odezwała się Meredith, gdy tylko zostały same.

– Dziwny zbieg okoliczności, że to Rosjanie i że znają profesora – zauważyła Nina.

Mama wstała tak gwałtownie, że uderzyła się w łydkę o niski stolik. Nie zważając na to, podeszła do ołtarzyka. Był typowy: ikony, dwa rodzinne zdjęcia i zapalone świece.

Stacey wróciła z herbatą. Nalała pierwszą filiżankę i podała Meredith.

– Proszę bardzo.

– Znają państwo profesora Adamowicza? – spytała Nina.

– Znamy. Przyjaźnił się z moim ojcem. Przez wiele lat pomagałam mu zbierać materiały do badań. Oczywiście nie była to pomoc naukowa. Pisanie na maszynie, kopiowanie. Tego typu prace.

– Oblężenie Leningradu? – spytała Meredith.

– Zgadza się.

– Mamy ze sobą kasety. – Nina sięgnęła po papierową torbę. – Mama opowiedziała właśnie profesorowi swoją historię, a on nas przysłał tutaj.

Stacey chwilę milczała.

– Swoją historię? – zapytała.

– Była w Leningradzie podczas wojny – wyjaśniła Meredith.

– I przysłał was tutaj? – Stacey spojrzała na mamę, która stała nieruchomo jak posąg. – Ciekawe.

Stacey podeszła do ołtarzyka. Ręka drżała jej lekko, filiżanka zadzwoniła na spodku.

– Może herbaty? – zapytała.

Meredith, nie wiedząc czemu, też wstała. Nina zrobiła to samo.

Podeszły bliżej.

Wtedy Meredith zobaczyła, w co wpatrywała się ich matka. Na stoliku stały dwie fotografie. Jedna z nich, czarno-biała, przedstawiała nowożeńców. Panna młoda, wysoka i szczupła, miała kruczoczarne włosy i miły uśmiech. Pan młody był bardzo przystojnym blondynem. Na zdjęciu widać ślady załamań, jakby zostało złożone we czworo.

– Moi rodzice w dniu ślubu – powiedziała Stacey bardzo wolno. – Matka była wyjątkowo piękną kobietą. Czarne włosy, oczy… wciąż jeszcze pamiętam jej oczy. Przedziwne. Błękitne ze złotymi…

Mama wolno się odwróciła.

Stacey spojrzała jej w oczy. Filiżanka upadła z hukiem i rozprysła się w drobny mak.

Stacey drżała. Wzięła coś ze stolika, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z mamy.

Podała jej małego emaliowanego motyla.

Mama osunęła się na kolana.

– Mój Boże…

W pierwszym odruchu Meredith chciała ją podnieść, ale obie z Niną jakby wrosły w ziemię.

Stacey uklękła przy mamie.

– Nazywam się Anastazja Aleksandrowna Marczenko Koontz i pochodzę z Leningradu. Czy to ty, mamo? Naprawdę się odnalazłaś?

Mama raptownie wciągnęła powietrze.

– Moja Anja… – Rozpłakała się.

Meredith o mało serce nie wyskoczyło z piersi na myśl o tym, co te kobiety przeszły, o straconych latach i o niewiarygodnym cudzie tego spotkania. Przytuliła się do Niny i obie patrzyły, jak ich matka dosłownie ożywa. Nie można tego inaczej określić. Jakby te łzy radości – pierwsze od wielu, wielu lat – obudziły do życia jej uśpioną duszę.

– Jak to się stało? – spytała mama drżącym głosem.

– Papik i ja obudziliśmy się w pociągu sanitarnym jadącym na wschód. On był ciężko ranny… No i zanim wróciliśmy do Wołogdy… A potem czekaliśmy. – Stacey otarła oczy. – Nigdy nie przestaliśmy cię szukać.

Słychać było, że mama ma ściśnięte gardło. Wiele ją kosztowało to pytanie:

– My?

Stacey wzięła ją za rękę, a mama odpowiedziała mocnym uściskiem, jakby odtąd chciała jej się mocno trzymać.

Wstały z kolan i podeszły do szklanych drzwi prowadzących na dwór. Za nimi widać było ładnie utrzymany ogród. W nocnym powietrzu unosiły się słodkie zapachy bzu, wiciokrzewu i jaśminu. Stacey zapaliła światło i wtedy zobaczyły.

Mały kwadratowy ogródek.

Matka powiedziała coś po rosyjsku i wszystkie wyszły. Ogródek był niemal identyczny jak ten przy ich domu, otoczony ozdobnym płotkiem, z tym że pomalowanym na biało. Naprzeciwko metalowej ławki leżały na ziemi trzy granitowe głazy, a wokół rosły kwiaty. W tym momencie niebo rozbłysło feerią czarodziejskich barw. Wśród gwiazd zalśniły pasma fioletowe, różowe i pomarańczowe. Zorza polarna.

Mama ciężko usiadła na ławce, Stacey obok niej, nie puszczając ani na moment jej ręki.

Meredith i Nina stanęły z tyłu i oparły dłonie na ramionach mamy.

WIERA PIETROWNA MARCZENKO
1919 –
Ukochana, pamiętaj o naszej lipie w Ogrodzie Letnim.
Tam się spotkamy.

LEW ALEKSandrowicz MARCZENKO
1938 – 1942
Nasz Lew
Odszedł tak szybko.

Ale to na widok ostatniego napisu Meredith mocno ścisnęła ramię matki.

ALEKSANDER ANDRIEJEWICZ MARCZENKO
1917 – 2000
Najdroższy mąż i ojciec

– W zeszłym roku? – szepnęła mama.

Stacey miała oczy pełne łez.

– Całe życie czekał. Serce… poddało się ostatniej zimy.

Mama zamknęła oczy i pochyliła głowę.

Meredith nawet nie była w stanie wyobrazić sobie, jak wielki musiał być to dla niej szok – dowiedzieć się, że mężczyzna będący największą miłością jej życia, którego uważała za zmarłego, przeżył piekło wojny, a potem szukał jej całymi latami. Spóźniła się zaledwie kilka miesięcy. Jego pamięć uwieczniona została w tym ogrodzie, tak podobnym do tego, który ona sama stworzyła.

– Zawsze mówił, że będzie czekał na ciebie w Ogrodzie Letnim.

Mama wolno otworzyła oczy.

– Nasze drzewo… – Długo wpatrywała się w napis. Potem zrobiła to, co zawsze, a na co nie każdego byłoby stać w takiej chwili. Wyprostowała dumnie plecy i uniosła głowę. Nawet się uśmiechnęła, choć niepewnie.

– Chodźmy na herbatę – rozległ się ten jej czarodziejski głos, który tak bardzo odmienił ostatnio ich życie. – Anju, mamy sobie tyle do powiedzenia. Przedstawiam ci twoje siostry: Meredith, ta zawsze była świetnie zorganizowana, a Nina odrobinę szalona, ale wszystkie się trochę zmieniłyśmy, a ty zmienisz nas jeszcze bardziej. – Mama znowu się uśmiechnęła, tyle że w jej oczach widać było cień smutku – zapewne na wspomnienie słów „Tam się spotkamy”. Jednak smutek ów łagodziła radość dźwięcząca w jej głosie. Może tak właśnie miało być, tak czasem toczą się ludzkie losy i układa życie. Są w nim bowiem i radość, i smutek, a sztuka polega na tym, by przeżyć jedno i drugie, lecz mocniej trzymać się radości.

Meredith chwyciła nową siostrę za rękę.

– Tak się cieszę, że cię znalazłyśmy. Tyle o tobie słyszałyśmy…

Nie chroniły mnie pod obcym niebem
Obce skrzydła wśród obcych obszarów –
Ja ze swym narodem byłam wtedy
Tam, gdzie na nieszczęście był mój naród.

Anna Achmatowa, motto poematu *Requiem*, tłum. Eugenia Siemaszkiewicz, w: *Wiersze*, Moskwa–Warszawa 1989

Epilog

2010

Na imię ma Wiera, jest biedną dziewczyną. Nikim.

Nikt w Ameryce nigdy nie zrozumie ani jej, ani miasta, z którego pochodzi. Ukochany Leningrad – słynne okno na zachód Piotra Wielkiego – jest jak umierający kwiat, wciąż piękny, gdy się nań patrzy, ale gnije od środka.

Lecz tego Wiera jeszcze nie wie. Jest młoda i ma swoje marzenia.

Często latem budzi się w nocy, przyzywana dźwiękami, których potem nie pamięta. Wychyla się przez okno, skąd widać w dali most. W czerwcu trudno zasnąć, gdy powietrze pachnie lipami i kwitnącym kwieciem, a noce są tak krótkie jak machnięcie skrzydeł motyla.

Białe noce. Pora lata, kiedy ciemności nie zapadają, a ulice nie cichną…

Kiedy zamykam tę książkę – moją książkę – uśmiecham się do siebie. Skończyłam właśnie pisać dziennik. Nie bajkę, tym razem niczego nie udaję. Jest to moja historia, tak prawdziwa, jak tylko ja ją znam. Papa byłby ze mnie dumny. Zostałam pisarką.

To mój prezent dla córek. One dały mi o wiele więcej, bez nich słowa nadal by tkwiły we mnie uwięzione i zatruwały od środka. Meredith jest w domu z Jeffem; szykują się na ślub Jillian i to pochłania ich bez reszty. Maddy pracuje, zarządza czterema galeriami z upominkami, które należą do jej matki. Meredith jest szczęśliwa jak nigdy. Uwielbia robić to, co robi, a poza tym oboje z Jeffem wiele podróżują. Twierdzą, że

zbierają materiały do jego powieści, które odnoszą sukcesy, ja zaś myślę, że po prostu lubią być razem.

Nina jest na górze z Danielem. Nie wyszła za niego, lecz kocha go bardziej, niż sobie z tego zdaje sprawę. Dużo podróżowali, mieli wiele przygód. Pewnie zaraz znów się spakują i wyjadą, ale sądzę, że właśnie w tym momencie się kochają. I bardzo dobrze.

Nie szkodzi, że Anja zamerykanizowała swoje imię, dla mnie zawsze będzie Anją. Teraz jest w cerkwi z rodziną. Często tu przyjeżdżają, a wtedy dom napełnia się śmiechem i radością. Razem z moją najstarszą córką godzinami przesiadujemy w kuchni, rozmawiamy po rosyjsku, wspominamy naszych bliskich, żywych i zmarłych.

Ostatni raz otwieram dziennik i jak najstaranniej piszę dedykację *Dla moich dzieci*. Zamykam i odkładam.

Nie mogę oprzeć się pokusie i przymykam oczy. Łatwo mi teraz przychodzi zasypianie, zwłaszcza że w ten grudniowy dzień w pokoju jest rozkosznie ciepło…

Wydaje mi się, że słyszę śmiech dziecka.

Może to tylko wspomnienie świątecznego obiadu. Znów w tym roku jesteśmy wszyscy razem. Cała moja rodzina.

Mam ogromne szczęście. Kiedyś nie zdawałam sobie z tego sprawy, teraz wiem. Mimo błędów, jakie popełniłam, mimo złych decyzji i wyborów, jestem kochana i co ważniejsze, sama kocham.

Otwieram oczy, bo coś mnie przestraszyło. Jakiś dźwięk. Przez chwilę czuję się zdezorientowana, nie wiem, gdzie się znajduję. Potem widzę znajomy kominek, choinkę w kącie i mój portret wiszący nad kominkiem.

Wisi tam, gdzie kiedyś był obraz trojki. Z początku nie lubiłam tego zdjęcia zrobionego przez Ninę. Strasznie smutno na nim wyglądam.

Po jakimś czasie dopiero mi się spodobało. Moje nowe życie zaczęło się od zrozumienia prawdy, że miłość niesie ze sobą przebaczenie. Teraz to słynna na cały świat fotografia; ludzie nazywają mnie bohaterką. Śmieszne. Tak wygląda kobieta, która znaczną część swojego życia zmarnowała, a mimo to zyskała bardzo wiele.

W kącie nadal stoi mój domowy ołtarzyk. Cały dzień palą się na nim świece. Stoją tu też moje ślubne zdjęcia i przypominają, jak wiele miałam szczęścia. Obok zdjęcia Anji i Lwa leży brudny szary króliczek z wytartym futerkiem i bez jednego oka. Towarzysz Kicuś. Czasami noszę go przy sobie.

Wstaję z fotela. Kolana bolą, stopy mam spuchnięte, lecz się tym nie przejmuję. Nigdy nie przejmowałam się takimi rzeczami. Jestem kobietą z Leningradu. Idę do jadalni. Stąd widać mój zimowy ogród, cały pokryty śniegiem. Niebo ma kolor ciemnej miedzi. Lód i mróz potworzyły diamentowe kolczyki zwisające ze szczytów nad werandą. Myślę o moim kochanym Evanie, który uratował mnie, gdy potrzebowałam ratunku, i tak wiele mi dał. Zawsze mówił, że uzyskam przebaczenie, jeśli będę umiała się po nie zwrócić. Teraz dałabym wszystko za to, żeby go wtedy posłuchać. Ale wiem też, że on mnie widzi i się cieszy.

Jestem boso, mam na sobie tylko nocną koszulę z cienkiej flaneli. Jeśli wyjdę na dwór, Meredith i Nina będą się martwić, że znów mąci mi się w głowie. Tylko Anja zrozumie.

Mimo to otwieram drzwi. Klamka łatwo ustępuje, zimne powietrze wdziera się do środka z taką siłą, że przez jedną piękną, a zarazem smutną chwilę jestem z powrotem w moim ukochanym mieście nad Newą.

Idę po świeżym śniegu, który jednocześnie parzy w stopy i mrozi je.

Nim dochodzę do ogrodu, on się pojawia. Jest ubrany na czarno, jego złote włosy lśnią w słońcu.

Wiem, że to niemożliwe. Wiem doskonale.

Podchodzę do ławki i przytrzymuję się zimnego czarnego oparcia.

Zbliża się do mnie, raczej sunie, poruszając się z gracją, jakiej u niego nie pamiętam. Jest tuż-tuż. Spoglądam w zielone oczy mężczyzny, którego kochałam przez ponad siedemdziesiąt lat.

Zielone.

Widząc ich kolor, tracę oddech z wrażenia i czuję się znowu młoda.

On jest prawdziwy. I naprawdę jest tutaj. Czuję jego ciepłą obecność. Przeszywa mnie dreszcz. Siadam na ławce.

Tyle rzeczy mam mu do powiedzenia, ale nie mogę wykrztusić nic z wyjątkiem jego imienia:

– Sasza…

– Czekaliśmy – odpowiada, a wtedy od czerni jego płaszcza odrywa się inny cień, który przybiera własny kształt. Malutki mężczyzna.

– Lew… – Głos więźnie mi w gardle. Ramiona rwą się, by pochwycić moje dziecko, przytulić. Wygląda zdrowo i dorodnie, policzki ma żywe, różowe. Po chwili mam przed oczami ten sam policzek, tyle że zapadły, siny, błyszczący od mrozu. Słyszę: „Jestem głodny, mamo… nie zostawiaj mnie…”.

Potworny ból rozdziera mi pierś, dyszę głośno. Sasza jest przy mnie, bierze mnie za rękę.

– Chodźmy, najdroższa. Do Ogrodu Letniego...

Ból mija.

Patrzę w najbardziej zielone na świecie oczy i przypominam sobie trawę w parku. Wtedy się zakochałam. Lew tuli się do mnie, tak jak zawsze to robił, a ja porywam go na ręce, śmieję się i już nie pamiętam, że kiedyś nie miałam siły go nieść.

– Chodź. – Sasza znowu mnie całuje. Idę za nim.

Wiem, że jeśli się obejrzę, zobaczę moje ciało, stare i pomarszczone, leżące bezwładnie na ławce pośród śniegu. Jeśli zaczekam chwilę dłużej, będę świadkiem, jak moje córki odkrywają, co się stało, i płaczą.

Więc się nie oglądam. Trzymam się mego Saszy i całuję lewka w szyjkę.

Tak długo czekałam, żeby ich znów zobaczyć. Moje dziewczyny sobie poradzą. Są siostrami, rodziną. Prezent od ich ojca, a sprawiła to moja historia. Przez ostatnie dziesięć lat kochałyśmy się tak, że starczy na całe życie.

„Do widzenia, moje dziewczynki. Kocham was. Zawsze was kochałam”.

Odchodzę.

Podziękowanie

Pisanie książki na pewno jest samotną przygodą, ale nadawanie jej ostatecznego kształtu i wydanie z pewnością nie. Zwłaszcza przy tej książce pomogło mi wiele osób. Przede wszystkim chciałabym podziękować mojej wspaniałej redaktorce Jennifer Enderlin oraz całemu zespołowi wydawnictwa St. Martin's Press, zwłaszcza Matthew Shearowi, Sally Richardson, George'owi Witte'owi, Mattowi Baldacciemu, Nancy Trypuc, Anne Marie Tallberg, Lisie Senz, Sarah Goldstein, Kim Ludlum, Mike'owi Storringsowi, Kathryn Parise, Alison Lazarus, Jeffowi Capshew, Kenowi Hollandowi, Tomowi Siino, Martinowi Quinnowi, Steve'owi Klecknerowi, Merrill Bergenfeld, Astrze Berzinskas, Johnowi Edwardsowi, Brianowi Hellerowi, Christine Jaeger, Robowi Renzlerowi, pracownikom sprzedaży na Broadwayu, pracownikom sprzedaży na Fifth Avenue, Sarze Goldman, Tahshy Hernandez i Stephenowi Lee. Dzięki za wspaniały rok!

Dziękuję Tomowi Hallmanowi za pracę nad piękną okładką.

Dziękuję także dziennikarce Sally Sarze za jej nieocenioną pomoc. Za wszelkie błędy wyłączną odpowiedzialność ponoszę ja sama.

Dziękuję Mary Moro za pomoc w kwestiach dotyczących jabłek i Wenatchee Valley.

Dziękuję Tomowi Adamsowi za to, że wspomniał o Rosji pewnego wieczoru…

Dziękuję Megan Chance i Kim Fisk, które zawsze wiedziały, kiedy się śmiać, a kiedy płakać – za to, że kazały mi spróbować raz jeszcze.